



MAGDALENA  
WITKIEWICZ

Drzewo czereśni potrzebuje  
innego drzewa, aby rosnąć i dawać owoce.  
Tak jak człowiek, gdy kocha – rozkwita.

CZEREŚNIE  
ZAWSZE  
MUSZĄ BYĆ DWIE

FILIA

MAGDALENA  
**WITKIEWICZ**

CZEREŚNIE  
ZAWSZE  
MUSZĄ BYĆ DWIE

FILIA

*Mojemu mężowi, Tomkowi,*

*byśmy nigdy nie zapomnieli, że czereśnie muszą być dwie,*

*aby to życie miało sens.*

*Resztę powiem Ci osobiście...*

*Moim dzieciom, Liliannie i Mateuszowi, pamiętajcie, że macie siebie.*

*A razem łatwiej niż samemu.*

*Kocham Was*

## WSTĘP

Czasami nie zdajemy sobie sprawy, że zupełnie nieistotne decyzje mogą mieć wpływ na nasze dalsze życie. To czy zrobimy krok w lewo, czy w prawo, decyduje o tym, kim będziemy w przyszłości, kim będą nasze dzieci, a nawet o tym, czy spotkamy szczęście, czy też nasza droga będzie wybrukowana niepowodzeniami.

Jeden mały krok.

Czasem żałujemy naszych wyborów życiowych, zastanawiamy się, „co by było gdyby”. Wydaje nam się, że bylibyśmy szczęśliwsi, gdybyśmy w przeszłości poszli inną drogą, spotkali innych ludzi. A może byłoby zupełnie inaczej? I niekoniecznie nazywalibyśmy to „szczęściem”.

\*

Siedziałam na ganku mojego domu. Był chłodny, wiosenny wieczór. Właśnie przestał padać deszcz. Owinęłam się ogromnym, szydełkowym kocem w kolorze morza, za którym czasem nawet tęskniłam, i wahałam różę, która niedawno zakwitła w moim ogrodzie.

Zakwitła, jak co roku, tego samego dnia. Zakwitła specjalnie dla mnie. Skąd wiem, że specjalnie dla mnie? Wiem. I o tym właśnie jest ta historia.

Gdyby kilka lat temu ktoś mi powiedział, że będę miała własny dom gdzieś pod Łodzią, że będę siadywała na ganku przytulona do mężczyzny, którego kocham, nie uwierzyłabym. Wtedy chyba chciałam przemierzać ten świat zupełnie samotnie. Gdybym wówczas zastanawiała się nad swoją przyszłością, przed oczami

miałabym zapewne zupełnie innego mężczyznę i zupełnie inny dom.

Czy byłabym szczęśliwa? Nie wiem. Pewnie tak. Ale wiedząc to, co wiem dzisiaj, nie żałuję, że życie czasem traktowało mnie nieco brutalnie. Teraz każdy ślad odcisnięty na mojej psychice tworzy cudną mozaikę obecnego świata. Wraz z rysami, załamaniem i drobnymi potłuczeniami, które zafundował mi wcześniej los.

Gdy patrzę na mój ogród i kwitnące drzewa owocowe, wspominam słowa starszego pana, który odszedł, ale na zawsze znalazł miejsce w moim sercu.

„Czereśnie zawsze muszą być dwie” – powiedział dawno temu, gdy staliśmy w ogrodzie. Wtedy dopiero zaczynałam to rozumieć. Wtedy dopiero dostrzegłam, że życie to przede wszystkim relacje między ludźmi. I nasza przyszłość zależy od tego, obok kogo właśnie stoimy.

Róża pachniała pięknie. Gdy pierwszy raz zobaczyłam jej krzak, nie spodziewałam się, że kiedykolwiek będzie cieszyć moje zmysły.

Bardzo cieszy. I przypomina o minionych dniach, o wydarzeniach całkiem niedawnych, w których odgrywałam znaczącą rolę, ale także o dalekiej przeszłości tego miejsca i osób, bez których nie byłoby mnie tutaj, na tym ganku ukochanej już przeze mnie starej willi. Willi otoczonej lasem i przyjaznymi ludźmi.

Kocham to miejsce. Stary zniszczony dom, który już prawie doprowadziłam do świetności, leśną drogę i kwitnące drzewa owocowe.

Tuż obok domu, przy drodze, stała mała kapliczka. Musiała mieć ze sto lat. Któryś z sąsiadów położył tam pachnące kwiaty. Te plastikowe, pożółkłe od deszczu i mrozu, też tam stały. Na wypadek gdyby ktoś zapomniał o świeżych.

Zapadał zmrok, słychać było szczekanie psów z pobliskich gospodarstw. Gdzieś w oddali płakało dziecko. Zwykle hałasy z przedmieścia.

Uśmiechnęłam się do siebie. Byłam bardzo wdzięczna światu za to, co mam. Bo mam wszystko, o co kiedykolwiek prosiłam. Po drodze bywało różnie, ale gdy siedziałam skulona pod tym niebieskim kocem, było mi ciepło i czułam, że jestem bardzo szczęśliwa.

## CZĘŚĆ I

### ZOFIA

*Przyszłość jest zawsze trochę chwiejna. Dowolny drobiazg, jak upadek płatka śniegu albo upuszczenie niewłaściwego rodzaju łyżeczki, może pchnąć przyszłość na całkiem inną ścieżkę. Albo nie.*

Terry Pratchett

# 1

O całym moim dorosłym życiu zdecydowały wagary w ósmej klasie szkoły podstawowej. Zaskakujące, prawda?

Gdyby mi ktoś wtedy powiedział, że od tego, czy pójdę grać w butelkę do domku na ogródkach działkowych na gdańskim Przymorzu, zależy całe moje życie, nie uwierzyłabym. Przecież życie zależy tylko od bardzo ważnych decyzji, a nie od takich, czy w kawiarni wybierzesz kawę czy herbatę, albo czy pierwszy raz w życiu pójdziesz na wagary, by klasa, której z całego serca nienawidzisz, przestała wreszcie uważać cię za kujona i zaczęła traktować jak równą sobie. Równą sobie dziewczynę, która jest taka dzielna, że nawet chodzi na wagary, nie bacząc na konsekwencje. Nieważne, że był właśnie dzień wagarowicza i ze szkoły uciekali prawie wszyscy.

Naprawdę kosztowało mnie to wiele wyrzeczeń. Gdy przekraczałam próg szkoły, trochę skulona, bo przecież niedobrze, by ktoś mnie zauważył, poczułam na sobie wzrok pani od matematyki. Miałam wrażenie, że było jej przykro. Czy czułam, że robię coś niewłaściwego? Oczywiście, że tak. Ale chciałam być taka superfajna. Taka równa z nimi wszystkimi. Chciałam głośno się śmiać i grać w butelkę w tym obskurnym drewnianym domku na działce. O tym, że jest obskurny, wychodząc ze szkoły, jeszcze nie wiedziałam. Miałam nadzieję, że to jedno moje odważne wyjście spowoduje, że wreszcie będę z nimi. Będę lubiana, zapraszana na urodziny i wybierana na WF-ie do drużyny.

Nie tak jak zawsze – najlepsza uczennica, grająca na pianinie i recytująca poezję na szkolnych akademiach, ale stojąca z boku roześmianej grupy. Wtedy

podobał mi się Krzysztof. Dla niego chyba uciekłam. Teraz oczywiście nie żałuję mojego zachowania, ale były chwile, kiedy zrobiłabym wszystko, by cofnąć czas i zostać tego dnia w szkole. Nie zostałam. Wysłałam, siłą się na uśmiech, próbując dotrzymać kroku biegnącym kolegom i koleżankom, i robiąc dobrą minę do złej gry. Czy było fajnie? Nie wiem. Chyba nawet nie. Spadły pierwsze krople deszczu i przemoknięci biegliśmy schronić się przed nadciągającą ulewą. W domku było ciemno, duszno. Pojawiły się jakieś papierosy, nie mogłam oddychać.

– Zosia, spróbujesz? – zapytał Krzysztof.

Pokręciłam głową.

Ktoś prychnął.

– Zofia Krasnopolska? Wiadomo, że nie spróbuje!

– Daj. – Wyciągnęłam rękę po papierosa, którego przed chwilą podawano sobie z ust do ust.

– Daj spokój. – Krzysztof przejął ode mnie papierosa.

– No co? Bronisz panny porządnickiej? – zapytała Anka.

– Mnie nikt nie musi bronić – powiedziałam. Zaciągnęłam się papierosem. Nie wiedziałam, że umiem. W oczach mi pociemniało, poczułam, że nie mogę oddychać. Co w tym niby jest takiego przyjemnego? Atak kaszlu rozsadzał mi płuca.

– No mówiłam, że panna porządnicka. – Anka wzruszyła ramionami. Zaciągnęła się papierosem, powstrzymując kaszel.

– Pójdę już – powiedziałam.

– Tylko do szkoły nie wracaj, bo nam siary narobisz – zawołała za mną Anka.

– Nie wróci – powiedział Krzysztof.

– Nie wrócę – potwierdziłam.

No bo jak miałam niby wracać teraz do szkoły? I co powiedzieć? Nie musiałam nic mówić. Śmierdziałam wilgocią działki, na której nikt nie był od jesieni, i tytoniem z tanich papierosów. Z całej siły kopnęłam kamień leżący na drodze. Dlaczego to ja miałam się podporządkowywać? Dlaczego tak chciałam się dopasować do towarzystwa, które zupełnie mi nie odpowiadało? Może dlatego, że czułam się samotna? Nie miałam przyjaciółki. Miałam tylko koleżanki. Dziewczyny dobierały się w grupki, a ja stałam zawsze z boku. A w domu? Też byłam sama. Rodzice wiecznie zabiegani, znajdowali czas tylko na to, by prowadzić mnie na dodatkowy angielski czy lekcje pianina. Nienawidziłam tego. I angielskiego, i pianina.

– To dla twojego dobra – mówiła mama. – Kiedyś nam za to podziękujesz.

Podziękuję? Za to, że gdy inni grali w dwa ognie na ulicy pomiędzy blokami, ja ćwiczyłam gamy na pianinie? I tak dobrze, że na pianinie. W domu był również akordeon. Na początku miałam grać na nim.



Nie miałam żadnych obowiązków, poza tym pianinem, angielskim i szkołą. Tak, szkoła była bardzo ważna. Musiałam przynosić same piątki. Gdy dostawałam jakąś z minusem, matka patrzyła na mnie wnikliwie spod przymrużonych powiek, zaciskała usta i nerwowo wystukiwała stopą sobie tylko znany rytm. Nie musiała nic mówić. Wystarczył ten wzrok. Zatem rzadko przynosiłam piątki z minusem.

– Kujon! – wołali na mnie.

Nie byłam kujonem. Nauka przychodziła mi łatwo, wystarczyło dwa razy przeczytać i już wszystko umiałam. Nie chciałam robić sobie kłopotów w domu. Raz przyniosłam trójkę. Z fizyki chyba albo z chemii. Mama nie odzywała się do mnie cały dzień. Tata siedział naburmuszony. Coś mówił o tym, że flaki sobie wypruwają, a ja niewdzięczna...

Czy byłam niewdzięczna? Nie. Tamtego dnia dużo intensywniej niż zwykle grałam na pianinie, dłużej i bardziej wytrwale ćwiczyłam gamy.

Gdy uciekałam ze szkoły, wtedy w ósmej klasie, w dniu wagarowicza, cały czas myślałam o tych zaciśniętych ustach mojej mamy, o tej stopie wygrywającej znany tylko sobie takt i o tej mojej niewdzięczności za wypruwanie sobie przez rodziców flaków. Ale chciałam poczuć, jak to jest być z kimś. Nie samej. Chciałam poczuć, jak to jest być częścią grupy. Jedną z nich. Jedną z tych, którzy roześmiani wybiegają ze szkoły.

Niestety. Nie byłam jedną z nich.

Byłam Zofią Krasnopolską, tą, która zawsze jest przygotowana do lekcji, ma odrobione zadanie domowe i występuje na akademiach. Tą, co nie ma piątek z minusem i tą, która naprawdę źle się czuje w zatęchłym pomieszczeniu pełnym dymu z tanich papierosów. Nie umiałam nagle być nimi. Anką, Krzysztofem, Grześkiem, Magdą czy Sebastianem. Między nami był mur. Mur budowany bardzo długo przez moich rodziców, którzy za wszelką cenę chcieli, bym zaszła daleko. Może dalej niż oni. Może myśleli, że grając na pianinie, wygram sobie lepsze życie?

Na razie byłam bardzo samotnym dzieckiem. Dzieckiem, które potrzebowało czułości, miłości i obecności drugiej osoby. Takiej, przy której mogło być po prostu sobą.

\*

Ucieczka z lekcji oczywiście zakończyła się konsekwencjami. Poważnymi i mniej poważnymi również. Do tych poważniejszych należał telefon do rodziców, wzrok mojej mamy i jej stopa w czarnym lakierku na płaskim obcasie, stukająca w podłogę gabinetu dyrektora.

– Musisz ponieść karę – powiedziała pani dyrektor. – Jednak nie będziesz miała obniżonego sprawowania.

Ulga.

– Nie będziesz miała również obniżonych ocen.

Ulga.

– Jednak będziesz musiała wykonywać prace społeczne.

Zmarszczyłam brwi. Prace społeczne wiązały się zwykle ze sprzątaniami śmieci na boisku szkolnym i grabieniem liści. Zawsze najslabszy osobnik w klasie odwał robotę za wszystkich, a reszta, siedząc na trawie, obrzucała go drwiącymi spojrzeniami. Czy muszę wspominać, kto w mojej klasie był najslabszym psychicznie osobnikiem?

– Myślałam o sprzątanii boiska – powiedziała pani dyrektor. – Ale jedna z wieloletnich przyjaciółek szkoły skrzyła nogę. Myślę, że mogłabyś jej pomóc od czasu do czasu. Będziesz codziennie zanosić obiad ze stołówki szkolnej, zrobisz zakupy, trochę ogarniesz.

Po raz kolejny odetchnęłam z ulgą. Będę mogła robić coś samodzielnie. Może życie w grupie nie było dla mnie? Może niepotrzebnie tak chciałam się dopasować?

Mogłam chodzić do starszej pani, rozmawiać z nią, robić zakupy. Bylebym nie musiała udawać w gronie rówieśników kogoś, kim nie byłam. Do końca szkoły podstawowej zostało mi kilka miesięcy. Potem szłam zupełnie gdzieś indziej. Do liceum, do którego nikt z mojej klasy nie miał zamiaru iść. Nie mogłam się doczekać nowego życia, które rysowało się na mapie mojej przyszłości. Miałam wrażenie, że mogę zacząć od nowa. Od zera. W nowej szkole nikt przecież nie wiedział, jaka jestem. Mogłam być kimkolwiek chciałam. Mogłam grać kogoś innego albo pozostać sobą. Bo lubiłam chodzić własną, dobrze mi znaną drogą, mimo że czasem z niej zbaczałam. A pomaganie starszej pani było bardziej „po drodze” niż zmiatanie chodnika z rówieśnikami, którzy nie zauważali mojego istnienia.

\*

Pani Stefania Pilch okazała się jedną z najważniejszych osób, które spotkałam w życiu. Pojawiła się w moim świecie, kiedy naprawdę bardzo tego potrzebowałam. Teraz sobie myślę, że lubiła przebywać w towarzystwie młodych ludzi. Potrzebowałyśmy siebie nawzajem. I wcale nie dlatego, że pani Stefania ze skrzyconą nogą czuła się niesprawna. Dawała sobie doskonale radę, ale, tak jak ja, była bardzo samotna. I zawsze potem mówiła, że tamtego dnia, gdy stanęłam na progu jej domu, trzymając w ręku termos z obiadem, poczuła się, jakby zapukało do niej szczęście. I że miała nadzieję, że to szczęście już nigdy jej nie opuści. Wtedy jeszcze tego nie wiedziałam.

\*

Pani Stefania była po sześćdziesiątce, mieszkała tuż obok mnie, w wielkim,

długim bloku, który ze względu na swój kształt zwany był falowcem. Falowiec powstał w latach siedemdziesiątych jako przejściowe rozwiązanie problemów mieszkaniowych. Jak wiadomo, wszystkie tymczasowe rozwiązania okazują się najbardziej trwale – ten długi, pofalowany blok stoi po dziś dzień.

Ja mieszkałam w czteropiętrowym bloku naprzeciwko pani Stefanii. Falowiec zasłaniał mi cały świat. Zamiast widoków mogłam podziwiać życie tysiąca osób, które co chwilę wychodziły na swoje balkony. Balkonu pani Stefanii nie widziałam. Był tuż nad cepelią znajdującą się w przejściu pod falowcem, tam, gdzie rosła wielka wierzba płacząca, co roku bardzo brzydko i zbyt krótko podcinana przez pracowników zieleni miejskiej.

Mieszkanie pani Stefanii miało dwa pokoje i znajdowało się na dziewiątym piętrze. Widok z balkonu ukazywał cały Gdańsk. Do mieszkania wchodziło się z galerii – otwartego korytarza przypominającego balkon.

Wtedy to chyba jeszcze była ulica Lumumby. Potem zmieniono nazwę na Jagiellońską. Kiedyś nawet pytałam ojca, czym i komu zaszkodził biedny Lumumba, że został pozbawiony ulicy swojego imienia, ale dowiedziałam się tylko, że to jakiś czarnoskóry komunista. Nieważne, nie wnikałam w jego biografię. Ważne, że przy ulicy jego imienia znajdowało się mieszkanie, do którego chodziłam z wielką przyjemnością przez ponad dziesięć lat mojego życia.

Pamiętam, jak wchodziłam do tego wielkiego budynku. Ciemna klatka schodowa, a na dole mała klatka z napisem „Wypożyczalnia kaset video”. Teraz tylko uśmiecham się na to wspomnienie. Jednak w moich myślach wciąż są te piracko przegrywane kasety, które zaczęłam wypożyczać, gdy tata wreszcie kupił odtwarzacz. Pamiętam również, jak ukrywałam mój niezmiennie ukochany film *Dirty Dancing*, bo ktoś niefortunnie przetłumaczył jego tytuł jako *Wirujący seks*. Gdyby moi rodzice zobaczyli u mnie film o takim wyuzdanym tytule, nie skończyłoby się to dobrze. Pewnie odtwarzacz wyleciałby przez okno, a ja wraz z nim. Chociaż może nie. Tata by mnie wziął na rozmowę. Och, jak ja nienawidziłam tych rozmów.

Słowa: „Zofio, chodź tu do mnie” nigdy nie wróżyły nic dobrego. Gdy mój ojciec uważał, że zachowałam się niewłaściwie, zapraszał mnie „na rozmowę” do swojego pokoju. Tak bardzo zazdrościłam wtedy dzieciom, które po prostu dostają klapsa, czy nawet dwa, i mają problem z głową. Ja często musiałam wysłuchiwać dwugodzinnej tyrady na temat niestosowności mojego zachowania. Oglądanie *Wirującego seksu* z pewnością było niestosowne. Tym bardziej oglądanie go kilka razy na miesiąc, wygrywanie na pianinie *She's like the wind* zamiast koncertu fortepianowego Chopina i nauka kroków mambo w nocy, gdy powinnam już spać.

\*

Pierwszy raz do pani Stefanii poszłam tuż po lekcjach w jeden z kwietniowych poniedziałków. Bałam się. Życzliwe koleżanki doniosły mi, że

u takiej starej baby z pewnością śmierdzi i nie będę mogła wytrzymać. Przecież one wielokrotnie bywały u „takich starych bab”. Również nosiły tam obiady. Moje koleżanki zawsze były przekonane, że one to się lepiej urządzają w życiu.

Zajrzałam do karteczki z adresem. Klatka I. Stałam właśnie pod jej drzwiami. Otworzyłam ciężkie drzwi. Na dziewiąte piętro wbiegłam dość szybko. Trochę nieporęcznie było mi z tą zupą w olbrzymiej kance, ale wolałam nie korzystać z windy. Zatrzymywała się co dwa piętra i naprawdę nie chciałam się denerwować, że stanie gdzieś pośrodku, w ciemności. Koleżanki, które mieszkały w falowcu, często opowiadały, że musiały być wyciągane przez małą szparkę, bo winda akurat zdecydowała się nie jechać dalej.

Zasapana stanęłam przed drzwiami. Najpierw zadzwoniłam domofonem przed wejściem na galerię. Otworzono mi bez pytania „kto tam?”. Weszłam. Trzecie drzwi były uchylone. Wyglądała zza nich uśmiechnięta kobieta. Inaczej wyobrażałam sobie tę „staruszkę”, której miałam pomagać. Czekala na mnie szczupła, średniego wzrostu, na oko sześćdziesięcioletnia kobieta. Miała półdługie, jasne, prawie białe włosy założone za uszy, a na nosie okulary w złotej oprawce. Przez ich szkła zobaczyłam duże, niebieskie, śmiejące się do mnie oczy.

– Dzień dobry. – Uśmiechnęłam się nieśmiało. – Nazywam się Zofia Krasnopolska i przyniosłam pani zupę – powiedziałam po prostu.

– Dziękuję. Wejdz. – Kobieta zaprosiła mnie do środka.

Weszłam do jasnego mieszkania o rozkładzie typowym dla wielu mieszkań w tym bloku. Po lewej stronie mała kuchnia, dalej jeszcze mniejsza łazienka i dwa dość duże, długie pokoje, wyglądające na kompletnie nieustawne. Pachniało wanilią i czekoladą. Najwyraźniej pani Stefania coś piekła. Nie wyglądała na osobę, która potrzebuje pomocy. Lekko utykała na jedną nogę, ale mimo to sprawiała wrażenie, jakby to ona mogła się zająć całym światem.

– Też się Trudzia uparła, że ja nie jestem w stanie sama nic ugotować. – Pokręciła głową. – A w tej stołówce mają takie niedoprawione. Więcej z tym roboty, niż jakbym sama zrobiła. Ale jak to się mówi? Darowanemu koniowi się w zęby nie zagłada. Toteż nie zaglądam. Doprawię zupę i sobie zjemy.

– Ale to dla pani. Nie dla mnie – próbowałam tłumaczyć.

– Zjemy zupę, a potem murzynka. – Była nieugięta. – Upiekłam specjalnie dla ciebie. Rzadko mnie ktoś odwiedza. Bardzo jestem szczęśliwa, że chciałaś przyjść.

Nie wyprowadziłam pani Stefanii z błędu, że to nie ja chciałam przyjść, a kazano mi ją odwiedzić. Gdy usiadłam przy jej stole, poczułam, że naprawdę chciałam to zrobić.

Pamiętam to pierwsze spotkanie. Rozmawiałyśmy długo. O wszystkim i o niczym. Grałam jej na pianinie ze słuchu wszystkie piosenki z *Dirty Dancing*. Obiecałam, że przyniosę kasetę i go wspólnie obejrzymy. Byłam bardzo

zaskoczona, że ktoś mnie słucha. Że ktoś interesuje się nie tylko tym, czy odrobiłam lekcje oraz czy ćwiczyłam gamy na pianinie. Cieszyło mnie to, że dla kogoś wreszcie jestem na tyle interesującym człowiekiem, że chce mu się ze mną rozmawiać. Dla piętnastoletniej dziewczyny, którą wtedy byłam, było to bardzo ważne.

Gdy dzisiaj myślę o pani Stefanii, uśmiecham się. Wspominam tę drobną kobietę z ogromnym sercem i wielką duszą. Kiedy myślę o moich życiowych wyborach, wiem, że za każdym z nich stoi właśnie ona. Nigdy nie narzucała mi niczego, ale umiała zadawać właściwe pytania. Odpowiedź na nie często poszerzała moje horyzonty i otwierała oczy na świat.

Pani Stefania bardzo szybko zauważyła, że jestem uzdolniona artystycznie. Rodzice odkryli moje muzyczne talenty, o innych nie wiedziałam. Nie pamiętam, co było impulsem do tego, że pierwszy raz zaczęłyśmy coś robić wspólnie. Była skarbnicą pomysłów. Miała skrzynię pełną skarbów. Tuż pod oknem stał wielki dębowy kufer, w którym trzymała włóczki, tkaniny, dzianiny, równo zwinięte wstążki i przepiękne koronki.

Nauczyła mnie robić na drutach, na szydełku. Haftowałyśmy, szyłyśmy. Nawet wspólnie uszyłyśmy sukienkę na moją studniówkę.

– A jaką byś chciała? – zapytała mnie.

– Pani Stefanio, ja mam ją wymyśloną. Ja ją widzę, ale nie ma takiej nigdzie!

– A dobrze patrzyłaś?

– Byłam w kilku sklepach. Na Świętojańskiej w Gdyni, w centrum Gdańska.

Już odechciało mi się chodzić i szukać.

– Narysuj ją – powiedziała.

– Nie mam zaczarowanego ołówka. – Uśmiechnęłam się.

– A właśnie, że masz! Masz talent. Uszyjemy!

– Pani Stefanio, ale ja nie umiem tak szyć!

– Wspólnymi siłami damy radę! – Podreptała do drugiego pokoju i przyniosła blok rysunkowy. – Rysuj. A potem będziemy się zastanawiać.

\*

Pracowałam nad tym projektem kilka dni. Pani Stefania krzywiła się, marudziła, wytykała błędy, ale też chwaliła ciekawe rozwiązania. Potem pojechaliśmy tramwajem do Wrzeszcza wybrać właściwy materiał. Nie mogłam się doczekać, kiedy zacznę szyć. Błyszczący ciemny granat. Trochę koronki, którą wyciągnęliśmy z jej czarodziejskiego kufra, trochę szyfonu. Moja sukienka miała być najpiękniejsza!

\*

Radość popsuła mi moja mama. Często jej się to zdarzało. Gdy wróciłam pewnego dnia od pani Stefanii (sukienka była już skrojona), mama zapytała mnie, czy mam sukienkę na studniówkę.

– Zupełnie o tym zapomnieliśmy! – powiedziała, jednym okiem czytając jakąś naukową książkę, a drugim zerkając na mnie. Odkąd pamiętałam, miała podzieloną uwagę.

– Ja nie zapomniałam. – Uśmiechnęłam się.

Wyciągnęłam rysunek, który nosiłam przy sobie od tygodnia.

– Co to jest? – Spojrzała zaciekawiona wprost na rysunek.

– Moja sukienka – odpowiedziałam.

– No, widzę, że na razie jest to rysunek sukienki. A kto ci ją uszyje?

– Sama.

– Ale córeczko – powiedziała zatroskana. – Ty nigdy nie uszyjesz takiej sukienki!

Od razu zrobiło mi się przykro.

– Mamo, już zaczęłam.

– No nie wiem. – Skrzywiła się. – Żebyśmy potem na ostatnią minutę nie musiały chodzić do sklepu po coś właściwego.

Obiecałam sobie wtedy, że moja sukienka będzie najpiękniejsza na świecie. Przyrzekłam, że zadowolę wszystkich. Mamę, panią Stefanię, moje wszystkie koleżanki, a na końcu siebie. Tak też było. Moja mama sama była zaskoczona. Nie pochwaliła mnie zanadto, ale wiele razy słyszałam, jak przez telefon chwaliła się swoim koleżankom:

– I wyobrazasz sobie, Joasiu, Zosia sama uszyła sobie sukienkę. Piękną! Góra taka koronkowa, dopasowana, a dół szyfonowy. Wygląda jak od najlepszej krawcowej. – Śmiała się. – Nie, krawcową to ona nie będzie! – Chwila przerwy. – Na co się wybiera? No cóż, na co mogłaby się wybrać córka lekarzy. Na medycynę. Chociaż przebąkuje coś o architekturze, chodzi na te swoje rysunki, ale



poczekamy, aż się jej znudzą.

\*

Mama nie mogła przeboleć tego, że zdecydowałam się zdawać na architekturę. Tacie było chyba wszystko jedno, jednak ona chciała, żebym kultywowała rodzinną tradycję lekarską.

Niestety. Godziny rozmów z panią Stefanią na temat tego, co chciałabym robić w przyszłości, zaowocowały tym, że złożyłam papiery na politechnikę. Na medycynę też. Dla świętego spokoju. Tylko po to, by jak najdłużej odkładać rozmowę na temat studiów. Wcale nie miałam zamiaru iść na egzamin. Nie lubiłam przegrywać.

Pani Stefania załatwiła mi korepetycje z rysunku, historii sztuki. Była najbardziej wdzięcznym materiałem do portretowania.

– No dobra, portret już mamy. Co jeszcze musisz ćwiczyć?

– Jeszcze martwa.

– O, nie, kochana – powiedziała groźnie – Ja jestem całkiem żywa.

Roześmiałam się.

– I oby jak najdłużej!

– Oby!

Miałam wrażenie, że pani Stefania zawsze będzie w moim świecie. Tak też jest. Zostało po niej pełno portretów rysowanych ołówkiem, węglem, malowanych akwarelami i olejem. Niektóre oprawione w ramki, a inne schowane w wielkiej granatowej teczce.

Na egzamin na medycynę w ogóle nie poszłam. Dostałam się na architekturę z całkiem niezłą lokatą. Mama ucieszyła się umiarkowanie, tata jak zawsze też, ale potem, podczas rozmowy telefonicznej mamy z przyjaciółką, znowu usłyszałam:

– Była najlepsza, Joanno. Zobacz, co to za wszechstronnie uzdolnione dziecko. – Chwila przerwy. – Tak, na medycynę też się dostała, ale cóż, ja jej nie będę mówiła, co ma robić. Wybrała sama.

Uśmiechnęłam się. „Wszechstronnie uzdolnione dziecko”. Nie zdawałam na medycynę, nawet się do tego nie przygotowywałam. Mama jednak musiała zrealizować swoje własne marzenia i plany. Nieważne, że tylko w rozmowach z koleżankami. Cały czas żyła w nieco wyimaginowanym świecie. Chciała mnie widzieć taką, jaką sobie mnie wyobraziła, a nie taką, jaką byłam w istocie.

\*

Tamtego dnia, gdy dowiedziałam się, że dostałam się na architekturę, pierwszy raz w życiu piłam prawdziwego szampana.

– Trzymałam go na specjalne okazje – powiedziała pani Stefania.

– Nie szkoda go na dziś?

– Dziecko drogie, a czy to nie wystarczająca okazja? – zapytała. – Kawał dobrej roboty. Wielkie gratulacje! Otwórz.

Otworzyłam z głośnym hukiem. Roześmiałyśmy się. Zamiast naszej cotygodniowej kawy piłyśmy szampana z kryształowych kieliszków.

– I jak ci smakuje? – zapytała pani Stefania.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Prawdę mówiąc, nie czułam różnicy między zwykłym winem musującym pitym ostatnio w sylwestra.

– Bardzo dobry – powiedziałam grzecznie.

Pani Stefania wzięła kieliszek w dłoń.

– Najbardziej cieszy oczekiwanie. Nie to, że już zanurzasz usta w tym drogim napoju. Najpiękniejszy moment to ten tuż przed. Tuż przed tym, jak zdecydujesz się po niego sięgnąć. – Spojrzała na mnie. – Tak jest ze wszystkim. Najpiękniejszy jest moment czekania na coś cudownego. Nie należy tego odwlekać, ale należy się zastanowić, czy czasem nie wydłużyć sobie tego cudnego momentu. – Zamyśliła się. – Byle nie za długo!

\*

Wielokrotnie w życiu przekonałam się, że słowa pani Stefanii mają duże znaczenie. Często czekanie na coś, co ma się wydarzyć, niesie ze sobą więcej emocji niż samo wydarzenie, które może nawet okazać się rozczarowaniem.

Z panią Stefanią przeżyłam wszystkie ważne dla mnie chwile. Zawsze wspólnie. Oczywiście najpierw szłam do rodziców, zdawałam im relacje z moich sukcesów w prostych żołnierskich słowach, czasem słuchałam potem zwierzeń mamy przez telefon, jaką to ma cudowną córkę (dlaczego mi nie mogła tego powiedzieć?), widziałam uśmiech na twarzy mojego wciąż małomównego ojca, a potem jak najszybciej biegłam do pani Stefanii, by z wypiekami na twarzy opowiedzieć jej wszystko ze szczegółami.

Gdy ją wspominam, nie pamiętam, żeby kiedykolwiek była naburmuszona lub w złym humorze. Szanowała moje zdanie i nigdy nie narzucała swojego. Nigdy też nie dawała odczuć, że moje wybory są nietrafione. No, może z wyjątkiem jednego „wyboru”. Według niej zupełnie nietrafiony był Marek. I teraz muszę jej przyznać, że miała rację.

Marka poznałam przez zupełny przypadek. Wtedy byłam pewna, że całym moim życiem rządzą wyłącznie przypadki. Teraz już tak nie myślę. Przecież musiałam podjąć decyzję, by założyć dres, włożyć słuchawki w uszy i wyjść z domu, by pobiegać. Do morza miałam niedaleko. Pobiełam wzdłuż mojego bloku, minęłam pawilony handlowe, przebiegłam przez ulicę i byłam już na łące, której ścieżki prowadziły przez las na samą plażę. Gdy tylko dotarłam do lasu, usłyszałam, że ktoś jest tuż za mną. Kątem oka zobaczyłam biegnącego mężczyznę. Tyle się słyszało o tym, że rankiem na plaży nie do końca jest bezpiecznie.

Przyspieszyłam.

Ktoś za mną również zaczął biec szybciej. Skręciłam w stronę lasu. Może niezbyt rozsądnie, ale chciałam się upewnić, czy on na pewno chce mnie dopaść i zrobić mi krzywdę, czy po prostu przypadkowy biegacz wybrał trasę podobną do mojej. Mężczyzna również skręcił. Jeszcze bardziej przyspieszyłam. Czułam, że nie mogę oddychać. Skręciłam w stronę molo w Brzeźnie. Tam powinni być jacyś ludzie, kawiarnia otwarta mimo poranka czy budka z lodami i napojami. Czułam, że muszę się zatrzymać i złapać oddech, ale mężczyzna wciąż mnie gonił.

Dotarłam w końcu do molo. Grupa niemieckich turystów robiła sobie na nim zdjęcia. Poczułam ulgę. Ciężko oddychając, zatrzymałam się tuż przy budce z napojami. Spojrzałam na zegarek. Rekord wszech czasów. Po chwili zatrzymał się obok mnie mężczyzna. Wysoki, szczupły, zasapany, ale uśmiechnięty. Spojrzałam na niego z wyrzutem.

– Ale narzuciłaś tempo! – powiedział i spojrzał na swój zegarek. A raczej na jakieś urządzenie, które liczyło mu wszystkie parametry życiowe.

– Gonisz mnie! – krzyknęłam z wyrzutem.

– Szukałem towarzystwa, chciałem po prostu pogadać.

– A ja myślałam, że pobić rekordy życiowe – powiedziałam złośliwie. – I przy okazji rekord Polski, świata czy coś... – Spojrzałam na niego wściekła. – Bo chyba już było blisko.

– Blisko – przyznał. – Nie spodziewałem się, że dzisiaj dostanę taki wycisk.

Kawy?

– Nigdy. Prędzej kąpiel w morzu.

– Niegłupi pomysł. – Uśmiechnął się. – Marek – wyciągnął dłoń.

– Zosia. – Podałam mu rękę.

– Obserwuję cię od kilku dni. Już wcześniej chciałem zagadać.

Wzruszyłam ramionami.

– Mogłeś zagadać, a nie gonić mnie w lesie.

– Zastanawiałem się, jak szybko biegasz. – Uśmiechnął się. Był ode mnie trochę starszy. Może siedem, dziesięć lat. Wtedy kończyłam studia i ktoś trzydziestopięcioletni wydawał mi się już zupełnie stary.

– Jak szybko biegam? Szybko.

– No wiem. Teraz już wiem. – Roześmiał się. – A dzisiaj planowałem tempo konwersacyjne.

– Ja też. Jutro tak pobiegnę. – Spojrzałam na niego. – O ile znowu nikt mnie nie będzie gonił.

– Jutro nie będzie – powiedział stanowczo.

\*

Cały dzień zastanawiałam się, czy jego słowa znaczyły, że jutro w ogóle nie będzie go nad morzem, czy że jutro nie będzie mnie gonił. Dzisiaj rano jeszcze mu uciekałam, a jutro już chciałam go spotkać. Ku swojemu zaskoczeniu uśmiechałam się na myśl, że mogę spędzić z nim czas następnego dnia.

Myślałam, że zimnym prysznicem zmyję z siebie te myśli. Niestety. Nie pomogło.

Następnego dnia rano również wybiegłam z domu w stronę plaży. Tak na wszelki wypadek dokładnie o tej samej porze. Miałam nadzieję spotkać go znowu. Zdecydowanie tego chciałam.

Biegłam dość szybko. Nie miałam słuchawek w uszach, bo chciałam słyszeć jego kroki tuż za mną. Są! Odwróciłam się z nadzieją. Niestety. Za mną biegł chłopak, którego dość często spotykałam na leśnych ścieżkach. Pozdrowiłam go skinieniem ręki i pobiegłam na plażę.

Marek wyrósł jak spod ziemi. Zupełnie nie wiem, jak on się znalazł tuż za

mną.

- Dzisiaj jednak kąpiel? – zapytał.
- O, cześć. – Uśmiechnęłam się. – Znowu się spotykamy?
- Mówiłem ci, że będę. Tylko obiecałem, że nie będę cię gonił.
- Racja – potwierdziłam.
- To co? Idziemy? – Wskazał głową w stronę morza i ściągnął koszulkę.
- Pływać? – zapytałam zdziwiona. – Zwariowałeś?
- No wczoraj obiecałaś.
- Ależ ja nic nie obiecywałam! – Roześmiałam się.
- Tchórzysz?
- Podpuszczasz mnie.
- Ależ skąd. – Ściągał legginsy. Miał na sobie kąpielówki.
- Ty jesteś przygotowany! – Zdziwiłam się.
- A ty nie? – zapytał.
- Nie bardzo. – Pokręciłam głową. Odsunęłam lekko legginsy. Miałam na

sobie czarne majtki.

- Czarne – powiedział.
- Podglądasz!
- Pokazujesz!

Westchnęłam.

- Boże, pierwsza randka, a ja ci już bieliznę pokazuję.
- Randka? – Uśmiechnął się.

Pokręciłam głową.

- Łapiesz mnie za słowa.
- Na pierwszej randce tylko za słowa. – Wyciągnął rękę, by zachęcić mnie

do wejścia do morza.

Westchnęłam po raz kolejny.

- Odwróć się – powiedziałam stanowczo.

Posłusznie odwrócił się do mnie tyłem.

Szybko ściągnęłam buty, skarpety, legginsy i bluzkę. Uznałam, że mój sportowy stanik śmiało może uchodzić za górę stroju kąpielowego. Pobiełam do morza. Usłyszałam śmiech Marka. Biegł za mną.

- Miałeś nie patrzeć! – krzyknęłam zanurzona po szyję w wodzie.
- W życiu nie patrzyłem! – powiedział, próbując się zanurzyć. Parskał przy tym i prycał.

- Morsem to ty nie będziesz! – zawołałam.
  - Ty jesteś stanowczo za daleko – krzyknął w moją stronę.
  - Spokojnie. Pływam tak samo dobrze, jak biegam.
- Marek w końcu się zanurzył i przyplłynął do mnie.
- Zimna! – stwierdził.

– Trochę! – przyznałam – Nie spodziewałam się, że będę dzisiaj pływać w morzu. Ale zawsze miałam ochotę to zrobić.

– A ja nigdy! – powiedział Marek.

– To dlaczego to zrobiłeś?

– Bo mnie podpuściłaś.

– Ja? – Najwyraźniej się ze mną droczył. – A kto zaczął się rozbierać i rzucać do morza? Musiałem cię ratować!

Pokręciłam głową.

– Poza tym nie mogłem dopuścić, byś się utopiła na naszej pierwszej randce.

– Randce?

– No tak powiedziałaś przecież.

– No niech ci będzie. Na pierwszej nie?

– Nie.

– To drugiej nie będzie. Jak na drugiej już pozwolisz mi się utopić! – Roześmiałam się i popłynęłam w stronę brzegu.

Wyszłam ociekająca wodą. Moja bielizna niezupełnie nadawała się do pływania, a czerwcowy poranek nie należał do najcieplejszych. Stojąc tyłem do Marka, założyłam ubranie na mokrą bieliznę.

– Przeziębisz się.

– Zaraz pobiegnę do domu.

– No tak, biegasz na tyle szybko, że powiew powietrza wysuszy ci ubranie.

– Oczywiście.

– To będzie druga? – zapytał, gdy już miałam odchodzić.

– Co „druga”?

– Randka.

Roześmiałam się.

– A nie pozwolisz mi się utopić?

– W życiu.

– Pomyślę. – Spojrzałam na niego rozbawiona. Udeptałam na piasku płaski prostokąt i patykiem napisałam swój numer telefonu. – Do zobaczenia – powiedziałam i pobiegłam w stronę domu. Nic mi nie przeszkadzało. Ani mokra bielizna, ani piasek, który miałam niemal wszędzie. Biegłam niby niesiona na skrzydłach. Miłość? Wtedy jeszcze tego nie wiedziałam. Ale czułam, że czeka mnie kilka miłych chwil. Czy gdybym miała świadomość tego, co się później zdarzy, odebrałabym telefon od niego? Teraz jestem pewna, że tak. Jednak wcześniej bywały chwile, gdy żałowałam każdej minuty naszej znajomości.

\*

Zadzwoił jeszcze tego samego dnia. Akurat byłam u pani Stefanii. Jadłyśmy obiad wspólnie jak w każdą środę. Potem jak zawsze piłyśmy kawę

z porcelanowych filiżanek i zajadałyśmy się ciastkami z kremem. Pani Stefania nie chciała nic słyszeć o diecie biegacza ani o zdrowym odżywianiu.

– Samo zdrowie – powiedziała, nakładając mi wielkie ciastko na talerzyk ze złotym brzegiem. – Bita śmietana i ciasto ptysiowe. Oczywiście gdyby to było kupne, mogłabyś nie zjeść, ale przecież sama robiłam.

Pani Stefanii się nie odmawiało. Nigdy. Znałam ją już tak długo i w dalszym ciągu nie potrafiłam jej odmówić. Zastępowała mi babcię, której nigdy nie miałam, i mamę, z którą nie mogłam znaleźć kontaktu.

– Jak już zjesz, to powiesz mi, co się takiego wydarzyło! – powiedziała, wycierając chusteczką krem z kącików ust.

– Ale co się miało wydarzyć? – zapytałam.

– Ja już swoje wiem. Tylko się zastanawiam, czy opowiesz mi wszystko po kawie czy przed kawą.

– Pani Stefanio! – powiedziałam z udawaną złością. – Przed panią to się nic nie ukryje!

– Ano nie. Wzrok może już nie ten, ale intuicję mam – potwierdziła. – Jak ma na imię? No nie rób się czerwona!

Moje policzki musiały najwyraźniej przybrać kolor buraka, bo zrobiło mi się gorąco.

– Ma...Marek – wyjąkałam.

– Ładnie. Coś więcej?

Pokręciłam głową.

– No jak to? Nic więcej? Czym się zajmuje, jak się nazywa? Ile ma lat?

– Nie wiem.

Pani Stefania nie była zadowolona. Opowiedziałam jej o naszych dwóch spotkaniach, pomijając wspólną kąpiel w Bałtyku w samej bieliźnie. Obawiałam się, że zniechęci się do Marka już na samym początku. A bardzo nie chciałam, by się tak stało.

– Zanim się zaczniesz tak uśmiechać i zanim zaczną fruwać motyle, ty się dowiedz czegoś więcej o nim.

Pokiwałam grzecznie głową.

– Za późno? – Pani Stefania uśmiechnęła się. Wzruszyłam ramionami.

– Za późno – potwierdziła. – Chodź do mnie, moje dziecko, przytulę cię, bo za chwilę ktoś inny będzie cię tulił.

Uklękałam przy niej i położyłam głowę na jej kolanach.

Pani Stefania zawsze była moją ostoją.

\*

Marek zadzwonił, gdy zbierałam się do domu. Z jakim wielkim rozrzewnieniem przypominam sobie te pierwsze rozmowy, wzajemne poznawanie

się, wyczuwanie nastrojów. To zawsze jest jak stąpanie po zamrożonej sadzawce. Nie wiadomo, którędy i w jaki sposób można iść, by trafić tam, gdzie się chce. My sami nie wiedzieliśmy wtedy, dokąd chcemy dotrzeć. Wiedziała jednak, że jego głos i samo to, że zadzwonił, wywołuje u mnie przyspieszony oddech. Może nie taki jak wtedy, gdy gonił mnie pierwszego dnia, ale z pewnością wyczuwałam szybsze bicie mojego serca.

\*

Umówiliśmy się na wieczór. Pani Stefania kręciła głową.

– Mężczyźni nie pokazują się od razu całych majtek – wymruczała.

– Ale czy ja zamierzam mu pokazywać majtki? Pani Stefanio!

Jakbym zapomniała wtedy, że moje majtki to on już widział.

– Wiesz dobrze, że nie o majtkach tu mówię. Nie wszystko od razu.

– Pani Stefciu kochana! Pani się o mnie martwi! – Ucieszyłam się.

Pani Stefania uciekła wzrokiem. Podreptała do szafy, wyjęła małe pudełeczko. Stamtąd wyciągnęła naszyjnik.

– Nie mam córki. A zawsze chciałam. Załóż to na randkę. Na szczęście. – Położyła mi na dłoni wisiorek. – To dla mnie cenna pamiątka. Dostałam go od mojej mamy. Chyba to był jej największy skarb. – Uśmiechnęła się. – Opowiadała mi, że kiedyś zaopiekowała się pewną kobietą. Nie chciała o niej zbyt dużo mówić, wiem tylko, że była to żona jakiegoś bogatego fabrykanta, który wybudował sobie willę tuż obok moich rodziców. Matka zanosila jej mleko, przetwory. Potem wybuchł wielki pożar, jej mąż chyba zginął, została bez środków do życia. Moja matka ją przygarnęła. Wiem tylko, że ojciec się wściekł i się gdzieś wyprowadził. Słaby miałam z nim kontakt. Wkrótce po tym, jak ta kobieta się do nas wprowadziła, okazało się, że jest w ciąży, tak jak moja mama. Nie znam dokładnie tej historii, wiem jedynie, że dziecko tamtej zmarło i ona z tej wielkiej rozpaczki utopiła się gdzieś w Stawach Stefańskiego. Pozostał po niej ten naszyjnik, sznur pereł i kilka drobiazgów. Mama chciała, bym wszystko po niej zabrała. To były jedyne cenne rzeczy, jakie miała. – Spojrzała na wisiorek. Pogłaskała go. – Chciałabym, by był u ciebie. Już na zawsze. Na szczęście. Dasz go potem swojej córce.

– Dziękuję. – Przytuliłam mocno starszą panią. – Nie wiem, czy dzisiaj ta randka będzie taka uroczysta... Chyba nie.

– Nieważne. Kiedyś uroczysta będzie. Założysz wtedy, gdy przyjdzie pora. Będiesz wiedziała, kiedy. Poczujesz.

\*

Nie poczułam tego tamtego wieczoru. Tym bardziej, że randka była niezobowiązująca. Kino, potem spacer. Miły pocałunek na pożegnanie. Nie



zakładałam na siebie małej czarnej i eleganckiej biżuterii. Nie założyłam jej też przez najbliższe dwa lata, kiedy spotykałam się z Markiem. Może nawet okazja była, ale nigdy nie uważałam, że jest na tyle uroczyście, by naszyjnik od pani Stefanii mógł ozdabiać moją szyję. Poczułam to dopiero kilka lat później. I to siedząc przy świecach w moim własnym domu. Wtedy miałam też na sobie pasujące do naszyjnika kolczyki. Ale o tym za chwilę.

Z każdego spotkania z Markiem wracałam coraz bardziej oszołomiona i coraz bardziej zakochana. Uznałam, że los specjalnie postawił nas na tej samej drodze. Marek był architektem, miał całkiem dobrze prosperujące biuro architektoniczne i szukał pracownika. Czy mogło być lepiej? Po kilku wspólnych wieczorach, jeszcze nieśmiałych pocałunkach skradanych sobie i coraz śmielszych pieszczotach oboje wiedzieliśmy, że chcemy spędzać ze sobą jak najwięcej czasu. Byłam pewna, że on jest mężczyzną na całe życie. Och, jak można się pomylić! Chyba nigdy nie wiemy, czy ten, którego właśnie kochamy jest na całe życie. Co gorsza, nie tylko od nas to zależy. Ale wtedy? Wtedy byłam zakochana. Zaczarował mnie bardzo. W pracy i poza pracą. Dwa tygodnie po tym jak gonił mnie w lesie, zaczęłam pracę w jego biurze. Mogłam robić uprawnienia, a przy okazji uczyć się od najlepszego. Nie miałam wątpliwości, że architekt Marek Więclawski był najlepszy. Najlepszy pod każdym względem. Ach, jaka ja byłam zakochana!

Niestety pani Stefania nie podzielała mojej miłości. Ale czy musiała?

\*

Nie musiała podzielać moich życiowych wyborów, sama dokonywała swoich. Ale ja w zasadzie nic o nich nie wiedziałam.

Jakiś czas po tym jak zaczęłam spotykać się z Markiem, powiedziała mi, że ktoś dla niej ważny ją odwiedził. Była rozentuzjasmowana. Chyba nie przywiązywałam do tego wagi. Może powinnam była dopytać? Zauroczenie

Markiem sprawiało, że w zasadzie nie potrafiłam myśleć o niczym innym niż o naszej miłości.

Potem czasem wspominała, że w weekend będzie miała gościa. Mnie to było na rękę, bo nie miałam wyrzutów sumienia, że jej nie odwiedzam. Ona nigdy tego ode mnie nie wymagała – sama czułam, że powinnam.

Dlaczego nigdy nie zapytałam, kim był ten gość? Może dlatego, że kiedyś wspomniała o dalekiej kuzynce z Warszawy, która czasem do niej przyjeżdżała, i byłam pewna, że to właśnie ona odwiedza panią Stefanię?

Nie dopytywałam.

Tak sobie myślę, że ona znała mnie doskonale, a ja o niej nie wiedziałam prawie nic.

\*

Pierwsze spotkanie dwóch najważniejszych w tamtym czasie dla mnie ludzi nie przebiegło w zbyt miłej atmosferze.

Pani Stefania podarowała mi sekretarzyk. Niewielki, stary, z ciemnobrązowego drewna, bogato rzeźbiony, z mnóstwem zakamarków. Podobno pamiętał jeszcze czasy jej matki. Przywiózł go jej ktoś spod Łodzi. Mówiła, że mebel został znaleziony u sąsiadów.

Nie rozmawialiśmy wcześniej o jej przeszłości. Wiedziałam, że pani Stefania pochodzi z Rudy Pabianickiej, ale nie sądziłam, że jeszcze cokolwiek zostało z jej rodzinnego majątku. Otóż okazało się, że został ten śliczny sekretarzyk z mnóstwem mikroskopijnych szafeczek i szufladek. Oglądałam go z przejęciem, głaskałam i zachwyciałam się.

– Jest twój – powiedziała pani Stefania. – Jestem szczęśliwa, że cieszysz się nim tak samo jak ja dawno, dawno temu. Tyle listów na nim zostało napisanych...

– Pisała pani na nim listy?

– Tak. I moja matka też. Kiedyś ci opowiem. Jak będzie trochę więcej czasu. To była bardzo zagmatwana historia i sama dowiedziałam się wszystkiego całkiem niedawno. – Westchnęła. – Poproś Marka, pomoże ci go przetransportować do ciebie. Sama nie dasz rady. A przy okazji poznam go wreszcie. – Uśmiechnęła się.

Faktycznie. Spotykałam się z Markiem już ponad pół roku, a jeszcze nie było okazji, bym przedstawiła go jednej z dwóch najbliższych mi osób.

Od razu zadzwoniłam do niego.

– Marek, dostałam prezent od pani Stefanii. Pomógłbyś mi go dzisiaj przenieść do domu? – zapytałam.

Marek nie mógł tego zrobić „dzisiaj”. Ani „jutro”, ani „za tydzień”. Ciągle coś wypadło. Pamiętam, że pierwszy raz pokłóciliśmy się właśnie o to. Trzasnęłam drzwiami, mówiąc, że jeżeli on mi nie pomoże, to załatwię sobie innego pomocnika. Wybiegł za mną z biura. Przytulił mnie w progu.

– No i pozwolisz, by na drodze do naszego szczęścia stanął jakiś stary, zdezelowany grat?

– To nie grat – powiedziałam ze złością. – To cudny, przedwojenny sekretarzyk. Z duszą!

– I milionem pasożytów – dodał z przekąsem.

– Już ci mówiłam, że sama sobie dam radę. – Wyrwałam się z jego objęć.

Poszedł jednak za mną.

– Jedziemy – powiedział, wyciągając kluczyki.

– Dokąd?

– Załatwić sprawę tego mebla. Skoro tak ci zależy.

Zależało. Pewnie, że zależało.

Pojechaliśmy do pani Stefanii. Zaparkowaliśmy pod nieco obdrapanym falowcem i skierowaliśmy swoje kroki w stronę drzwi.

– To tutaj? – zapytał zdziwiony.

– Tutaj – odpowiedziałam.

Weszliśmy do środka.

Skrzywił się na widok pomalowanej przez dzieciaki windy. Udawałam, że tego nie widzę. Zdecydowanie nie chciałam tego zobaczyć.

\*

Pani Stefania otworzyła nam z uśmiechem na twarzy. Jednak jej oczy wnikliwie obserwowały Marka. Wyczułam, że nie do końca jej się podoba.

– To gdzie ten grat, który mamy zabrać? – zapytał, siląc się na dowcip.

Pani Stefania uniosła brwi.

– Grat? – zapytała.

– No, ten stół – poprawił się Marek.

– Sekretarzyk – próbowałam ratować sytuację.

– Dziewiętnastowieczny mebel – poprawiła pani Stefania. – Bardzo dla mnie cenny. I jestem pewna, że Zosia również go doceni.

– Pani Stefanio, czy ma pani co do tego jakieś wątpliwości? – zapytałam.

– Żadnych – ucięła krótko, wyzywająco spoglądając na Marka.

Ten bez słowa złapał jedną stronę biurka, polecił mi podnieść drugą i poszedł prosto w stronę uchylonych drzwi. Gdy wyszliśmy na galerię, wróciłam do mieszkania pani Stefanii.

Nic nie mówiła.

– Pani Stefciu kochana, on nie zawsze taki jest – próbowałam tłumaczyć Marka.

Nadal nic nie mówiła, skinęła tylko głową. Przytuliła mnie i pocałowała w czubek głowy.

– Pa, kochanie. Mam nadzieję, że sekretarzyk będzie ładnie u ciebie

wyglądał.

– Mam dla niego miejsce. – Uśmiechnęłam się. – Z pewnością będzie pasował.

\*

Po wyjściu od pani Stefanii Marek milczał. Jednak, ku mojemu zaskoczeniu, nie byłam w ogóle zainteresowana jego opinią na jej temat.

Zmartwiła mnie za to opinia pani Stefanii na temat Marka. Nie wszystko mogło być idealne. Próbowałam się cieszyć prezentem, ale Marek co chwilę skutecznie psuł mi tę radość.

– Jak my to do auta włożymy? Przecież to się zaraz rozsypie. Nie prościej od razu to wyrzucić?

– Marek. Ja naprawdę mam nadzieję, że ty nie mówisz tego na serio.

Spojrzał na mnie z wyrzutem.

Jednak chyba mówił poważnie.

– Nieważne. – Pokręciłam głową. – Chcę mieć ten sekretarzyk w swoim pokoju.

– Jasne – stwierdził. – Czy ja coś mówię?

Nie mówił. Ale czasem nie trzeba mówić nic, by wszystko było wiadomo. Pani Stefania miała kobiecą intuicję. Marek nie spodobał się jej już na pierwszym spotkaniu. Na kilku kolejnych, przypadkowych lub nie, również.

\*

Nie podobało jej się to, że jestem taka zakochana. Bała się, że jeśli tak wysoko fruwać, upadek na ziemię będzie bardzo bolesny. Markowi również nie pasowała moja przyjaźń ze starszą panią.

– Ty już nie masz koleżanek? Musisz do niej chodzić? – pytał, gdy w jedną ze śród stanowczo odmówiłam spotkania się z nim, bo czekała na mnie kolacja i ciastko u pani Stefanii.

– Ależ mam. Pani Stefania jest dla mnie bardzo ważna.

– No właśnie, zupełnie tego nie rozumiem. – Wzruszył ramionami – Nie jest twoją rodziną.

– Nie jest. Ale jakby się tak zastanowić, to zrobiła dla mnie więcej niż własna matka. Gdyby nie ona, pewnie nie byłabym architektem...

– A kim?

– Nie wiem. – Pokręciłam głową. – Podążyłabym ścieżką, którą nakreślili mi rodzice. Pewnie kroiłabym zwłoki w prosektorium. Idąc ich śladem, musiałabym od tego zacząć.

– No nie jest to zbyt twórcze.

– Zdecydowanie nie. To właśnie pani Stefania odkryła moją twórczą stronę.

Marek wzruszył ramionami.

– No dobra. Idź. Zadzwoń, gdy wrócisz.

– Zadzwonię.

Zawsze dzwoniłam. Co wieczór. „Dobranoc, śpij dobrze”. A potem jeszcze kilka esemesów. Mieliśmy taki nasz codzienny rytuał. Mieszkałam z rodzicami, rzadko nocowałam poza domem. Nie to, że nie chciałam, ale Marek zbyt często mi tego nie proponował. Może był zbyt wygodny, a może nie chciał, bym zbyt poważnie zaczęła traktować nasz związek?

Jednak tamtej środy wieczór spędziłam z panią Stefanią. Ale już kolejna środa należała do Marka. Zaprosił mnie do teatru.

– Kochana pani Stefanio, akurat premiera... - tłumaczyłam się. – Nie mogłam odmówić.

Potem, w następną środę, również jej nie odwiedziłam. Już nie pamiętam, co mi wypadło. Ale teraz wiem, że Marek celowo zapewniał najwięcej atrakcji właśnie w środowe popołudnia, bo nie mógł znieść, że ktoś w moim życiu jest równie ważny jak on.

Powinnam wtedy wiedzieć, że mężczyźni tacy jak Marek przychodzą i odchodzą. Pojawiają się znienacka w środku lasu, a potem rozplývają się w nicości. A prawdziwa przyjaźń ze starszą panią, budowana przez lata, może przetrwać całe życie. Niestety nie wieczność. Zdawałam sobie sprawę, że pani Stefania nie jest już najmłodsza. W naszych rozmowach dominowały ostatnio sprawy zdrowotne. Moi rodzice używali swoich wpływów, by dostała się do najlepszych lekarzy, ale cóż – zegara biologicznego nie można cofnąć. Pani Stefania czuła się coraz gorzej.

Funkcjonowała oczywiście normalnie, w jej oczach nadal tlił się wesoły ognek, ale tabletek na nocnym stoliku wciąż przybywało, a pani Stefania coraz częściej zaczynała mówić o śmierci.

Kiedyś poprosiła, bym znalazła jej dobrego notariusza.

– Pani Stefanio, czy mogę w czymś jeszcze pomóc? – zapytałam zaskoczona.

– Nie. Daj mi tylko telefon do niego. Muszę pogadać.

Kilka dni później zapytała, czy nie pojechałabym z nią do Łodzi.

– Do Łodzi?

– Tak. Muszę coś załatwić.

– Ale co?

– Dowiesz się w swoim czasie.

Pani Stefania była bardzo tajemnicza. Nie pytałam. Uznałam, że jeśli będzie chciała, sama mi powie. Miałam do niej niczym niezmacone zaufanie i byłam pewna, że wszystkie jej kroki życiowe są doskonale przemyślane.

\*

Marka ciężko było namówić na tę Łódź.

– Ale po co do Łodzi? – Krzywił się.

– Nie wiem, Marek. Pani Stefania mnie o to poprosiła.

– Będiesz spełniać zachcianki jakiejś staruszki? Naprawdę nie masz na co czasu marnować?

Byłam na niego wściekła. Żałowałam, że go poprosiłam o pomoc. Mogłam wsiąść w pociąg, w autobus, w cokolwiek, pożyczyć samochód od taty i mogłyśmy pojechać we dwie.

– Ale ja ciebie prosiłam o pomoc, nie jego – powiedziała pani Stefania, gdy oznajmiłam jej, że Marek nas zawiezie.

– Ależ Marek zrobi to z wielką przyjemnością! – skłamałam.

\*

Niestety obie chyba wtedy zdawałyśmy sobie sprawę, że mówię nieprawdę. Jednak nie chciałam z nią jeździć autobusami czy pociągami. Miałam wrażenie, że pani Stefani coś dolega. Była coraz słabsza, sprawiała wrażenie, jakby była cała obolała. Coraz częściej z żalem przypominałam sobie, że moja najlepsza przyjaciółka nie jest już młoda. Nawet kiedyś przekonywałam moją mamę, by ją przebadala. Mama wtedy przytuliła mnie i powiedziała:

– Każdy z nas kiedyś będzie na coś cierpiał. Tak jest ten świat skonstruowany. Nadejdzie czas, że i ciebie coś będzie bolało, a wcześniej mnie i ojca.

– Nie można jej pomóc? Chociaż... na starość nie ma lekarstwa, prawda?

Mama tylko się uśmiechnęła.

Kupiłyśmy wtedy w aptece jakieś witaminy, suplementy. Nie spodziewałam się radykalnej poprawy, ale wiedziałam, że muszę dla pani Stefani zrobić wszystko. Dlatego też chciałam, by ta podróż była dla niej jak najmniej uciążliwa.

\*

Marek nie jechał do Łodzi z rozkoszą. Jechał z przymusu. Przez całą drogę nie powiedział ani słowa, za wyjątkiem ustalenia dokładnego miejsca naszej podróży. Pędził jak szalony, jakby chciał, by ta droga minęła jak najszybciej.

Odstawiliśmy panią Stefanię pod kamienicę z napisem „notariusz”.

– Pani Stefcu, ale nie robi pani nic głupiego? – zapytałam cicho, otwierając jej ciężkie, masywne drzwi do budynku.

– Dziecko. Nie zrobiłam chyba w życiu nic mądrzejszego – odpowiedziała z uśmiechem. – Reszta będzie należała do ciebie. – Zniknęła za drzwiami, by po chwili znowu zza nich wyjrzeć. – Tylko do ciebie – powtórzyła. – Będę za godzinę.

Wtedy nie zrozumiałam jej słów dosłownie. A powinnam była.

\*

Nie pamiętam dokładnie, jaka była pora roku, ale bardzo zmarzliśmy w samochodzie, czekając na panią Stefanię. Marek siedział naburmuszony. Naprawdę żałowałam, że poprosiłam go o to, by z nami pojechał.

– Może kawę jakąś ci przyniosę? – zaproponowałam.

– Nie. Piłem już dziś przecież kawę.

– Herbatę?

– Nie – uciął krótko.

– To sobie przyniosę. – Wysłałam z samochodu, opatuliłam się szalikiem i wyruszyłam w poszukiwaniu miejsca, gdzie mogłam kupić kawę na wynos. Kupiłam dwie kawy, herbatę i trzy ciastka. Wróciłam do Marka i podałam mu herbatę.

– Nie chciałem herbaty – powiedział.

– Myślałam, że zrobi ci się cieplej. – Uśmiechnęłam się. – No uśmiechnij się.

Ciastko też przyniosłam.

Zobaczyłam na twarzy Marka dziwny grymas.

– Tymi ciastkami to tylko nakruszymy w samochodzie.

– To odkurzymy – powiedziałam.

Po chwili zauważyłam, że pani Stefania wychodzi z kamienicy. Tuż za nią szedł starszy pan. Stanęli przed wejściem, chwilę rozmawiali. Mężczyzna wyciągnął rękę. Pani Stefania zawahała się przez moment. W końcu jednak zdjęła rękawiczkę i podała mu dłoń. Chwilę stali i o czymś rozmawiali. Wysłałam z samochodu, ale czułam, że nie powinnam im przeszkadzać. Gdy tylko mnie zobaczyła, kiwnęła mężczyźnie, odwróciła się od niego i skierowała swoje kroki w moim kierunku.

– Możemy jechać – powiedziała.

– Wszystko załatwione?

– Tak. W zasadzie tak – potwierdziła. – Jeszcze tylko jedna rzecz.

– Tak?

– Marku, czy możesz pojechać przez Rudę Pabianicką? Muszę odwiedzić jeden dom – zwróciła się bezpośrednio do naszego kierowcy.

– Podróż sentymentalna? – Uśmiechnęłam się.

– Tak jakby – powiedziała cicho pani Stefania.

Marek nie protestował. Wbił w GPS adres, który podała mu starsza pani, i ruszył z parkingu z piskiem opon.

\*

Kilkanaście minut później pani Stefania poprosiła, by się zatrzymał. Staliśmy pod pięknym, ale starym, bardzo zniszczonym domem tuż nieopodal lasu.

Willa była w stylu szwajcarskich pałacyków myśliwskich. Miała wiele



ozdobnych daszków i wieżyczek. Niestety niewiele zostało z dawnej świetności. Każdy mógł do niej wejść przez uchylone, najwyraźniej niedomykające się, drzwi. W brudnych, porozbijanych oknach wisiały postrzępione firanki. Na zewnątrz straszyły obdrapane ściany z obsypującym się tynkiem. Patrząc na ogród, można było się tylko domyślać jego dawnej świetności. Tuż przy drodze rosły jakieś uschnięte krzaki. Chyba róże.

– To tutaj – powiedziała. – To tutaj.

W jej oczach zobaczyłam łzy.

\*

Marek nie wchodził do środka. Stał na zewnątrz i palił papierosa. Czasem popalał. Głównie gdy był zdenerwowany. Nie wiedziałam, co teraz mogłoby go irytować, chyba tylko to, że poświęca nam swój czas, nie mając z tego najmniejszej przyjemności.

Pani Stefania uchyliła drzwi i weszła pierwsza. Natychmiast poczułyśmy zapach kurzu i wilgoci.

Przeszłyśmy ciemnym korytarzem i znalazłyśmy się w pokoju, do którego przez okno wpadał jasny promień światła. Z jednej strony stał piec kaflowy, po drugiej wielkie biurko i masywna szafa.

– Dawno tu nie byłam – powiedziała. Usiadła na starym drewnianym krześle, stojącym przy biurku. – Te meble pamiętają chyba wszystkie rodzinne sekrety. A było ich wiele. – Wstała. Dotknęła zimnego kaflowego pieca.

– Pani Stefciu, dobrze się pani czuje? – zapytałam.

– Dobrze. Tak człowiek się właśnie czuje, gdy wraca tam, gdzie być powinien.

– A dlaczego tu pani powinna być?

– Dlaczego? Kiedyś ci opowiem. To jest mój dom.

– Pani dom? – Teraz zrobiło mi się słabo. – Jak to pani dom? Od kiedy?

– Powinien być chyba od zawsze. A jest od... – Spojrzała na zegarek. – Od dwóch godzin.

– Nic nie rozumiem!

– Mężczyzna, z którym się dziś spotkałam, podarował mi ten dom.

– Podarował dom? Dlaczego?

– Miał swoje powody – ucięła krótko. – Muszę być gotowa, by ci o tym opowiedzieć. Chociaż nie wiem, czy mi życia wystarczy.

Poszłyśmy dalej w głąb domu. Drewniana podłoga bardzo skrzypiała pod naciskiem naszych stóp. Poza tym nie słychać było żadnych odgłosów. W kolejnym pokoju była najwyraźniej sypialnia. Stało w nim wielkie łóżko, po drugiej stronie drzwi znajdował się kominek, a na przeciwległej ścianie komoda z szafkami. Kolejny pokój był zupełnie pusty. W pomieszczeniu, które zapewne

było kuchnią, stała witryna z brakującymi szybkami. W największym pokoju na środku był duży okrągły stół, a wokół niego krzesła. Ściany były pomalowane na biało, ale wcześniej oklejone tapetami, widocznymi gdzieś pod farbą. Tapety te pamiętały chyba czasy dawnej świetności willi.

– Dużo pracy nas jeszcze tu czeka. – Pani Stefania pokiwała głową. – Na górę nie będę dziś wchodzić. Za dużo emocji.

Całą drogę do Gdańska milczała. Nie pytałam jej o nic. Pewnie nie chciałaby opowiadać o swoich rodzinnych sekretach w towarzystwie Marka. Rozumiałam to. Myślałam, że mam bardzo dużo czasu na poznanie tej historii.

\*

Teraz wiem już, dlaczego pani Stefania przyjęła tę darowiznę. Jednak nie od niej. Nie zdążyła opowiedzieć mi tej historii. A próbowała wielokrotnie. To ja nie miałam czasu, to ona nie czuła się na tyle dobrze, by mówić. Może uderzyła mi do głowy miłość, a raczej zauroczenie. Bardzo cieszyłam się, że nie była świadkiem tego, co nastąpiło później, chociaż pewnie obserwowała wszystko z góry. Splatała dłonie na podłokiu, kiwała głową, a jej zwykle roześmiane, niebieskie oczy stawały się na chwilę smutne.

Życie.

Pani Stefania umarła zbyt szybko. Zdarzyło się to pewnego grudniowego poranka. A dokładniej tuż po świętach. Uparła się, by iść na pasterkę.

– Dlaczego mi nie pozwalasz? – pytała. – Skąd wiesz? Może to już moja ostatnia pasterka? Żałujesz mi?

– Pani Stefanio, mróz na dworze. – Spojrzałam na termometr. – A pani chce na pasterkę wyruszać!

Pani Stefania była u nas na wieczery wigilijnej i właśnie odprowadziłam ją do domu.

– Nie chcesz, to nie idź. – Wzruszyła ramionami. – Ja do wiary nikogo nie będę zmuszać.

– Pani Stefanio, tu nie chodzi o wiarę! – Westchnęłam.

– No dobra, masz rację. Po prostu mam ochotę pośpiewać sobie kolędy.

– Kolędy możemy tutaj pośpiewać. – Usiadłam do pianina. – Zaczęłam grać *Cichą noc*.

– Kochana. Ja nie mam ochoty dzisiaj na *Cichą noc*. Ja mam ochotę, by jakiś bas stojący obok grzmotnął z całej siły *Przybieżeli do Betlejem*.

Roześmiałam się.

– Pani Stefciu. Tego argumentu nie jestem w stanie obalić. – Wyciągnęłam ciepły sweter z szafy, kazałam jej włożyć ciepłe legginsy pod spódnice, mimo że się wzbraniała i poszłyśmy do kościoła. Padał śnieg i było bardzo zimno. Pani Stefania miała zaróżowione od mrozu policzki, jak zawsze się uśmiechała, chociaż trudno było zobaczyć ten uśmiech – tak była owinięta grubym szalikiem.

Prezenterem ode mnie na Gwiazdkę.

– A tobie, dziecko, nie zimno? – zapytała.

– Nie, w porządku. Zawsze się pani troszczy o innych. Może tak o siebie pora się zatroszczyć?

– Chyba masz rację. – Pokiwała głową. – Już wkrótce. – Uśmiechnęła się.

– Pani Stefciu, co pani planuje?

– Może powrót na stare śmieci? – Zastanowiła się. – Chyba każdy chce wrócić do korzeni na stare lata.

– To znaczy? – Zaniepokoiłam się.

– To znaczy do Rudy – powiedziała spokojnie.

– Pani Stefciu! Jak to do Rudy?!

– Dom już wyremontowany. No, niezupełnie. Ale łazienka jest zrobiona, a to najważniejsze.

– Pani Stefanio! Przecież... przecież nie może pani pojechać! Nie czuła się pani ostatnio zbyt dobrze!

– Kochana. Mam tyle lat, że z pewnością nie będzie lepiej. – Uśmiechnęła się – Ty zawsze będziesz moim gościem. A jeżeli chodzi o moje mieszkanie, to przecież komu mam je dać jak nie tobie? Przecież jesteś dla mnie najważniejsza. Rozmawiałam już z notariuszem i wszystko załatwione.

Nie podobały mi się jej słowa. Z jednej strony czułam w jej głosie nadzieję na lepsze jutro, a z drugiej widziałam, jak zabezpiecza się na niepewną przyszłość. Pani Stefania chciała być gotowa na dzień, w którym Anioł Śmierci zaprosi ją do swojej krainy. Zupełnie nie byłam na to przygotowana.

Pamiętam tę satysfakcję na jej twarzy i nasz porozumiewawczy wzrok, gdy stojący obok niej brodaty młodzieniec głośno huknął: „Przybieżeli do Betlejem pasterze”.

Gdy wracałyśmy, złapała mnie pod rękę.

– Jestem usatysfakcjonowana – powiedziała.

– Śpiewem?

– Tak, ten młody człowiek śpiewał doskonale. – Uśmiechnęła się. – Dla takich chwil warto żyć. Może zdrzemniesz się u mnie, kochana? Po co masz wracać nocą do domu?

– Nie, pani Stefanio. Jutro rano mamy gości, pojutrze spotykam się z Markiem.

– Jutro nie spotykasz się z nim?

– Nie, jutro on jedzie do rodziców.

– Nie jedzicie razem?

– Nie – powiedziałam krótko.

– Kocham cię, moje dziecko – powiedziała tylko. – Wracaj bezpiecznie.

Odprowadziłam ją pod same drzwi i pobiegłam do domu w tę gwiazdzistą,

zimową noc.

\*

Następnego dnia zadzwoniłam do niej. Mówiła, że nie czuje się najlepiej i zostanie w łóżku.

– Ale czegoś pani potrzebuje?

– Kochana, wszystko mam. Przyniosłaś mi pełno jedzenia, kto to wszystko zje?

– Proszę jeść do woli. – Roześmiałam się. – Przyjdę pojutrze, to zobaczę, co zostało i pomogę – powiedziałam.

Gdy pojawiłam się w falowcu w drugi dzień świąt, pani Stefania w dalszym ciągu źle się czuła. Skarżyła się na bóle stawów i byłam pewna, że łapie ją grypa albo zaziębiła się podczas naszego wigilijnego spaceru. Byłam zła, że się dałam na to namówić.

– Wezwę lekarza – powiedziałam. – Poproszę mamę, to panią zbada.

– Wy nie róbcie sobie ze mną kłopotu. Naprawdę nie trzeba. Muszę po prostu poleżeć.

\*

Mama zbadała ją zbyt późno. Przynajmniej tak myślałam na początku. Do końca nie mogłam sobie wybaczyć, że nie zmusiłam pani Stefanii, by się zgodziła na wizytę mojej mamy w roli lekarza. Myślałam, że pani Stefania jest niezniszczalna. To ja zawsze szlochałam, rozpaczałam w jej ramionach, a ona, silna niczym skała, trwała i była zawsze.

Nie tym razem.

Pamiętam poważną minę mojej mamy i diagnozę. Diagnozę, której na początku nie miałam znać. To musiało już trwać dość długo. Nie wiem, czy nasz wieczorny spacer w wigilijną noc ten stan pogorszył. Długo myślałam, że tak. Mogłam ją wspierać, chronić. Gdybym tylko wcześniej wiedziała.

Zabrano panią Stefanię do szpitala. Wielokrotnie zadawałam sobie pytanie, czy zrobiliśmy dobrze. Może umierając w domu, byłaby szczęśliwsza? Zmarła w szpitalnym łóżku, tuż nad ranem. Ja czekałam na nią w jej domu. Gdy o świcie zadzwonił telefon, już wiedziałam, że nie doczekam się jej tutaj. Już nigdy nie powie mi: „Kocham cię, dzieciaku”, nigdy nie zobaczę tych błękitnych oczu śmiejących się za złotymi oprawkami. Nigdy nie usłyszę od niej: „Dasz radę, kochanie”.

Nie chciałam odbierać tego telefonu.

Nie chciałam mieć pewności.

Wolałam marzyć, że zadzwoni i usłyszę jej głos:

„Dzieciaku, kup jeszcze ten złoty kordonek, bo właśnie mi się skończył, kup

też ciastko jakieś dobre, bo tak się zaszydełkowałam, że doprawdy nie zdążyłam nic upiec”.

Niestety. Dzwoniła mama i beznamiętnym głosem poinformowała mnie o tym, że pani Stefania odeszła.

Nie miałam siły płakać.

Czułam, jakby świat nagle zwolnił, jakbym w ogóle straciła zdolność poruszania się. Po chwili jak robot zaczęłam mechanicznie wykonywać wszystkie obowiązki. Gdyby ktoś mnie zapytał o dni od jej śmierci do pogrzebu, nie potrafiłabym powiedzieć, co robiłam, co myślałam, gdzie byłam. Miałam wrażenie, że znajduję się w nicości, a mimo wszystko co chwilę muszę coś załatwiać i nawet nie mogę w spokoju płakać.

\*

Nie rozumiałam zupełnie, czemu tak nagle, czemu tak wcześnie. Tego wieczoru płakałam wtulona w ramiona mojej mamy.

– Ale to niesprawiedliwe, by grypa czy inne przeziębienie ją zabiło!

– Zosiu – powiedziała cicho mama. – To nie było tylko przeziębienie czy grypa. Ona była poważnie chora.

– Chora? Na co chora? Przecież tryskała zdrowiem, optymizmem! Wiedziałabym, gdyby była chora!

– Prosiła, by ci nie mówić. – Westchnęła mama. – Nie chciała cię martwić.

Patrzyłam na mamę, jakby mówiła do mnie w zupełnie nieznanym mi języku. Nic nie rozumiałam.

– Jak to była chora? Na co? – pytałam.

– Szpiczak mnogi.

Dwa słowa. Informacja, która spadła na mnie jak grom z jasnego nieba.

– Ja powinnam to wiedzieć. – Kręciłam głową.

– Też tak uważałam, kochanie. – Mama mnie przytuliła. – Jednak pani Stefania była stanowcza w tej kwestii.

Ukryłam twarz w dłoniach.

– Jak długo wiesz?

– Niedługo. Dopiero zdecydowała się przebadać. Była u mnie w szpitalu.

– Kiedy?

– Jak ty pojechałaś na ten ślub do Bydgoszczy – powiedziała. – Na początku oczywiście robiłam jakieś podstawowe badania. Nie podobały mi się, to zaczęłam drażnić.

– Gdybym wiedziała, miałabym czas się z nią pożegnać.

– Tak, ale ten wasz wspólny czas nie byłby taki radosny, jaki był. A tak, umarła szczęśliwa.

\*

Poszłam do jej mieszkania następnego dnia. Zadzwoiłam z przyzwyczajenia naszym umownym dzwonkiem. Trzy krótkie i jeden długi.

Cisza.

Nikt mi nie otworzył. Nie usłyszałam szurania jej wydeptanych kapci i nie zobaczyłam uśmiechniętych oczu.

Wyjęłam klucze z torebki i sama sobie otworzyłam. Bardzo dziwnie się czułam jak intruz. Miałam swoje klucze do jej mieszkania, ale nigdy wcześniej z nich nie korzystałam. Zawsze to ona stała w progu i mnie serdecznie witała.

Jej mieszkanie jak zawsze pachniało wanilią i czekoladą. Na stoliczku stał talerzyk z okruszkami z czekoladowego ciastka. Uśmiechnęłam się mimowolnie. Obok pustej filiżanki leżał list i koperta. Na niej długopis. Może nie powinnam czytać tego listu, ale usiadłam w fotelu i wzięłam go w dłonie.

Jak pani Stefania pięknie pisała! Taki charakter pisma teraz nieczęsto się spotyka. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, do kogo był skierowany ten list, ale najwyraźniej była to bardzo ważna osoba dla pani Stefanii. Teraz już wiem, kto był adresatem. Dla mnie też stał się bardzo ważny.

*Kochanie, chyba jednak nie jest nam pisane być razem. Jeszcze nie teraz. Nie mogę przyjechać na początku roku, bo mróz straszny, a ja tak nie lubię zimna!*

*Łamie mnie w kościach, mam bardzo słabą odporność. Od pewnego czasu nie czuję się zbyt dobrze. Nie chcę martwić Ciebie i Zosi, ale powinnam iść do szpitala ponownie gruntownie się przebadać. Potem będę wiedziała, co robić dalej. Już wstępnie rozmawiałam z Zosi mamą, jak wiesz, ona jest lekarzem, ma też wiele kontaktów, z pewnością mi pomoże.*

*Jestem bardzo słaba. Czy człowiek w moim wieku zawsze musi się tak czuć? Przecież to jest zupełnie niesprawiedliwe. Nie wierzę, że Bóg tak to urządził. Kiedy mamy dużo energii, nie mamy rozumu, który by nam podpowiadał, jak tę energię spożytkować. Gdy jesteśmy już starzy i rozum funkcjonuje dobrze, kompletnie nie starcza nam na nic siły. Czy to znaczy, że powinniśmy kierować energią młodych na właściwe tory? Chyba tak. Martwię się o Zosię. Ona chyba swoją wspaniałą energię wykorzystuje w zupełnie niewłaściwy sposób.*

*Żałuję, że nie jestem młodsza i biegła w tych cudownych nowoczesnościach. Wystukałabym ten list na klawiszach komputera Zosi i miałbyś go już za kilka sekund. Wyobrażasz to sobie? Śmieję się, bo przecież musiałbyś ten list również umieć odebrać. Może zatem poprzestańmy na tradycyjnej korespondencji.*

*Czy mógłbyś sobie kupić telefon komórkowy? Bardzo ciężko mi się z Tobą skontaktować. A wiesz, czasem potrzeba szybkiego kontaktu. Na początku też byłam przeciwna, ale Zosia mnie do tego przekonała. Kup sobie telefon, proszę.*

Stefania

Na kopercie nie było nawet imienia. Z listu wywnioskowałam, że pisała go, zanim dowiedziała się o chorobie. Albo może nie chciała martwić adresata? Nie wiem. Nie zdążyła wysłać swojej wiadomości. Nie wiedziałam, gdzie pani Stefania miała zamiar jechać na początku nowego roku. Wspominała coś o Rudzie Pabianickiej, ale nie mówiła nic o mężczyźnie, który miał tam na nią czekać. Bałam się, że ta zagadka zostanie już niewyjaśniona.

Ale to naprawdę było najmniej istotne.

Najważniejsze było to, że nigdy już nie miałam jej zobaczyć. I gdy tylko sobie to uświadomiłam, wybuchnęłam głośnym płaczem.



Po śmierci pani Stefanii długo dochodziłam do siebie. Pamiętałam, że mieszkanie miało należeć do mnie. Kiedyś o tym rozmawialiśmy. Tak też się stało. Znalazłam odręcznie napisany testament, poświadczony przez notariusza, w którym pani Stefania napisała, że dziedziczą po niej cały majątek. Mieszkanie na dziewiątym piętrze, dom w Rudzie Pabianickiej, wszystkie oszczędności. Nie mogłam w to uwierzyć.

– Jesteś bogata! – Uśmiechnął się Marek.

– Wolalabym nie być bogata, a żeby ona żyła. – Wzruszyłam ramionami.

Siedzieliśmy z Markiem w domu pani Stefanii w sylwestrowy wieczór. Ja w legginsach i zwykłej tunice, on w markowych błękitnych jeansach i śnieżnobiałej koszuli. Pół wieczoru mnie namawiał, byśmy jednak wyszli z domu. Wiem, robił to w dobrej wierze, bym się odprężyła. Ale trudno się odprężyć, gdy właśnie wróciłaś z pogrzebu swojej przyjaciółki, powierniczki, przyszywanej babci i najważniejszego dla ciebie człowieka na świecie. To nic, że ta przyjaciółka była od ciebie kilka razy starsza. Była najważniejsza.

– Marek, nie pójde na żadną imprezę – powiedziałam po raz kolejny tego wieczoru.

– A miałabyś coś przeciwko, gdybym ja poszedł? Sam? – zapytał w końcu. – Jest sylwester.

Pokręciłam głową. Naprawdę wszystko było mi obojętne. Teraz wydaje mi się to nie w porządku, że mężczyzna, w którym powinnam mieć oparcie w trudnych chwilach, po prostu mnie zostawił i poszedł tańczyć. Ale on zawsze był

zdania, że pani Stefania stoi na drodze naszemu szczęściu. Myślę, że stała raczej na drodze mojemu nieszczęściu. Ale za późno to do mnie dotarło.

Marek próbował rozmawiać ze mną na temat tego, co mam zamiar zrobić ze spadkiem.

– Sprawdziłem w Internecie. Za taką willę to można sporo dostać – powiedział.

– Marek. Ja na razie jeszcze o tym nie myślałam.

– Pomyśl. Niszczęje tylko, a przecież i tak tam nie zamieszkasz. – Wzruszył ramionami. – Chociaż i tak to rudera. Z tego, co widziałem, zaraz się rozsypie.

– Pani Stefania remontowała ten dom.

– Niby jak? Przecież tam nie jeździła. To jak miała tego wszystkiego dopilnować?

– Ktoś jej go remontował.

– Trzeba by zobaczyć – powiedział.

– Pojechałbyś tam ze mną? – zapytałam.

– Jasne! – odpowiedział bez wahania. – Przyda ci się miły weekend.

Przytuliłam się do niego. Byłam bardzo zaskoczona tym, że sam zaproponował wyjazd. Zapomniałam tylko, a może nie zdawałam sobie z tego sprawy, że Marek we wszystkim, co robił, miał jakiś interes.

Tak też było i tym razem, jednak ja, wciąż bardzo w nim zakochana, nie dostrzegałam tego.

\*

– Spędzimy cudowny weekend – powiedział kilka dni później. Zarezerwowałam apartament na Księżym Młynie. Wielkie lofty w starej fabryce. Powinno ci się podobać. Oprócz tego pozwiedzamy, pochodzimy ścieżkami przodków pani Stefanii. – Uśmiechnął się. – Albo ścieżkami jej przyjaciół. Przeniesiemy się na chwilę w inne czasy.

Miałam wrażenie, że rozmawiam z wymarzonym księciem z bajki. Nieco mi nieznanym, ale takim, jakiego chciałaby spotkać każda dziewczyna

\*

Ten weekend był wspaniałym przeżyciem. Do Łodzi zajechaliśmy późnym piątkowym wieczorem. Apartament na pierwszym piętrze pięknie odnowionego, pofabrycznego budynku czekał na nas już przygotowany. Marek pomyślał o wielu rzeczach. Na stole stał bukiet róż, szampan, kieliszki. Nawet przez chwilę podejrzewałam, że wyciągnie pierścionek i poprosi mnie o rękę, wręcz czekałam na tę chwilę. Oczywiście powiedziałabym „tak”. Jednak ta chwila nie nastąpiła. Może i dobrze? Może gdybym miała na palcu zaręczynowy pierścionek, potem czułabym się jeszcze gorzej? Na szczęście Marek nie pomyślał o tym wtedy. Poczułam

chwilowe rozczarowanie. Chyba podświadomie na to czekałam.

Miałam dwadzieścia pięć lat, skończone studia, pracowałam z Markiem, robiłam uprawnienia architekta. Na dodatek właśnie odziedziczyłam mieszkanie i dom. To był moment, w którym powinnam się zastanowić, co dalej z moim życiem. Czy wprowadzać się do mieszkania pani Stefanii, czy zacząć myśleć o wspólnej przyszłości z mężczyzną, którego kochałam.

Gdy zastanawiam się nad tym, dlaczego byłam tak zakochana w Marku, wspominam właśnie ten weekend w Łodzi. Tam był taki, w jakim się zakochałam. Czarujący, uprzejmy, romantyczny i czuły. To był cudowny czas, daleki od wszystkich problemów.

Od sobotniego poranka zwiedzaliśmy piękną, industrialną Łódź. Księży Młyn, Koci Szlak. Zajrzeliśmy na Piotrkowską. Gdy zamykałam oczy, wyobrażałam sobie ruch i gwar, który panował na tych ulicach sto lat temu. Przed południem poszliśmy do Białej Fabryki. Spędziliśmy tam sporo czasu, bo Marek musiał koniecznie poznać działanie wszelakich mechanizmów, począwszy od maszyny parowej, a kończąc na maszynach tkackich, które można było tam oglądać. Ja z zainteresowaniem oglądałam stare zdjęcia i dokumenty.

Lubiłam zastanawiać się, co tak naprawdę myśleli ci ludzie w momencie, gdy ustawiali się do fotografii. Ci mężczyźni z wąsem, te młode kobiety, a w zasadzie dziewczyny, które we współczesnych czasach wcale nie myślałyby o pracy, raczej zastanawiałyby się, co założyć na randkę albo czy zdążą nauczyć się słówek na kolejny sprawdzian z angielskiego.

Czasy się zmieniły, ludzie również. Ale czy tak naprawdę tym młodym dziewczynom nie chodziło dokładnie o to samo, o co chodzi nam współcześnie? Po prostu o to, by znaleźć szczęście ukryte gdzieś głęboko?

Każda z nich po ciężkiej pracy w fabryce wracała do domu, za kimś tęskniła, kogoś kochała. Każda z nich miała swoje życie. Ta sekunda uchwycona na zdjęciu nic nie mówiła o ich codzienności. Oczy wpatrzone w obiektyw, często bez wyrazu, nie pozwalały odgadnąć, co działo się w ich sercach. Ale jestem pewna, że każda z nich chciała kochać i być kochana. To jest niezmiennie chyba od początku świata.

Ja też najbardziej na świecie pragnęłam miłości. Od dziecka byłam przekonana, że życie w samotności nie ma większego sensu. Mimo to byłam typem samotnika. Niełatwo nawiązywałam prawdziwe przyjaźnie. Wolałam czasem zaszyć się w samotności, malować, tkąć lub robić na szydełku czy drutach. Czasem z panią Stefanią siedziałyśmy tak we dwie. Rozmawiałyśmy albo po prostu milczałyśmy w duecie. Lubiłyśmy ten wspólny czas.

Marek nie lubił leniwych wieczorów. On musiał działać, potrzebował wielu bodźców. W zasadzie cały czas był w ruchu. Ja czasem chciałam w milczeniu pozachwycać się życiem. On nie lubił ciszy. Niekiedy miałam wrażenie, że

potrzebował nieustającego hałasu, by zagłuszyć swoje myśli. Nawet zasypiał przy włączonym telewizorze czy radiu. Gdy je w środku nocy wyłączałam, przez sen mówił zawsze „ja nie śpię”.

Najbardziej szczęśliwy był w samym centrum. Centrum miasta, uwagi, życia. Żył na sto procent. Bawił się na sto procent, pracował na sto procent. Nie czekał na to, co przyniesie los. On ciągnął ten niemrawo drepzczący los za sobą. Podejmował decyzje bardzo szybko, czasem za szybko. I często nie do końca uczciwie. O czym dowiedziałam się dopiero później. Nie sądzę, że robił to celowo, myślę, że po prostu chęć czerpania z życia pełnymi garściami spowodowała, że się pogubił. Pogubił w życiowej zachłanności i marzeniach o wielkim bogactwie.

\*

Do Rudy Pabianickiej pojechaliśmy dopiero kolejnego dnia. Biały śnieg ukrył wszystkie ziemskie niedoskonałości. Przyprószone białym puchem drzewa były przepiękne. Mój stary dom wyglądał, jakbym zerkała na niego przez śnieżną, koronkową firankę.

Marek zaparkował przed domem. Szybko otworzyłam drzwi i wyskoczyłam z samochodu.

– Mój dom – powiedziała cicho. Niełatwo się wzruszałam, ale tym razem moje oczy się zaszkliły. – Mój dom. Nie wierzę.

– Twój – powiedział Marek.

– Nie mogę w to uwierzyć. – Pokręciłam głową.

Z jednej strony przepelniała mnie radość i piękna niepewność przed tym, co nieznane. A z drugiej strony żałowałam, że nie mogłam przyjechać tutaj również z panią Stefanią.

– Mam wyrzuty sumienia, że się cieszę – powiedziała cicho. – Przecież nie powinnam się cieszyć. Ten dom jest mój tylko dlatego, że jej już nie ma wśród nas. Chociaż pewnie chciałyby, bym była radosna.

Tym razem Marek wszedł ze mną do środka i wszystko dokładnie obejrzał. Faktycznie dom został wyremontowany. Ściany odmalowane, kuchnia wykafelkowana. Na szczęście kominek i piec kaflowy zostały w nienaruszonym stanie.

– Jeszcze z dwadzieścia tysięcy trzeba będzie tu włożyć. Jak nie lepiej.

– To włożę.

– Może nie warto? – zapytał.

– Dlaczego nie warto? – Zdziwiłam się.

– Może lepiej to sprzedać w takim stanie jak jest? – Otworzył szafkę pod zlewem i oglądał instalację.

– Ale ja nie chcę tego sprzedawać! – krzyknęłam.

– Jak to nie chcesz? – Zdziwił się. – A co chcesz?

– Nie wiem, nie zastanawiałam się jeszcze nad tym. – Pokręciłam głową. – Ale nie mogę tego sprzedać!

– Dlaczego nie możesz? – Marek zupełnie mnie nie rozumiał.

– Bo to miejsce było dla niej ważne – powiedziałam po prostu.

– Sentymenty? Wydawało mi się zawsze, że nie jesteś sentymentalna.

– Nie wiem czy sentymenty – mruknęłam.

Popsuł mi humor.

– Zosia. Nie złość się. Ja tylko proszę cię, byś się zastanowiła, co dla ciebie jest najlepsze.

– Wiem. Pani Stefania zawsze mówiła: „Pomnażasz dobytek swój, pomnażasz troski swoje”. – Uśmiechnęłam się. – Chyba dopiero teraz wiem, co miała na myśli. – Westchnęłam. – Może wynajmę ten dom. A może się tutaj przeprowadzę? – Spojrzałam na Marka zaczepnie.

– Przeprowadzisz? – Zdziwił się. – A robota?

– Robota nie zając. Nie ucieknę.

– No ja wiem, tylko zając to zając. – Roześmiał się. – Naprawdę rozważasz przeprowadzkę tutaj? Przecież to bardzo nierozsądne.

– A tęskniłbyś?

– No oczywiście, że bym tęsknił – potwierdził. Przytuliłam się do niego, pocałował mnie. Nagle skrzypnęły drzwi.

– Stefania? – zapytał męski głos.

Zerwałam się z sofy. W progu zobaczyłam starszego pana. Stał lekko zgarbiony i wpatrywał się w głąb pokoju.

– Nie Stefania. Zosia. – Podałam mężczyźnie rękę. – Zofia Krasnopolska.

– Andrzej Repeck. – Mocno uściśnął moją dłoń. – Stefania wiele mi o tobie opowiadała. – Uśmiechnął się. – Nie przyjechała teraz?

Zamarłam.

– Nie... Pani Stefania... Pani Stefania nie żyje...

– Jak to? Jak to Stefania nie żyje? – Spoglądał raz na mnie, raz na Marka. – Moja Stefania? Nie żyje? Przecież... Przecież wszystko miało być takie piękne. Przecież mieliśmy już budować coś razem.

Złapał się za serce. Wsparł o ścianę. Po chwili osunął się na krzesło i ukrył twarz w dłoniach. Cały czas trzymał się tam, gdzie biło jego serce. Przez chwilę najwyraźniej nie mógł zaczerpnąć powietrza.

– Stefania... Boże. Za późno. Wszystko za późno. – Kiwał głową. – Czasem życie daje nam szansę, a my za późno ją dostrzegamy. Czasem możemy dotknąć naszych marzeń, ale odwlekamy te chwile. Na potem, na za godzinę, za miesiąc. Na moment, kiedy będziemy do tego perfekcyjnie przygotowani. A czasem trzeba żyć chwilą. Łapać szczęście szybko w dłoń. Nieważne, że nie mamy na sobie fraka i sukienki balowej, drugi raz życie może nam nie dać szansy. A nasze

marzenie, które było w zasięgu ręki, może ulecieć niczym motyl. Za późno. – Wstał z krzesła. – Zajrzę kiedyś do ciebie. Pogadamy. Mieszkam kilka domów dalej. Przyjdź czasem odwiedzić starego człowieka. Teraz muszę pobyć sam.

Poszedł w stronę drzwi. Wydawał się zdecydowanie starszy niż wtedy, gdy kilka minut temu zaglądał do środka. Złe wiadomości są esencją upływającego czasu. W kilka minut może przybyć człowiekowi wiele lat. I miałam wrażenie, że informacja o śmierci pani Stefanii dodała temu człowiekowi wiele lat w kilka krótkich chwil.

– Chyba to był ten mężczyzna, do którego pisała listy – powiedziałam cicho.

– Listy?

Zapomniałam, że Marek nie wiedział nic o listach.

– Znalazłam list miłosny. Pani Stefanii do kogoś. Bez adresu, bez imienia. Przeczytałam go i schowałam do jej szpargałów. Chyba ten mężczyzna był jego adresatem.

– List miłosny? – Marek się zdziwił. – W tym wieku?

– A myślisz, że tylko młodzi mają monopol na miłość?

– Nie wiem. Może?

– Ja jestem pewna, że w każdym wieku można kochać. Nieważne czy masz lat trzydzieści, czy siedemdziesiąt. I zawsze jest tak samo.

Byłam tego pewna.

Zawsze chcesz kochać i być kochaną. Nieważne czy jesteś współczesną dwudziestopięciolatką, czy masz lat siedemdziesiąt, osiemdziesiąt, czy jako młoda dziewczyna patrzysz na świat ze starej fotografii, wiszącej na ścianie w Białej Fabryce Ludwika Geyera.

\*

Tuż po naszej podróży do Łodzi zdecydowałam się przeprowadzić do mieszkania pani Stefanii. Tym razem poprosiłam mojego ojca, by przewiózł do niej mój sekretarzyk. Nie chciałam prosić o to Marka. Pewnie nie wytrzymałby i szepnął parę słów o tym, że kiedyś woził go w dokładnie odwrotnym kierunku. Nie zrozumiałby, że ten mebel musi być zawsze przy mnie. Zwolniłam z żalem mój paniński pokój. Czułam jednak, że najwyższy czas, bym zamieszkała sama.

– Marek się do ciebie wprowadza? – zapytała tylko mama.

– Nie. Nic o tym nie wiem – powiedziałam, nie patrząc w jej stronę.

– Pokłóciliście się?

– Nie, mamo. Wszystko w porządku. Dlaczego tak myślisz?

– Nie, nic. – Pokręciła głową. – Wydawało mi się, że rzadziej się ostatnio widujecie.

– Nie, mamo. – Uśmiechnęłam się. – Jest wszystko w porządku. Może trochę więcej pracy. Marek wygrywa wciąż przetargi, jeden za drugim, ciągle pojawiają

się nowe osoby w biurze. Jest co robić.

– To dobrze. – Uśmiechnęła się. – A nie będziesz tam zbyt samotna?

– Mamo, wiesz, że ja lubię być sama.

– No tak. Ty tak jak ja. Ale to bardzo dobrze. Znaczący, że lubisz siebie.

Gdybyś siebie nie lubiła, nie chciałabyś też spędzać tylko ze sobą czasu.

Faktycznie. Mimo tego, iż nie bardzo tego chciałam, coraz częściej zdawałam sobie sprawę, że jestem podobna do mojej mamy. Mama też często sprawiała wrażenie zagubionej, niezdecydowanej, ale jednak wciąż wytrwale dążyła do postawionych sobie celów. I zawsze je osiągała. Ja pewnie też bym zrealizowała swoje plany, gdybym tylko je miała. Jak na razie jedynym planem była przeprowadzka do mieszkania pani Stefanii i zdobycie uprawnień architekta. I jedno, i drugie było w zasięgu ręki.

Do mieszkania na dziewiątym piętrze przeprowadziłam się w marcu. Oczywiście nasłuchiwałam się od Marka, że on w falowcu to w życiu nie chciałby mieszkać.

– Przecież jestem niemalże na dachu świata. – Uśmiechnęłam się. – Chyba że proponujesz mi coś innego? – zapytałam nieco prowokująco.

Oczywiście miałam na myśli jego dwupokojowe mieszkanie w nowym budynku w Oliwie.

– Masz jednak rację – zaczął się wycofywać. – Albo będziesz się kisić ze starymi, albo będziesz mieszkała tutaj.

Nie lubiłam, gdy tak nazywał moich rodziców. Zarówno oni, jak i pani Stefania, uczyli mnie szacunku do starszych.

– No widzisz. Więc nie staraj się za wszelką cenę obrzydzić mi tego mieszkania. Wkrótce będzie takie, jak chcę. No chyba, że się wprowadzę do ciebie.

– Przymrużyłam oczy.

– Do mnie? – Wydawało mi się, że zobaczyłam w jego oczach strach.

– A mam jakiegoś innego chłopaka, do którego mogłabym się wprowadzić? – zapytałam.

– No nie...

– Wyglądasz, jakbyś był zaskoczony.

– Bo jestem! – powiedział. – Nie rozmawialiśmy nigdy na ten temat.

– Żartowałam – powiedziałam cicho.

Chyba postanowiłam ratować swoją reputację. W żadnym wypadku nie



chciałam go do niczego zmuszać ani narzucać mu swojego zdania. Jednak zrobiło mi się trochę przykro. Dla Marka było tu i teraz. Żadnych wspólnych planów i wspólnej przyszłości. Aktualnie kroczyliśmy tą samą ścieżką, ale najwyraźniej nie był pewien, co los przyniesie za chwilę.

Nie wracaliśmy do tej rozmowy. Miałam wrażenie, że Marek przyjął to z ulgą. Spotykaliśmy się w zasadzie tylko u mnie. I w większości przypadków wtedy, gdy Marek miał na to ochotę. W biurze prawie się nie widywaliśmy. Jego firma prosperowała coraz lepiej, miał dużo drobnych zleceń i kilka bardzo dużych, wynajął pomieszczenia w niewielkim biurowcu, ale sam najczęściej pracował w domu. Teraz sobie myślę, że dziwna była ta nasza miłość. A może nie wiedziałam wtedy, czym jest miłość? Bo skąd miałam wiedzieć? Miłość w wykonaniu moich rodziców polegała na tym, że siedząc przy dwóch krańcach stołu, zawaleni papierami, odzywali się do siebie półsłówkami. Polegała na tym, że na zmianę jedno i drugie robiło dolewkę kawy. Pili tylko kawę po turecku, w takich starych, pamiętających jeszcze czasy PRL-u szklankach. Aby sobie nie poparzyć rąk, zakładali na te szklanki szydełkowe koszyki. Te same, które zrobiłam im, gdy miałam piętnaście lat. To była z pewnością większa miłość niż ta nasza – raz w tygodniu na starej kanapie pani Stefanii.

\*

Całe wakacje ciężko pracowałam. Do Rudy Pabianickiej pojechałam tylko raz. Chciałam odszukać mężczyznę, który odwiedził nas zimą, gdy byliśmy w moim domu. Pożyczyłam samochód od taty i wyjechałam bardzo wcześnie. Nie chciałam tam nocować. Marek tym razem ze mną nie pojechał. Był przemęczony.

– Pojadę sama. Ty sobie odpocznij – powiedziałam. – Za dużo pracujesz.

Faktycznie. Był bardzo zmęczony. Czasem gdy zostawał u mnie na noc, zasypiał tuż po tym, jak przyłożył głowę do poduszki. Nie robiłam mu wyrzutów. Nie bardzo orientowałam się teraz we wszystkich zleceniach, jakie na siebie brał, bo stwierdził, że za dobra jestem na bycie jego asystentką i zatrudnił Patrycję. Perfekcyjną w każdym calu. Jak miało się okazać później – dosłownie w każdym.

Do Rudy zawitałam w piękne kwietniowe popołudnie. W moim ogrodzie nieśmiało zaczęły kwitnąć narcyzy. Najbardziej lubiłam te całkiem białe z żółtym środkiem. Tych było najwięcej. Nikt chyba nie sadił ich zeszłej jesieni, musiały zostać po poprzednich lokatorach.

Widok kwiatów cieszył oko. Wydawało mi się nawet, że willa jest w lepszym stanie, niż gdy widziałam ją ostatnio. Weszłam do środka. Niestety nic się nie zmieniło. Ale powinnam wiedzieć, że samo się nie robi. Uznałam jednak, że to nie był właściwy czas na robienie porządków. Tym razem nie po to przyjechałam.

Opuściłam willę i poszłam w górę drogą wzdłuż lasu. Po chwili po lewej

stronie zobaczyłam niewielki dom. Przed nim, na małej drewnianej ławeczce, siedział mężczyzna, którego poznałam zimą. Obok chodziły dwie kury i skubały coś, co im rzucał.

– Dzień dobry, panie Andrzeju! – zawołałam z daleka.

Mężczyzna wstał z ławki. Przez chwilę zastanawiał się, kim jestem, jednak gdy już sobie przypomniał, uśmiechnął się.

– Panna Zofia! Od Stefanii! – Najwyraźniej się ucieszył.

– Tak, to ja. Poznaje mnie pan!

– No jakże nie miałbym pani poznać! Sąsiadki mojej!

– Taka daleka sąsiadka. – Uśmiechnęłam się. – Panie Andrzeju. – Usiadłam tuż przy nim. – Bo ja mam wyrzuty sumienia.

– Ale to dlaczego? Po co sumienie drażnić?

– Wtedy nie poszłam do pana, nie wyjaśniłam pewnych spraw. A chyba mam coś, co do pana powinno należeć.

Pan Andrzej zdziwiony podniósł brwi.

– Do mnie? Ależ do mnie już nic nie należy oprócz tego małego domku i kilku kur, z którymi się całkiem zaprzyjaźniłem.

Wyciągnęłam z kieszeni złożony list.

– Czy korespondował pan z panią Stefanią? – zapytałam. Po sposobie, w jaki patrzył na kremową kartkę, umiałam przewidzieć odpowiedź. – Proszę. To do pana. – Podałam mu list.

Przez chwilę trzymał go w spracowanej dłoni, po czym rozłożył kartkę. Zmrużył oczy, a potem wyjął okulary z przedniej kieszeni koszuli.

Włożył je i zaczął czytać. Spod szkieł spłynęły łzy.

– Czasem w życiu tak jest, że dopiero po śmierci możesz związać swoje losy z kim chcesz. Wierzę jednak, że stało się tak w jakimś celu. W jakim, to jeszcze nie wiem. Ale naprawdę mam nadzieję, że to stało się po coś.

Położyłam swoją dłoń na jego dłoni.

– Kochałem ją. Tak bardzo ją kochałem. Ale dopiero całkiem niedawno dowiedziałem się, że miałem prawo ją kochać. Nie jak siostrę, ale jak kobietę. Zbyt długo zwlekaliśmy. W pewnym wieku trzeba bardzo skracać wszelakie amory. Bo nie ma czasu, nie ma czasu... – Zamyślił się i spojrzał na drogę. Akurat przebiegał jakiś mężczyzna z wielkim psem.

– Dobry, dobry, panie Andrzeju! – zawołał. – Potrzeba czegoś?

– A te małe białe mi się kończą! Ale na dzisiaj jeszcze mam!

– Załatwię! – powiedział mężczyzna, skinął ręką i pobiegł dalej.

– Widzisz, kochane dziecko. Teraz to tylko pigułki mi zostały. I te kury, których nawet nie mogę zjeść.

– Dlaczego?

– Przecież nie będę z przyjaciółek rosołu robił. – Wzruszył ramionami. –

Poumierają ze starości. – Sypnął ziarenkami na trawę. – Jak ludzie. Jedna już umarła. Balbina. Pewnie smutno im bez przyjaciółki. Chociaż mówią, że dwie baby się dogadają zawsze lepiej niż trzy. Może tak też i jest z kurami. Każda jest jedyna w swoim rodzaju, ma swoje cechy charakteru, upodobania i zwyczaje. I co potem, jak ten rosół będę jadł. Będę wiedział, że to z Malwiny? Nie mogę. Wolę kupić mięso w supermarkecie. Ale takie mięso, które już jak kura nie wygląda.

\*

Rozmawiałam wtedy z panem Andrzejem chyba godzinę. Poprosiłam go, by pilnował mojego domu, obiecałam, że w najbliższym czasie z pewnością go nie sprzedam, a nawet jeśli, to on będzie wiedział o tym pierwszy. Musiałam wracać do Gdańska, chociaż wcale nie miałam na to ochoty.

– Tam teraz tak pięknie kwitną kwiaty. Szkoda je zostawiać. – Uśmiechnęłam się.

– Pięknie, prawda? – powiedział pan Andrzej. – Andrzej posadził. Andrzej ma rękę do kwiatów.

Zreflektowałam się, że mówi o sobie.

– Na jesieni?

– Tak. Chciałem, by Stefania miała ładnie na wiosnę. Ona tak kochała wiosenne kwiaty.

– Pewnie obserwuje z góry i też się cieszy – powiedziałam.

– Tak sądzisz, moje dziecko? – Pokręcił głową. – Ja myślę, że gdyby On istniał, inaczej by poukladał ten cały świat. Nie pozwoliłby na wiele rzeczy. A czasem by mógł przecież spowodować, że ręka człowiekowi uschnie, zanim co złego się zrobi. Nie wierzę, że On istnieje. Stefania wierzyła. Kłóciliśmy się o to często. Chociaż teraz wolałbym, by istniał. Wolałbym, by cokolwiek istniało po tym życiu, przynajmniej byłaby nadzieja, że się spotkam z nią jeszcze. I że jeszcze kilka listów do siebie napiszemy.

– Jestem pewna, że jeszcze się zobaczycie – powiedziałam.

Pożegnałam się z panem Andrzejem i poszłam w kierunku domu.

– Zosiu! – zawołał. – Jestem pewien, że Go nie ma!

Zatrzymałam się.

– Moi przodkowie bardzo nabroili w swoim życiu. Powinienem pokutować za ich grzechy. A spotkało mnie szczęście. Pokochała mnie. Gdyby On istniał, z pewnością nie zaplanowałby dla mnie takiej nagrody.

– Panie Andrzeju...

– Chyba że On tak specjalnie. – Spojrzał na kurę. – Jak nie miałem kur, było mi nawet dobrze. Nie wiedziałem co to znaczy „mieć kury”. Ale teraz je mam. Gdyby ktoś mi je nagle zabrał, poczułbym się bardzo samotny.

Chyba coś w tym było. Czy lepiej kochać i nagle tę miłość stracić, czy nigdy

w życiu nie zaznać prawdziwego uczucia?

Zastanawiałam się nad tym całą drogę do domu.

\*

Tamtego lata nie pojechaliśmy z Markiem na żadne wakacje. Uczyłam się i pracowałam.

Zależało mi, by w grudniu podejść do egzaminu na uprawnienia. Oczywiście zdałam go śpiewająco.

– Co teraz? – zapytałam Marka, gdy leżeliśmy w moim łóżku i świętowaliśmy mój sukces.

– Teraz będę mówił do ciebie pani architekt. – Uśmiechnął się.

– To bardzo miłe, panie architekcie.

– Wyrobię ci pieczętkę – postanowił.

– To jest najważniejsze. – Zrobiłam bardzo poważną minę.

– Najważniejsze – potwierdził.

– A co będę stemplować? – zapytałam.

– Wszystko – powiedział, rozbierając mnie powoli. – Gratulacje, mała. Jestem z ciebie dumny, dokładnie tak samo, jak wtedy gdy uciekałaś przede mną nad morzem. – Pocałował mnie w szyję.

Marek nigdy nie mówił, że był z kogoś dumny. Nigdy nikogo nie chwalił. Był szefem, który lubił sam postawić ostatnią kropkę nawet na najmniej istotnym dokumencie wychodzącym z firmy. Trudno się z nim pracowało. I chyba równie niełatwo żyło. Ale czy nasz związek był wspólnym życiem? Niekoniecznie.

Gdy leżeliśmy w łóżku, spleceni ze sobą, zapytał nagle:

– A może chciałabyś teraz pracować na własną rękę?

– Ale jak to na własną? – Usiadłam na łóżku.

– Założyć własną działalność, własne biuro...

– Wyrzucasz mnie z roboty? – Zdziwiłam się.

– Nie, no co ty – zaprzeczył. – Ale może to poszerzyłoby twoje horyzonty?

Poczułam się niepewnie. Próbował mi tłumaczyć, dlaczego takie rozwiązanie byłoby dla mnie dobre, ale żadne argumenty nie brzmiały przekonująco.

– Może porozmawiamy o tym innym razem. – Uśmiechnęłam się. – Dziś wypiliśmy zbyt dużo szampana.

– Jasne. Pomyśl tylko – zaproponował.

Nie wracaliśmy już potem do tej rozmowy. Przypomniałam ją sobie trochę później. Wtedy też po raz kolejny nabrałam przekonania, że każda propozycja czy sugestia Marka była przemyślana. Wszystkie decyzje, które podejmował w życiu, podejmował w sobie dobrze znanym celu. I zawsze ten cel realizował. Nie zastanawiając się, kogo i w jakim stanie zostawia po drodze. Po trupach do celu. Nie było mu to obce.

\*

Następnego dnia mój zawodowy sukces świętowałam z rodzicami. Oni też byli dumni. Tata stwierdził, że chyba już dorosłam do samochodu i podarował mi swoje kilkuletnie volvo, którym i tak coraz częściej jeździłam.

– Lubię go bardzo. Ale ja nie potrzebuję samochodu. Lubię chodzić, dla zdrowia to zawsze lepsze niż wożenie tyłka.

– Bernardzie! – zbeształa go mama.

– No, a co? Gorsze? Sama piszesz artykuły na ten temat.

Mama się roześmiała.

– Chodziło mi o...

– O tyłek! – powiedziałam.

Mama westchnęła zrezygnowana.

– No, o tyłek.

– No właśnie. Jak będzie trzeba nas wozić, to przecież mamy córkę. – Uśmiechnął się. – Po coś ją sobie zrobiliśmy!

– Bernardzie!

– No co? Przecież tym razem nie mówiłem nic o tyłku.

Mama westchnęła. Tata się uśmiechnął. Najwyraźniej moi rodzice wraz z wiekiem robili się coraz bardziej przyjaźnie nastawieni do świata. A może po prostu zaczęłam to dostrzegać dopiero, gdy byłam dorosła?

Samochód dał mi przede wszystkim wolność. Nie czułam się od nikogo zależna. Mogłam w każdym momencie, o każdej porze dnia i nocy, wsiąść za kierownicę i pojechać wszędzie, gdzie się da dojechać. Takie też miałam plany. Święta tamtego roku spędziliśmy w gronie rodzinnym, a na sylwestra mieliśmy z Markiem wyruszyć w góry. Jechali sami znajomi, kilka osób z firmy. Doborowe towarzystwo. Dzień przed planowanym wyjazdem obudziłam się z gorączką prawie czterdziestu stopni. Ledwo miałam siłę sięgnąć po telefon.

– Marek. Nie jestem w stanie jechać – powiedziałam.

– Co się dzieje?

– Chyba grypa. Fatalnie się czuję i mam gorączkę.

– No to nie jedziemy – oświadczył.

– Musisz jechać. Przecież to ty jesteś głównym organizatorem tego wszystkiego.

– No, a co z tobą? – zapytał.

– Ja na nic nie mam ochoty, oprócz spania. To będzie chyba pierwszy sylwester w dorosłym życiu, który z powodu grypy spędzę pod kołdrą. I zasnę przed północą.

– Potrzebujesz czegoś? Leków? Jedzenia?

– Chyba wszystko mam.

– A może cię przetransportować do rodziców?

– To nie byłoby głupie – powiedziałam resztką sił.

\*

Przyjechał wtedy do mnie z całą siatką mandarynek, pomarańczy i cytryn, sokami, herbatą z lipy i miodem. Usiadł na łóżku i spojrzął zatroskany.

– Myślałem, że będę cię przekonywał, byś pojechała – powiedział. – Ale jak tak na ciebie patrzę, zastanawiam się, czy powinienem cię zostawiać.

– Marek, spoko. Nie psuj sobie sylwestra.

Pamiętałam ubiegłoroczny sylwester, gdy opłakiwałam panią Stefanię. Też nigdzie się nie bawiliśmy.

– Ale sam mam pojechać?

– Sam nie jedziesz. Jedzie mnóstwo ludzi. Sami znajomi. Będzie fajnie. – Przekonywałam go. – Wrócisz, a ja już będę na chodzie.

– No nie wiem. – Zawahał się.

– To kawałek drogi, zapytaj, może kogoś przygarniesz do samochodu. Może dziewczyny nie mają z kim jechać?

– Jakie dziewczyny?

– No Patrycja i Ala z sekretariatu.

– Nie wiem, może faktycznie zapytam. – Poglaskał mnie po dłoni. – Z tobą jak z dzieckiem. Nie można nic zaplanować. – Uśmiechnął się.

– Przepraszam. – Westchnęłam. – Sama pokrzyżowałam sobie plany, ale tobie nie chcę ich popsuć. Dzwonź do dziewczyn i bawcie się dobrze.

\*

Nie spodziewałam się, że przez namawianie Marka na wspólną podróż z dziewczynami jeszcze bardziej pokrzyżuję sobie plany. Tym razem życiowe. Miałam się o tym przekonać tuż przed walentynkami, które, jak można się domyślić, spędziliśmy już oddzielnie.

Pożegnaliśmy się tamtego dnia przed sylwestrem, Marek odwiózł mnie do rodziców, zapakował do łóżka, posiedział chwilę i pojechał do domu. Oczywiście wielokrotnie pytał, czy naprawdę nie mam nic przeciwko temu, że jedzie beze mnie, przecież wróci dopiero za pięć dni i z pewnością będę za nim tęsknić.

Nawet podobała mi się jego wylewność. Rzadko bywał taki troskliwy.

– Nie całuję cię na pożegnanie. – Uśmiechnęłam się. – Bo cię w Zakopanem grypa dopadnie.

Podniósł do ust moją rękę i ją pocałował.

– Wracam za kilka dni – powiedział. – Będę dzwonił – obiecał.

Grypa położyła mnie do łóżka właśnie na te kilka dni. W zasadzie jego nieobecność szybko minęła, prawie w okamgnieniu. Cały czas spałam, a mama dogadzała mi to kompotem z malin, to syropem z cebuli i czosnku. Oczywiście wolałam to pierwsze. Marek dzwonił codziennie. Chyba. Nie pamiętam za bardzo naszych rozmów, bo gorączka trzymała mnie bardzo długo.

\*

W końcu wrócił. Z powrotem byłam u siebie. Najlepiej czułam się we własnym domu. Zaskakujące, jak szybko przywykłam do tego, że mieszkanie pani Stefanii należy do mnie. Może dlatego, że w moim starym pokoju nie było już moich mebli i, zamiast ścian pomalowanych na beżowo, była tapeta w kwiatki?

- Wreszcie jesteś. – Przytuliłam się do niego. – Jak było?
- Gdybyś była ze mną, mógłbym powiedzieć, że fantastycznie. – Przytulił mnie. – A tak tylko powiem, że całkiem fajnie.
- Czuję lekką satysfakcję, gdy to słyszę – powiedziałam z uśmiechem.
- Domyślam się.
- Masz jakieś zdjęcia?
- Niewiele. Na stok nie zabierałem telefonu, tym bardziej aparatu. Jeździłem całymi dniami.
- Czarne szlaki twoje?
- Jak zawsze!
- Ktoś z tobą jeździł?
- Tak, Patrycja. Czy wiesz, że ona jeździ na nartach od trzeciego roku życia? Robi to świetnie.

– Ja nie jeżdżę wcale. – Zasmuciłam się. – Ale jeszcze będzie okazja!

– Z pewnością. – Uśmiechnął się.

Tamtej nocy został ze mną. Do rana. Czułam się już w miarę dobrze, więc naprawdę starałam się mu pokazać, że miał za kim i za czym tęsknić. I to chyba był mój błąd.

\*

Nie zauważyłam nic. Podobno kobiety mają intuicję, trzecie oko i tak dalej. Podobno wiedzą. Są też inne. Takie, które dają sobie rękę uciąć za uczciwość swojego partnera. Ja należałam do tych drugich. Całe szczęście, że nikt nie proponował mi ucinania sobie czegokolwiek, bo zostałabym inwalidką.

Jednak czasem kobiety są bardzo, bardzo naiwne i nie dostrzegają żadnych sygnałów nadchodzącego kataklizmu. Po prostu nie chcą ich zobaczyć. Chcą żyć w wyimaginowanym bajkowym świecie, z jedną księżniczką i jednym księciem. W świecie, w którym nie pojawia się ropucha, którą królewicz całuje z nadzieją, że pocałunek przemieni ją w królową. W moim świecie ropucha zjawiła się pod postacią Patrycji. Tylko, że ja o niczym nie wiedziałam. Nie wiedziałam o ich wspólnych chwilach sam na sam w biurze, nie wiedziałam również, że w momencie, gdy ja drżącymi rękami rozpakowywałam test ciążowy, oni akurat uprawiali swój ulubiony sport. I naprawdę nie była to jazda na nartach.

\*



Czy muszę mówić, jaki był wynik testu? Chyba nie. W małym, białym okienku różowiły się dwie grube kreski. Tego zupełnie się nie spodziewałam. Oczywiście mama zawsze mi mówiła, że jeżeli para jest ze sobą przez kilka lat, uprawia seks i nie ma wpadki, to powinna się natychmiast przebadać.

Z nami najwyraźniej było wszystko w porządku.

Czy się ucieszyłam? Nie wiem. Byłam bardzo zaskoczona. Nie wyobrażałam siebie w roli mamy, nie widziałam Marka jako ojca. Miliony myśli przebiegały przez moją głowę, a w uszach wciąż brzmiało pytanie: „co teraz?”.

Wpatrywałam się w te dwie kreski i nagle uśmiechnęłam się do siebie. Przecież nic złego się nie stało. A w zasadzie spotkało nas coś dobrego. Jesteśmy dorośli, mamy świetną pracę. Mamy dwa mieszkania i dom pod Łodzią. Kochamy się. Czy mogłoby być lepiej? Przecież i tak w końcu sformalizowalibyśmy nasz związek. To była kwestia czasu.

Zastanawiałam się, jak powiedzieć o tym Markowi. Moje koleżanki pisały liściki, kupowały małe ubranka, ofiarowywały miniaturowe trampki, które pakowały w śliczne kartoniki. Mój Marek nie lubił niespodzianek. Znałam go i wiedziałam, że twardo stąpa po ziemi i pewne rzeczy trzeba powiedzieć mu wprost. Wybrałam jego numer.

– Dzień dobry, mówi Marek Więclawski, po usłyszeniu sygnału zostaw wiadomość.

Rozłączyłam się. Nie chciałam informować go o ważnych zmianach życiowych za pomocą automatycznej sekretarki. Wstałam z fotela i wyszłam na balkon. Zimowe słońce świeciło dokładnie tak samo jak poprzedniego dnia. Dziwne, prawda? Wszystko wyglądało zupełnie tak samo, a moje życie tak bardzo się zmieniło.

Wybrałam ponownie numer.

– Zosia, oddzwonię. Nie mogę teraz gadać – powiedział szybko. Zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, przerwał połączenie.

Pewnie miał spotkanie. Nie chciałam dzwonić do mamy. Chciałam, by Marek dowiedział się pierwszy. Oczywiście mamę poinformuję jako drugą, przecież trzeba wybrać lekarza. Ale mnie czekają zmiany. Uśmiechałam się na samą myśl.

\*

Marek zadzwonił dwie godziny później.

– Cześć – powiedziałam radośnie. – Możesz teraz chwilę porozmawiać? – zapytałam.

– No słucham – powiedział nieco oschle. Najwyraźniej nie był w dobrym humorze.

– A jesteś sam teraz?

Usłyszałam jakieś głosy w tle.

– Nie jesteś. To może ja później zadzwonię? Bo... Chciałam ci o czymś powiedzieć.

– No... Ja w zasadzie też chciałem ci o czymś powiedzieć!

– To kto pierwszy? Ja czy ty? – Droczyłam się, ale jednocześnie nie mogłam się doczekać, kiedy on się o tym dowie. Nie wiedziałam, jaka będzie jego reakcja. Znałam go i nie sądziłam, że przybiegnie do mnie nagle z bukietem róż, ale byłam pewna, że się ucieszy.

– Zosia – powiedział cicho. – Może jednak będzie lepiej, jak do ciebie przyjadę. Będę za godzinę.

– Stało się coś? – zapytałam.

Nie odpowiedział. Nie zdziwiło mnie to, bo często zabiegany rozłączał się bez pożegnania.

\*

Nie mogłam się powstrzymać. Zapakowałam test ciążowy w papier do prezentów. Owinęłam srebrną wstążeczką. Zdawałam sobie sprawę, że pewnie będę musiała mu wytłumaczyć, co oznaczają dwie kreski, bo skąd miałby wiedzieć, ale nie mogłam doczekać się jego reakcji.

Przyszedł po godzinie. Powitałam go z uśmiechem. Wszedł do pokoju, nawet nie powiesił kurtki w przedpokoju. Zdjął ją i trzymał na kolanach.

– Coś się stało? – zapytałam.

Marek przygryzł wargi.

– Coś w pracy? Masz jakieś kłopoty? – Usiadłam przy nim i złapałam go za rękę.

Jak ma jakieś problemy, to może nie powinnam mu mówić? A może tą informacją mogłabym mu poprawić humor?

Ale najpierw powinnam wiedzieć, o co chodzi.

Marek zabrał rękę spod mojej dłoni. Wstał i zaczął chodzić w tę i w tę. Jego zabłocone buty zostawiały mokre ślady na parkiecie.

– Nie chciałem ci tego mówić przez telefon – powiedział w końcu. – Bo szanuję cię.

Spojrzałam na niego zdziwiona. O czym on mówi?

– Od pewnego czasu nam się nie układało – stwierdził nagle. – Pewnie sama to zauważyłaś.

Patrzyłam na niego jak na zupełnie obcego człowieka. W ogóle nie wiedziałam, o czym on mówi.

– Marek?

– Daj mi skończyć, kocha... Zosiu – przejęczył się. – Zobacz, nawet na

sylwestra pojechałem sam.

– Marek, ja wtedy byłem chora!

– Tak, tak. Ale jeszcze kilka innych rzeczy.

– Jakich rzeczy? Kochanie, może to chwilowy kryzys, może po prostu potrzebujesz odpoczynku? Nie wiem, wyjedźmy gdzieś razem.

Marek patrzył w podłogę i nic nie mówił.

– Marek. – Wzięłam głęboki oddech. – Jest ktoś inny?

Bałam się tej odpowiedzi. Miałam nadzieję, że zaprzeczy, że roześmieje mi się prosto w twarz. Byłam pewna, że powie, że mówię jakieś bzdury. Niestety. Nic takiego nie powiedział. Po chwili ciszy szepnął cicho:

– Tak. Jest ktoś inny.

Zamurowało mnie. Ścisnęłam w dłoni to małe pudełeczko zawinięte w papier w serduszka i zastanawiałam się, czy ta cała sytuacja nie jest jakimś złym snem, z którego się kiedyś obudzę. Co miałam mu powiedzieć? „Nieważne, kochanie, że nie chcesz być ze mną, ale sorry, musisz, bo będziemy mieli dziecko”? Przecież nic nie musiał. Nic. Był wolnym człowiekiem, robił, co chciał. A dziecko? Cóż. Nie ja pierwsza i nie ostatnia mogłam być samotną matką.

– Od kiedy to trwa? – zapytałam cicho.

– Od sylwestra – przyznał.

– Od sylwestra? I nic nie powiedziałaś?

– Zbierałem się.

Nie zauważyłam. Nie zauważyłam, że się zbierał. To, że spotykał się z nią, nie przeszkadzało mu mówić, że mnie kocha, sypiać ze mną... Zdecydowanie nie chciał ponosić konsekwencji tego wszystkiego.

– Znam ją?

– Znasz. – Nieśmiało kiwnął głową.

– Kto to?

– Patrycja – powiedział.

Tego się nie spodziewałam. Ale przecież sama wpełchnęłam mu ją do samochodu, gdy wyruszał w góry. Pani Stefania zawsze mówiła, że do mężczyzn trzeba mieć ograniczone zaufanie. „Jak nie będzie miał tortu, to nie zeżre. A jak będzie miał ich dziesięć, zawsze jest ryzyko, że na jakiś się skusi”.

– A ty co chciałaś mi powiedzieć? – zapytał nagle. – To samo?

– Tak. To samo – powiedziałam, patrząc mu prosto w oczy.

– Ale ulga, co? – Uśmiechnął się.

– No. Ulga – potwierdziłam.

Również uśmiechnęłam się na siłę. Wykrzywione w sztucznym uśmiechu usta niemalże bolały.

Potem jeszcze mówił jakieś bzdury o tym, że zawsze mogę na niego liczyć, że będziemy przyjaciółmi i że dziękuje mi za kawałek wspólnego, cudownego

życia. Nie bardzo mogłam się skupić na jego słowach. Chciałam, by jak najszybciej wyszedł z mojego domu.

Dlaczego nie powiedziałam mu o tym, że jestem w ciąży? Nie wiem. To nie był właściwy moment. Może faktycznie było to egoistyczne z mojej strony, przecież mężczyzna powinien wiedzieć, że będzie ojcem, nawet jeżeli nie chce już dzielić życia z matką swojego dziecka. Jednak nie byłam w stanie mu tego powiedzieć. Gdy wyszedł, usiadłam w fotelu. Tym, który zwykle zajmowała pani Stefcia. Zrobiłam sobie herbatę w jej filiżance, rozerwałam prezentowe opakowanie testu i jeszcze raz na niego spojrzałam.

Po Marku zostały wspomnienia, dwie kreski na teście ciążowym i ślady zabłoconych butów na podłodze.

Spojrzałam na zdjęcie pani Stefanii z młodości. Uśmiechała się do mnie. Jej oczy były w skali szarości, ale ja doskonale pamiętałam ich barwę.

– A nie mówiłaś – szepnęłam. – A nie mówiłaś. – Pokręciłam głową. – Od początku wiedziałaś, że nic z tego dobrego nie będzie. – Spojrzałam na test ciążowy. – A może nie miałaś racji? Może to jest właśnie to, po co miałam z nim być? Mówiłaś, że każdy na naszej drodze pojawia się w określonym celu. Może to właśnie dlatego?

Byłam psychicznie wykończona. Nie miałam siły na rozmowę z moimi rodzicami tego dnia. Przebrałam się w piżamę, mimo że dochodziła dopiero dziewiętnasta, wyłączyłam telefon i położyłam się do łóżka. Zawsze tak reagowałam na stres. Chciałam przespać wszystkie złe chwile i obudzić się rano, gdy wszystko będzie dobrze. Jakby podczas nocy dobre wróżki rozwiązywały wszystkie nasze problemy i rano pozwalały zaczynać od zera.

Niestety tak nie było. Rano musiałam zmierzyć się z rzeczywistością.

– Jestem w ciąży – powiedziałam od razu, gdy następnego dnia przekroczyłam próg domu rodzinnego, a właściwie próg kuchni rodziców.

Moja mama klepała właśnie kotlety na sobotni obiad, a tata wstawiał wodę na kawę.

Natychmiast przerwali wszystkie wykonywane czynności. Miałam wrażenie, że te życiowe również, z oddychaniem włącznie. Przez chwilę wydawało mi się, że ktoś zatrzymał film w samym środku akcji.

– No to gratulujemy! – zawołał w końcu tata.

Mamie wypadł tłuczek z rąk.

– Spokojnie, Krystyno – stwierdził tata. – Większość z nas w końcu staje się dziadkami i naprawdę nie jest to najgorsze, co się może nam w życiu przytrafić – żartował.

– Nie jest – powiedziałam szybko.

Mama wyczuła, że nie jestem w najlepszym humorze.

– Coś się złego dzieje? – zapytała rzeczowo.

Nic nie odpowiedziałam.

– Zostaw te kotlety – zdecydował tata. – Zrobię kawę, to pogadamy. Tobie też słabą zrobię. Nie zaszkodzi.

Poszłyśmy z mamą do pokoju.

– Byłaś u lekarza? Coś nie gra? – pytała zdenerwowana.

– Mamo, to jeszcze za wcześnie. Jeszcze nic nie wiem – powiedziałam. – Tylko... Tylko rozstałam się z Markiem.

– Jak to rozstałaś się z Markiem? – zapytał tata, który właśnie wszedł do

pokoju.

– Po prostu. Rozstałam się. A w zasadzie to on się ze mną rozstał – przyznałam.

– Jak się dowiedział o dziecku? – Mama naląła kawy do filiżanek. – Stchórzył, jak się dowiedział?

– Nie dowiedział się.

– Jak to „nie dowiedział się”? – Tata się zdziwił.

– Po prostu. Chciałam mu powiedzieć o ciąży dokładnie w tym samym czasie, kiedy on chciał mnie poinformować o swojej nowej miłości.

– A to drań! – Wymusnęło się tacie.

– Bernardzie!

– Krysiu, mogłabyś mnie strofować, gdybym nazwał go dokładnie tak, jak o nim pomyślałam. A się powstrzymałam, chociaż nie wiem na jak długo.

– W sumie masz rację. – Mama westchnęła. – Właściwie to myślę o nim podobnie. I pierwszy raz w życiu żałuję, że mam za mały zasób takiego słownictwa.

– Pójdiesz do Poniatowskiego. Jest najlepszy – zwrócił się do mnie tata.

– Chodzę do niego od lat. – Wzruszyłam ramionami.

– Właśnie – zgodziła się mama. – On dobrze ci poprowadzi ciążę. A resztą się nie martw. My ci pomożemy we wszystkim. – Przytuliła mnie. – Pamiętaj, że z naszą rodziną wychodzi się fatalnie na zdjęciach, ale inne sprawy załatwiamy całkiem sprawnie.

– Mama wychodzi fatalnie na zdjęciach, córeczko. My jesteśmy bardzo fotogeniczni.

– Bernardzie!

– Już nic nie powiem. Za to zadzwonię do Poniatowskiego, może ma wolny termin.

\*

Pan doktor Poniatowski przyjął mnie jeszcze tego samego dnia. Musiałam bardzo protestować, by moja mama z ojcem nie weszli ze mną do gabinetu.

Ósmy tydzień ciąży. Z dzieckiem było wszystko w porządku, serce biło tak, jak być powinno (według mnie stanowczo za szybko, co zasugerowałam lekarzowi). Zobaczyłam nawet plamę na USG, którą pan doktor przedstawił mi jako mojego potomka. Musiałam uwierzyć na słowo, bo, mimo kreatywności, trudno było mi ujrzeć w tym moje dziecko.

Rodzice jak na szpilkach czekali w poczekalni. Wolałabym nie przychodzić z taką obstawą, ale oni najwyraźniej uznali, że muszą wspierać mnie we wszystkim, co postanowię. I pomagać na każdym kroku.

– Wszystko dobrze. – Uśmiechnęłam się.

– To najważniejsze. – Tata odetchnął. – Teraz możemy już na spokojnie zastanowić się nad dalszymi sprawami.

Od lekarza dostałam zwolnienie. Nie protestowałam, gdy to zaproponował. Powiedział, że dmucha na zimne. Całe szczęście. Nie wyobrażałam sobie powrotu do pracy. Na każdym kroku spotykałabym tam Patrycję i byłabym narażona na porozumiewawcze spojrzenia współpracowników. Nie byłam w najlepszej kondycji psychicznej i uznałam, że zwolnienie będzie jedynym dobrem, które mogłoby mnie spotkać w tej całej sytuacji.

– To ty teraz się do nas wprowadź – zasugerowała mama. – Potrzebujesz opieki!

– Mamo. Dam sobie radę – powiedziałam. – Muszę stanąć na nogi. Sama.

– Musisz – przyznała mi rację. – Ale pamiętaj, że jesteśmy. Zawsze.

– O każdej porze – dodał tata.

Uśmiechnęłam się. Jakie to cudowne, gdy masz w życiu kogoś, na kogo zawsze możesz liczyć. Gdy masz rodzinę, przyjaciół, których drzwi są zawsze dla ciebie otwarte. Gdy znasz taki numer, pod który zadzwonisz w środku nocy i ktoś odbierze.

Ja miałam to szczęście. Moi rodzice – w dzieciństwie może zbyt surowi – zawsze byli gotowi, by spieszyć mi z pomocą. Wcześniej tego nie dostrzegałam.

\*

Dni mijały, a ja nie mogłam sobie znaleźć miejsca. Marek zadzwonił tylko raz.

– Dobrze, że załatwiłaś sobie zwolnienie – powiedział. – Nie pomyślałem, że może nam teraz być niezręcznie pracować razem. Jak trochę emocje ochłoną, wrócisz.

– Poszukam innej pracy – powiedziałam.

– Na spokojnie, kocha... Zosiu – przejęzyczył się. Jednak stare przyzwyczajenia są głęboko zakorzenione.

– Na spokojnie – potwierdziłam.

O dziwo, byłam bardzo spokojna. Stwierdziłam, że skoro mam tyle wolnego czasu, może warto byłoby się zainteresować domem w Rudzie. Zresztą czułam, że to będzie dla mnie dobre miejsce w tej sytuacji. Musiałam w swoim życiu coś zmienić. Jakby tych zmian było mi za mało! Zadzwoniłam do lekarza, czy mogę jechać na małe wakacje.

– O ile nie będziesz uprawiała sportów ekstremalnych, to oczywiście – powiedział.

Nie planowałam żadnych ekscesów. Chociaż remont starego domu pod Łodzią wydawał mi się wystarczająco ekstremalny. Byłam jednak przyzwyczajona nawet do niesprzyjających warunków, które spotykałam podczas wakacyjnych

wypraw, i wiedziałam, że sobie poradzę. A jak mi się spodoba, może tam będzie mój dom?

\*

Rodzice nie byli zbyt zadowoleni z mojego pomysłu.

– Na ile ty tam jedziesz?

– Nie wiem. Na tydzień? Na dwa?

– Żeby z tego tygodnia nie zrobiło się całe życie. – Mama miała chyba jakiś szósty zmysł.

– Dlaczego? – zapytałam. – Tam też jest ładnie.

– Przyjedziemy, zobaczymy – powiedział tata. – Chyba zaczynam żałować, że ci dałem samochód. Taka przez to strasznie dorosła i samodzielna się zrobiłaś.

\*

Nie czułam się dorosła. Samodzielna również nie. Czułam się małym zagubionym dzieckiem, które za bardzo nie wie, co ma w życiu robić. Euforia spowodowana planami wyjazdu do mojego domu mieszała się z wielkim strachem przed nieznanym. Pakując się do wielkiej walizki, byłam pewna, że chcę jechać, natychmiast, ale gdy widziałam spakowane bagaże w przedpokoju, miałam wrażenie, że to wszystko jest bez sensu.

Bez sensu była śmierć pani Stefanii, bez sensu była moja znajomość z Markiem. Bałam się myśleć, że moja ciąża jest bez sensu, bo przecież powinnam się cieszyć, że będę miała dziecko. Niestety, nie cieszyłam się. Nawet już przyzwyczaiłam się, że zostanę mamą, ale nie chciałam, by moje dziecko było wychowywane bez ojca. A wszystko na to wskazywało. Nie sądziłam, że nagle Marek porzuci Patrycję i stwierdzi, że chce z nami dzielić życie. Czy gdyby tak zrobił, przyjąłabym go z otwartymi ramionami? Pewnie tak. Czy umiałabym wybaczyć? Nie wiem. Może za czterdzieści lat wypomniałabym mu tę zdradę. Ale czy przez te wszystkie lata byłby mi wierny? Nie wiem.

Byłam pewna, że sama dam sobie radę. Zdawałam sobie sprawę, że będzie mi ciężko, że będą gorsze i lepsze chwile. Znowu zaczęłam mieć wątpliwości, czy moja decyzja o wyjeździe jest słuszna. Ale miałam gdzie wracać. Miałam w Gdańsku mieszkanie, które na mnie czekało, miałam rodziców, którzy staną za mną murem. Wzięłam z lodówki wszystkie rzeczy, które mogły się popsuć i zapakowałam je w reklamówkę. Wysłałam z domu i zamknęłam za sobą drzwi.

Po chwili przypominałam sobie jeszcze o czymś. Wróciłam. Usiadłam na krześle i policzyłam cicho do dziesięciu, wspominając słowa pani Stefanii, że gdy się wychodzi, to absolutnie nie można zawracać, gdy się czegoś zapomniało. A jeżeli już, to trzeba wrócić, usiąść na chwilę i policzyć. Tak też zrobiłam. Wzięłam z komody zdjęcie pani Stefanii z młodości i ponownie wysłałam na



zewnątrz. Miałam dziwne wrażenie, że nieprędko tutaj znowu przyjadę.

\*

Do Rudy Pabianickiej dojechałam dość szybko. Samochód mojego taty, a w zasadzie już mój, był wymarzonym kompanem na wszelakie wyjazdy. Miał duży bagażnik, był bezpieczny i szybki. Niczego więcej nie było mi potrzebna.

Zatrzymałam się po drodze na kawę. Czułam się jak mała dziewczynka, która po raz pierwszy w życiu wyjeżdża sama na wakacje. I jeszcze do końca nie wie, czy powinna się cieszyć, czy nie.

Gdy zostało mi dwadzieścia kilometrów do domu pani Stefanii (jeszcze nie przyzwyczałam się do tego, że to mój dom) samochód zaczął się dziwnie zachowywać. Jakby zupełnie bez mojej wiedzy chciał skręcić w lewo. Ktoś z naprzeciwka mrugnął mi światłami. Ktoś mnie ostrzega przed policją? Nie jechałam za szybko, światła też miałam włączone. Po chwili zatrzymałam się na stacji benzynowej. Wyszłam z samochodu i zakląłam. Mama nie byłaby ze mnie zadowolona.

Oczywiście sto lat temu uczono mnie, jak zmienia się koło w samochodzie, ale zupełnie tego nie pamiętałam. Zresztą czy ja miałam w ogóle jakieś koło zapasowe? Boże, chyba w każdym samochodzie jest koło zapasowe. Ale gdzie?

Otworzyłam bagażnik. Wypadła mi z niego reklamówka z jabłkami. Rozsypały się po ulicy.

– Proszę. – Zauważyłam obok mężczyznę, który podniósł jabłka z ziemi.

– Dziękuję bardzo. – Westchnęłam.

– Widzę kłopoty? – Wskazał na moją oponę.

– No właśnie. – Wzruszyłam ramionami. – Kompletnie nie wiem, jak się mam za to zabrać.

Mężczyzna się uśmiechnął.

– Pomogę. Tylko to wszystko trzeba wyjąć z bagażnika. Mam nadzieję, że ma pani tam koło zapasowe.

Pokręciłam bezradnie głową, czym najwyraźniej rozbawiłam mężczyznę.

– Nie mam pojęcia – powiedziałam.

– Damy radę. Przenieśmy wszystko na tylne siedzenia. – Otworzył tylne drzwi i zaczął przepakowywać moje bagaże. Po chwili dostał się do koła zapasowego.

– No i jest. – Ucieszył się. – Zmienię je i pojedzie pani dalej. Daleko ma pani jeszcze?

– Nie, niedaleko. – Pokręciłam głową. – Dwadzieścia kilometrów. Jadę do Rudy Pabianickiej.

– O! Do Rudy! Też tam mieszkam! – Mężczyzna zdjął kurtkę, podwinął rękawy. Wyjął z bagażnika koło. – Dojazdówkę widzę.

– To znaczy? – zapytałam.  
– Ma węższą oponę. Nie powinno się tego koła zakładać na przód, a my mamy flaka na przodzie. – Zaczął odkręcać tylne koło.  
– Ale tu nie ma flaka! – zaprotestowałam.  
– No nie ma. Tylne, normalne koło przełożę tam gdzie flak, a z tyłu założę dojazdowe.  
Spojrzałam na mężczyznę bezradnie. Uśmiechnął się.  
– Spokojnie. Wszystko zrobię, jak trzeba. Hamulec zaciągnięty?  
– Sprawdzę. – Zajrzałam do auta. – Zaciągnięty.  
– Dobra. Zaczynamy. Pani może iść na kawę. – Uśmiechnął się.  
Sprawdził, czy śruby w tylnym kole są poluzowane. Podłożył lewarek i podniósł samochód.  
– Z mlekiem? – zapytałam.  
– Z mlekiem. – Uśmiechnął się. – Bez cukru.  
Pobiegłam po kawę. Uznałam, że bez kół nie za bardzo jest w stanie odjechać moim samochodem, zabierając cały dobytek.  
Gdy wróciłam, mężczyzna dokręcał koło zapasowe.  
– Jeszcze tylko przód. – Uśmiechnął się.  
– Może niech pan zrobi sobie przerwę i napije się kawy – zaproponowałam.  
Wziął łyka.  
– Bardzo dziękuję za pomoc – powiedziałam. – Sama bym chyba tutaj usiadła i zaczęła płakać. Nie wiem, jak mogę się zrewanżować.  
– Kawą. – Podniósł w górę kubek. – A za drugie koło, drugą. Ale innym razem. – Puścił do mnie oczko.  
– Nie ma sprawy. Chętnie przygarnę towarzystwo na kawę. Chyba tu zostanę dłużej.  
– Dłużej?  
– Tak. Mam... Mam tam dom. Wymaga remontu, ale powoli się wszystko załatwi.  
– Od razu na głęboką wodę.  
– Trzeba. Miałam tam być wcześniej, by pozłatwić kilka spraw, ale niestety los chciał inaczej.  
– No tak. Los nie zawsze wie, co robi. – Pokiwał głową. – Dobra. Zaraz drugie będzie gotowe. Potem tylko musi Pani koniecznie zawieźć koło do wulkanizatora.  
Musiałam spojrzeć na niego wyjątkowo bezradnie.  
– Jeśli pani chce, zawiozę to koło. Potem przywiozę. Tylko muszę znać pani adres.  
Spojrzałam na niego niepewnie.  
– No tak, dziwne by było, gdybyś obcemu facetowi dawała swoje koło.

Gdyby pani... – poprawił się po chwili.

– Zosia Krasnopolska – przedstawiłam się.

– Szymon Jarosławski. – Wyciągnął zabrudzoną dłoń, ale spojrzał na nią i się uśmiechnął. – Chyba rękę podam ci innym razem.

Roześmiałam się.

Szymon mi zawtórował.

– Dobra, zrób sobie zdjęcie mojego dowodu. Dla twojego świętego spokoju. Ja zawiozę koło do wulkanizatora, a wieczorem ci przywiozę naprawione. Zmienię je też.

– Ale nie chcę robić kłopotu...

– Żaden kłopot – uciał krótko. – To gdzie mam być?

– Numeru nie znam... Taka stara willa, na Popiołach... Mam jej zdjęcie w telefonie. Poczekaj. – Wyciągnęłam telefon z kieszeni.

Pokazałam mu zdjęcie.

– O, to ty jesteś tą bogatą dziedziczką, która się niczym nie interesuje, a w szczególności swoim majątkiem? – Zdziwił się.

Nie wiem, czy bardziej byłam zaskoczona tym, że jestem bogatą dziedziczką, czy tym, że nie interesuję się swoim majątkiem. No cóż. Faktycznie trochę się nie interesowałam.

– Nie za bardzo chyba bogatą. – Uśmiechnęłam się niepewnie. – Teraz mam zamiar interesować się i majątkiem, i całą resztą.

– To dobrze, bo pan Andrzej tam trochę remontu zrobił, ale dawno tam nikogo nie było. Woda niepodłączona, dzisiaj ci tego już nikt nie robi.

– Nieważne. Dam radę dziś bez wody. Mam dwie butelki.

– To dobrze. Jedź już. Ściemnia się. Tylko nie rozpędzaj się, bo z tym kołem nie można za bardzo szaleć. Wieczorem zajrzę do ciebie.

Chwilę się zawahałam.

– W najgorszym wypadku zostanę bez koła.

– W najgorszym. – Roześmiał się Szymon.

Pozwalanie obcemu facetowi na zabieranie koła i załatwianie moich spraw zdecydowanie nie było odpowiedzialne. Naprawdę chciałam udowodnić światu, że dam sobie radę ze wszystkim sama. Że nikogo nie potrzebuję do życia.

Dobrze. Tak będzie od jutra. Tamtego dnia byłam za bardzo zmęczona, by taszczyć jeszcze to koło do wulkanizacji, która była zupełnie nie wiadomo gdzie. Jeszcze tym razem pozwolę sobie pomóc.

– Dziękuję – powiedziałam jeszcze raz. – Do wieczora. – Uśmiechnęłam się.

– Do wieczora.

– Naprawdę mogę tym jechać?

– Bez problemu. Jak przywiozę koło z wulkanizacji, to je dopompuję.

– O wszystkim pomyślałeś? – zapytałam i wsiałam do samochodu.

– O wszystkim – powiedział i zatrzęsął moje drzwi.

Ustawiłam GPS i ruszyłam w dalszą drogę. Nie wiedziałam, w jakim stanie zastanę mój dom.

\*

Wjechałam na posesję i zaparkowałam z tyłu domu. Nie zabierając bagażu z samochodu, weszłam po schodkach na ganek. Zauważyłam, że w oknie z przodu dwie małe szybki były wybite, wszędzie wisiały pajęczyny.

– Faktycznie królowna nie dba o swój zamek. – Westchnęłam.

Otworzyłam drzwi. Dom wyglądał jeszcze gorzej. Zimny, ciemny i brudny. Ostatnio było bardziej przyjaźnie. Teraz atmosfera nie zachęcała do wejścia do środka. Przeszłam przez próg i stałam się jeszcze mniej odważna. Przeprowadzka tutaj wydawała się taka łatwa, gdy siedziałam pod ciepłym kocem w moim gdańskim mieszkaniu. Było ciepło i miło, miałam czajnik, w którym mogłam zagotować wodę na pyszną herbatę, a w łazience czekała aromatyczna kąpiel. Tak, w takich warunkach można było planować ekstremalne wyprawy.

Gdy stałam tuż przy wejściu do mojego domu, który zdecydowanie nie wyglądał jak ten z sennych marzeń, prędzej jak z koszmarów, zaczęłam się zastanawiać, czy to miejsce jest dla mnie odpowiednie. Nie było wody, nie było prądu. Zimno i ciemno. Ale... jakby to powiedzieć – nie miałam wyjścia. Musiałam przeżyć pierwszą noc. I być dzielna oczywiście.

– Dasz radę, mała – powiedziałam do siebie na głos. – Ale najpierw idź zapytaj pana Andrzeja, co z wodą i prądem. Bo bez tego zimy tutaj nie przeżyjesz.

\*

Wyszłam z domu i pobiegłam do pana Andrzeja.

– Dzień dobry, panie Andrzeju! – zawołałam, gdy tylko go zobaczyłam. Stał u siebie na podwórku. Wokół niego biegał pies, który, gdy tylko mnie zobaczył, od razu podbiegł do moich nóg.

– Nie gryzie. Spokojnie – powiedział pan Andrzej.

– A jak się wabi? – zapytałam.

– Stefan.

Roześmiałam się.

– Dość oryginalne imię dla psa.

– Długo nie miał imienia. I tak samo wyszło. Na Stefan reaguje. Stefan! Stefan! – Pies przybiegł do niego i zaczął merdać ogonem. – No, widzi pani?

– A Malwina?

– Malwina w budzie.

– W budzie? Czyjej? – Zdziwiłam się.

– No Stefana.

- Panie Andrzeju, ja nic nie rozumiem.
- Bo widzisz, moje dziecko, przybłąkała się do mnie ciężarna suka. Tylko mi Stefana urodziła i odeszła za łąkowy most. Biedne to było takie, niewielkie i zziębnięte. I Malwina go najwyraźniej zaadoptowała.
- Panie Andrzeju. – Zmarszczyłam brwi. – Mówimy o kurze Malwinie?
- No oczywiście, że o Malwinie! Stefan, gdy się najadł, przybiegał do niej się ugrzać, a ona go tuliła niczym swojego kurczaka. Tak się kokosiła. – Pan Andrzej poruszył się, naśladując kurę. – Nie pozwalała mu na ulicę wychodzić. Zaraz go dziobała. Latała za nim wszędzie. Potem Stefan urósł, już nie dawała sobie z nim rady, to przeniosła się do jego budy. Kury to dobre matki. Nie na darmo mówi się „matka kwoka”. Mają instynkt macierzyński, trzymają dyscyplinę wśród kurczaków. I szacunek jest do starszych. Najpierw obiadek jedzą starsze, a młodzież musi czekać. A jak kąpią się w piasku! – Pan Andrzej się rozpromienił.
- Robią sobie taki dołek i skrzydłami narzucają na siebie piasek. – Zaczął wymachiwać łokciami, pokazując, w jaki sposób robią to kury.
- Roześmiałam się.
- A ta druga?
- Janina ma się dobrze. Jeszcze jest Ludwika.
- Też nie na rosół?
- W życiu! Mówiłem ci, drogie dziecko, że z przyjaciółek nie będę rosółu robił. Kury to mądre stworzenia. Poznają swojego, przychodzą. A jak obcy, to uciekają. A jak za blisko podejdziesz taki, to nawet podziobią. A jak kogut był, jak to było fajnie! Jak znalazł coś w ziemi do jedzenia, jakąś paskudną dżdżownicę, to te kury wołał tym swoim: „kukuryku!”. One najbardziej kochają wszelkie robactwo, które z ziemi wylezie.
- Przez pana nie będę jadła rosółu.
- No. Pamiętaj, drogie dziecko. Rosół to tylko z takiego mięsa, co to nie wygląda jak kura.
- Będę pamiętać. – Uśmiechnęłam się.
- No cóż – powiedział pan Andrzej. – Lubię kury. W czasie wojny moja rodzina też miała kury. Każdy dorosły Polak musiał pracować, dlatego miał obowiązek zarejestrować się w niemieckim urzędzie pracy. Mieliśmy duży ogród, więc najłatwiej było nam zgłosić, że mamy gospodarstwo rolne. Do tego trzeba było mieć co najmniej pięć kur i przynajmniej jedną świnię. Przyjeżdżały komisje i sprawdzały. Teraz mam kury i psa. Komisyjnie tylko ty, Zosiu, wpadasz. I liczysz, czy z żadnej kury rosółu nie zrobiłem.

\*

Chwilę jeszcze pogadaliśmy o zwierzętach, pan Andrzej sprzedał mi plotki dotyczące połowy mieszkańców Rudy Pabianickiej na trzy pokolenia wstecz,

dowiedziałam się, że wszystko mogę załatwić z Włodkiem albo jego bratem. I elektrykę, i wodę. A jak Włodek nie będzie umiał, to na pewno kogoś sprowadzi. Tylko najgorsze było to, że Włodek właśnie pojechał na jakieś wesele, a jak Włodek jest na weselu, to potem dość długo go nie ma wcale.

– Wiesz, drogie dziecko, o co mi chodzi. – Pan Andrzej wzruszył ramionami. Oczywiście. Wiedziałam.

\*

Gdy wróciłam do domu, pod drzwiami stał już Szymon.

– I widzisz? Twoje złe przeczucia się sprawdziły! Nie mam koła!

– No, ale nie uciekłeś!

– Nie, ale pojechałem do wulkanizatora, a go nie było. Dowiedziałem się, że jest na weselu.

– Pewnie na tym samym, co pan Włodek...

– Znasz Włodka? – Zdziwił się. – To jego brat.

– Nie. – Roześmiałam się. – Ale byłam u pana Andrzeja i zdradził mi miejscowe zwyczaje.

– No niestety – potwierdził Szymon. – Podejrzewam, że przez kolejne trzy dni robota nie będzie zrobiona.

– Przez kolejne trzy dni się nigdzie nie wybieram – powiedziałam. – Wejdz do środka. Ale obawiam się, że cię niczym nie poczęstuję.

– Nie tak wyobrażałam sobie pierwszą noc w moim domu – powiedziałam, gdy usiedliśmy na łóżku. Zapaliłam świeczkę, by było nieco jaśniej.

– A jak? – zapytał Szymon.

– Nie wiem. – Wzruszyłam ramionami. – Na filmach zawsze znajduje się jakiś kominek, w którym można napalić, jakiś ciepły koc albo dywan, na którym przed tym kominkiem można się położyć. – Uśmiechnęłam się. – A tutaj? Tutaj nic. Kominek chyba niedrożny, dywan wilgotny i najchętniej bym go wyrzuciła, a jedyny ciepły koc to ten, który miałam w samochodzie.

– Mogę zaprosić cię do siebie – powiedział.

Pokręciłam głową.

– Nie. To mój dom. Powinam być tutaj – zaprotestowałam.

– Luty nie jest dobrym miesiącem na mieszkanie w pustym, zimnym domu.

– Żaden miesiąc nie jest dobry na mieszkanie w zimnym domu. – Zamyśliłam się. – I pustym.

Szymon milczał. Może zauważył dwuznaczność moich słów.

– Idź do domu. Ja tutaj zostanę – powiedziałam.

– Mam cię zostawić samą?

– Kiedyś będę tutaj sama zostawała.

– Mam nadzieję, że wtedy będzie ciepło i miło – powiedział.

– Będzie tak, jak sobie zrobię. Dom to nie tylko mury i szczelne okna. Dom to przede wszystkim ludzie. Śmiech, oddechy, głośne rozmowy i szepty. Tylko noc musi minąć. Za dnia częściej jesteśmy optymistami. I wszystko wydaje się łatwiejsze.

– Czy ja wiem, czy łatwiejsze? – Szymon się zamyślił. – Za dnia pewnie nie siedzielibyśmy razem. Za dnia pewnie rzuciłabyś mi zdawkowe „dziękuję panu za wszystko” i wyrzuciłabyś za drzwi. Nocą ludzie wydają się sobie bliżsi.

– A za dnia czar pryska?

– Nie wiem. Może pryska. – Szymon ziewnął.

Zastanawiałam się nad jego słowami. Czar pryska? Gdy jest ciemno, na świecie wszystko wygląda inaczej. Rozmywają się kształty, ciemność bywa straszna, niby widać dużo mniej, ale nasza wyobraźnia płata nam figle i z najbardziej przyjaznego drzewa może zrobić groźnego upiora, cienie okazują się ludźmi, których tak naprawdę nie ma, wyostrza się słuch i słyhać też odgłosy, na które za dnia w ogóle nie zwróciłoby się uwagi.

– Masz więcej koców? Materac? – Rozejrzył się.

– Mam śpiwór.

– To łóżko nie zachęca do położenia się na nim. – Szymon wskazał na zakurzony tapczan. – Może naprawdę dzisiaj prześpisz się u mnie, a jutro, gdy będzie jasno, zorganizujemy ci coś tutaj do spania.

– Zorganizujemy? – Uśmiechnęłam się. Z jednej strony zrobiło mi się przyjemnie, a z drugiej poczułam się zagrożona. Zagrożona, że znowu od kogoś się uzależniam, że przecież przyjechałam tutaj, by sama stanąć na nogi, a powtarzam pewien schemat.

– Pomogę ci. Mam łóżko polowe, materace. Wystarczy, że tu odkurzysz i już będzie lepiej.

– Nie pamiętałam, że ten dom jest w takim stanie...

– W miesiącach na „l”, czyli listopadzie i bezśnieżnym lutym, wszystko wygląda gorzej. Kiedyś w listopadzie kupowałem działkę ogrodniczą. Gdy tam poszliśmy, było okropnie. To był chyba najbrzydszy dzień w roku. Świat płakał listopadowymi łzami. Moja żona od razu chciała wracać do domu, nie mogłem jej przekonać, że tam może być kiedyś ładnie. Miałem widocznie bardziej wybujałą wyobraźnię niż ona. Jednak kupiliśmy. Wiosną nas bardzo zaskoczyła. Pełno przebiśniegów, krokusów, tulipanów, żonkili. Potem zakwitły jabłoń i śliwa. Pięknie było. W listopadzie nic na to nie wskazywało. Zobaczysz na wiosnę, wszystko będzie inaczej wyglądało. Już niedługo.

– O ile przetrwam do wiosny – wyszeptalam.

Nie miałam tutaj na myśli tego, czy wytrwam w tym starym domu. Tego byłam pewna. Jednak życie mi się pogmatwało i nie było zbyt lekkie. Czasem wydawało mi się, że faktycznie nie przetrwam do wiosny.

– Myślę sobie, że ta zima kiedyś musi minąć – zanuciłam cicho.

– Zazieleni się, urosnie kilka drzew – zawtórował mi Szymon.

Uśmiechnęłam się.

– Nie przekonam cię, byś przyszła dziś do mnie. – Pokręcił głową. –



Poczekaj chwilę, pojedę do domu i za chwilę wrócę.

– A... A twoja żona nie będzie miała nic przeciwko?

Miałam wrażenie, że na chwilę zastygł w milczeniu. Po kilku sekundach, które wydawały się całkiem długą chwilą, odpowiedział:

– Nie. Myślę, że nie. Mieszkam sam.

Pokiwałam głową. Nie pytałam więcej. Gdyby chciał, sam by opowiedział.

– Czekaj na mnie – powiedział. – Zaraz przyjadę.

– Nigdzie się nie wybieram. – Uśmiechnęłam się.

Szymon wyszedł. Po chwili usłyszałam odgłos odpalanego silnika.

Pokręciłam głową. Czy to rozsądne, że zaufałam obcemu facetowi? No, nie obcy. Mam jego dane. Wiem, że ma na imię Szymon, znam numer rejestracyjny jego samochodu, nawet mam zdjęcie dowodu osobistego w swoim telefonie. Najgorsze było to, że nie bardzo miałam komu przekazać te informacje. Rodzicom? Byli daleko. Nie miałam nikogo blisko, kogo mój los interesowałby na tyle, bym mogła mu wysłać dane człowieka, z którym mam zamiar spędzić wieczór w domu bez prądu, gdzieś na odludziu na obrzeżach Łodzi. Niewiarygodne. W tych czasach przecież nie można było nikomu ufać!

Zapaliłam drugą świeczkę. Wydawało mi się, że słyszę jakieś odgłosy na zewnątrz. Zaciśnęłam pięści. Może ze strachu? Po chwili jednak rozsądek zwyciężył. Czego mam się bać?

Jednak mam czego. Sama w obcym domu, który jeszcze do wczoraj stał pusty. Nie miałam pojęcia, czy ktoś nie znalazł sobie tutaj schronienia.

\*

Otworzyłam drzwi. Na drodze mignęła mi sylwetka kobiety. Było ciemno, ale dość wyraźnie ją widziałam. Stała przy drodze, kilka metrów ode mnie, szczerze opatulona wielkim szalem.

Wydawało mi się, że na mnie spojrzała. Odruchowo podniosłam rękę. Pokiwałam jej.

– Dobry wieczór!

Zatrzymała się na chwilę. Chyba się uśmiechnęła, ale nic nie odpowiedziała. Również podniosła rękę. Wydawało mi się, że chce coś powiedzieć, ale w oddali rozległ się dźwięk jadącego samochodu. Kobieta, jakby spłoszona, spojrzała w kierunku hałasu i szybkim krokiem się oddaliła. Zupełnie bez słowa.

Wzruszyłam ramionami i wróciłam do domu. Zamknęłam za sobą drzwi. Pewnie minie jeszcze dużo czasu, zanim będę traktowana jak „swoja”. A może to nigdy nie nastąpi? Westchnęłam. Wtedy po raz pierwszy zaczęłam wątpić, czy to, że wyjechałam, było dobrą decyzją. Jeszcze wszystko mogłam zmienić. Zrobiłam to trochę na przekór, bo wszyscy mi to odradzali. A ja wreszcie chciałam poczuć się dorosła. Ale czy na tym polega dorosłość, że robisz wszystko wbrew ludziom,

którzy cię kochają?

Rodzice z pewnością mnie kochali, ale nie pochwalali większości moich wyborów życiowych. Nie podobały im się studia na wydziale architektury ani Marek, ani wyprawa do Rudy. Bo o tym, że jest to przeprowadzka, jeszcze nie mieli pojęcia. Gdyby tylko żyła pani Stefania! Ona by mi powiedziała, co robić. Ale czy już tego nie zrobiła, dając mi ten dom?

Powiedziała.

Znowu zobaczyłam jej wesole oczy, siateczkę drobnych zmarszczek na twarzy i cienkie kreseczki w kąciakach oczu od częstego uśmiechania się.

– Dasz radę! Kto jak nie ty? – Prawie słyszałam jej głos.

– Dam radę. – Lekko dotknęłam wciąż jeszcze płaskiego brzucha. – Damy radę, mała. Bo kto jak nie my?

Czasem zapomniałam, że nie jestem już sama. To wydawało mi się takie nierealne. Ja i mały człowiek we mnie. Kawalek mnie w tym wielkim świecie. Ale czy to, że tutaj zostanę, będzie dobrym początkiem dla tego nowego, tak delikatnego życia? Tego nie wiedziałam. Miałam wrażenie, że rozsypała mi się wieża z klocków, którą do tej pory budowałam i muszę zbudować ją zupełnie na nowo. Niektóre klocki odpadły i poleciały gdzieś daleko. Na tyle daleko, że zabrał je ktoś inny i już nie mogę ich użyć. Do kogoś innego one również pasują. Muszę się nauczyć budować swoją wieżę bez nich. Zupełnie inną niż ta poprzednia, ale moją własną. Muszę znaleźć inne klocki i postarać się dopasować je do mojego życia.

\*

Rozejrzałam się po czymś, co kiedyś musiało być przytulnym salonem. Na środku stał stary, okrągły stół z litego drewna. Taki prawdziwy rodzinny stół, przy którym wszyscy domownicy się zbierają i opowiadają sobie zdarzenia minionego dnia. Będę musiała go odnowić. Lubiłam bawić się takimi rzeczami. Wokół stołu sześć krzeseł. Zniszczone obicia, ale poza tym w całkiem dobrym stanie. Byłam ciekawa, kto siedział kiedyś na tych krzesłach. O czym ludzie opowiadali sobie przy tym stole?

W rogu mieszkania stał piec kaflowy. Kochałam to ciepło. Wydawało się zupełnie inne niż to z centralnego ogrzewania. Niestety nie wiedziałam, czy mogę w nim teraz zapalić. Najwyraźniej bez pana Włodka nic nie było możliwe.

Weszłam do kuchni. Tu też chyba nie było zbyt dużego remontu. Stała stara westfalka, a na niej dwa wielkie żeliwne garnki. Tuż obok czajnik. Stary, kuchenny kredens. Uśmiechnęłam się na jego widok. Zawsze o takim marzyłam. Trochę go trzeba wyczyścić i pomalować na biało, by znowu odzyskał swoją świetność. Oczyma wyobraźni widziałam tę kuchnię odnowioną i ogromnie mi się podobała. Cieszyłam się, że nikt tutaj nie zdążył zrobić jeszcze zbyt wielu zmian i nie wstawił

na przykład nowoczesnych mebli na wysoki połysk. Nie pasowałyby do takiego wnętrza. W oknach wisały szarawe firanki. Niestety podarte i tak brudne, że mogłam tylko wyobrazić sobie, że kiedyś cieszyły czyjeś oko. Na oknie stała również doniczka z jakimś suchym patykiem, który najwyraźniej dawno temu był rośliną.

\*

Czułam się przez chwilę, jakbym była na planie programu o tym, jak ze starej rudery zrobić dom z bajki. Zamknęłam oczy i próbowałam sobie wyobrazić to miejsce za kilka lat. Z kominkiem, cudownym miękkim fotelem, kotem na moich kolanach. I dzieckiem biegającym po ogrodzie. Uśmiechnęłam się do swoich myśli. Najbardziej podobało mi się to dziecko biegające wśród kwitnących drzew. Z pewnością są drzewa w ogrodzie, na których da się zawiesić huśtawkę. Wyrzesałam przez brudne okno. Ta kobieta znowu stała przy drodze.

Okryłam się chustą i wyszłam na zewnątrz.

– Mam nadzieję, że pięknie się będzie tu pani mieszkać – powiedziała. – Z tyłu jest sad. Był kiedyś sad. Na pewno się znajdzie miejsce na huśtawkę.

Przeszedł mnie dreszcz. Skąd ona wie, że właśnie myślałam o huśtawce?

– Tylko to będzie trochę później, niż się pani wydaje. Ale da pani radę. Kto jak nie pani?

Poczułam się niepewnie. Ta cała sytuacja zaczynała być nieco dziwna. Ta huśtawka, o której mówiłam i słowa pani Stefanii w ustach nieznanym kobiety...

– A pani tutaj gdzieś mieszka?

– Kiedyś mieszkałam. – Uśmiechnęła się. – To był piękny dla mnie czas.

Usłyszałam nadjeżdżający samochód. Odwróciłam się w jego kierunku. Przyjechał Szymon. Gdy zwróciłam się w stronę kobiety, już jej nie było. W oddali majaczył tylko jej cień.

\*

– Znudziło ci się siedzenie w domu? – zapytał Szymon, wychodząc z samochodu.

Taszczył ze sobą dwie wielkie torby.

– To nie wszystko! – zawołał. – Pomożesz mi?

– Jasne. – Zbiegłam po schodkach.

Otworzył drzwi pasażera. Z samochodu wyskoczył biskoptowy labrador, intensywnie machając ogonem.

– To jest Luna – powiedział.

Podbiegła i zaczęła się ocierać o moje nogi. Ukucnęłam i przytuliłam się do niej, drapiąc ją za uchem.

– Cudna jesteś!

– Byłem w sklepie, dowiedziałem się co nieco – powiedział Szymon. – Ale chyba nic, czego byś nie wiedziała. Pan Andrzej zaczął ten dom remontować. Nie jest w tak fatalnym stanie, jak się wydaje. Tylko jest zaniedbany, bo w wakacje młodzież urządziła sobie tutaj imprezownię. Balowali chyba miesiąc, dopóki sąsiad, ten starszy pan mieszkający dwa domy dalej, ich nie wykurzył. Kryli się nieźle, bo zauważył ich dopiero, gdy już nieźle nabałaganili.

– No nieźle – przytaknęłam.

– Mówili w sklepie, że prądu na razie nie ruszać, ale załatwiłem już, że jak skończą to wesele, elektryk Włodek do ciebie przyjdzie. Może nawet jutro.

– Ale ja sama mogę to załatwić – powiedziałam.

– Sama naprawić elektrykę? – zapytał, wyjmując z bagażnika kolejne dwa worki.

– Sama mogę zawołać elektryka – powiedziałam. W mojej głowie zapaliła mi się ostrzegawcza lampka, która alarmowała, że znowu za bardzo zaczynam polegać na drugim człowieku. I do tego zupełnie obcym.

– Spokojnie. – Uśmiechnął się. – Nie ma problemu. Tutaj jest jak na wsi. Każdy każdego zna. I wszyscy wszystkim pomagają. Mąż właścicielki sklepu jest elektrykiem. Nie gadałem z nim, ale podobno tylko żarówki trzeba wymienić. – Roześmiał się – Ale lepiej nie ryzykować. Możemy siedzieć przy świecach. Bo jak już ustaliliśmy, sama tu nie możesz zostać.

Jeszcze kilka chwil temu zaprzeczyłabym i upierała się, że samej mi nic nie grozi. Ale po rozmowie z nieznaną kobietą byłam trochę zaniepokojona.

– Może masz rację. Jutro muszę zamek wymienić. Tak na początek. Potem może ogrodzę wszystko...

– Spokojnie. Nie sądzę, by ci coś groziło. Bardziej boję się, że ciekawscy sąsiedzi będą cię napastować. Ale dobra. Przyniosłem kolację.

Luna pierwsza wbiegła do domu, merdając ogonem i obwąchując wszystko wokół. Chyba też sprawię sobie psa. Jak ma się dom z ogrodem, to trzeba mieć psa!

– Kolacja! – Szymon się uśmiechnął. Wytarł stół wilgotną chusteczką, potem przykrył go ceratą w czerwonej kratkę, postawił świeczkę i ją zapalił.

– Romantycznie. – Roześmiałam się. – A nie gazeta i wędzona makrela?

– Żebyś się nie zdziwiła! – Z torby wyciągnął zawiniętą w szary papier rybę.

– Podobno świeżutka. Nie wiem, skąd oni tu mają świeżutką makrelę, ale pani Krysia tak zachwalała, że nie mogłem odmówić. – Wzruszył ramionami. – Herbatę mam w termosie. Zaparzyłem miętową. Lubisz?

– Lubię. – Pokiwałam głową.

– No. To wszystko.

Na stole leżały bułki, masło, wędlina i ryba. Obok termosu stał słoik z ogórkami kiszonymi.

– Niezły zestaw. – Prychnęłam. – Dobrze, że sprawdziliśmy, czy toaleta jest czynna.

– Z toaletą masz szczęście. Jeszcze do niedawna jej nie było. To jest właśnie jedna z tych rzeczy, którą zrobił pan Andrzej rękami jakiegoś kuzyna, brata czy wujka pana Włodka.

– No zauważyłam, że toaleta jest jedynym pomieszczeniem w tym domu, w którym ewentualnie chciałabym spać – stwierdziłam. – Może posłanie w wannie to nie jest najgłupszy pomysł?

– Jeszcze cię przekonam, byś przyszła do mnie – stwierdził.

– Nie znam cię zupełnie. To jak mam u ciebie nocować? To byłoby zupełnie nieodpowiedzialne.

– A nocowanie samej w zupełnie obcym domu jest odpowiedzialne?

– To mój dom.

– Twój. Ale zupełnie obcy.

Przypomniałam sobie o kobiecie, która przechadzała się w okolicy.

– Najwyraźniej nie jest. Mówiłeś o sąsiadach. Miałam tutaj gościa, jak ciebie nie było. Feministki by powiedziały, że nawet „gościnię”. – Roześmiałam się.

– Nie jesteś feministką? – zapytał.

– Na swój sposób jestem. Nie lubię, jak się kobietom dzieje krzywda. Tylko że, zamiast walczyć, często uciekam.

– Teraz też uciekaś? – Zainteresował się.

– Poproszę o inny zestaw pytań.

Szymon popatrzył na mnie wnikliwie. Jego oczy błyszczały w blasku świecy.

– Okej. To kto cię odwiedził? – zapytał.

– Nie wiem. Jakaś kobieta. Chyba nie chciała nawet rozmawiać.

– A czego chciała?

– Właśnie nie wiem.

Przypomniałam sobie o tym, że odgadła moje myśli dotyczące huśtawki na drzewie. Zbieg okoliczności. Z pewnością zbieg okoliczności.

– Może to ktoś z tych nowych domków?

– Nie wiem. – Pokręciłam głową. – Ona wyglądała tak... Tak jakby była niedzisiejsza. Wiem, że to dziwne, ale takie miałam uczucie.

– Bardzo możliwe. – Szymon pokiwał głową, nalewając herbatę do kubków.

– Tam różni ludzie mieszkają. Nie przyniosłem cukru. Słodzisz?

Pokręciłam głową.

– Tutaj stykają się dwa światy – kontynuował. – Z jednej strony mamy nowe domy bardzo bogatych łodzian, którzy uciekli z centrum, potem odnowione, stare pofabrykanckie wille, w które włożono niewyobrażalną kasę, by je doprowadzić do świetności, a tuż za płotem rozpadające się rudery bez łazienki. Już nikt nie

pamięta, że w tych ruderach kiedyś tętniło życie. Na przykład tu niedaleko stoi budynek z początku XX wieku, dawny dom letniskowy łódzkiego fabrykanta Teodora Steigerta. Chciałbym powiedzieć, że jeszcze stoi. Moim zdaniem nie potrwa to długo. – Podał mi przekrojoną na pół bułkę. – Po wojnie w tej starej, ogromnej willi była szkoła, potem dom dziecka. W latach sześćdziesiątych zrobiono tam mieszkania komunalne. Tak jest do dzisiaj. Ludzie wciąż tam mieszkają. W bardzo nieciekawych warunkach. I jak to los bywa przewrotny, najpierw ten dom zajmowali ci, co mieli pieniądze, a teraz ci, co zupełnie ich nie mają. – Zamyślił się na chwilę. – A wystarczy popatrzeć na stare zdjęcia, by wyobrazić sobie, jak tętniło życie w czasach świetności tego domu. Bardzo lubię to sobie wyobrażać.

– I chodzić, gdy jest ciemno i zaglądać ludziom w okna też lubisz? – zapytałam.

– Lubię! – Spojrzał na mnie zaskoczony. – A ty też?

– Bardzo – potwierdziłam. – I czasem zastanawiam się, jak coś musiało wyglądać dawniej i jak mogłoby wyglądać, gdyby się tym profesjonalnie ktoś zajął.

– Tu masz pole do popisu – powiedział Szymon, pokazując ręką na ledwo oświetlony pokój.

– Wiem. Pani Stefania pewnie też wiedziała, że oddaje dom w dobre ręce.

– Pani Stefania?

– Poprzednia właścicielka.

– Pamiętam. Pan Andrzej podarował jej ten dom. Wszyscy się dziwili dlaczego.

– To trochę zawiła historia. Sama chyba nie znam szczegółów.

– Kiedyś może wspólnie dojdziemy do prawdy. Ogóreczka?

– Poproszę.

Podał mi słoik z ogórkami. Na etykiecie widniał napis „Szym 2003”.

– No nie mów, że sam robiłeś?

– Sam.

– Zdziwiasz mnie.

– Widzisz? A dopiero mnie poznałaś.

Faktycznie.

Dopiero go poznałam, a czułam się, jakbym znała go od dawna. Poczułam strach przed nieznanym. Strach przed tym, że znowu komuś zaufam, a potem jak zawsze zostanę sama.

– A wracając do tego domu – przerwał nieco zbyt długie milczenie. – Tutaj tylko dobrego architekta wziąć i z pewnością dacie radę zaczarować ten dom ponownie.

– Ja jestem architektem – powiedziałam.

– I to pewnie dobrym? – Uśmiechnął się.

– To się okaże. – Rozejrzałam się wokół. – Ale wierzę w to, że może być tutaj bardzo pięknie. – A ty?

– Ja? Ja nie jestem architektem – odpowiedział nieco zbyt szybko.

Nic nie mówiłam. Czekałam, aż rozwinie wątek. Jednak zupełnie się do tego nie kwapił.

Po chwili jednak dodał:

– W tym życiu jestem kierowcą. Jeżdżę Uberem. Staram się być dobrym człowiekiem. A przedtem? Przedtem byłem zupełnie kimś innym.

Nie zastanawiałam się wtedy nad jego słowami. Wydawało mi się, że ja też byłam kiedyś zupełnie kimś innym. Najpierw grzeczną córeczką, pilną uczennicą i równocześnie dzieckiem, a potem dziewczyną spragnioną ciepła, a teraz miałam nadzieję wreszcie stać się kobietą, która jest w stanie zapewnić sobie wszystko, co jej potrzebne. Ciepło też.

Niestety nie tamtej nocy. Nie chcieliśmy palić w piecu, bo nie mieliśmy pojęcia, czy komin jest drożny, nie mogliśmy się ogrzać niczym poza moim śpiworem i kocami oraz kołdrą, którą przyniósł Szymon. Oczywiście Luna też dawała sporo ciepła, jednak to nie wystarczyło. Około trzeciej w nocy usłyszałam szept Szymona.

– Śpisz?

Nie spałam. Oczywiście, że nie spałam. Tamtej nocy nie zmrużyłam oka, a wrażenia poprzednich dni były bardzo męczące i zdecydowanie potrzebowałam snu.

– Nie. – Usiadłam na łóżku. – Nawet na chwilę nie zmrużyłam oka.

Luna podeszła do mnie, ucieszona, że wreszcie ktoś daje jakieś oznaki życia.

– To co? Idziemy w bardziej cywilizowane warunki? – zapytał. – Nie zrobiłem ci krzywdy tutaj, to jest szansa, że nie zrobię ci gdzie indziej. Prawda?

– Prawda. – Pokiwałam głową.

Nie czułam się zbyt komfortowo. A nawet pomyślałam, że zachowuję się jak rozwydrzona nastolatka, która uciekła z domu, pierwszej nocy zmarzła i wraca z powrotem z podkulonym ogonem. „Na złość mamie odmrozę sobie uszy” –



pomyślałam. Jednak wiedziałam, że powinnam o siebie dbać. A niedosypianie w zimnym domu na pewno nie było zbyt bezpieczne dla mnie i dla dziecka.

– To jak będzie? – Szymon wstał i zaczął składać koc. – Idziemy?

Pokiwałam głową. Musiałam wyglądać jak obraz nędzy i rozpaczy, bo wziął ode mnie kołdrę, zwinął ją i włożył do wielkiego worka, po czym zaczął pakować jedzenie.

– Weź jakieś ciuchy. Umyjesz się, przebierzesz i na spokojnie pomyślisz, od czego zacząć.

– Tak sobie myślę, że to nie był dobry pomysł, by się tutaj przeprowadzić. Tak nagle – powiedziałam. – Byłam pewna, że dom jest w lepszym stanie. Może latem, gdyby było nieco cieplej, byłoby łatwiej.

– Spokojnie. Posprzątasz tutaj, zobaczysz, co jest do zrobienia, zaplanujesz, ile czasu ci na to potrzeba.

– Chyba aż tak dużo czasu to nie mam – powiedziałam cicho.

– A spiesz ci się gdzieś? – zapytał.

– Mnie nie. Ale innym może się spieszyć.

\*

Spakowaliśmy wszystko, co kilka godzin wcześniej przywiózł ze sobą Szymon. Wsiadliśmy do samochodu i pojechaliśmy do niego do domu. Gdy odjeżdżaliśmy, wydawało mi się, że mignęła mi jakaś sylwetka na drodze. Ale niemożliwe, by ktoś spacerował o tej porze. Była czwarta rano!

Szymon mieszkał na nowym, strzeżonym osiedlu.

– Kolega wyprowadził się do domku, miał poprzednio fatalnych lokatorów, więc postanowił w ogóle nie wynajmować. Załapałem się, opiekuję się jego mieszkaniem. Dwa lata temu wyniosłem się z centrum.

– Dlaczego? – zapytałam. – Nie podobało ci się?

Szymon zamilkł na chwilę.

– Można tak powiedzieć. Nie podobało mi się. Zupełnie mi się nie podobało.

– Bo?

– Po prostu – uciął.

Bez słowa otworzył zamek w drzwiach i przepuścił mnie przodem. Mieszkanie było jasne, wysokie i całkiem przestronne. Na pierwszy rzut oka dość nowoczesnie urządzone.

Położyłam torby w korytarzu.

– Rozgość się. Tutaj jest łazienka, na pewno przyda ci się gorąca kąpiel. Ja w tym czasie przygotowuję łóżko. Oddam ci moją sypialnię, ja z Luną będziemy spali w dużym pokoju.

– Ale nie chcę robić problemu... – powiedziałam nieśmiało.

– Nie robisz. Będziesz spała, jak długo chcesz, dopóki nie obudzi cię zapach

smażonej na bekonie jajecznicy.

Roześmiałam się.

– Bardzo oryginalny i pożądany budzik!

– Tylko u mnie. – Uśmiechnął się. – Leć do łazienki. Nie wiem, czy masz szczoteczkę, w szafce jest zupełnie nowa, niebieska.

\*

Faktycznie kąpiel była mi potrzebna. Czułam, jak ciepła woda rozgrzewa mnie od dołu do góry. Zastanawiałam się, jak dam radę przetrwać zimę w takim zimnym domu jak moja willa. Miałam wrażenie, że porywam się z motyką na słońce. Ale miałam wracać do Gdańska? Widziałam zaciśnięte usta mojej matki i ten wyraz twarzy mówiący „a nie mówiłam?”. Nie chciałam kolejnej porażki w moim życiu. Zbyt dużo ich było.

Nie wiem, ile czasu spędziłam w wannie. Chyba kąpiel była długa, bo rozległo się pukanie do drzwi.

– Wszystko w porządku? – zapytał zaniepokojony Szymon.

– Jasne. Tylko tak mi dobrze, że nie mogę wyjść – odpowiedziałam.

– Siedź jak długo chcesz, najwyżej herbatę będziemy podgrzewać.

Niechętnie wyszłam z wanny. Owinęłam się wielkim ręcznikiem, który Szymon położył wcześniej na pralce. Wytarłam się mocno, aż poczerwieniała mi skóra, założyłam moją frotową ciepłą piżamę. Piżamę do zadań specjalnych. Zawsze pakowałam ją do plecaka, gdy wyruszałam w góry. Markowi nigdy się w niej nie pokazałam. On lubił tylko koronki i przeźroczystości. A najlepiej, jakbym spała nago, tylko że ja tego nie lubiłam. Ale oczywiście starałam się dla niego. Nie widział mnie nigdy w tej piżamie, bo nie miał okazji. Nigdy nie byłam z nim w górach. W ogóle mało wyjeżdżaliśmy, bo był wiecznie zapracowany. Czasem wspólnie udało nam się wyjechać w interesach – luksusowe hotele, masaże, spa. A tam, wiadomo – można spać nago.

Próbowałam kiedyś zorganizować wyjazd do małego drewnianego domku w górach, do tego samego, gdzie jeździłam, gdy byłam w liceum. Pierwszy raz pojechałam tam wysłana przez panią Stefanię. Jej przyjaciółka prowadziła mały pensjonat, tuż u podnóża Tatr. Niestety nigdy w góry Marka nie zabrałam. Nie było czasu ani ochoty. Z jego strony oczywiście.

Wyszłam z łazienki w tej puszystej piżamie. Bluza była biała z aplikacją wielkiego misia na przodzie. Różowe spodnie były nieco zbyt długie, więc je podwinęłam. Miałam też grube skarpety. Było mi naprawdę ciepło i dobrze.

– Wyglądasz, jakbyś była w raj. – Szymon roześmiał się, podając mi herbatę.

– Jak tak jest w raj, to idę choćby dzisiaj. – Uśmiechnęłam się.

– No, może nieco za wcześnie na raj?

– Czy ja wiem? Jak ktoś nie chce iść do raju zbyt wcześnie, musi sobie zrobić raj na ziemi. – Westchnęłam – Ale powiem ci, że ten mój raj wygląda na bardzo zaniedbany. – Dopiliśmy herbatę i ziewnęłam.

– Chodź. Pokażę ci sypialnię. Zwykle Luna też tam śpi, więc może drapać w drzwi.

– Zostawię uchylone. Nie mam nic przeciwko takiemu towarzystwu. – Poglaskałam psa.

– Dobrej nocy – powiedziałam.

– Śpij dobrze. To była ciężka noc.

– Na moją własną prośbę. – Uśmiechnęłam się.

– No uparta to ty jesteś. Dobranoc. – Szymon zniknął za drzwiami łazienki.

\*

W sypialni czekało na mnie pościelone łóżko. Na sam jego widok zrobiło mi się przyjemnie. Stało tam też uporządkowane jasne biurko, porządek wskazywał, że chyba dawno nikt przy nim nie pracował. Na jednej ścianie na białych półkach z IKEA od dołu do góry stały równo poukładane książki.

*Uproszczona chemia organiczna, Choroby wewnętrzne, Farmakologia, Położnictwo i ginekologia.*

Matko, co za tematyka? Najwyraźniej kolega Szymona był lekarzem. W kolejnej szafce podobnie. *Immunologia, Urologia, Cytofizjologia i Choroby wieku dziecięcego.* Tuż obok stało kilka książek Thorwalda, czytałam tylko jego *Chirurgów*. Muszę pożyczyć te książki od Szymona. Ale po co kierowcy tyle książek medycznych? Niespełnione marzenia? A może po prostu należały do właściciela tego mieszkania? Szymon wspominał chyba, że był lekarzem, a on tu tylko na chwilę. To by wszystko wyjaśniało. W ostatniej szafce była beletrystyka – kilkanaście książek Kinga, thrillery medyczne Cooka, dwie półki kryminałów Agathy Christie i kilka książek sensacyjnych. Poczułam się jak w domu. Będzie moją biblioteką. Usłyszałam drapanie w drzwi. Luna.

– Chodź do mnie – powiedziałam. – Będzie mi rażniej. – Poglaskałam ją.

Luna pomachała ogonem i położyła się tuż obok mojego łóżka.

Zasnęłam bardzo szybko. Obudziły mnie kuchenne hałasy i zapach smażonego boczku. Nie pamiętam, kiedy ostatnio ktoś robił mi śniadanie.

Wstałam, pościeliłam łóżko. Luna wsunęła nos przez drzwi i z radością przybiegła do mnie. Po krótkiej dawce pieśczęt wyszliśmy z pokoju.

\*

– Dzień dobry. Załapię się na śniadanie? – zapytałam, gdy weszłam do kuchni. Właściwie był to przestronny pokój z dość dużym aneksem kuchennym.

– Dzień dobry. – Szymon smażył jajecznicę. Był ubrany w rozciągniętą

koszulkę z wytartym napisem i krótkie spodenki.

- Ale zapachy. – Usiadłam przy stole.
- Śniadanko. – Uśmiechnął się. – Wyspana? – zapytał.
- Bardzo. Miałaś jednak dobry pomysł, by przyjść do ciebie. – Pokiwałam głową. – Powiem ci, że aż boję się tam wracać.
- Za dnia zobaczysz wszystko w innym świetle.
- Tak, będzie widać jeszcze więcej niedociągnięć.
- Może nie będzie tak źle. Dobrze, że wstałaś. Pan Włodek dzwonił, będzie u ciebie za godzinę.
- Pan Włodek? A już odpoczął po weselu? Podobno miało mu to zająć tydzień. – Uśmiechnęłam się.
- Podobno da radę. Tak mówił. Może tylko nie będzie można się głośno odzywać. Przyjdzie z kominiarzem. Ten sprawdzi kominy i powie, czy można palić w piecu i kominku.
- No popatrz, człowiek śpi, a tu się tyle rzeczy załatwia.
- I to zupełnie samo. Prawda? – Podał mi talerz z jajecznicą.
- Śniadanie białkowo-tłuszczowe – powiedział.
- Wiem. – Uśmiechnęłam się. – Też staram się jeść tylko takie.
- Węgle na wieczór.
- Dokładnie tak.

Dopiero miałam okazję się rozejrzeć po jego mieszkaniu. Dominował minimalizm, prostota, ale można było zauważyć również staroświeckie akcenty. Posrebrzana patera stojąca na komodzie, obraz w poślacanej ramie. Jedną ścianę zdobiły fotografie. Były na całej ścianie. Głównie czarno-białe, przedstawiające krajobraz, kilkanaście portretów, zdjęcia domów. Gdy zjadłam, wstałam, by przyjrzeć się z bliska.

- Masz mój dom na zdjęciu – powiedziałam. – Chyba wiosną. Ma potencjał. Jeszcze się nie przyzwyczaiałam, że to mój dom. – Pokręciłam głową.
- A jak to się właściwie stało, że to twój dom? – zapytał.
- Zupełnie niespodziewany spadek. Odziedziczyłam dom i, jak się okazało, trochę środków na jego remont.
- Z nim była związana jakaś zagmatwana historia.
- Zagmatwana historia? – Zainteresowałam się.
- Jakaś wielka miłość, śmierć z tej miłości, niejasne sprawy spadkowe. Kiedyś coś słyszałam, ale nie pamiętam dokładnie. Będziesz musiała pana Andrzeja zapytać.

- Pana Andrzeja?
- Tak. On wie wszystko. Wprawdzie wprowadził się tutaj dosyć późno, ale interesował się historią tego miejsca.

Spojrzałam jeszcze raz na fotografię wiszącą na ścianie. Wydawało mi się,

że za drzewami na zdjęciu ktoś stoi. Kobieta. Ale może to po prostu cień.

Zagmatwana historia. A do tej pory wiodłam tak spokojne i uporządkowane życie. Pomyślałam o rozstaniu z Markiem.

Prawie uporządkowane. Ale już w życiu tyle rzeczy mnie zaskoczyło, że powinnam łatwo zaakceptować zagadkową historię mojego spadku.

\*

Kilka godzin później rozpałam w piecu kaflowym w swoim domu. Kominiarz nie widział przeciwwskazań. Życie nabierało jasnych barw. Pan Włodek, elektryk, powiedział, że kable są zupełnie nowe i kładł je osobiście kilka lat temu. Okazało się, że nie ma światła, bo korki były wyłączone i brakowało też niektórych żarówek. Ot, życie. Czasem najprostsze rozwiązania są najlepszym wyjściem z sytuacji.

Nawet zdążyłam posprzątać. Na razie pokój na dole i kuchnię. Na górę weszłam tylko zobaczyć, w jakim stanie znajduje się dom. Nie było najgorzej. Na piętrze nie było wcale mebli, pokoje miały ściany pomalowane na biało, podłoga została wycyklinowana.

– Musi pani Andrzeja zapytać, co tu było robione – powiedział pan Włodek.  
– Andrzej blisko mieszka, podczas remontu zaglądał tu co chwilę. Nie wiem, czy go wynajęli, by kontrolował, czy z ciekawości. Ale Andrzej ciekawy, nie ma zbyt wiele do roboty, to i pozaglądać mógł.

– Szymon też mówił, że powinnam porozmawiać z panem Andrzejem – powiedziałam. – Podobno pan Andrzej może mi dużo powiedzieć o historii tego domu.

– No historia to ciekawa. Jakieś miłości, samobójstwa, bardzo to była pogmatwana przeszłość. Wiem tyle, że na początku właścicielem był Dworak. Bogaty fabrykant. Mieszkał w Łodzi, a tutaj miał willę letniskową. Żona chorowała, on też nie cieszył się najlepszym zdrowiem, więc tu coraz częściej przebywał, dla lepszego klimatu. Może lepiej się pani nie zagłębia w tę historię. Trzeba w nowe iść, a nie za starym się oglądać. – Pokręcił głową. – Po co komu grzebanie w przeszłości? Jak głęboko coś zakopane, to nie będzie przeszkadzać. A jak się wykopie, może być smród.

\*

Gdy tylko usłyszałam: „Po co komu grzebanie w przeszłości?”, wiedziałam, że koniecznie muszę się dowiedzieć, co się kiedyś wydarzyło w tym domu, kto tutaj mieszkał i jak ten dom trafił do pani Stefanii. Wiedziałam, że prędzej czy później odwiedzę ponownie pana Andrzeja i o wszystko go zapytam.

Wyjęłam kalendarz i zaczęłam planować działania na najbliższe dni. Jeszcze poprzedniego dnia byłam zrozpaczona całą sytuacją, a dzisiaj bardzo

optymistycznie patrzyłam w przyszłość. Mam dom. Mam fundusze, by ten dom wyremontować. Może nie z rozmachem, może skromnie, ale powoli. Na początek wystarczy. Nawet udało mi się załatwić ekipę remontową (oczywiście dziwnym trafem złożoną z kuzynów bądź braci pana Włodka). Miała wejść za kilka tygodni. Dobrze, będę miała czas posprzątać wszystkie szpargały, zajrzeć na strych. Może oprócz rozmowy z panem Andrzejem sama znajdę tutaj ślady dawnych mieszkańców? Z pewnością jest jakiś tajemniczy kredens ze skrytkami, w których zachowały się listy miłosne lokatorów tego domu.

Zamknęłam kalendarz. Wzięłam miotłę i postanowiłam zmieść jesienne liście. Wysłałam na zewnątrz i znowu zobaczyłam kobietę w czerwonym płaszczu.

– Dzień dobry – zawołałam.

– Dzień dobry. – Uśmiechnęła się. – Już się pani zadomowiła?

– Zadomowiła to za dużo powiedziane. – Roześmiałam się. – Ale już mam na czym siedzieć i mam w czym wypić herbatę. Napije się pani ze mną? Często tu panią spotykam, jesteście teraz sąsiadkami?

– Można tak powiedzieć – powiedziała cicho. – Kiedyś mieszkałam tu... niedaleko – dodała. – Do widzenia – powiedziała szybko i jeszcze szybciej odeszła.

Chciałam ją zatrzymać, ale nawet nie zdążyłam nic powiedzieć, bo zniknęła tak nagle.

– Dzień dobry. – Tym razem usłyszałam męski głos. Ulicą, sprężystym krokiem, szedł starszy, brodaty mężczyzna. Na głowie miał kapelusz, na nogach wielkie, ocieplane kalosze. W ręku trzymał kratkę z jajkami.

– Pan Andrzej! Dzień dobry! – zawołałam.

– Dzień dobry. – Położył jajka na ziemi i wyciągnął spracowaną dłoń. – Już wczoraj chciałem zobaczyć, jak się urządziłaś, ale rozłożyło mnie i chodzić nie mogłem. A uwierz, że gdybym mógł, szybko przyszedłbym z ciekawości. Naprawdę bardzo chciałem wiedzieć, jak sobie to panna poukładała wszystko w starej willi Dworaka.

– Jeszcze sobie nic nie poukładałam – powiedziałam. – Za mało czasu. Ale w piecu już się pali, prąd jest. Napije się pan herbaty?

– Z wielką przyjemnością. Nie pamiętam, kiedy ostatnio kobieta, do tego taka młoda i ładna, zapraszała mnie na herbatę.

– Trochę ogarnęłam w środku – powiedziałam, przekraczając próg. – Jednak do ideału nieco brakuje.

– Zawsze tu wisiały szydełkowe firanki. – Wskazał na okna, z których zdjęłam już brudne zasłony.

– Naprawdę? – Ucieszyłam się. – Bardzo lubię szydełkowe firanki. Sama też je robię w wolnych chwilach.

– A w mniej wolnych? – Zainteresował się.

– To znaczy?

– Gdzie pracujesz?  
– Jestem architektem. Chwilowo na urlopie.  
– Ale nie zrobisz z tej willi wieżowca? Ta nowoczesna architektura zupełnie mi się nie podoba.

– Zupełnie nie mam zamiaru. Lubię ją taką, jaka jest.  
– Wołałem się upewnić. – Rozejrzył się wokół. – Zaczyna się tu robić przytulnie. Tylko przez chwilę to był naprawdę przytulny dom. Potem bywało różnie.

– Właśnie! Szymon, mieszka tu niedaleko, ten, który mi bardzo pomógł, mówił, że pan może mi dużo opowiedzieć o historii tego domu. Podobno się znacie. Jest tutaj gdzieś kierowcą.

– Kierowcą. Cha, cha, cha! – Pan Andrzej się roześmiał.  
– Nie rozumiem? – zapytałam.  
– Każdy ma swoje tajemnice. A ja nie jestem od tego, by o obcych gadać. No chyba że już nie żyją. Mogę jedynie powiedzieć, co wiem. Ta willa należała kiedyś do Dworaka. Fabrykanta z Łodzi.

To już wiedziałam. Ale to nie była ta historia, którą chciałam usłyszeć.

– Najpierw dolej mi jeszcze herbatki i podaj ten koc, co leży na ławie w pokoju. Już nie te lata, co kiedyś, kiedy człowiek do północy siedział na trawie.

*Cóż ja mam ci opowiedzieć. Zacznę od początku. Czy coś wiem? Wiem. Mieszkalem tu jakiś czas, przyjaźniłem się z tym i owym. A w zasadzie wprowadziłem się tutaj ponownie w latach dziewięćdziesiątych. Wcześniej byłem zupełnie gdzie indziej. Może i ta historia nie sięga pierwszej wojny, ale muszę ci opowiedzieć od początku, byś wszystko wiedziała.*

*Gdy wybuchła pierwsza wojna, nie było lekko. To wiadomo. Szczególnie tym, co nie mieli co do garnka włożyć. Bieda była przeokropna.*

*No, ale byli też bogacze, jak zawsze. I przecież im należały się wyjazdy i wypoczynek. Bo tacy byli zmęczeni! Przed wojną jeździli do kurortów, za granicę, a potem się bali. Obawiali się, że gdy wyjadą, to mogą do domów już nie wrócić.*

*Jeździli zatem do podlódzkich wsi, które wcześniej w ogóle nie wydawały im się atrakcyjne. Adelmówek, Wiśniowa Góra, Kargulec czy Rogi. Powiesz Szymonowi, to cię zabierze, zobaczysz sobie, bo widziałem, że twój samochód nie dał rady na naszych drogach.*

*Również Ruda Pabianicka cieszyła się popularnością wśród bogatych łodzian. Pełno tutaj było willi letniskowych. Tak jak i ta. Willa Henryka Dworaka. Najwięcej chyba ich było w Lesie Rudzkim, chociaż nie było wtedy tam tak pięknie jak teraz. Tylko drzew dużo mniej, zniszczone wszystko. Biedni ludzie na opał las wyrąbali.*

*Jednak na początku wojny Ruda ucierpiała dużo mniej niż okoliczne letniska i zawsze tutaj ktoś przyjeżdżał.*

*W czasie wojny też przyjeżdżali. Tramwaj był do Rudy i kolejka. Ale ja chyba*



*nie o tym chciałem. O historii tego domu twojego powinienem... Znałem tam ich wszystkich, niektórych z opowieści, ale tak dużo o tym wszystkim myślałem, że wydaje mi się, że to starzy dobrzy znajomi. Gdy zamykam oczy, potrafię przywołać z pamięci te wszystkie obrazy, o których ci opowiem.*

*Pan Henryk Dworak, fabrykant z Łodzi, kupił willę tuż po pierwszej wojnie. Dobry to był człowiek. Nie ma nic lepszego jak po śmierci zostawić po sobie dobre wspomnienia.*

*Dworak nie skąpił grosza, komu trzeba było, pomógł. Kilkanaście procent zysku przekazywał na cele dobroczynne, na kościół, na szkoły. Dla pracowników fabryki i ich rodzin ufundował łóżka w łódzkim szpitalu. Gdy ktoś miał kłopot i zwrócił się do Henryka, ten zawsze mu pomógł. Kochali go ludzie. Był naprawdę dobrym człowiekiem. A jaki wykształcony! W młodości uczył się w Lipsku na dyrygenta oraz grał na różnych instrumentach. Przez kilka miesięcy podobno grał u cara w orkiestrze w Sankt Petersburgu. Po powrocie do Łodzi przez kilka lat był dyrygentem w chórze męskim. Potem doskonale dyrygował tymi swoimi fabrykami. Widać te szkoły też mu pomogły. Do czasu jednak, bo na zdrowiu podupadł. Ale o tym za chwilę.*

*Tutaj, w Rudzie, bywał sporadycznie. Na początku przyjeżdżał ze swoją żoną, ale ona aniółem to nie była. Zupełnie do siebie nie pasowali. Delikatna, chorowita od dziecka, każdy jej usługiwał od małego, więc była nastawiona wyłącznie na siebie. Marudna przeokropnie! Wszyscy zastanawiali się, dlaczego taki człowiek jak Henryk zdecydował się na to małżeństwo. Mówiono, że w grę wchodziły jakieś sprawy majątkowe. Tak to wtedy bywało. Nie żenili się ludzie, a majątki. To był aranżowany związek. Klara to była jakaś jego bardzo daleka kuzynka. Ich rodzice majątek chcieli pożenić, nie młodych. I tym sposobem zrobili im wielką krzywdę.*

*Przed ślubem Klara zapewniała go, że już długo nie pożyje. Bo blada, chora, wiecznie wzdychająca i nieustannie badana przez lekarzy. Znając jego dobre serce, zlitował się i zdecydował się nią zaopiekować. Jednak, na jego nieszczęście, żyła jeszcze dość długo, co rusz cierpiąc na inne choroby. Podobno doktora tak często wzywała, bo do niego miała wielką słabość. Służby w domu było mnóstwo, więc Henryk coraz częściej bywał tutaj, w Rudzie. Wielu tutaj uciekało. Jak nie od złego powietrza, to od niekoniecznie dobrej żony.*

*W latach trzydziestych Dworak zachorował. Przeprowadził się tutaj już na dobre, by wątłej żony nie zarazić. I w zasadzie dopiero wtedy zaczęła się ta cała historia. Sercem byłem w samym środku wydarzeń, mimo iż nie było mnie wtedy na świecie. Henryk był... Był dla mnie bardzo ważny. Czasem zastanawiam się, co by było, gdyby los o niektórych wydarzeniach zdecydował inaczej. Gdyby ludzie grający główną rolę w wydarzeniach, o których ci opowiem, podejmowali zupełnie inne decyzje. Chociaż... wtedy nie byłoby tego „tu i teraz”, wszystko byłoby całkiem inaczej. Pewnie nie siedzielibyśmy tutaj przy stole i nie wspominali starych*

*dziejów Rudy Pabianickiej. Być może nie byłoby nas nawet na świecie?*

Rozmowa z panem Andrzejem spowodowała, że nie umiałam myśleć o niczym innym niż o dawnych mieszkańcach domu i tym, co wydarzyło się później. Już wiedziałam, że dom był letniskową willą fabrykanta, Henryka Dworaka, ale jak trafił później do pani Stefanii? Pamiętałam, że mówiła mi, że to bardzo zawiła historia. Miała mi opowiedzieć wszystko „w swoim czasie”. Niestety już nie zdążyła.

Pan Andrzej obiecał, że opowie wszystko, co wie. Jednak tamtego dnia stwierdził, że nie da się przekazać całej historii w jeden wieczór.

– Na dzisiaj koniec – powiedział i wstał z krzesła.

– Panie Andrzeju! Jeszcze pan nie zaczął, a już pan kończy! – zaprotestowałam. – Może jeszcze herbatę zrobię?

– Zosiu. Już pora na mnie. Ale jeszcze niejednokrotnie się spotkamy. Mam nadzieję, że nigdzie się nie wybierasz.

– Nie. – Uśmiechnęłam się. – Zamierzam spędzić tu sporo czasu. Może nawet całe życie?

– To bardzo dobry wybór – pochwalił pan Andrzej. – Tylko samotnie będzie ci w tym dużym domu.

– Kota przygarnę. Jeden się błąkał po ogrodzie.

– Kot nie zapewni ci wszystkiego, czego pragnie młoda kobieta.

Widząc mój wzrok, dodał:

– Ale na początek? Na początek może być.

– Oj, panie Andrzeju. Będę pana męczyć, aż poznam całą tę historię.

– I wilk syty, i owca cała – powiedział pan Andrzej. – Twoja ciekawość zostanie zaspokojona, a ja będę miał towarzystwo. Bo ze Stefanem i z kurami to ja sobie za bardzo nie pogadam.

Gdy odprowadzałam pana Andrzeja do drogi, zobaczyłam błyszczące oczy kota. Nie miałam nic, by go poczęstować, ale obiecałam, że to się zmieni. Wróciłam do domu, ukroiłam kilka plastrów kielbasy, której Szymon zapomniał zabrać i wystawiłam w miseczce na ganku. Po chwili kot nieśmiało wszedł na schody. Był rudy, tylko nad uchem miał białą plamkę. Spojrzał na mnie pytająco. Miałam wrażenie, że jego oczy były w dwóch różnych kolorach.

– No jedz, to dla ciebie! – Próbowałam go zachęcić.

Kot otarł się o moje nogi i zaczął łapczywie zajadać kielbasę.

Uśmiechnęłam się.

Byłam tu zaledwie dwa dni, a już się zadomowiłam. Nie dość, że miałam swój dom, to jeszcze rudego współmieszkańca. Rudego kota z Rudy Pabianickiej.

\*

Gdy pan Andrzej wszedł, a kot się najadł, wróciłam do sprzątanania. Na dole już wyglądało w miarę przyzwoicie, jednak nie mogłam pozbyć się wilgoci. Tak to jest, jak dom jest długo nieogrzewany. Mimo że cały dzień paliłam w piecu i w kominku, nadal było zimno i nie do końca przyjemnie. Jak pod namiotem w sierpniowe deszczowe dni.

Założyłam ciepły polar i czółówkę, wzięłam dodatkową latarkę i poszłam na strych.

Schody na strych wyglądały, jakby za chwilę miały się rozsypać. Niebieskie, obdrapane z farby drzwi były uchylone. Przez chwilę zawahałam się, czy w ogóle tam wchodzić.

Westchnęłam.

Zastanowiłam się wtedy po raz kolejny, czy to jest dla mnie właściwe miejsce. A przede wszystkim – czy to będzie odpowiednie miejsce dla mojego dziecka?

Fajnie, gdy jest duży dom, ogród. Ale czy ja sobie ze wszystkim poradzę? Z opieką nad domem, z jego sprzątaniami, czy poradzę sobie finansowo? Czy ja go utrzymam, ogrzeję? A jak po remoncie zaczną się kolejne remonty? I jak dziecko się urodzi, to przecież będzie mi trudniej.

Chyba miałam zły dzień.

Dopadły mnie wspomnienia i tęsknota. Za tym, co dobrze znałam. Za domem, panią Stefanią i może nawet trochę za Markiem. Ale nie za tym Markiem, który mówił mi, że to koniec, że jest ktoś inny, tylko za tym, który biegł za mną najszybciej jak się dało i kąpał się wraz ze mną w Bałtyku, śmiejąc się głośno i skacząc przez fale. Miałam wrażenie, że to działo się tak dawno temu.

Czy go kochałam? Nie wiem. Było mi przykro, że coś, w co wierzyłam tyle czasu, przysnęło tak nagle. Wiedziałam jednak, że na zawsze pozostaniemy ze sobą związani. Miałam być matką jego dziecka. To mężczyznę i kobietę zawsze łączy – czy tego chcą, czy też nie.

Będę musiała mu powiedzieć, że jestem w ciąży.

Kiedy? Nie wiem. Nie teraz. Na pewno nie teraz. Powiem mu wtedy, kiedy będę gotowa. Kiedy to nastąpi – nie wiedziałam.

Stałam na ciemnym strychu, z czołówką na głowie i drugą latarką w dłoni i próbowałam zobaczyć, co tam się znajduje. Ciężko było dostrzec cokolwiek w tym bałaganie. Od dawna nikt tutaj nie zaglądał. Nie było śladów kogokolwiek oprócz pajaków.

Pajęczyny.

Nie pamiętam, czy były pajęczyny, ale na starych strychach przecież zawsze są. Jak pajęczyny, to i pajaki. Wzdrygnęłam się. Niezbyt lubiłam te stworzenia.

– Zosia? – Usłyszałam z dołu.

Najwyraźniej przyszedł Szymon.

– Tutaj! Na strychu! – zawołałam.

Po chwili zobaczyłam go w drzwiach. Luna ciekawie zaglądała do środka.

– Boże, a ty już nie masz gdzie chodzić?

– Musiałam zobaczyć, co tutaj jest. – Uśmiechnęłam się. – W końcu wypadałoby wiedzieć, co znajduje się w moim domu.

– A nie możesz zacząć od dołu?

– Dół chwilowo mi się znudził.

– Rozkapryszona jesteś. – Roześmiał się. – I rozpieszczona!

– Bardzo! – potwierdziłam.

Przybliżył się do mnie zbyt blisko. Zdecydowanie naruszył moją osobistą przestrzeń. Przestraszyłam się. Dłonią dotknął moich włosów. Wstrzymałam oddech.

– Pajęczyna – powiedział.

Odetchnęłam z ulgą.

Zdecydowanie nie byłam gotowa na jakąkolwiek bliskość mężczyzny. Poza tą, która ratowała mnie przed pajakami czy innym złem tego świata.

\*

Ze strychu zabrałam małą szkatułkę. Nawet nie sprawdziłam, czy jest otwarta.

– Nie zajrzysz? – zapytał Szymon.

– Zajrzę na dole.

– Masz cierpliwość. – Pokręcił głową.

Zeszliśmy na dół. Zrobiłam herbatę w porcelanowych filiżankach, które

znalazłam w kredensie, i usiedliśmy przy stole. Skrzynka stała pomiędzy nami.

– Otwórz – powiedział.

– Za chwilę.

Wstałam z krzesła i poszłam do kuchni po ściereczkę. Lekko ją zmoczyłam i przetrąłam kuferek z kurzu.

– Myślisz, że to będzie tak jak w tej bajce o Alladynie? – zapytał Szymon. – Jak wytrzesz skrzyneczkę z kurzu, to pojawi się jakiś przystojny dżin, który spełni twoje trzy życzenia.

– To by było całkiem miłe – powiedziałam.

– A czego byś sobie zażyczyła? – zapytał.

– Czego? – Zastanowiłam się. – Nie wiem.

Naprawdę nie wiedziałam. Czy taki dżin mógłby wszystko? Mógłby przywrócić życie pani Stefanii, sprawić, by Marek nigdy nie pojechał na te narty, a ja byłabym szczęśliwa? Ale czy tego bym chciała? Przecież gdy siedzę tutaj przy stole w moim własnym domu, z mężczyzną, w którego towarzystwie czuję się dobrze, to jestem szczęśliwa. Czyli trzecie życzenie spełnione.

– Może lepiej niech tam nie będzie dżina – powiedziałam.

– Nie wiedziałabyś, o co go prosić?

– Boję się prosić o cokolwiek. Czasem marzenia spełniają się w nieco inny sposób, niż tego oczekujemy.

– A coś już się spełniło?

– Czy ja wiem? Marzyłam kiedyś o domu z ogrodem.

– I masz.

– I mam – potwierdziłam.

– A ty jakie marzenie byś wypowiedział?

– A myślisz, że dżin potrafi przywołać z powrotem tych, o których wiemy, że nigdy z nami nie będą?

– Myślę, że tak.

– To właśnie takie. Mogłoby być tylko jedno. Nie potrzebuję trzech spełnionych marzeń. Mógłbym dwa oddać tobie.

\*

Siedzieliśmy jeszcze przez chwilę przy herbacie. Rozmowa nagle przestała się kleić. Jakby ktoś faktycznie rzucił na nas urok.

– To co? Otwierasz skrzynkę?

– Tak. Jak myślisz, co tam naprawdę jest?

– Skarby.

– A jeżeli nie ma nic? – zapytał.

– Zawsze może być takie ryzyko, że to, na co czekamy, nie okaże się tym wymarzonym.

- Tak. Dlatego czekanie jest fajne.
- Ekscytujące – przyznałam.
- Możemy sobie wyobrazić, że jest tam wszystko.
- A jak się rozczarujemy?
- Czasem tak w życiu bywa. Że coś lub ktoś, kto wydawał nam się fascynujący, nagle jest rozczarowaniem.
- Już ja to wiem najlepiej.
- Tak?
- Tak.

Tamtego wieczora nie chciałam mu opowiadać nic więcej. On też o nic nie pytał. Siedzieliśmy chyba do północy w milczeniu i nie otworzyliśmy starej skrzynki.

Wydawało nam się, że tak będzie lepiej. Czasem dobrze jest żyć chwilą. Cieszyć się tym, co jest i nie otwierać nowych drzwi. Może oboje baliśmy się tego, co przyniesie przyszłość?

\*

Szymon wyszedł po północy. Oczywiście namawiał mnie, bym spała u niego, ale postanowiłam tę noc spędzić w domu.

- Gdzie ty będziesz spała? – zapytał, rozglądając się wokół.
- W kuchni. – Roześmiałam się. – Tam chyba najcieplej.
- Była taka rosyjska bajka o Iwanuszkę Głuptasku, który sypiał na piecu.
- O właśnie. Taki mam zamiar.
- Tyłek sobie przypalisz – stwierdził. – Chodź, Luna. Dzisiaj nie będziemy mieli towarzystwa.

Luna niechętnie wstała z podłogi.

– Jutro przyjadę i ci tę oponę zmienię – powiedział Szymon. – Miałś wbity kawałek jakiegoś metalu.

- Dziękuję.
- Do jutra. Dobranoc. Gdybyś jednak zmieniła zdanie, dzwoń.
- Jasne. Dobranoc.

Gdy otworzyłam drzwi, wsunął się przez nie kot. Luna nawet nie zareagowała.

– Chyba nie będziesz sama tej nocy. – Szymon się uśmiechnął. – Musisz go jakoś nazwać. – Wskazał na kota.

– On już się nazywa – powiedziałam. – To jest Rudy. Rudy Pabianicki. Przecież to jasne!

\*

Pierwsza wspólna noc z Rudym była dość ciężka. Miauczał i chciał wyjść.

Gdy tylko go wypuszczalam i zdazyłam zasnąć, stawał na parapecie, drapał w szybę, płakał, prosząc w ten sposób, bym go wpuściła. I tak kilka razy.

– Tak to my się nie dogadamy, kocie – stwierdziłam nad ranem, ziewając.

Rudy usadowił się na fotelu i wydawało się, że spał w najlepsze. Byłam jednak pewna, że jeżeli położę się z powrotem, natychmiast będzie chciał wyjść.

Zaparzyłam sobie kawę. Nie miałam wysokiego ciśnienia, więc w ciąży nie musiałam jej ograniczać.

Skuliłam się w drugim fotelu i przykryłam kołdrą. Na kolanach postawiłam sobie tę skrzynkę, którą wczoraj znalazłam. Otworzyłam ją. Bez zastanowienia. Po prostu.

Zawiasy skrzypnęły.

Z ciekawością zajrzałam do środka. Znajdowały się tam głównie wycinki z gazet. Wszystkie były ładnie związane niebieską wełną. Pod wycinkami leżała książka *Więcej niż miłość*, najprawdopodobniej romans, pod nią kilka gazet.

Potem zobaczyłam kolczyki. Serce zabiło mi mocniej. To były kolczyki idealnie pasujące do naszyjnika, który kiedyś dostałam od pani Stefanii.

Poczułam się, jakby wokół mnie krążyła magia. Może nie było to spełnianie życzeń przez dzina, ale z pewnością zrobiło się magicznie.

Wszystko po kolei wyjęłam i układałam na stoliku. Zasuszonej gałązki kwiatów nie wyciągnęłam. Bałam się, że się rozsypie.

W skrzynce były też dwa różnej grubości szydełka, mały zwinięty kłębuszek niebieskozielonej wełny i poduszczyk z powpinanymi w nią igłami.

Rozplątałam zasupłaną wełnę. Wycinki z gazet rozsypały się. Był tam nekrolog, informacja o pożarze, reklama kursów szycia u niejkiej Grynblatowej, artykuł o Wesołym Domku madame Wróblewskiej i jakaś informacja o domu schadzki na Czarnej Drodze. Na samym dnie leżały kolczyki. Tak bardzo pasujące do naszyjnika, który dostałam od pani Stefanii. To niemożliwe!

Uśmiechnęłam się. Skarby.

Wzięłam do ręki stare gazety. Inny język, zupełnie inne czasy. Ale z jakichś powodów ktoś tam te wycinki schował. Tyle lat.

Wycinki z gazet zawierały również kilka wzorów na szydełko, informację o najnowszej modzie oraz kilka przepisów kulinarnych.

Miałam wrażenie, że kogoś podglądam. Być może ktoś dawno temu również siedział w tym fotelu i czytał te gazety. Z jakichś powodów właśnie te wycinki były dla niego ważne. Chyba dla niej. Byłam pewna, że te skarby należały do kobiety. Ciekawiło mnie niesamowicie, co w tym czasie czuła, o czym myślała. To były zupełnie inne czasy, ale chyba ludzie zawsze są tacy sami. Niezależnie od tego kiedy się urodzili i gdzie.

\*



Nawet nie wiem, kiedy zasnęłam skulona w fotelu i przykryta kołdrą. Obudziłam się, widząc nad sobą twarz Szymona.

– Dziewczyno, może ty byś zamykała drzwi? – zapytał. – Ja rozumiem, że to prawie wieś i wszyscy się znają, ale bez przesady!

– Miałam zamknięte. Ale Rudy wciąż wchodził i wychodził.

Teraz kot, obwąchiwany przez Lunę, udawał martwego.

– Ona kocha wszystkie stworzenia – powiedział Szymon. – Bardziej bałbym się, że to on ją uszkodzi.

– On twierdzi, że nie żyje – powiedziałam. – Przynajmniej na takiego wygląda.

– Złudzenie.

– Chciałabym, by tak udawał w nocy. – Ziewnęłam chyba po raz dziesiąty tego poranka.

– Nie dał pospać?

– Wcale.

– Widzę, że czarodziejski kufer został otwarty. Nie jesteś zawiedziona?

– Nie. Znalazłam kolczyki pasujące do naszyjnika, który kiedyś dostałam.

Dziwne uczucie. Jakby mi ktoś przesyłał wiadomość z przeszłości. Teraz się zastanawiam, kto i dlaczego włożył tutaj akurat takie rzeczy. Komu mógł być potrzebny artykuł z gazety o tym, że na Czarnej Drodze jest dom schadzek?

– Czarna Droga to tutaj.

– Nawet nie wiedziałam. Może to ten dom?

– Nie wiem. Z tego, co słyszałem, to tutaj było całkiem przyzwoicie.

Luna pisnęła i odskoczyła od Rudego. Najwyraźniej zdecydował się przestać udawać martwego, by pokazać czworonożnemu intruzowi, kto w tym domu rządzi. Luna szybko zaakceptowała jego przewagę. Rudy miauknął i poszedł dalej spać.

Dni mijały. Byłam już w Rudzie ponad tydzień. Poznałam wszystkich liczących się mieszkańców, a przynajmniej tak twierdził pan Włodek. Panią Krysie, sprzedawczynię z małego sklepiku (prywatnie żonę pana Włodka), kilku kuzynów mojego elektryka i chyba ze trzech jego braci. Każdy z nich był mi przedstawiony z należytych pietyzmem. Jeden naprawiał samochody, inny był szklarzem, jeszcze inny policjantem. Podobno był jeszcze jeden, który został księdzem. Pan Włodek obiecał, że przedstawi mi go natychmiast po tym, jak wróci z wakacji. Bo teraz pojechał na pielgrzymkę, gdzieś strasznie daleko, pan Włodek zupełnie nie wiedział gdzie, ale istniało ryzyko, że stamtąd nie wróci.

– To gdzie on pojechał, panie Włodku?

– Nie wiem, pani Zosiu. Ale wszędzie czyhają na człowieka niebezpieczeństwa. Takie ogromne, że nawet opatrzność Boża nie pomoże.

– No czasem na nią liczymy.

– I możemy się przeliczyć. A ten mój brat dobry człowiek. Chociaż jak powiedział, że idzie na księdza, mama i babcia płakały. Każda z innego powodu. Babcia z rozpaczy, a mama ze wzruszenia. Ja kobiet nigdy nie zrozumieję, pani Zosiu.

Roześmiałam się.

Powoli zaczynałam się tutaj czuć jak w domu. Już nie byłam na wakacjach. To był mój dom. Przywiesiłam kilka obrazków, które znalazłam na strychu, zabrałam się również za renowację mebli. Zawsze marzyłam, by mieć na to czas. Pojechałam do Łodzi na duże zakupy, kupiłam białą farbę do szafek kuchennych,

bo postanowiłam zacząć od kuchni. Pani Stefania zawsze mówiła, że kuchnia jest sercem domu. Miałam nadzieję, że wkrótce moje rudzkie serce będzie czyste, ciepłe i pachnące ciepłem domowego ogniska.

\*

Rudy Pabianicki zadomowił się w willi chyba jeszcze szybciej niż ja. Oczywiście najpierw musieliśmy pójść na pewne kompromisy. Wy tłumaczyłam mu, że jeżeli chce ze mną spać, najpierw musi zostać przebadany na obecność wszelakich skaczących po nim intruzów. Pojechaliśmy do weterynarza. Rudy niespecjalnie lubił jeździć samochodem. Gdy wróciliśmy, nic nie wskazywało na to, że jeszcze kiedykolwiek zapragnie spać wraz ze mną. Jednak ciepłe łóżko było sporym wabikiem. Jeszcze tego samego dnia wieczorem zmienił zdanie.

Musieliśmy się też dogadać w kwestii odżywiania. Nie podobało mi się to, że dziwnym trafem wołowina z rosółu znalazła się rano tuż obok jego miseczki. No cóż. Moja wina, trzeba było przykryć na noc rosół.

Niemniej jednak, sądząc po oblizywaniu się przez pół dnia, mięso udało się znakomicie. Jednak nie miałam zamiaru tego powtarzać.

Rudy zaczął również sypiać w nocy, a rozrabiać w dzień, jak każdy szanujący swojego współlokatora kot.

Czy mogło być lepiej?

Ciasto w piekarniku, mój nos pomazany białą farbą, kot ocierający się o nogi, a wieczorami gorąca herbata, ogień w kominku i lektura powieści z początku dwudziestego wieku. Powieści, która wzbudzała we mnie wybuchy śmiechu pewnie zupełnie nie w tych momentach, w których oczekiwałyby tego autorka.

Dobrze mi było w tym moim nowym świecie. I gdy zasypiałam z mruczącym Rudym gdzieś pod moją ręką, która wytrwale go drapała, pomyślałam, że nie chcę teraz nic zmieniać w moim życiu. Stwierdziłam, że szybko schowałabym z powrotem tego dzina spełniającego marzenia do szkatułki i powiedziała, by przyszedł, kiedy będzie źle.

No cóż.

Czasem słowa wypowiedziane w niewłaściwą godzinę obracają się przeciwko nam.

Kilka dni później od rana źle się czułam. Pobolewał mnie brzuch. Nawet zadzwoniłam do mojego lekarza, kazał wziąć coś przeciwskurczowego i odpoczywać. Więc odpoczywałam na tyle, na ile można było odpocząć w moim domu. Przyniosłam kilka suchych gałęzi, a potem poszłam po węgiel do komórki. Gdy wracałam, znowu napotkałam tę dziwną kobietę.

Nie miałam zbyt ochoty na rozmowę, ale ona chyba chciała mi coś powiedzieć. Coraz częściej miałam wrażenie, że ta kobieta nie jest do końca normalna. Zawsze zapominałam o nią zapytać pana Andrzeja lub Szymona.

– Dzień dobry. – Kiwnęłam ręką.

– Czasami dzień nie będzie dobry – powiedziała zagadkowo. – A czasem dzień jest dobry, a noc jest dużo gorsza. – Westchnęła. – Ale nie przejmuj się. Tylko patrz wokół, uważnie. I nie ufaj tym, którym kiedyś przestałaś ufać. Bo to nie zawsze jest dobre.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Poczułam się niepewnie, jak zawsze w jej towarzystwie. Przychodziła nie wiadomo skąd i zniknęła gdzieś za lasem. Nikt oprócz mnie jej nie widział. Jakby w ogóle nie istniała. Bardzo dziwna kobieta.

– Odpoczywaj – powiedziała. – Jak będziesz mądra, wszystko się dobrze skończy. – Swoim zwyczajem zniknęła za drzewami.

Podniosłam ciężką węglarkę i weszłam po schodkach do domu. Dołożyłam do pieca, wstawiłam rosół z czegoś, co nie wyglądało jak kura ani inne znane mi zwierzę (miałam tylko nadzieję, że tym razem Rudy się nie połakomi), przestawiłam fotel bliżej pieca, wzięłam książkę do ręki i zaszyłam się pod kocem.

Nie mogłam jednak skoncentrować się na czytaniu.

Poprzedniego dnia malowałam na biało meble w kuchni, powinnam już dokończyć swoją pracę, bo zostawiłam wszystko rozgrzebane w połowie i strasznie mi to przeszkadzało. Na podłodze leżały stare gazety i wszędzie było czuć zapach kredowej farby. Jednak doktor Poniatowski kazał odpoczywać, więc grzecznie siedziałam w fotelu z książką. Pożyczyłam od Szymona *Ginekologów* Thorwalda, ale, zważając na mój stan, nie miałam za bardzo ochoty na zgłębianie historii ginekologii.

W jednym z pokojów na piętrze znalazłam stare książki i pozszywane przez introligatora gazety. Niektóre z nich były jeszcze przedwojenne. Zapowiadała się wspaniała lektura. Nie dane mi było jednak długo czytać, bo ktoś zapukał do drzwi.

– To ja. – Usłyszałam. Po chwili drzwi się otworzyły i wszedł Szymon, a za nim wbiegła Luna, zupełnie nie zwracając uwagi na kota, który leżał na fotelu. – Znowu nie zamknęłaś drzwi! – powiedział karcąco.

– Zapominam.

– Psa ci będę pożyczał.

– Z wielką przyjemnością. – Uśmiechnęłam się. Luna spojrzała na Szymona z wyrzutem.

– Widzę, że dzisiaj leniwie – powiedział.

– No trochę. – Uśmiechnęłam się. – Wczoraj się napracowałam.

– Co robiłaś?

– Pomalowałam prawie wszystkie meble w kuchni – pochwaliłam się. – Oszlifowałam i pomalowałam.

– To dlatego tu tak śmierdzi farbą! – Skrzywił się.

– No trochę. Ale one nie są toksyczne.

– Ale też nie są przyjemne! Może wywietrzymy dom, a przy okazji też siebie? – zapytał. – Może mimo zaplanowanego lenistwa masz ochotę na spacer?

Nie wiedziałam, co mu powiedzieć. Nie bardzo miałam nastrój na piesze wędrówki. Brzuch bolał mnie coraz bardziej, chyba tabletki nie pomogła. Czułam, że coś jest nie tak. Martwiłam się.

– A może posiedzimy tutaj. Zrobię herbatę i popatrzymy na świat przez okno? – zaproponowałam. – Nawet wczoraj szyby tutaj umyłam.

– Leniuch. – Pokręcił głową.

Luna położyła się tuż przy piecu, łeb oparła na moich stopach. Rudy poczuł się chyba zazdrosny, bo wskoczył mi na kolana.

– Dwa do jednego. A nawet trzy. Nikomu się dziś nie chce iść na spacer – powiedziałam. – To co? Herbata czy kawa?

– No dobra. Kawa. A potem rosół. Mam nadzieję, że nie z Janiny albo Malwiny...

– Nie. – Roześmiałam się. – Z Krystyny również nie.

– To całe szczęście. – Odetchnął z ulgą.

Wstałam z fotela i poczułam nagły skurcz. Złapałam się za brzuch.

– Wszystko w porządku? – Szymon się zaniepokoił.

Pokiwałam głową, ale wiedziałam, że nie jest w porządku. Poczułam ciepło pomiędzy nogami. Na jasnych jeansach zobaczyłam powiększającą się plamę krwi.

Popatrzyłam przerażona na Szymona. Zrobiło mi się słabo. Chyba pobladłam.

– Połóż się. – Zdecydował. – Czy to miesiączka?

Pokręciłam głową. Byłam zbyt przerażona, by mówić. Chciałam, jak najszybciej dostać się do szpitala.

– Jesteś na coś chora?

– Nie – wyszeptałam.

– Data ostatniej miesiączki? – pytał mnie jak zawodowy lekarz.

– Szymon. Ja jestem w ciąży – powiedziałam.

Nie wyrażając żadnych emocji, pytał dalej.

– Robiłaś test?

– Robiłam – potwierdziłam – Dwunasty tydzień.

– Bierzesz jakieś leki?

– Nie. Wzięłam tylko no-spę.

– Okej. Jedziemy do szpitala. Gdzie masz piżamę?

– W moim łóżku, na piętrze.

– Dobra. Piżamę biorę, resztę będziemy załatwiać.

\*

Zachowywał się jak maszyna. Krok po kroku organizował wszystko, co powinno być załatwione. Po chwili siedziałam już w samochodzie. Spakowana torba leżała w bagażniku. Chyba nie zapomniał o niczym, nawet o szczoteczce do zębów.

Jechał skupiony. Kilka razy próbował się do kogoś dodzwonić. W końcu ten ktoś odebrał. Szymon miał w samochodzie zestaw głośnomówiący, więc wszystko słyszałam.

– No, Szymek! Co się takiego stało, że do mnie dzwonicz? Święto...

– Jacek, jesteś teraz na dyżurze? – przerwał mu w połowie zdania.

– Jestem, co się dzieje? – Głos był wyraźnie zaniepokojony.

– Jedziemy do ciebie. Cięża, dwunasty tydzień, mocne krwawienie.

– Czekam na was. Na dole w gabinecie – powiedział mężczyzna.

– Pięć minut. – Szymon rozłączył się. – Jedziemy do mojego przyjaciela – powiedział już do mnie. – Jest szefem kliniki. Najlepszy lekarz w okolicy.

Pokiwałam głową.

– Boję się, że to koniec – powiedziałam. – Naprawdę boję się, że już po

wszystkim.

– Trzeba być dobrej myśli – uspokajał mnie. – Może powinnaś powiadomić ojca dziecka? – dodał po chwili.

– Nie – powiedziałam stanowczo. Na samą myśl o Marku robiło mi się słabo. – Zdecydowanie nie. On o niczym nie wie i niech tak pozostanie.

– Okej. – Szymon nie kontynuował tematu.

\*

Pod wielki budynek zajechaliśmy już po kilku minutach. Szymon pomógł mi wysiąść z samochodu. Na podjeździe dla karettek czekała na nas pielęgniarka z wózkiem.

– Dzień dobry, panie doktorze – powiedziała.

– Dzień dobry. – Szymon posadził mnie na wózku.

– Jesteś lekarzem? – Zdziwiłam się.

– To długa historia. Kiedyś może ci opowiem. – Wziął wózek od pielęgniarki i poprowadził go do środka.

Tam czekał już na mnie mężczyzna w białym fartuchu, kolega Szymona.

– Wejdźcie – zaprosił nas do gabinetu.

Szymon pokręcił głową.

– Nie. Nie. Ja tu zostanę.

– Wejść sama – powiedziałam. Pielęgniarka zawiozła mnie do gabinetu. Zza niedomkniętych drzwi usłyszałam pytanie lekarza.

– Szymon, to twoje dziecko?

– Nie. Ale ona jest dla mnie ważna.

Oczy mi się zaszklily. Tak bardzo chciałam, by jeszcze dało się wszystko uratować.

\*

Pielęgniarka pomogła przygotować mi się do badania. Po chwili wszedł lekarz. Kilka minut i było już wszystko wiadomo. Niestety serce już nie biło. Straciłam moje dziecko, zanim naprawdę zaczęłam je czuć. Wyszłam z gabinetu o własnych siłach, nie był mi potrzebny już wózek. Szymon siedział pod drzwiami. Nie musiałam nic mówić. Wiedział. Przytulił mnie mocno, a ja wybuchnęłam płaczem.

Nie widziałam nawet lekarza, który stał tuż za mną i pokręcił głową.

– Musimy położyć panią do szpitala na zabieg.

– Jaki zabieg? – zapytałam przerażona.

– Łyżeczkowanie jamy macicy. Znieczulenie dożylnie, zaśnie pani na chwilę, potem się pani obudzi już po wszystkim.

– Po wszystkim – powtórzyłam, ze strachem patrząc na Szymona.

- Zostawimy panią potem na chwilę w klinice...
- Ja wezmę ją do domu – powiedział Szymon.
- Okej. Jadła coś pani dzisiaj?
- Pokręciłam głową.
- Nie mogłam.
- To dobrze – powiedział lekarz.
- Szymon złapał mnie za rękę.
- Trzymaj się, mała – powiedział. – Za chwilę wezmę cię do domu.
- \*

Pielęgniarka zaprowadziła mnie do gabinetu zabiegowego. Położyłam się w fotelu, poczułam ukłucie. A potem się obudziłam i zobaczyłam nad sobą twarz Szymona. Było mi strasznie zimno.

- Zabieram cię do domu – powiedział.

Usiadłam na wózku, zawiózł mnie do samochodu. Było mi słabo i czułam dreszcze. Najbardziej chciałabym zasnąć i się już nie obudzić. Choćby przez najbliższe kilka dni.

Jakie to życie jest kruche. Był mały człowiek i nie ma człowieka. Jeszcze niedawno z niedowierzaniem słuchałam bicia jego serca, a teraz to małe silne serce przestało już bić.

Łzy ciekły mi po policzkach i wciąż się trzęsłam. Nie wiem, czy z zimna, czy też ze stresu. Szymon zdjął swoją kurtkę i mnie nią okrył. Wsiadł za kierownicę i uruchomił silnik.

- Chcę do domu – powiedziałam.
- Jedziemy do mnie – stwierdził stanowczo.

Nie dyskutowałam z nim. Wiedziałam, że i tak zrobi to, co postanowił.

Po chwili dojechaliśmy do niego. Luna z radością wybiegła z samochodu. Za długo była w nim zamknięta. Z trudem doszłam do mieszkania. Tam położyłam się na tapczanie. Szymon przykrył mnie kołdrą i dwoma kocami.

- Chcesz mój dres? – zapytał.
- Nie – powiedziałam. – Mam piżamę.
- Wyciągnął z torby niebieską polarową bluzę i spodnie.
- W tym będzie ci ciepło – powiedział. – Pomóc ci się przebrać?
- Dam radę.

Wyszedł, a ja w tym czasie się przebrałam. Leżałam w tym pokoju tak niedawno, a wydawało mi się, że było to w zupełnie innym życiu. Te same zdjęcia na ścianach, te same książki. Prawie te same. Brakowało kilku, które pożyczyłam od Szymona. Wtedy byłam pełna nadziei na wspaniały czas. Teraz miałam wrażenie, że straciłam wszystko. Nawet nadzieję. Oprócz tego winiłam siebie za myślenie o tym, że nie dam rady znieść trudów samotnego macierzyństwa.



Wydawało mi się, że los wysłuchał moich narzekań i zrobił wszystko po swojemu.

Po chwili Szymon wrócił z herbatą.

– Już ci trochę cieplej? – zapytał.

– Cieplej – potwierdziłam.

– To dobrze. Powinnaś teraz spać – powiedział. – My z Luną będziemy cię pilnować.

– Raczej nie zwieję. – Uśmiechnęłam się słabo.

– Mam nadzieję. – Poglaskał mnie po dłoni. Zaraz po tym poczułam na swojej ręce mokry język Luny.

– Zobacz, jakie to niesprawiedliwe. – Westchnęłam. – Ktoś jeszcze nie zdążył się nażyć na tym świecie, a już go zabierają. Za wcześnie, stanowczo zbyt wcześnie.

– Wiele ludzi odeszło zbyt wcześnie. – Zamyślił się Szymon. – I to bardzo często ci najbardziej przez nas kochani. Nigdy się do tego nie przyzwyczaimy. I chyba nigdy nie nauczymy się z tym żyć.

– Możesz podać mi telefon? – zapytałam. – Muszę zadzwonić do mamy.

\*

Ta rozmowa nie należała do łatwych. Nie mogłam wydusić z siebie słowa. Dopiero po chwili, gdzieś poprzez łzy powiedziałam, co się stało. Chciała natychmiast przyjechać i mnie zabrać do domu.

– Mamo, naprawdę jestem pod dobrą opieką. I powoli zaczynam czuć, że właśnie tutaj jest mój dom.

Nie miałam za bardzo siły jej przekonywać do tego, że nie chcę by przyjeżdżała. Wiedziałam, że dla niej to byłoby duże zawodowe wyrzeczenie, a poza tym, a może przede wszystkim, nie chciałam jej pokazywać się w takim stanie. Nie chciałam też pokazywać jej domu, w którym mieszkam. Przynajmniej na razie, przed ukończeniem remontu. Na szczęście ją przekonałam. Obiecałam, że będę codziennie dzwonić i w razie czego przyjadę natychmiast.

Odłożyłam telefon z westchnieniem ulgi. Nie miałam ochoty już na rozmowę. Przynajmniej na rozmowę o mnie.

\*

– Szymon. Ta pielęgniarka powiedziała na ciebie „panie doktorze”. Jesteś lekarzem?

– Kiedyś. Byłem – powiedział cicho i ukrył twarz w dłoniach.

## CZĘŚĆ II

### SZYMON

*Problem ze świadomością polega na tym, że twoja przeszłość zawsze żyje gdzieś w tobie. Jeśli zapędzisz psa do kąta i przestraszysz go, to wyjdzie z niego wilk i cię pogryzie.*

Jonathan Carroll

– Jesteś lekarzem? – Jej pytanie, niczym echo, wielokrotnie zabrzmiało w mojej głowie.

– Jesteś lekarzem? – powtórzyła.

– Kiedyś. Byłem – mruknąłem cicho.

Chyba nie chciałem z nią rozmawiać na ten temat. Dla mnie to była przeszłość i nie miałem zamiaru do niej powracać. Tamto życie się skończyło. Dawno temu.

Ostatnio spędzałem z Zosią dużo czasu. Może zbyt wiele. Może za bardzo się angażowałem w niektóre jej sprawy, może za bardzo chciałem pomagać. Ale przecież na świecie w każdym momencie można znaleźć przyjaciela. I naprawdę można ludziom ufać. Nie wszyscy obrócą twoje zaangażowanie przeciwko tobie. Chyba.

Byłem bardzo ciekawy, co za drań ją zostawił i pozwolił wyjechać samej, zupełnie nie wiadomo gdzie. Bo przecież jechała w nieznane, do zupełnie obcego domu, do rudery bez wody, bez prądu. Nie mówiła, kim on był, więc nie pytałem. W ogóle mało o niej wiedziałem. Zbyt mało. Jednak byłem przy niej i trzymałem ją za rękę w jednym z najczarniejszych momentów jej życia. W moich najgorszych chwilach byłem sam. Nie chciałem widzieć nikogo, nie chciałem z nikim rozmawiać. Oczywiście wysyłali mnie do psychiatry, nawet jakiś czas łykałem jakieś antydepresanty, ale to wszystko nie miało sensu. To nie depresja ani zły humor mnie męczył co noc. Dokuczała mi samotność i to puste miejsce obok, na jej poduszce, które czasem sam specjalnie wgniatałem i wyobrażałem sobie, że właśnie poszła do łazienki. I że za chwilę przyjdzie pachnąca waniliowym

balsamem do ciała i nieśmiało poprosi, bym jej posmarował plecy, bo ona nie dosięga. Doskonale wiedziała, czym się kończyło to smarowanie pleców. Była dla mnie wszystkim. Wiosną, latem, jesienią i zimą. Mogłem z nią rozmawiać godzinami, ale też mogliśmy milczeć, wpatrując się w ogień w kominku, który rozpałałem każdego zimnego wieczora, bo ona bardzo to lubiła.

Miała zielone oczy i długie, jasne włosy, które zimą stawały się lekko rude. Ona chyba tego nie lubiła, ale ja nie chciałem, by farbowała. Zawsze mówiłem, że pozwolę jej na to dopiero, gdy na jej głowie znajdę tysiąc siwych włosów.

– Będiesz liczył? – Śmiała się.

– Będę. – Całowałem ją po tych jasnych włosach.

– Zajmie ci to całą noc! – Odpychała mnie.

– Może zająć. Mamy czas. – Przytulałem ją, jakbym nie chciał, by kiedykolwiek uciekła. Naprawdę wydawało mi się, że mamy bardzo dużo czasu. Wiedziałem, że mamy przed sobą życie. Życie, które miało nas pieścić wspaniałymi wydarzeniami i cudownymi momentami.

– Będę liczył całą noc. – Całowałem jej włosy.

– Nie wyśpisz się, Szymon! – wołała wesoło.

– Wyśpię się na starość – mówiłem zawsze. Gdy byłem z nią, żałowałem czasu na sen. Czasem, gdy ona spała, wpatrywałem się w nią, nie wierząc, że ona czuje to samo do mnie, co ja do niej. Było to niemożliwe.

Miała trochę piegów na nosie i na policzkach. Wszędzie miała piegi, chociaż bardzo denerwowała się, gdy leżałem obok niej i liczyłem te piegi, dotykając jej ciała centymetr po centymetrze. Miałem wrażenie, że doskonale znam mapę ciemniejszych kropek na jej ciele, ale co chwilę znajdowałem nowe. Denerwowała się i odpychała mnie, bym nie wypatrzył zbyt wiele.

Potem często kończyło się to radosną gonitwą po domu. Nie chodziliśmy nigdzie, lubiliśmy być razem w domu. Od zawsze.

Poznaliśmy się na kursach przygotowawczych na akademię medyczną. Ona była prymuską. Ja? Ja musiałem się bardzo natrudzić, by zapamiętać to, co ona zapamiętywała w kilka chwil. Myślę, że to dzięki niej w ogóle dostałem się na medycynę. Chciałem jej dorównać, zaimponować. Po części mi się to udało. Gdybym jej nie imponował, nie byłibyśmy razem.

Gdy ją poznałem, uwierzyłem w miłość od pierwszego wejrzenia. Dokładnie pamiętam ten pierwszy raz, gdy ją zobaczyłem. Był to październikowy sobotni poranek i szedłem właśnie na kurs przygotowawczy do egzaminów na studia. Dojeżdżałem ze Skierniewic do Łodzi, dlatego wybrałem sobotę, a nie codzienne popołudnia.

Siedziała zaczytana w podręczniku do biologii, marszczyła lekko nos i zagryzała ołówek. Przydługa grzywka opadała jej na oczy, a ona nic z tym nie robiła. Miałem ochotę podejść i założyć jej ten jasny pukiel za ucho. Nawet

pamiętam, jak była ubrana. Nigdy nie zapomnę tej krótkiej, zielonej, sztruksowej spódniczki i podartych, żółtych rajstop. Miała dziurę na kolanie jak mała dziewczynka.

– Pierwsza pomoc potrzebna? – zapytałem.

Popatrzyła na mnie, nic nie rozumiejąc.

– Mówię o kolanie.

– Ach! – Uśmiechnęła się – Biegłam do tramwaju.

– I nagle chodnik ci wyrósł na drodze?

– Właśnie! – zawołała – I krawężnik. Okropny krawężnik.

– Mogę opatrzyć ranę. Będę wkrótce lekarzem – powiedziałem, bo przecież wydawało mi się, że wystarczająco ważne było to, że zamierzam zdawać na medycynę. Chciałem jej zaimponować.

– Naprawdę? – Roześmiała się.

– Tak. Jeszcze nie wiem, kim będę, ale będę ratował świat. – Usiadłem obok niej.

– I ratowanie świata chcesz zacząć od mojego kolana?

– Najlepiej.

– Apteczkęnosisz przy sobie?

– Nie bardzo.

– To czym chcesz mi opatrzyć kolano?

– Na filmach zawsze odrywają sobie rękaw – powiedziałem poważnie. – Moje rękawy są do twojej dyspozycji.

Roześmiała się.

– I półnagi pójdziesz na zajęcia?

– Jakbym miał uratować czyjeś życie, mógłbym iść półnagi.

– Bohater!

– Jasne!

Już wtedy ją kochałem. Oczywiście nie zdawałem sobie z tego jeszcze sprawy, ale od tamtej pory chciałem o nią codziennie dbać, chronić ją, by nigdy więcej nie miała rozbitego kolana, podartych rajstop, by żaden jasny włos jej z głowy nie spadł.

– Szymek – przedstawiłem się.

– Magda.

– Biologię widzę trzymasz... Też na zajęcia?

– Tak.

– A ja wyskoczyłem z opatrywaniem ran. – Pokręciłem głową. – Pewnie sama byś zrobiła to lepiej.

– Nie wykluczam – powiedziała przekornie.

– A jaka pewna siebie!

– W tych czasach trzeba być pewnym siebie. Kto ma być ciebie pewnym,

jeżeli nie ty sam?

Magdę wychowywała babcia. Cudowna kobieta. Była dla niej najlepszym ojcem i najlepszą matką, jaką ktokolwiek mógł mieć.

Mieszkały w małej wiosce pod Częstochową. Rodzice Magdy zginęli w wypadku, gdy miała niespełna dwa lata. Nie pamiętała ich. Dla niej babcia była całym światem. Zupełnie się temu nie dziwiłem. Wychowała Magdę na mądrą, wrażliwą, pracowitą kobietę. Nauczyła ją też kochać.

Gdyby ktoś mi już wtedy powiedział, że zorganizował ślub, nasz ślub, i mam jutro iść do kościoła, bez wahania kupowałbym garnitur, suknię ślubną i bukiet dla niej.

Magda była moją przyjaciółką, kochanką, czasem pocieszycielką. Była dla mnie wszystkim. Te kilka lat, które spędziliśmy razem, były najszcześniejszymi latami w moim życiu.

Wiele rzeczy robiliśmy razem po raz pierwszy. Pierwszy raz pojechaliśmy pod namiot, obejrzelśmy pierwszy koncert pod gołym niebem, wypaliliśmy na pół pierwszego papierosa. Mieliśmy też pierwszy nieudany seks w małym domku w Bieszczadach. A potem już te wszystkie wspaniałe...

Nawet trawę paliliśmy po raz pierwszy gdzieś na imprezie, siedząc w toalecie na ziemi. W ogóle na nas nie podziałała. Woleliśmy jednak krwawą Mary.

Na studia dostaliśmy się oboje. Oboje również zamieszkaliśmy w akademikach na Lumumbowie. Mogliśmy sobie zaglądać w okna. Jednak to było dla nas stanowczo za mało. Często nocowaliśmy u siebie. Gdy tylko któryś z naszych współlokatorów wyjechał, od razu następowała wymiana. To były czasy, kiedy pani portierka bardzo nieprzychylnie patrzyła na takie akcje. Nie wiem, jak jest teraz.

Oczywiście byliśmy nierozłączni. Ta sama grupa na studiach, ci sami przyjaciele. Byliśmy jak yin i yang. Jedno nie mogło żyć bez drugiego.

\*

Magda zawsze chciała leczyć dzieci. Ja uważałem, że powinna odkrywać lekarstwa na nieuleczalne choroby. Była taka zdolna! Nie dorównywałem jej nawet w połowie. Najlepsza studentka na roku, stypendia, nagrody rektorskie, dyplomy i pochwały. Za cokolwiek się brała, to jej wychodziło. Ja nie wiedziałem dokładnie, kim chciałbym zostać. Oczywiście na początku każdy chce być kardiochirurgiem i jak profesor Religa nieść nowe nadzieje. Przywracać życie. Nie każdemu jednak będzie dana ta szansa.

Na studiach mieliśmy etap czytania Thorwalda. Zaczynaliśmy od *Stulecia chirurgów*, potem znalazłem jego artykuły w niemieckojęzycznym „Sternie”. Przeczytałem wszystkie. Były o ginekologii. Zaczytywałem się w nich. Już

wiedziałem, co chcę robić w życiu. Thorwald wywiera ogromne wrażenie na każdym, kto po niego sięga. Zdawałem sobie sprawę, że do tego jeszcze długa droga, ale Magda mnie nauczyła, że jeżeli się czegoś bardzo chce, to trzeba nad tym pracować. I jeżeli dajesz z siebie wszystko, nie ma szans, by się nie udało. I naprawdę tak właśnie było.

W moje dwudzieste pierwsze urodziny poprosiłem ją o rękę. Zrobiłem to zaraz po północy. Nie chciałem czekać ani sekundy dłużej. Urodziny mam latem, spędzaliśmy je tylko we dwoje.

Akurat o północy staliśmy na najdalej wysuniętym miejscu na północ. No prawie, w każdym razie wokół nas była pusta plaża, morze. Pamiętam, że to była wyjątkowo ciepła, lipcowa noc.

Magda miała na sobie białą sukienkę. Śmiałem się, że uszyła ją z pieluchy. Nawet się nie pomyliłem. Chyba była wtedy taka moda. Krótka, odsłaniająca jej zgrabne, opalone uda, ledwo zakrywała pupę. Na ramionach przytrzymywana była tylko przez dwa wąskie sznureczki, które tak lubiłem rozwiązywać jednym ruchem.

Nie miałem ze sobą kwiatów. Nie udało mi się tego utrzymać w tajemnicy. Chciałem ją zaskoczyć. Według prawa mogłem już wziąć ślub, to po co czekać dłużej? Byłem pewien, że chcę z nią spędzić resztę życia. Niczego wcześniej w życiu tak bardzo nie pragnąłem.

Pierścionek był niewielki, ze szmaragdowym oczkiem. Odkładałem na niego ze stypendium, które dostawałem dzięki pomocy Magdy. Ciągnęła mnie do góry. Pewnie gdyby nie ona, uczyłbym się całkiem przeciętnie.

Szmaragd w pierścionku wyglądał jak jej oczy. Uklęknąłem na tym piasku i mowę mi odjęło. Naprawdę nie mogłem nic powiedzieć. Spojrzała na mnie roześmianymi oczami i przytuliła moją głowę do swojego brzucha. Zacząłem ją całować, a potem kochaliśmy się na pustej plaży w blasku księżyca i gwiazd. Dopiero później, gdy po kąpieli w dość zimnym morzu ubraliśmy się, owinąłem



Magdę kocem, z kieszeni jeansów wyjąłem zawiniątko. Uklęknąłem jeszcze raz przed nią.

– Magda, wyjdiesz za mnie? – zapytałem drżącym głosem. Wiedziałem, co odpowie, ale mimo wszystko było to dla mnie niesamowite przeżycie.

– Tak! – powiedziała szybko. – Oczywiście, że tak!

– Kocham Cię. Na zawsze.

\*

Spędziliśmy na tej plaży całą noc. Rozmawialiśmy o naszej przyszłości. O tym, że kiedyś wybudujemy wspólny dom, że będą w nim biegały dzieci. Koniecznie dwójka albo trójka. Ona nie miała rodzeństwa, była sama, ja również byłem jedynakiem. Koniecznie chcieliśmy mieć dużą rodzinę.

Tak, dziwne, byliśmy tacy młodzi, a już snuliśmy konkretne plany. Wspólna przyszłość jawiła nam się niczym różowe niebo na horyzoncie, które wspólnie wtedy oglądaliśmy.

To był jeden z najpiękniejszych dni w moim życiu.

\*

Kolejnym był ślub w małym kościółku w jej rodzinnej wiosce. Tylko w towarzystwie jej babci, moich rodziców, naszego przyjaciela Jacka i jej najbliższej koleżanki z dzieciństwa.

Magda poszła do ślubu w długiej, zwiewnej sukience ślubnej swojej mamy i wianku z białych margerytek. Nie chciała welonu. Wianek sama uplotła o poranku z kwiatów, które jej nazrywałem. Myślała, że jej nie widzę. Stałem za drzewem i obserwowałem, jak siedziała na werandzie. Babcia obok niej. Rozmawiały, śmiały się. Tak jakby ten dzień nie był niczym szczególnym. Myślę, że odkąd zaczęliśmy być razem wszystkie nasze dni były szczególne. Ślub był tylko formalnością i przyzwoleniem pani z akademika na to, byśmy zamieszkali wreszcie razem.

Mówiła, że ta biała skromna sukienka matki przyniesie jej szczęście. Twierdziła, że jej rodzice byli małżeństwem bardzo krótko, ale bardzo szczęśliwie. I że wiele by dała, by w dniu śmierci tak bardzo kochać, jak kochała jej matka.

Cóż. Fatum. My również byliśmy szczęśliwi. I nasze szczęście też trwało zdecydowanie za krótko.

Ślub mieliśmy pod koniec sierpnia. Do dzisiaj nie wiem, jak to nam się udało załatwić. Gdy kilka lat później widziałem, ile załatwiania miał Jacek, gdy się żenił, to dziwiłem się jeszcze bardziej.

My po prostu ubraliśmy się inaczej niż zwykle i poszliśmy przysięgać Bogu, że będziemy ze sobą aż do śmierci. Trzymaliśmy się za ręce i oboje płakaliśmy ze wzruszenia. Potem był obiad. Oczywiście bardziej uroczysty niż zwykle.

Noc poślubną spędziliśmy w przedziale z sześcioma kuszetkami, w towarzystwie trzech chrapiących donośnie mężczyzn i nie gorzej świszczącej kobiety. Jechaliśmy w podróż poślubną nad morze.

Magda spała na samej górze, a ja na dole. Pomędzy nami ta kobieta, która w dodatku zaczęła coś gadać przez sen. Nie mogłem Magdy nawet za rękę potrzymać. Ja chyba tamtej nocy oka nie zmrzyłem. Potem długo wspominaliśmy tę naszą podróż i poślubną noc.

Jacek, nasz świadek i przyjaciel, zadzwonił następnego dnia i pytał, czy skonsumowaliśmy małżeństwo.

– Jako świadek muszę dbać o to! – powiedział. – Dlatego wypytuję!

– Koniecznie. – Roześmiałem się. – Jak skonsumujemy, niezwłocznie cię o tym poinformuję.

– Bez konsumpcji możesz jeszcze się wycofać – zażartował.

– Nigdy.

Jacek zupełnie nie rozumiał tego, że zdecydowałem się tak szybko założyć sobie obrączkę na palec. On zmieniał dziewczyny jak rękawiczki i ożenił się dopiero niedawno.

Oczywiście nasza podróż poślubna była wspaniała. Chociaż... Niczym się nie wyróżniała, bo nasze całe życie było jednym wspaniałym, choć o wiele za krótkim, miesiącem miodowym.

Po ślubie zamieszkaliśmy wspólnie na Lumumbowie. Mieliśmy jeden niewielki pokój, który Magda urządziła bardzo przytulnie. Nie wiem, jak ona to zorganizowała, ale na tych kilkunastu metrach mieszkało nam się bardzo wygodnie. Nie mieliśmy dużo pieniędzy, ale też tak naprawdę nie były nam one potrzebne. Pomagali nam moi rodzice, mieliśmy stypendia, udzielaliśmy korepetycji. Z tego były całkiem niezłe pieniądze. Daliśmy radę.

Potem rodzice kupili nam małe mieszkanie na Bałutach. Dwa niewielkie pokoje na czwartym piętrze. Wydawało nam się to wielkim zamkiem. Czterdzieści cztery metry. Ustaliliśmy, że będzie sypialnia i salon. Oczywiście chcieliśmy też pokój gościnny, bibliotekę, jadalnię. Jednak trochę ciężko było to zmieścić na powierzchni naszego mieszkania. Ale wiedzieliśmy, że kiedyś będziemy mieć duży dom.

I tak najczęściej spędzaliśmy czas przy dużym, okrągłym stole z litego drewna, który Magda dostała od swojej babci. Tam jedliśmy, tam się uczyliśmy, tam graliśmy ze znajomymi w brydża do rana.

Czy się kłóciliśmy?

Tak. Kilka razy.

Ja chciałem mieć dziecko. Chciałem mieć pełną rodzinę. Natychmiast. Chciałem chodzić na rodzinne spacerunki, kupować misie, lalki i klocki lego, wstawać w nocy i zmieniać pieluchy. Magda dużo bardziej rozsądnie patrzyła na świat. Uważała, że najpierw musimy załatwić sprawy zawodowe, a później przyjdzie czas na dziecko. Przypominała mi, że mamy plany budowy domu, tłumaczyła, że

przecież w takim mieszkaniu to z małym dzieckiem nam nie będzie zbyt wygodnie.

Nie przyjmowałem jej argumentacji. Według mnie na wszystko był już czas. Może taki po prostu jestem, że chcę żyć pełnią życia, wszystko mieć natychmiast, nie lubię czekać na coś, co mogę mieć od razu.

Po stażu zaczęliśmy specjalizację. Magda pediatrię na Spornej, a ja ginekologię w szpitalu Madurowicza. Kolejne lata mijały. W końcu, oprócz pracy w szpitalu, otworzyłem prywatny gabinet. Przyjmowaliśmy na zmianę z Jackiem, każdy dwa razy w tygodniu, w zasadzie od rana do wieczora. Przychodziłem zaraz po dyżurze i pracowałem cały dzień, pijąc jedną kawę za drugą.

Mało mieliśmy czasu dla siebie. Jednak nasza wspólna codzienność była piękna.

Potem zmarła babcia Magdy. Miała już swoje lata, ale każda śmierć ukochanej osoby jest nagła, nieoczekiwana.

Wzięliśmy urlop, pojechaliśmy do jej rodzinnej wsi. Magda bardzo ciężko to przeżyła. I psychicznie, i fizycznie. To zawsze ze sobą współgra.

Na pogrzebie bardzo zmarzła. Uparła się, że nie pójdzie tam w niczym czerwonym, a jej czapka miała taki właśnie kolor. Szalika również nie założyła. Zaziębiła się. Temperatura, kaszel. Szmery w oskrzelach. Po kilku dniach zdecydowaliśmy, że trzeba podać antybiotyki. Babcia miała coś w szafce z lekami, więc nie jechaliśmy nawet do apteki. Następnego dnia okazało się, że Magda ma uczulenie na ten lek. Wysypało ją strasznie. Tym razem pojechałem już do apteki, kupiłem leki antyhistaminowe i bardzo szybko jej przeszło.

Oboje o tym zapomnieliśmy. Mieliśmy inne rzeczy na głowie, kto by się przejmował wysypką na dekolcie, kiedy trzeba było załatwić tyle spraw. Sprawy spadkowe, porządkowe. Likwidacja babcinego majątku.

Gdybym wtedy wiedział, ile będzie kosztowała mnie ta chwila zapomnienia, chyba wytatuowałbym sobie nazwę tego leku na czole, by codziennie ją sobie przypominać w lustrze. Nie zrobiłem tego. I zapomniałem. Zapomniałem o tym cholernym wydarzeniu.

\*

Po śmierci babci Magda dość długo nie mogła dojść do siebie, rzuciła się w wir pracy naukowej. Najszybciej na roku zrobiła doktorat i zaczęła zbierać materiały do habilitacji.

Sprzedaliśmy dom i ziemię pod Częstochową. Rozparcelowaliśmy ją na kilkanaście działek. Dostaliśmy za to niezłe pieniądze. Mogliśmy wybudować nasz wymarzony dom, ale pewnego dnia przyszedł do mnie Jacek z pewną propozycją.

- Napijesz się czegoś? – zapytałem, otwierając barek.
- O interesach wolę na trzeźwo. – Uśmiechnął się.
- O interesach? Zabrzmiało poważnie – stwierdziła Magda.

– Mój ojciec chce sprzedać część udziałów – powiedział. – Dokładnie połowę. Drugą część dostaję ja.

Ojciec Jacka był szefem i udziałowcem prywatnej kliniki. Niestety jego rodzice się rozwodzili i musieli się podzielić majątkiem.

– Mama nie chce mieć nic do czynienia z tą kliniką. – Westchnął. – Ani z ojcem. – Ojca też to wszystko wykończyło, więc swoje udziały na mnie przepisał, a połowa została. Do sprzedania. – Jacek spojrzał na mnie porozumiewawczo.

– Stary, ale my nie mamy tyle kasy!

– Może mamy. – Magda przyniosła kawę, ciastka i usiadła wraz z nami. – Mamy kasę.

– Skąd? – zapytałem.

– Od babci.

– Magduś – zaprotestowałem. – Dom miał być. – Chciałem realizować swoje marzenia.

Nawet kupiliśmy już kawałek pięknej i całkiem sporej działki budowlanej w Konstancynie Łódzkiej. Zaczęliśmy oglądać projekty i zastanawialiśmy się nad rozpoczęciem budowy.

– Dom nie pomnoży majątku, Szymon – powiedziała cicho. – Poczekamy trochę i dom również wybudujemy. Może większy, może lepszy. – Spojrzała na mnie rozmarzonym wzrokiem.

Zobaczyłem wtedy tę samą dziewczynę, którą tyle lat temu na plaży prosiłem o rękę. Nie mogłem jej odmówić. A przynajmniej musiałem rozważyć propozycję Jacka.

– Klinika świetnie funkcjonuje. Przyniosłem całą dokumentację. Przejrzyj sobie, zastanów się. – Jacek wyciągnął teczkę z dokumentami. – Nie chcę sprzedawać jej byle komu. A wiem, że z tobą jesteśmy w stanie być najlepsi. Na Magdę też liczę.

Popatrzyliśmy z Magdą po sobie. W ogóle nie spodziewaliśmy się takiego obrotu sprawy. Dla mnie szczytem marzeń był prywatny gabinet, z którego były całkiem niezłe pieniądze, praca w szpitalu i na uczelni, która zaspokajała moje ambicje. A własna klinika? Za którą jesteś w pełni odpowiedzialny?

– Liczę na to, że będziecie zainteresowani – wyraził nadzieję Jacek.

– Pokaż te papiery – powiedziała Magda.

Siedzieliśmy nad nimi całą noc. Nad ranem poszliśmy spać. Jacek na kanapie w salonie, a my w sypialni. Po śniadaniu dalej studiowaliśmy stos segregatorów, które Jacek wciąż donosił ze swojego samochodu.

\*

Oczywiście decyzja mogła być tylko jedna. Nasze życie znowu się zmieniło. Kolejny rok był rokiem przełomowym. I jeszcze bardziej szczęśliwym. Czy mogło

być lepiej? Zdecydowanie nie. Z dnia na dzień stałem się właścicielem kliniki. Świetnie odnalazłem się w tej roli. Czułem, że jestem na właściwym miejscu. Działkę w Konstantynowie sprzedaliśmy i kupiliśmy niedaleko pół bliźniaka. Praktycznie do zamieszkania od zaraz. Nasze mieszkanie na Bałutach również sprzedaliśmy, przeprowadziliśmy się od razu. Na początku, jak kiedyś, mieszkaliśmy razem w jednym pokoju. Potem wykończyliśmy cały parter i zabraliśmy się za pierwsze piętro.

Dzień przed Wigilią umówiła się do mnie nowa pacjentka. Anna Kowalska. Nie chciałem już jej przyjmować. Wysłała maila wieczorem, gdy siedzieliśmy w domu. Magda oczywiście spędzała czas produktywnie, pisząc coś zapamiętałe, a ja leniwie przeglądałem jakieś strony w Internecie.

– Nie – jęknąłem.

– Co się dzieje? – zapytała Magda.

– Jakaś kobieta chce się umówić na jutro – powiedziałem. – Rozumiesz?

W Wigilię! Obiecałem sobie i tobie, że będę w domu.

– Może coś się dzieje?

– Napiszę jej, że Jacek ją przyjmie.

Magda podeszła do mnie i usiadła mi na kolanach.

– A może... – Zaczęła rozpinać moją koszulę. – Może ona uważa, że mój mąż jest najlepszym, najwspanialszym, najmądrzejszym lekarzem w całej Łodzi...

– Zdjęła mi koszulę, a zaraz potem zsunęła swoje spodnie.

– Mhmh... – mruknąłem. – W całej Polsce.

– W całej.

Nie kontynuowaliśmy już rozmowy. Magda była najlepszą kochanką w całej Łodzi, Polsce, Europie i na świecie. W całej galaktyce.

\*

Dwie godziny później, leżąc półnag na łóżku, oglądaliśmy film.

– I co jej odpiszesz? – zapytała.

- Komu?
- No tej kobiecie, która chce jutro na wizytę.
- Zapomniałem – mruknąłem niechętnie.

Magda zawsze mnie pilnowała, bym odpisywał na wszystkie maile, nawet najdrobniejsze. Często nawet robiła to w moim imieniu.

– Musisz szanować swoje pacjentki – mówiła. – Brak odpowiedzi to brak szacunku.

Zacząłem narzekać, że mam taką sumienną żonę.

Magda wstała i nago usiadła do mojego laptopa. Założyła nogę na nogę i zaczęła pisać, mówiąc na głos:

*– Szanowna pani, rozumiem, że to coś ważnego, skoro chce się pani spotkać ze mną w Wigilię. Dysponuję czasem tylko pomiędzy dziesiątą a jedenastą, bo później pomagam mojej ukochanej żonie w przygotowaniu świątecznego stołu. Będę doprawiał barszcz, ponieważ robię to najlepiej na świecie, a potem, zanim zobaczę pierwszą gwiazdkę na niebie, zjem wszystkie śledzie, bo ze słodyczy to ja najbardziej lubię śledzie.*

Roześmiałem się.

– *Zatem czekam o dziesiątej. Szymon Jarosławski.* – Dokończyła stukać. – Wysłane.

Podniosłem się gwałtownie.

- No nie mów, że takiego maila wysłałaś? – Zdziwiłem się.
- Wysłałam. – Moja żona się uśmiechnęła.
- Żartujesz!

Podszedłem do laptopa. W wysłanych faktycznie był mail do pani Anny Kowalskiej.

– No nie wiem, czy było to profesjonalne – zacząłem nieśmiało.

– Raz się żyje, kochanie! W Wigilię powinno spełniać się marzenia. A jej marzeniem było się z tobą spotkać. Jadę jutro z tobą, bo inaczej będę zazdrosna.

Wtedy jeszcze nie spodziewałem się, że spotkanie z panią Anną Kowalską nada mojemu życiu zupełnie nowy sens.

\*

Następnego dnia byłem bardzo niezadowolony, że uległem namowom Magdy i zgodziłem się na przyjęcie tej pacjentki. Sto razy bardziej wolałbym położyć trochę dłużej w łóżku z własną żoną, niż spędzać ten czas w pracy.

Jednak trzeba było wstać. Po wspólnym prysznicu na śniadanie zjedliśmy prawie wszystkie śledzie przygotowane na wieczór, wzięliśmy kawę na wynos i pojechaliśmy do kliniki.

Magda poszła do dyżurki, a ja do gabinetu. Pani Kowalska się spóźniała. Po chwili weszła pielęgniarka.



– Pacjentka już idzie. Tu mamy jej wyniki badań.

Spojrzałem na kartkę. Beta HCG wysokie. Dziewiąty tydzień ciąży. Pewnie dlatego chciała przyjść tak szybko. Uśmiechnąłem się, ale w sercu poczułem lekką zazdrość. My z Magdą staraliśmy się o dziecko od dwóch miesięcy, ale do tej pory bez żadnych efektów. Za każdym razem zastanawiałem się, co bym powiedział pacjentce, która przyszłaby do mnie, mówiąc, że od dwóch miesięcy nie może zajść w ciążę. Pewnie odesłałbym ją do męża, niech próbują dalej. I dlatego próbowaliśmy.

Zapatrzyłem się na te wyniki. Nie zauważyłem, kiedy ktoś wszedł do gabinetu. Magda.

– Magduś, zaraz mam pacjentkę.

– Dzień dobry, panie doktorze – powiedziała moja żona. – Nazywam się Anna Kowalska i przed chwilą pani pielęgniarka przyniosła moje wyniki. Czy pomógłby mi pan je zinterpretować? – Uśmiechnęła się.

– Nie rozumiem.

– Panie doktorze, jak to pan nie rozumie? Kto ma rozumieć jak nie pan? – W jej zawsze śmiejących się oczach zobaczyłem wyjątkową radość.

– Magduś... Magduś... To znaczy? To znaczy?

– Panie doktorze, to pan się pyta mnie, co to znaczy? – Chciała jeszcze coś powiedzieć, ale mocno ją przytuliłem.

– Wariacie, bo mnie zgnieciesz! – powiedziała.

– Co to wszystko ma znaczyć? – zapytałem.

– Udała mi się niespodzianka, prawda? – Roześmiała się jeszcze głośniej. – Bardzo mi zależało, byś mnie zbadał. A chciałam ci zrobić niespodziankę.

– Ja cię kiedyś uduszę!

– Nie zrobisz tego. – Pokręciła głową. – Za bardzo mnie kochasz.

– Za bardzo! – powiedziałem. – Zbadam cię.

Magda przygotowała się do badania.

Po chwili usłyszałem i zobaczyłem bicie serca mojego dziecka. Poczułem to wszystko, co czują te tysiące kobiet, które do tej pory przebadałem. Naprawdę nie spodziewałbym się tego po sobie, ale byłem wzruszony.

– Podobny do tatusia – stwierdziłem, wskazując na monitor.

– Bardzo. – Pokiwała głową Magda. – Ten sam inteligentny wyraz twarzy – dodała.

To były nasze najpiękniejsze święta. Wracając z kliniki, pojechaliśmy do sklepu i dokupiliśmy jeszcze śledzi. Przeżywaliśmy wszystko wspólnie, nawet zachcianki mieliśmy jednakowe.

Najbardziej smakowały nam te z rodzynkami w pomidorach. Potem te z oliwkami w ziołach prowansalskich. Nie pogardziliśmy również tymi w musztardzie.



Ciąża Magdy przebiegała bez żadnych problemów. Każdemu życzyłbym takiej pacjentki. Jedynym punktem spornym było to, że ja zalecałem jej pójście na zwolnienie, a ona twierdziła, że ciąża to nie choroba i że spokojnie może chodzić do pracy.

Oczywiście. Mogłaby. Gdyby nie pracowała w przychodni i gdyby codziennie nie przychodziło do niej kilkunastu małych, zakatarzonych pacjentów. Przeżyła sezon na ospę, na szkarlatynę i kilka innych chorób, jednak wczesną wiosną angina położyła ją do łóżka. Najpierw próbowaliśmy leczenia domowymi sposobami, ale nie przyniosło to rezultatu.

– Chyba jednak dam ci antybiotyki. Bo do porodu ci nie przejdzie – żartowałem.

Magdzie już nawet nie chciało się żartować. Leżała z wysoką gorączką i miała wszystkiego serdecznie dość.

Rano wzięła antybiotyki z domowej apteczki. Brałem go niedawno i zostało kilka tabletek, resztę miałem jej przywieźć, gdy będę wracał z pracy. Pojechałem tam tylko na chwilę, planowałem przyjąć tylko dwie pacjentki. Podczas wizyt zwykle nie odbieram telefonu – oddzwaniam w przerwie. Starłem się trzymać tej zasady także tamtego dnia. Nawet gdy kątem oka widziałem, że dzwoni telefon, dalej cierpliwie odpowiadałem na kolejne pytania pacjentki. Jednak za trzecim razem postanowiłem odebrać. Nie zdążyłem – Magda już się rozłączyła.

Gdy gadatliwa kobieta wyszła, bezskutecznie próbowałem dodzwonić się do żony.

Przyjąłem kolejną dość szybko. Pożartowałem z Jackiem, z pielęgniarką.

– A ty Jacuś jeszcze długo? – zapytałem.

– Do rana – odpowiedział.

– Kobiety lepiej poszukaj, a nie do rana w robocie.

– Muszę w robocie poszukać! – Roześmiał się.

Wtedy chyba zaczynał podrywać pielęgniarkę, która rok później została jego żoną.

\*

Wsiadłem do samochodu. Po drodze pojechałem jeszcze do sklepu po mandarynki (z etapu śledzi Magda płynnie przeszła na owoce cytrusowe) i po lekarstwa.

Próbowałem się do niej dodzwonić. Nie odbierała.

Wtedy po raz pierwszy poczułem niepokój. Ale tłumaczyłem sobie, że może śpi albo jest w toalecie. Gdy ktoś jest chory, powinien przecież odpoczywać, prawda? I spać jak najdłużej.

Otworzyłem drzwi. W środku grało radio. Zdjąłem kurtkę, umyłem ręce i wszedłem do sypialni.

Na łóżku leżała Magda. Była półprzytomna. Złapałem ją za rękę, by zbadać puls. Prawie niewyczuwalny. Dusila się. Na całym ciele miała wysypkę.

Wstrząs anafilaktyczny. Nie miałem w domu adrenaliny. Zupełnie zapomniałem, że Magda jest uczulona na ten cholerny antybiotyk. Ona najwyraźniej też zapomniała. To było nieistotne. Wziąłem ją na ręce i wsadziłem do samochodu. Nie pamiętam zbyt wiele z tej drogi. Prosiłem ją, by oddychała, liczyłem, śpiewałem jej piosenki. Czuję, że z minuty na minutę coraz bardziej traci kontakt.

Zadzzwoniłem oczywiście do Jacka, by był gotowy na jej przyjęcie.

Gdy zajechałem, lekarze już na nią czekali. Nie powinienem tracić głowy przy żadnym pacjencie, ale wtedy najchętniej bym wszystkich odsunął i sam o nią walczył. Nie pozwolono mi. Patrzyłem tylko, jak podali jej adrenalinę, płyny, sterydy. Zawieziono ją na OIOM, gdzie została zaintubowana. Była nieprzytomna. Po chwili zaczęli ją reanimować. Widziałem, jak ją tracę. Ją i moje dziecko. Wszystko we mnie krzyczało. Patrzeć na to, jak ukochana osoba umiera i mieć świadomość, że nic więcej nie możesz zrobić... to najgorsze uczucie na świecie.

Reanimacja trwała godzinę.

Całą godzinę byłem tam z nią.

Potem zobaczyłem twarz szefa oddziału. Pokręcił głową. Ja już wiedziałem.

– Zgon czternasta trzydzieści. – Usłyszałem.

Miałem wrażenie, że potem przestałem słyszeć cokolwiek. Przestałem słyszeć, widzieć i czuć.

To wszystko przecież mnie nie dotyczyło. A przynajmniej to próbowałem sobie wmówić.

Podobno od razu się mną zajęto. Podano mi jakieś leki. Gdyby nie Jacek, nie wiem, jak bym przetrwał to wszystko. Do tej pory zastanawiam się, jak przeżyłem tamten czas.

Byłem na długim zwolnieniu. Potem wykorzystałem cały urlop. Nie mogłem pracować.

– Jacek, nie mogę dalej pracować – powiedziałem któregoś dnia, gdy siedzieliśmy u mnie przy stole, przy którym zawsze siadywaliśmy z Magdą.

– Jak to nie możesz?

Pokręciłem głową.

– Już dwa życia zniszczyłem. Nie mogę dalej krzywdzić ludzi.

– Szymon, zastanów się. Na spokojnie. Może potrzebujesz jeszcze przerwy?

– Nie. Zastanowiłem się. Sprzedam udziały. Będę robił cokolwiek.

– Szymon. Daj sobie czas.

– Na co? – zapytałem.

– Na życie.

– A co to za życie bez powietrza?

Czasem chciałem umrzeć, by się z nią spotkać. Jak najszybciej. Przeżywałem różne stany. Od wściekłości na siebie, że w ogóle miałem ten antybiotyk w domu, po wielki żal do niej, że wybrała się na tamten świat.

Teraz jestem wdzięczny Jackowi, że nie pozwolił mi sprzedać udziałów. Sprzedałem natomiast dom. Nie mogłem w nim dłużej mieszkać.

Czasem chodzę tam na spacer. W ogrodzie ostatnio powiesili huśtawkę i zrobili piaskownicę. Słysząc zza płotu radosny śmiech. Często staję po drugiej stronie ulicy, przypatruję się i wyobrażam sobie, że tam w środku mieszka moje szczęście. Jednak szybko uświadamiam sobie, że moje szczęście zniknęło na zawsze.

Mieszkania dla siebie nie szukałem długo. Jacek ożenił się i wyprowadził ze swojego. Zaproponował, bym w nim zamieszkał do czasu aż nie kupię czegoś swojego. I zamieszkałem. Po roku zacząłem odczuwać potrzebę rozmowy z ludźmi. Nawet chciałem im opowiadać swoją historię. Chciałem mówić, wyrzucić z siebie cały żal do świata na to, co mi zrobił. Ile razy mogli tego słuchać moi bliscy? Pewnie też mieli dość.

Zarejestrowałem się jako kierowca Ubera.

– Zwariowałeś – powiedział Jacek. – Do końca zwariowałeś. Jeden z najlepszych specjalistów w Łodzi kierowcą Ubera. Zwariowałeś – powtórzył.

– Może trochę... – przyznałem.

– Jak chcesz z ludźmi gadać, wracaj do pracy. Wszyscy pytają o ciebie.

– Nie wrócę – powiedziałem stanowczo. – Już raz kogoś skrzywdziłem. Nie

mogę pozwolić sobie na to, by zrobić to po raz drugi.

– Szymon, to nie była twoja wina. – Mój przyjaciel próbował mnie pocieszać.

– Była. Powinienem te lekarstwa trzymać od niej na kilometr. Poza tym nie byłem w stanie jej uratować – uciałem krótko.

Naprawdę nie chciałem już leczyć ludzi. Jeżeli nie potrafiłem uratować kobiety, którą kochałem najbardziej na świecie, jak mogłem ratować innych? Jeżeli nie mogłem przywitać na świecie mojego syna, jak mogłem innym dzieciom pomagać przychodzić na świat?

Wolałem jeździć Uberem. Nie dla pieniędzy. Pieniądze miałem z kliniki.

Pracowałem nocami. I tak nie mogłem spać. W nocy świat wygląda inaczej. Ludzie są bardziej skłonni do zwierzeń. I sami chętniej wysłuchują kogoś. Dużo rozmawiałem. Woziłem wszystkich, począwszy od księży, poprzez profesorów, aktorów i celebrytów, a kończąc na prostytutkach.

Każdy z nich jest człowiekiem. Każdy ma swoje problemy, każdy pragnie miłości i nikt nie chce być sam na tym świecie.

Ja też nie chciałem być sam. Tak bardzo nie chciałem być sam!

\*

Kiedyś wracałem spod Częstochowy. Nocą odwoziłem jakiegoś aktora do zamku w Olsztynie. Bardzo długa trasa. Intratna. Chętnie bym ją komuś oddał, ale nie było akurat innego kierowcy w pobliżu.

Gdy wracałem, w świetle księżycy zobaczyłem psa leżącego na środku. Ostro zahamowałem. To była młoda suka. Labrador. Ktoś ją potrącił i uciekł. Nie miała obroży. Zacząłem podejrzewać, że ktoś po prostu wyrzucił ją z samochodu. Patrzyła na mnie z ufnością, pozwalając się zbadać. Na psach się nie znałem, ale delikatnie przeniosłem ją do samochodu. Oczywiście zadzwoniłem do Jacka.

– Stary, co się dzieje? Czy ty wiesz, która godzina?

– Gdzie jest całodobowa klinika weterynaryjna? – zapytałem.

Uznałem, że skoro Jacek ma psa i kota, powinien takie rzeczy wiedzieć.

– A co? Zmieniasz fach? – Ziewnął.

– Znalazłem psa na ulicy. Labradora. Ktoś go potrącił. Wydaje mi się, że nie jest źle, ale... Ale ja się na tym nie znam.

– Spoko. – Jacek podał mi adres kliniki.

Pojechałem tam od razu. Młody lekarz bardzo sprawnie poradził sobie z psem. Zbadał go, zrobił prześwietlenie, USG, sprawdził, czy są jakieś złamania. Na szczęście wyglądał tylko na bardzo przestraszonego. Potem weterynarz wypisał receptę i szczegółowo tłumaczył, na co są poszczególne leki. Przez chwilę widziałem w nim siebie. Siebie sprzed kilku lat. Pełnego nadziei i pełnego wiary, że wszystko jest w moich rękach. Że jeżeli zechcę, to mogę zmienić świat. Mogłem

go zmienić. Na gorsze. A raczej nie mogłem zrobić nic, by ten świat pozostał takim, jakim jest.

– Jak się wabi? – zapytał lekarz, drapiąc psa za uchem.

Popatrzyłem na niego zdezorientowany. Po chwili jednak przypomniałem sobie te piękne psie oczy patrzące na mnie w blasku księżyca.

– Luna. Wabi się Luna – powiedziałem. W tym momencie zrozumiałem, że chociaż nie zmienię całego świata, to mogę uratować jedno pieskie życie.

Po raz pierwszy od momentu, gdy Magda odeszła, poczułem, że na kimś znowu może mi zależeć.

Wróciliśmy z Luną do domu. Nie miałem dla niej miski. Jedliśmy oboje z tych samych talerzy. Pielęgnowałem ją, a ona odwdzięczała mi się wielką miłością. Chodziliśmy na spacer, a potem nawet zabierałem ją do pracy. Zawsze informowałem, że jadę z psem i że jeżeli komuś to nie odpowiada, to nie ma sprawy, może wezwać innego kierowcę. Potem już miałem stałych klientów. Cieszyli się, gdy ją widzieli i bardzo lubili z nami jeździć.

I tak mijały dni. Coraz spokojniej. Były coraz bardziej poukładane. Mieliśmy z Luną swoje rytuały, ulubione miejsca. Zaprzyjaźniłem się z ludźmi mieszkającymi na Popiołach.

Tutaj jest zupełnie inny świat. Często przesiadywałem u pana Andrzeja, który swoje kury kochał tak samo jak ja Lunę. Oczywiście świat jest mały i ludzie dowiedzieli się, że jestem lekarzem. Czasem ktoś do mnie przychodził po poradę albo zatrzymywał mnie pod sklepem, by pożalić się, że go gdzieś strzyka czy boli. Nikt nie przyznał się, że słyszał moją historię, ale wiedziałem, że ją znają. Odebrałem kilka porodów, gdy kobiety zbyt długo zwlekały z pójściem do szpitala, osobiście zawiozłem kilka osób na pogotowie. Naprawdę zacząłem mieć poukładany, uporządkowany świat bez Magdy. Nie spodziewałem się, że to kiedyś nastąpi. Nikt nie wypełnił pustki, jaka po niej została. Ale nauczyłem się żyć, nie zaglądając zbyt często do tych zakamarków mojej duszy, które pamiętały ją tak dobrze. To tak, jakbyś miała ogromny dom z jednym pokojem, w którym trzymasz wspomnienia i pamiątki. Nie zaglądasz tam często, czasem przechodzisz obok, nie otwierając do niego drzwi. Czasem jednak wyważasz drzwi, które wcześniej zamknęłaś na kilka zamków i siedzisz w tym pokoju tak długo, aż ktoś cię stamtąd wyciągnie. Ja już coraz częściej przechodziłem obok tych drzwi, nie otwierając ich. Zdarzało mi się też coraz częściej zajrzeć do środka i uśmiechnąć się do wspomnień.

Łapałem się na tym, że nawet są rzeczy, które sprawiają mi przyjemność. Lubiłem jeździć nocą autem, lubiłem spacerować z Luną. Uczyłem się od niej niczym nieokielznanej radości. To dzięki niej śmiałem się najczęściej.

\*



Wtedy w mój uporządkowany świat wkroczyła Zosia. A raczej sam ją do niego zaprosiłem. Zauważyłem ją bezradną, gdy stała i wpatrywała się w przednie koło swojego samochodu. Miałem wrażenie, że zaraz zacznie płakać. Rozbroiła mnie tym swoim spojrzeniem, wyrażającym czarną rozpacz. Może i bym do niej nie podszedł, ale otworzyła bagażnik, z którego rozsypały się jabłka. Odruchowo podniosłem kilka z ziemi i jej podałem. A potem wszystko odbyło się już zupełnie naturalnie. Zmieniłem koło, a nawet dwa, zawiozłem je do wulkanizatora i wieczorem znowu się spotkaliśmy. Coś mnie do niej ciągnęło. Miałem wrażenie, że znamy się już wiele lat. Dobrze mi było w jej towarzystwie. Magda zawsze mówiła, że są ludzie, którzy mają dobrą energię. Nie zgadzałem się z nią.

– Magduś, nie ma czegoś takiego jak dobra energia. Jest energia słoneczna, mechaniczna, elektryczna sprężysta...

– Tralalala! – odpowiadała wtedy. – A dlaczego się we mnie zakochałeś?

– Bo jesteś idealna.

– No, to swoją drogą. – Marszczyła swój piegowaty nos. – Ale czułeś po prostu dobrą energię. Dlaczego zaprzyjaźniłeś się z Jackiem, a nie lubiłeś żadnej z jego dziewczyn?

– Bo Jacek to dobry facet. A tamte? – Zrobiłem groźną minę. – Tamte to złe kobiety były. – powiedziałem, naśladując Bogusława Lindę.

Dopiero teraz poczułem, co Magda miała na myśli. Zosi nie znałem wcale, a chciałem się nią opiekować i pomóc jej się tutaj zaaklimatyzować. Tym bardziej, że jako właścicielka jednej z najpiękniejszych willi w Rudzie Pabianickiej była „swoja”. Mimo że krążyły plotki, iż zupełnie o tę willę nie dba.

Starła się zachować dobrą minę do złej gry, ale nie mogłem jej samej zostawić tamtej nocy. Czułem, że mogę być potrzebny. I byłem.

Fajnie potem było widzieć, jak ktoś krząta się w twoim domu. Miło było wyjść z łazienki, która pachniała czymś innym niż męskim dezodorantem. Stałem długo i wahałem ten zapach kobiety. Nie spodziewałem się, jak za tym tęskniłem.

Nie miałem nawet wyrzutów sumienia wobec Magdy. Kiedyś rozmawialiśmy na temat śmierci. Wydawało nam się to bardzo odległe i absurdalne.

– Jak umrę przed tobą, obiecaj mi, że szybko się zakochasz – powiedziała.

– Chyba właśnie nie szybko. – Zdziwiłem się.

– Nie, wręcz przeciwnie. – Pokręciła głową. – Wiem, jak bardzo nie lubisz być sam. Jak cierpisz, gdy jestem na dyżurach. Potem moja poduszka pachnie tobą, bo chyba na niej śpisz.

– Myślałem, że tego nie odkryłaś.

– Odkryłam. – Roześmiała się. – Jak ty jesteś w szpitalu nocą, to ja śpię w twojej koszulce...

– Jeden jeden – powiedziałem.

– To co? Obiecasz mi?

– Magduś, po co my w ogóle rozmawiamy na ten temat?

– Bo chcę, byś niezależnie od wszystkiego umiał cieszyć się życiem. I byś miał kogoś, kto nocą podrapie cię po plecach i obudzi ze złego snu.

Nie spodziewałem się, że krótko po tym całe moje życie stanie się złym snem i niestety nie będzie możliwości, by się z niego obudzić.

Dlatego wtedy czułem się bardzo dobrze, gdy Zosia była w moim domu.

Jacek próbował zapewniać mi już wcześniej towarzystwo różnych kobiet. Dbął o to, by jakiegokolwiek spotkanie towarzyskie nie odbyło się beze mnie i zawsze sadzał mnie obok coraz to ładniejszej dziewczyny. Było miło, sympatycznie. Czasem nawet odprowadzałem je do domu, ale nigdy nie wchodziłem na drinka czy herbatę. Wracałem do Luny. Ona zawsze na mnie czekała i cieszyła się na moje przyjście, jakbym sprawił jej najpiękniejszy prezent. Ten pies też był moim prezentem od losu.

Potem mój świat rozsypał się po raz kolejny. Gdy wiozłem ją krwawiącą do szpitala, miałem *déjà vu*. Zadzwoiłem do Jacka i przypomniałem sobie tamten dzień, gdy krzyczałem do telefonu, by czekali w szpitalu z adrenaliną.

Wiedziałem, że raczej nie ma zagrożenia dla jej życia, ale chciałem uratować tego małego człowieka, który był dla niej ważny. Nie myślałem wtedy, że skoro ona jest w ciąży, to gdzieś tam istnieje ktoś, kogo ona być może kocha. Ale nawet jeżeli był, to, do cholery, przecież powinien być z nią, a nie zostawiać ją samą gdzieś daleko.

– Zobacz jakie to niesprawiedliwe – powiedziała Zosia ze łzami w oczach. – Ktoś jeszcze nie zdążył się nażyć na tym świecie, a już go zabierają. Za wcześnie, stanowczo zbyt wcześnie.

– Wiele ludzi odeszło zbyt wcześnie. – Miałem przed oczami Magdę. – I to bardzo często ci najbardziej przez nas kochani. Nigdy się do tego nie przyzwyczaimy. I chyba nigdy nie nauczymy się z tym żyć.

– Szymon. Ta pielęgniarka powiedziała na ciebie „panie doktorze”. Jesteś lekarzem? – zapytała.

– Kiedyś. Byłem.

\*

Czy powinienem jej opowiedzieć całą historię? Wielu obcym ludziom opowiedziałem. Jeżeli nieznajomi, ci których wozilem samochodem, wiedzieli, dlaczego ona nie miałaby wiedzieć?

Pół nocy siedziałem przy jej łóżku, opowiadając o swoim życiu. Ona mówiła o swoim. O pani Stefanii, która była dla niej ważna, o rodzicach, do których zbliżyła się dopiero, gdy była dorosła i o mężczyźnie, który nawet nie wiedział o tym, że była w ciąży.

– Przecież na zwolnieniu jest napisane, że to ciąża, prawda? – zapytałem.

– Moi rodzice są lekarzami. Marek był pewny, że załatwiłam sobie zwolnienie. Na ciążę więcej płacą.

– Nie zapytał? – Zdziwiłem się.

– Nie.

– Powiesz mu?

– Teraz? Po co. Muszę poukładać sobie wszystko na nowo. Złożę wypowiedzenie, założę działalność. Jestem już pełnoprawnym architektem, postaram się znaleźć klientów tutaj. Mam na to nieco mniej czasu, niż zamierzałam. – Zasmuciła się – Myślałam, że dopiero po macierzyńskim będę zastanawiała się nad pracą zawodową. Los pokrzyżował mi plany.

– Los często krzyżuje plany. Dlatego nie należy nic planować.

\*

Wtedy nawet nie wiedziałem, jak bardzo miałem rację. Los pokrzyżował moje plany ponownie już niebawem. Właściwie to nawet nie były plany... Może marzenia? Marzenia, by wreszcie móc zasypiać z myślą, że na świecie jest ktoś, komu na tobie zależy. Marzenia, by znowu kochać. Może już nie taką młodzieńczą, pierwszą miłością, ale nieco inną, bardziej dojrzałą.

Kiedy Zosia straciła dziecko, po raz pierwszy od momentu, gdy podjąłem decyzję o tym, że już nigdy nie będę szkodził ludziom jako lekarz, pomyślałem, że znowu chciałbym pomagać. Chciałem być w tym gabinecie zamiast Jacka, chciałem odepchnąć go, mówiąc, że ja zrobię to lepiej. Gdy pędziłem do szpitala z Magdą, przypomniałem sobie niektóre kobiety, którym pomogłem. Te, których ciążę zdołałem uratować. Może jeszcze mógłbym się na coś przydać? Może jednak bycie kierowcą do końca moich dni nie jest mi pisane?

Przez pięć lat mogłem wrócić do pracy w klinice, minęły dopiero dwa. Wystarczyło tylko powiedzieć o tym Jackowi. Proponował mi to niemalże przy każdej rozmowie. Oczywiście dwa lata w medycynie to bardzo dużo. Jednak mimochodem śledziłem nowinki. Mój przyjaciel podrzucał mi najnowsze czasopisma branżowe: „Ginekologia po Dyplomie”, „Medycyna Praktyczna”, „Ginekologia i Położnictwo”, „Ginekologia Polska”, dostawałem też materiały z sympozjów, na które on jeździł. Niby przypadkiem zostawiał je u mnie w toalecie, wśród gazet, które zwykle tam czytałem. Niezły sposób, prawda?

Nie chciałem jednak podejmować działań pod wpływem chwili. Chwili jakże ważnej dla Zosi.

Zosia zasnęła. Wiedziałem, że nie będzie jej łatwo. Chciałem być przy niej, gdy się obudzi. Czułem, że muszę pomóc jej zaakceptować tę pustkę, którą będzie czuła jeszcze długi czas.

Przyniosłem z drugiego pokoju koc i rozłożyłem go na dywanie obok jej łóżka. Natychmiast położyła się na nim Luna i zaczęła udawać, że śpi snem na tyle głębokim, że w zasadzie nic nie jest w stanie ruszyć jej z miejsca. Poklepałem ją po grzbiecie, lekko przesunąłem, położyłem się obok niej. Przykryłem kołdrą i po chwili spaliśmy. Każdy z nas miał swój bagaż doświadczeń. Ja straciłem kobietę, którą kochałem nad życie, Zosia zawiodła się na mężczyźnie, a potem straciła dziecko, a Luna została porzucona przez kogoś, kto pewnie był dla niej całym światem.

Patrzyłem to na śpiącą Zosię, to na pochrapującą obok Lunę, i zastanawiałem się, czy w ogóle jest możliwe, byśmy mogli spróbować pozszywać nasze porozrywane na kawałki serca. I czy nasze rany mogą się zbliznić na tyle, by zostały po nich wspomnienia.

Tamtej nocy miałem wielką nadzieję, że wszechświat zacznie nam sprzyjać i że historia, którą pisze nam los, będzie miała szczęśliwe zakończenie.

Jednak wiedziałem, że wszystko wymaga czasu. Nie byłem jeszcze gotowy na duże życiowe zmiany. Potem były chwile, że bardzo tego żałowałem.

Jednak w życiu nie jest tak, że na wszystko mamy czas. I że możemy zwlekać z ważnymi decyzjami. W życiu jest tak, jak z ostatnim cukierkiem w kryształowej misce, którą pamiętasz z wizyt u swojej ukochanej babci. Gdy ty pierwszy nie sięgniesz po cukierka, może zabrać ci go brat lub zniechęcony kuzyn. A ty zostaniesz z niczym. I będziesz mógł mieć pretensje tylko do siebie, że we właściwym momencie nie skorzystałeś z okazji.

### **CZĘŚĆ III**

#### **MAREK**

*Kto nie umie przysiąc na progu chwili, puszczając całą przeszłość w niepamięć, kto nie jest zdolny trwać w miejscu jak bogini zwycięstwa, nie doznając zawrotu głowy ani lęku, ten nigdy nie dowie się, czym jest szczęście.*

Fryderyk Nietzsche

Swoją historię Szymon dokończył rano. Tuż po tym, jak dostałam do łóżka ciepłą jajecznicę na bekonie.

– Każdy z nas niesie w sobie jakąś tajemnicę. Poznajesz kogoś, myślisz, że wiesz, kim jest. A jednak życie czasem sprawia niespodzianki.

– Duże – potwierdził. – I niekoniecznie te pozytywne.

– Nie tęsknisz za swoją pracą?

– W klinice?

– Do tej pory nie tęskniłem... Dzisiaj śnił mi się dyżur. Bardzo męczący, ale widziałem radość w oczach tych wszystkich kobiet, którym w jakiś sposób pomogłem. I chyba zatęskniłem po raz pierwszy od tamtego czasu.

– Możesz wrócić?

– Mogę. Ale to nie może być pochopna decyzja. Muszę się poważnie zastanowić. Chyba czas wrócić do żywych.

– Ty wracasz do żywych, a mi się wydaje, że ja od nich uciekłam. I pewnie dużo czasu upłynie, zanim powrócę.

– Czas i tak upłynie. Czy tego chcesz, czy nie chcesz. Od nas zależy, jak go wykorzystamy. Tylko i wyłącznie od nas.

\*

Nie potrafiłam wykorzystać dobrze czasu w pierwszych dniach po stracie dziecka. Snułam się z kąta w kąt. Miałam wrażenie, że dom jest bardziej pusty niż zazwyczaj. Każdej minuty dziękowałam Rudemu, że jest ze mną. On chyba

wyczuwał mój nastrój, bo siadał mi na kolanach i domagał się pieśszcot. Potem terkotał jak mały motorek, wzbudzając tym mój zachwyt i pewnego rodzaju czułość, której sama tak bardzo potrzebowałam.

Powoli podnosiłam się do pionu. Jednak do normalności było jeszcze daleko. Czułam się winna wobec Marka, że o niczym nie wiedział. Miałam ochotę zadzwonić do niego i wykrzyknąć w słuchawkę, że nawet nie zdaje sobie sprawy, co ja teraz przeżywam. Przecież powinien być obok i przechodzić to wszystko ze mną. Trzymać mnie za rękę, zawieźć do szpitala i przytulać, gdy płaczę. Przecież to było także jego dziecko.

Oczywiście nie zadzwoniłam. Wykasowałam jego numer. Dlatego też, gdy do mnie zadzwonił, nie wiedziałam, że to on. Na wyświetlaczu pojawił się rząd cyferek, które z niczym mi się nie kojarzyły. To dziwne, że nie znałam na pamięć numeru mężczyzny, który miał być ojcem mojego dziecka.

– Zofia Krasnopolska, słucham. – Odebrałam telefon.

– Cześć, co tak oficjalnie? – Usłyszałam głos Marka.

– Cześć.

Nastąpiła cisza. Nie miałam zamiaru pytać, po co dzwoni.

– Co u ciebie słychać? – zapytał, jak gdyby nigdy nic.

Przez krótką chwilę zastanawiałam się, od czego powinnam zacząć. Czy od tego, że byłam w ciąży, a może od tego, że poroniłam i Szymon zawiózł mnie do szpitala. Ach. Powinnam wyjaśnić, kim jest Szymon. A może od tego, że pan Włodek uznał, że pomalowane przeze mnie meble się do niczego nie nadają i gdybym dała je do pomalowania jego bratu ciotecznemu, na pewno by to zrobił lepiej. Tu powinnam wyjaśnić, kim jest pan Włodek. A może o panu Andrzeju i jego kurach? Minęło tak niewiele czasu, a u mnie tyle już się wydarzyło.

– W porządku – odpowiedziałam zatem.

– To dobrze. – Ucieszył się. – Może byśmy się spotkali?

– Spotkali?

– Tak. Może będę za kilka dni w okolicy. Może bym cię odwiedził? A może tobie już minęła ochota na wakacje?

– Na jakie wakacje? – zapytałam.

– No, na twoje tam, gdzie jesteś.

– Marek, to nie są wakacje.

– Rozumiem. Jak nie uda mi się przyjechać i się nie spotkamy, to pamiętaj, że czekam tu na ciebie. Jak zwolnienie ci się skończy. Wracaj w każdym momencie.

– A Patrycja?

– Porozmawiamy, jak się zobaczymy – powiedział, jakby to było oczywiste, że chcę się z nim spotkać.

\*



Po tej rozmowie byłam zdenerwowana. Nie zastanawiając się wiele, włożyłam legginsy i buty do biegania. Nie wiedziałam, czy wolno mi już biegać, ale stwierdziłam, że na szybki spacer mogę iść. Poszłam szybkim krokiem do lasu. Po kilkunastu minutach marszu wśród drzew zobaczyłam brzozy krzyż. Pod nim znicz i czerwoną różę. Była całkiem świeża, widocznie ktoś położył ją tam zupełnie niedawno. Poczulałam niepokój. Kto w środku lasu pielęgnowałby opuszczony grób? I przede wszystkim, kogo pochowano w samym środku lasu, a nie na cmentarzu? Tego nie wiedziałam. Postanowiłam, że przy najbliższej okazji zapytam o to pana Andrzeja.

\*

Przedłużyłam zwolnienie o kolejne dwa tygodnie. Poronienie pokrzyżowało mi również plany zawodowe. Nie chciałam wracać do Gdańska do pracy. Jednak musiałam z czegoś żyć. Z tego, co Marek mi przedstawił, zrozumiałam, że miał bardzo dużo zleceń i byłam mu niezbędną. Wolałabym być niezbędną tutaj.

– Wyjeżdżasz jednak?

– Niestety. Pogadam z nim. Może część zleceń będę mogła zabierać tutaj?

– Nie musisz być na miejscu?

– Niby powinnam. Może przez chwilę będę jedną nogą tutaj, a drugą w Gdańsku.

– Zamęczysz się.

– Wiem. Pani Stefania zawsze mówiła, że trzeba wiedzieć, gdzie masz swój dom. Powtarzała, że powinno się wiedzieć, gdzie trzyma się kapcie.

– A nie można w dwóch miejscach.

– To pytanie czy stwierdzenie?

– Chyba bardziej stwierdzenie.

– A co z Rudym? – Pogłaskał kota, czym wywołał lekki niepokój Luny.

– Zabiorę go ze sobą.

Szymon pokiwał głową.

– Rudy. Nad morze jedziesz – powiedział.

Kot spojrzął na niego z wyrzutem.

– Chyba nie jest zadowolony. – Pokręcił głową.

– Nikt nie jest zadowolony.

– Wrócę – obiecałam.

– Dlaczego mam wrażenie, że nie będzie ciebie długo? – Zapytał.

– A o to już musisz się zapytać siebie. – Roześmiałam się.

\*

Marek przyjechał kilka dni później. Przywiózł mi wielki kosz pełen róż.

Zaczął przeproszać za to, że nie potrafił docenić naszej miłości. Prosił, byśmy spróbowali jeszcze raz. Bardzo chciałam być nieugięta. Jednak on doskonale wiedział, jak poruszyć moje najczulsze struny. Dobrze mnie znał i był bardzo inteligentny. Pół nocy rozmawialiśmy, powiedziałam mu o wszystkim. Przytulał mnie i niemalże płakał wraz ze mną. Czułam wtedy ogromną bliskość z nim.

– Jeszcze możemy mieć dziecko. Dwoje, troje, ile chcesz. – Głaskał mnie po włosach.

– Marek.

– Ja wiem, zrobiłem błąd. Przepraszam. Byłem bardzo głupi. Obiecuję, że wszystko naprawię.

Potem poszliśmy razem spać. Do jednego łóżka. Marek twierdził, że ma uczulenie na koty, więc Rudy był całą noc zamknięty w kuchni. Dawał upust swojemu niezadowoleniu głośnym, całonocnym miauczeniem.

Rano obudziło mnie stukanie do drzwi.

Szymon.

– Bułeczki przyniosłem – zawołał od progu.

Szybko założyłam szlafrok i wyszłam mu na spotkanie.

– Dziękuję bardzo. – Uśmiechnęłam się.

Zaraz za mną wyszedł z sypialni Marek. W przeciwieństwie do mnie nie okrył się niczym i był w samych bokserkach.

– Nie wiedziałem, że masz gościa. – Szymon wycofał się.

Marek objął mnie ramieniem, niczym swoją własność. Lekko wyswobodziłam się z jego uścisku.

– Poznajcie się – powiedziałam. – To jest Marek, a to Szymon.

Dwóch mężczyzn spojrzalo na siebie z wyraźną niechęcią.

– Marek? – zapytał mnie Szymon.

Nic więcej nie powiedział. W tym pytaniu było zawarte wszystko, o co chciał mnie spytać. Jedno wysuwało się na pierwszy plan. Brzmiało zapewne: „dziewczyno, co ty, do cholery, wyprawiasz?”.

Niestety nie dał mi na to pytanie odpowiedzieć.

– Smacznego. – Wręczył mi siatkę z zakupami. – Na mnie już czas.

– Nie zjesz z nami? – zapytał Marek tonem gospodarza.

– Nie. Dziękuję – powiedział Szymon i cicho zamknął za sobą drzwi.

\*

Nie podobała mi się ta demonstracyjna postawa Marka. Szymon był dla mnie w pewien sposób ważny. Nie wiem, czy wtedy była między nami przyjaźń. Podobno trzeba zjeść z kimś beczkę soli, by nazwać go przyjacielem. Ja wiem jednak, że Szymon był ze mną w najbardziej mrocznych momentach mojego życia i bardzo mi wtedy pomógł. Bez niego nie dałabym rady. Nie zasłużył na takie

traktowanie.

Tak jednak w życiu bywa, że przyroda nie lubi pustki. Szymon się ode mnie oddalił. Prawdopodobnie uznał, że wróciłam do Marka. Ale czy tak nie było? Po tej nocy blisko siebie? Nie wiem. Wtedy chyba jeszcze nie. Jednak Marek doskonale wykorzystał tę chwilę, gdy Szymona nie było obok mnie. Po tygodniu zabiegów o mnie, czułych słów, gorących obietnic znowu wydawało mi się, że jestem zakochana.

Byłam bardzo głupia i naiwna. Niestety. Człowiek uczy się na błędach, ale często, aby się nauczyć, musi popełnić je kilka razy. Dokładnie tak jak z nauką nowych słówek w obcym języku. Jeżeli ich kilka razy nie powtórzysz, nie zapamiętasz.

Dwa tygodnie temu pożegnałam się z Szymonem i pojechałam do Gdańska. W czasie naszego pożegnania był oschły. Nie byłam pewna, jak powinnam się zachować.

Miałam wyrzuty sumienia, choć nie wiedziałam dlaczego.

– Jak przyjadę, kawa? – zapytałam.

– Jasne. Kawa zawsze – odparł krótko.

– Cieszę się. – Chciałam pocałować go lekko w policzek, jednak przypadkowo odwrócił głowę i nasze usta się spotkały.

– Przepraszam – powiedział.

– Nie szkodzi. – Uśmiechnęłam się. – Pa.

\*

Całą drogę do Gdańska czułam na ustach jego pocałunek. Nie mogłam przestać o tym myśleć. Zdawałam sobie sprawę, że to był zupełny przypadek. On tego nie chciał. Jednak najgorsza była myśl, że być może ja chciałam właśnie tego... Czułam się dokładnie tak jak kilka tygodni temu, gdy jechałam w drugą stronę.

Nie wiedziałam, gdzie jest mój dom. Czy w Rudzie, czy w Gdańsku.

Otworzyłam drzwi do mieszkania. Mama najwyraźniej była tam wcześniej, wywietrzyła. Na stole leżały świeżo upieczone drożdżówki.

„Witaj w domu, córeczko” – przeczytałam na kartce wetkniętej pomiędzy bułeczki.

Nie wiedziałam, czy to mój dom. Ale było mi miło.

Otworzyłam drzwi transportera. Rudy siedział cicho. Nie miał ochoty zwiedzać. Wiedziałałam, że się przyzwyczai. Ja też musiałam się przyzwyczaić. Do nowego.

\*

Marek nadal był czarujący. Jednak ten nasz związek, o ile można było to nazwać związkiem, był dziwny. Nigdy u mnie nie nocował, bo przecież miał uczulenie na Rudego. Do siebie też mnie nie zapraszał. Przynosił kwiaty, drobne prezenty, był urzekający.

– Mam pewną propozycję – powiedział któregoś dnia. – Mam wiele zleceń. Chciałbym ci je przekazać, ale może już czas, byś zaczęła pracować na swoje nazwisko?

– Jak to na swoje nazwisko?

– Kochanie, to są bardzo duże zlecenia. Ja pracuję dla konkurencji tych, co mi to zlecają. I wykombinowałem, że ty byś mogła spróbować. Założyć firmę i pracować na swoje nazwisko.

Przekonywał mnie dość długo. Rysował na papierze wykresy, tabelki. Skutek był taki, że następnego dnia podpisał moje wypowiedzenie za porozumieniem stron, a ja poszłam założyć firmę. Mogłam pracować dla siebie, na siebie. Wtedy wydawało mi się to nierozsądne, jednak z perspektywy czasu widzę, że Markowi udało się wymyślić wreszcie coś naprawdę dobrego dla mnie. Przez zupełny przypadek, bo jak zawsze myślał wyłącznie o sobie. Kilka dni później miałam już podpisanych wiele umów. Niestety część z nich tylko na papierze, bo Marek uważał, że skoro zna już temat, powinien dalej to ciągnąć.

Do pracy nie musiałam chodzić. Pracowałam w domu.

– W biurze byłoby wygodniej – zaprotestowałam.

– Tak, wiem. Ale z różnych względów nie mogę sobie pozwolić, byś robiła projekty dla konkurencji u nas. Jeszcze by ktoś zobaczył. Naprawdę, kochanie, z różnych względów będzie lepiej, jeśli popracujesz w domu.

Gdybym wtedy miała większą intuicję, to zaczęłabym podejrzewać, że „różne względy” są szczupłą brunetką z dużym biustem.

Niestety nie miałam. Byłam pewna, że Marek próbuje budować ze mną przyszłość. Czulałam się w obowiązku spróbować zawalczyć z nim o wspólne jutro. Dlaczego? Nie wiem.

Mężczyzna, który był ojcem dziecka kobiety, już zawsze będzie dla niej ważny. I mnie się wydawało, że ten mężczyzna powinien być dla mnie ważniejszy niż jakikolwiek inny. Czy ja dla niego byłam ważna? To miało już się okazać za chwilę.

\*

Do Szymona zadzwoniłam kilka razy. Pytał głównie o Rudego. Czy się zaaklimatyzował nad morzem.

Czy ja wiem? Rudy chyba tęsknił za wolnością, której na dziewiątym piętrze falowca zupełnie nie mógł doświadczać. Nawet na balkon nie wypuszczałam go bez kontroli. Planowałam osiatkować okno i dopiero mu na to pozwalać. Jednak ciężko mi było znowu planować cokolwiek.

Myślałam, że mój powrót do Gdańska spowoduje jakieś ruchy ze strony Marka. W końcu to on mnie tu ściągnął. Nie żeby od razu mi się oświadczał, ale może byśmy razem zamieszkali? No tak. Ale był Rudy. A Marek miał uczulenie na kota.

– Kot? – powtórzyłam pytanie Szymona. – Rudy chyba nie jest za bardzo szczęśliwy. Nie może znaleźć sobie swojego miejsca.

– A ty? – zapytał. – A ty jesteś szczęśliwa?

Nie wiedziałam, co mu odpowiedzieć.

– Ja chyba jak kot. Już sama nie wiem, gdzie jest mój dom. Tęsknię za Rudą, za domem.

– Do Marka się nie wprowadzasz?

– Nie – zaprzeczyłam. – Marek ma uczulenie na kota.

– Na kota – powtórzył.

– Tak.

– Na ciebie nie ma uczulenia? – zapytał złośliwie.

– Szymon...

– Przepraszam.

Zapadła niezręczna cisza.

– Daj znać, jak będziesz w okolicy.

– Oczywiście. Od razu zadzwonię i przyjdiesz do nas!

– Do was?

– Do mnie i do Rudego.

– Jasne.

Czy tylko mnie ta rozmowa wydawała się dziwna? Miałam wrażenie, że utraciłam niewidzialną więź łączącą mnie i Szymona. Mój powrót do Gdańska przerwał ją bardzo brutalnie. Czy było warto? Czy byłam szczęśliwa?

Nie wiem.

Zaczynałam mieć wrażenie, że Marek ma alergię nie tylko na mojego kota, ale również na mnie. Oczywiście nie powiedziałby tego wprost, ale ja nie potrafiłam mu zaufać tak jak kiedyś.

\*

– Zobacz, za taką willę, na dodatek wyremontowaną, można dostać całkiem

sporo kasy – powiedział Marek któregoś dnia.

– Ale ja nie chcę jej sprzedawać – upierałam się.

– Kiedyś będziesz musiała.

– Dlaczego? – zapytałam oburzona.

– Kochanie. Gdy będą dzieci, nie będziemy mieli czasu tam jeździć.

Zniszczeje, straci na wartości.

Zawsze rozklejałam się na myśl o rodzinie, o dzieciach. Marek doskonale to wiedział i wykorzystywał, jak tylko mógł. Wtedy nawet pomyślałam, że ma rację. Bo czy trzymanie wielkiej willi kilkaset kilometrów od miejsca, gdzie się mieszka, ma sens? Nie ma. Tym bardziej gdy będą dzieci.

Zapomniałam jednak, że jeśli się ma dzieci, to wypadałoby chociaż razem mieszkać. A tego nie mogliśmy zrobić z wiadomych powodów. Alergia na kota.

Bycie z Markiem wymagało zatem bardzo wielu wyrzeczeń. Straciłam Szymona, który wyciągnął mnie z najgłębszego życiowego dołka, miałam stracić dom, który był pełen pamiątek po bliskiej mi osobie i pozbyć się mojego rudego przyjaciela.

Bardzo duża cena za bycie z Markiem. Czy było warto?

Pewnie nie.

Czasem myślę, że ktoś nade mną czuwa i w samą porę powstrzymuje mnie przed zrobieniem życiowych głupot.

Jestem Mu za to wdzięczna.

\*

Pod koniec marca Marek miał urodziny. Nie bardzo wiedziałam, co kupić mężczyźnie, który ma wszystko. I to wszystko najlepszej jakości, z najwyższej półki. Nie satysfakcjonowałyby go prezent na jaki było mnie stać. A zresztą nie znałam się nigdy na najnowszej modzie i najświeższych trendach. Nie śledziłam nowinek technicznych, to Marek się nimi interesował i zdążył już wszystko sobie kupić, zanim ja w ogóle o tym pomyślałam.

Niepokoiliam się trochę. Chodził ostatnimi czasy bardzo nerwowy, zaczął znowu palić papierosy, mimo że wcześniej starał się tego nie robić. Przestał biegać, nie miał apetytu, ochoty na seks również.

– Czy ty się czymś martwisz? – zapytałam.

– Dużo roboty. – Pokręcił głową. – Sporo stresu.

– Może coś przejmę od ciebie?

– Nie, nie. Dużo roboty, ale pod kontrolą.

– Potrzebujesz wypoczynku. Może jakieś fajne spa?

Marek uśmiechnął się.

– Może to nie byłoby złe wyjście – powiedział. – A jest jakieś fajne Spa w okolicy twojej zabytkowej willi? – zapytał.

– Zorientuję się. – Przytuliłam się do niego. – Zapraszam cię zatem na urodzinowy weekend. – Uśmiechnęłam się. – Ale bez komórki i bez laptopa.

Marek podniósł dwa palce do góry.

– Obiecuję.

\*

Pojechaliśmy do Łodzi. Cieszyłam się jak dziecko. Byłam bardzo zaskoczona, gdy najpierw zajechaliśmy pod mój dom.

– Niespodzianka – powiedział.

– Nie chciałam ci tego proponować. – Uśmiechnęłam się. – To twój czas.

– Mój czas jest twoim czasem – powiedział. – O jedenastej się z kimś tutaj umówiłem.

– Tutaj? – zapytałam. – Z kim?

– Z rzeczoznawcą majątkowym – powiedział. – Chyba chciałabyś wiedzieć, ile ten dom jest wart?

– Marek, ale ja nie chcę rzeczoznawcy. Ja wiem, ile ten dom jest dla mnie wart. – Dotknęłam miejsca, gdzie jest serce. – Tu w środku. Za to nie da się zapłacić żadnych pieniędzy.

\*

Jednak rzeczoznawca był już umówiony. Przyjechał czerwonym, koszmarnie brudnym samochodem i zaglądał w każdy kąt mojego domu. Marek go oprowadzał, zachowywał się niczym pan na włościach.

– Tutaj mamy kuchnię, okna były zmieniane. Stropy też są w dobrym stanie. Możemy obejrzeć strych.

– Na strych nie – zaproponowałam.

Marek roześmiał się.

– Ja nie żartuję – powiedziałam stanowczo. – Na strych nie ma wejścia.

– A co tam jest na tym strychu? – zapytał Marek.

– Zwłoki zbyt pazernych narzeczonych, którzy bez wiedzy narzeczonej sprowadzają rzeczoznawcę majątkowego.

Rzeczoznawca spojrział na mnie zaskoczony.

– Zwłoki rzeczoznawców też tam są – oświadczyłam. – Sztuk trzy.

– Narzeczona żartuje. – Marek próbował mnie objąć. – Zapraszamy na strych oczywiście.

– Nie. – Stałam na schodach, tarasując przejście. – Dostyc tego. Do widzenia.

\*

Gdy wyszedł pan zaglądający w kąty mojego mieszkania, zrobiłam kawę.



O tym marzyłam przez te kilka tygodni pobytu w Gdańsku. O tym, by wypić kawę z mlekiem, siedząc w swoim fotelu. Fotelu, na którym widniała lekka, dla innych niewidoczna, plama krwi. Pamiątka po moim dziecku.

Nie rozmawiałam z Markiem na temat rzeczoznawcy. Uznałam, że rozmowa ta nie przyniesie żadnych efektów. Powinien wyczuć już dawno, że nie jestem zainteresowana sprzedażą domu. Powinien to zaakceptować i uszanować.

On też nie poruszał tematu. Należał do tych osób, które problemy lubią zamiatać pod dywan. Tego, czego nie widać, tego nie ma. Nie chciałam psuć nam weekendu.

Nie dzwoniłam również do Szymona, by przyszedł. Miałam wrażenie, że ostatnie i jedyne jego spotkanie z Markiem przypominało walkę kogutów. Kurą, o którą walczyli, byłam ja.

Obiad postanowiliśmy zjeść w hotelu. Nie chciało mi się wyjeżdżać. Czułam, że to jest miejsce, w którym powinnam już być.

Marek pakował coś do bagażnika, ja obeszałam jeszcze dom wokół. Chciałam zapamiętać wszystko. Nie wiedziałam, kiedy znowu będę mogła tu przyjechać. Wiedziałam jednak, że muszę wrócić tu sama. Bez Marka. Chciałam spędzić tu kilka dni ze świadomością, że nikt nie będzie zaglądał w moje kąty.

– Niedługo pani tu zabawiła. – Kilka metrów ode mnie stała kobieta. Ta co zwykle. W jej oczach zobaczyłam smutek. – Myślałam, że wreszcie ktoś tutaj będzie życzliwy i odnajdę spokój.

Ona naprawdę nie była normalna.

– Mogę pani jakoś pomóc? – zapytałam.

– Może pani.

– Ale jak?

– Zosiu! Idziesz? – Usłyszałam wołanie Marka. Po chwili zobaczyłam, jak wychodzi zza rogu domu. – Z kim rozmawiałaś?

– A z tą panią. – Odwróciłam się w stronę drogi w poszukiwaniu kobiety, ale już jej nie zobaczyłam.

– Był tu ktoś? – Zdziwił się. – Nikogo nie widziałem.

– Tak. Był...

Jednak sama zaczęłam mieć wątpliwości.

\*

Hotel okazał się rajem. Wspaniała kuchnia, doskonała obsługa. Duże, przestronne pokoje w starym, pofabrycznym wnętrzu. Byliśmy na obiedzie, potem chwilę odpoczęliśmy i poszliśmy na basen. Później kolacja, jakiś film i poszliśmy spać. Kilka razy kusilo mnie, by powiedzieć mu, co myślę o planowaniu spotkań z osobami, których nie chcę widzieć, ale naprawdę nie chciałam psuć weekendu.

Dopiero rano, po śniadaniu, gdy zbieraliśmy się znowu na basen, Marek

zapytał, czy mi już przeszło. Spojrzałam na niego zaskoczona.

– Co ty mówisz?

– No pytam, czy już ci foch przeszedł. I czy możemy wreszcie konkretnie porozmawiać.

– Jak to foch?

– No wczoraj zachowywałaś się bardzo niegrzecznie – skarcił mnie, jakbym była dzieckiem.

– Niegrzecznie? – powtórzyłam zbulwersowana. – Ja zachowywałam się niegrzecznie?

– Prawie wyrzuciłaś pana Krzysztofa z domu.

– A czy ja w ogóle go tam zapraszałam? – zapytałam już bardzo zdenerwowana. – Zapraszasz jakichś obcych ludzi do mojego domu, w ogóle bez porozumienia ze mną. I to nie ludzi, którzy mi dobrze życzą.

– Zosiu...

– Dobrze wiesz, że ja nie chcę sprzedać tego domu. Rozmawialiśmy o tym milion razy. Nie chcę wciąż wałkować tego tematu.

– Dom stoi pusty. Nieużywany – próbował mnie przekonać.

– Nazwij to jak chcesz. Może jest to moja lokata kapitału. Może sprzedam go, jak będę na emeryturze. Teraz nie. Zapamiętałeś?

– Dziwna jesteś. Wolisz jakąś ruderę od kasy.

– Może i jestem dziwna.

– Będę cię namawiał.

– Czy w związku z tym mam już teraz wyjść, czy dopiero za chwilę?

– Zosiu. Naprawdę robisz głupio. Pan Krzysztof twierdzi, że za ten dom można dostać bardzo dobrą cenę. Druga okazja może się nie powtórzyć.

– Mam gdzieś pana Krzysztofa – powiedziała zdenerwowana.

Wzięłam swoją torbę i zamknęłam za sobą drzwi. Na recepcji poprosiłam, by zamówiono mi taksówkę. Niestety przyjechałam wraz z Markiem. Gdy zjawiała się taksówka, podałam kierowcy adres mojego domu. Miejsca, w którym czułam się bezpiecznie.

Gdy tylko wyszłam z taksówki, nagle pojawiła się ta dziwna kobieta. Stała kilka metrów ode mnie.

– Wróciła pani jednak. – Uśmiechnęła się blado. Dotknęła ręką zaokrąglonego brzucha. – Dobrze, że pani wróciła. Tak bardzo miałam nadzieję, że pani wróci.

– Wejdzie pani na chwilę? – zapytałam, chociaż nie bardzo miałam ochotę na kurtuazyjną rozmowę na temat dzieci i samopoczucia w ciąży. Widok kobiety spodziewającej się dziecka wciąż powodował ucisk w moim sercu. Byłam tak blisko i los pokrzyżował moje plany.

– Nie. Wracam do swoich zajęć. A i myślę, że pani ma ich też całkiem sporo. Strych.

– Strych?

– Tak. Do widzenia. Róże trzeba przyciąć. – Kobieta oddaliła się.

\*

Gdy tylko stanęłam na ganku, zadzwonił telefon. Marek. Nie chciałam odbierać, ale po kilku sygnałach zmieniłam zdanie.

– Słucham – powiedziałam ostro.

– Cześć, kruszynko. Już ci przeszło?

– Co mi miało przejść? – zapytałam oschle.

– No to oczywiście, że nie miłość do mnie!

Nie skomentowałam.

- Halo? Jesteś tam?
  - Jestem.
  - Przepraszam cię za dzisiejszy poranek. Może faktycznie za bardzo naciskałem na sprzedaż tej rudery.
  - Domu.
  - No dobrze, domu.
  - Może masz rację, że najpierw trzeba go do końca wyremontować, dopieścić, a dopiero potem pomyśleć o jakiejś dobrej transakcji.
  - Marek...
  - Tak, kochanie. Nie będziemy poruszać tego tematu. Ale zawsze można wziąć kredyt pod hipotekę, zainwestować jeszcze w jakieś inne fundusze! Nie trzeba przecież go sprzedawać.
  - Marek. Nie chcę o tym rozmawiać. Potrzebuję teraz być sama.
  - A gdzie teraz jesteś?
  - W domu. Założyłam dres i nigdzie się nie ruszam.
  - To dobrze. Odpocznij sobie. Przyjechać po ciebie?
  - Nie. Wrócę za kilka dni pociągiem.
  - A co z Rudym?
  - Od kiedy się moim kotem interesujesz? Mama do niego przychodzi.
  - To dobrze. To do zobaczenia. Za kilka dni.
- \*

Weszłam do środka. Otworzyłam okna. Usiadłam na kanapie przykrytej patchworkową narzutą i poczułam się jak w domu.

Moja narzuta, odnowiony przeze mnie fotel, niepomalowana od wewnątrz jedna noga stołu. Miałam to malować właśnie wtedy, gdy zaczęłam krwawić i Szymon zabrał mnie do szpitala. Byłam tutaj tak krótko, a tyle zdążyło się wydarzyć.

Usiadłam, przeglądając korespondencję, którą listonosz zostawił w skrzynce. Nic ciekawego. Rachunki, reklamy.

Posiedziałam chwilę, po czym stwierdziłam, że muszę odespać zmartwienia.

Obudziłam się w dużo lepszym humorze. Postanowiłam jednak nie psuć Markowi weekendu. Założyłam ładną bieliznę, wyperfumowałam się i zamówiłam taksówkę, by mnie dowiozła z powrotem do hotelu.

W pokoju nikogo nie było. Pewnie poszedł na basen. Kiedyś zawsze stres rozładowywał sportem. Wjechałam windą na poziom z basenem. Nie trzeba było wchodzić, by podejrzeć, kto tam pływa. Wszystko było widać przez ogromną szybę. Dosłownie wszystko. Marka też było widać. Bawił się sznureczkami od bikini szczupłej brunetki z dużym biustem. Po czym, nie zważając na innych, zaczął ją całować i ścisnąć jej pośladki.

Patrycja.

Skąd ona, do cholery tu się wzięła?

Szybko wróciłam na dół do recepcji. Zostawiłam tam na chwilę moje rzeczy i wyszłam na dwór się przewietrzyć. Musiałam zaczerpnąć świeżego powietrza, bo miałam wrażenie, że zemdleję. Nie chciałam jednak wpaść na Marka. Udałam się na krótki spacer. Po kilkunastu minutach stwierdziłam jednak, że muszę z nim porozmawiać. Niezależnie od wszystkiego. Wiedziałam, że to koniec, ale bardzo mnie interesowało, dlaczego tak o mnie zabiegał ostatnimi czasy.

Sięgnęłam po telefon.

– Cześć.

– Cześć, kochanie.

– Dobrze. Przyjadę z tobą o wszystkim porozmawiać – powiedziałam. – O domu, o sprzedaży i inwestycjach. Będę za dziesięć minut.

– Ale gdzie będziesz, słoneczko?

– W hotelu.

– Tylko... Tylko ja rano wyjechałem, przecież nie będę sam siedział tutaj. Bez ciebie.

Kłamca.

– To porozmawiamy innym razem – powiedziałam.

– No tak, ale sprawa jest pilna – stwierdził nadzwyczaj miło. – Im szybciej zainwestujemy, tym będzie większy zysk.

Naprawdę bardzo się starałam, by mu nie wygarnąć, że tak naprawdę w życiu nie mam zamiaru inwestować w jakiegokolwiek interesy, w których on maczał palce.

Coś jednak mi podpowiadało, by zbyt szybko nie zdradzać mu tej informacji.

\*

Gdy wróciłam do hotelu, na parkingu zobaczyłam samochód Marka. Tuż obok auto z napisem „Wieclawsky Project”. Jak mogłam wcześniej tego nie zauważyć?

Krzywo się uśmiechnęłam. Ciekawa byłam tylko, gdzie się na nich natknę. Czy w pokoju, czy w restauracji. No chyba nie na basenie, tam już byli.

– Dzień dobry. – Uśmiechnęłam się do recepcjonistki. – Jestem zameldowana w pokoju 118, a niestety zatrzasnęłam w środku kartę. Czy da się coś z tym zrobić?

Recepcjonistka z uśmiechem poprosiła o dowód tożsamości.

– Zgadza się. Zofia Krasnopolska. Nie ma problemu, wydam kolejną kartę.

Wzięłam kartę i wsiadłam do windy. Trzeci pokój po lewej stronie. Głęboki oddech. Może wcale ich tam nie ma.

Niestety.

Byli.

Leżeli w łóżku. Najwyraźniej „po”. Bo widoku „w trakcie” mogłabym nie przeżyć.

– Mam nadzieję, że lubisz *Burberry Weekend* – powiedziałam spokojnie, chociaż wszystko we mnie buzowało. – Bo pewnie tym pachnie poduszka po wczorajszej nocy.

Patrycja patrzyła to na mnie, to na Marka.

– Przyszłam... – Wzięłam głęboki oddech. – Przyszłam ci powiedzieć, że nie chcę mieć z tobą więcej do czynienia. Nigdy.

W swojej wyobraźni miałam plany wyzwąć go od najgorszych, może nawet uderzyć. Tak teatralnie, z całej siły w twarz. Nie starczyło mi siły. Bałam się, że zaraz wybuchnę płaczem i zrobię z siebie pośmiewisko. Nie mogłam do tego dopuścić.

– Bawcie się dobrze. Patrycja, nie zapomnij zapłacić za hotel, bo obawiam się, że Marek nie będzie w stanie.

Wyszłam, trzaskając drzwiami.

Zadzwoiłam po taksówkę. Tym razem pojechałam do Szymona. Powstrzymywałam łzy całą drogę.

\*

Szymon otworzył drzwi, nawet nie pytając, kto tam.

Luna od razu się na mnie rzuciła. Kucnęłam. Oblizwała moją twarz z góry do dołu.

– Spokojnie już, spokojnie. – Uśmiechnęłam się smutno.

Dopiero gdy przywitałam się z Szymonem, gdy mnie objął, zaczęłam płakać. Nie mogłam się uspokoić.

\*

– Wpisz w wyszukiwarkę Marek Więclawski – poprosiłam, gdy wylałam morze łez.

Szymon wystukał szybko kilkanaście liter na klawiaturze.

– Szukamy czegoś konkretnego?

– Nie wiem.

– Okej. – Szymon zmrużył oczy. – Kilka zdjęć z jakiegoś balu. Nawet kilka z tobą.

– Marek lubił się pokazywać. Z tych balów potem są zdjęcia w prestiżowych miesięcznikach. Kto z kim i dlaczego.

– A tutaj z jakąś brunetką.

– No właśnie. Z Patrycją. – Westchnęłam. – Pływa z nią teraz w basenie. A w zasadzie już nawet nie.

– Co?  
– Pokłóciliśmy się. Namawiał mnie do sprzedaży domu.  
– A ty?  
– Nie chciałam sprzedawać willi. Przynajmniej nie teraz.  
– A w przyszłości?  
– Nie wiem. Teraz już nic nie wiem, Szymon – Wzięłam koc i otuliłam się nim, podkulając kolana pod brodę.

Szymon nic nie powiedział, tylko obrócił się do komputera.

– Więclawski Projekt? – Zapytał. – A może raczej „Wieclawsky Project”.

– Tak. Miał aspiracje zaistnieć na rynkach zachodnich.

– Chyba mu nie wyszło.

– Masz coś o nim?

– Mam. Słuchaj. „Borkowski, prezes zarządu Imperium City S.A. zmienił architekta drapacza chmur. Od poprzedniego chce 12 mln zł odszkodowania. Czy budowę Imperium City wstrząśnie seria spektakularnych procesów o milionowe odszkodowania? Od kilku miesięcy trwa ostry spór między finansującą budowę wieżowca firmą Imperium City S.A. a głównym projektantem budynku, architektem Markiem Więclawskim i jego spółką. Firma Imperium City rozwiązała umowę z Więclawskim i do nadzorowania budowy zatrudniła biuro architektoniczne z Sopotu. Według nieoficjalnych informacji najważniejszym powodem rozwiązania umowy z Więclawskim to zarzuty Imperium City, jakoby firma głównego projektanta spóźniała się z dostarczaniem kolejnych partii dokumentacji niezbędnej do prowadzenia prac na budowie. Nieoficjalnie mówi się, że niedawna, kilkumiesięczna przerwa w pracach na placu budowy w centrum Gdańska spowodowana była nie tylko kryzysem, ale też brakiem tzw. projektu wykonawczego”.

– Ile milionów? – Informacja mną wstrząsnęła.

– Dwanaście.

– Boże. – Westchnęłam. – Piszą coś jeszcze?

Szymon szybko przebiegł wzrokiem po tekście.

– Piszą, że na swoim koncie „Wieclawsky Project” ma całkiem sporo nieczystych zagrań. Że dopiero jak wyszła sprawa z Imperium City, poszkodowani zaczęli się zwracać do Więclawskiego o wypłatę należnych pieniędzy. Podzlecał projekty konstrukcyjne i branżowe, i nie płacił podwykonawcom.

– Jezu. On ciągle pytał, czy mam jakieś pieniądze, które chciałabym zainwestować.

– I co?

– Nie chciałam inwestować w nic, oprócz domu. O to się właśnie pokłóciliśmy.

– Poczekaj, ten artykuł jest długi. Ktoś zrobił wnikliwą analizę twojego

Marka.

– Szymon!

– No co?

– To już koniec. Ja nie mam już do niego siły.

– Ale jednak wróciłaś do niego.

– Może jakoś się czułam w obowiązku. Coś było kiedyś chyba między nami.

Poza tym to był ojciec mojego dziecka. I może dlatego bałam się odejść, zerwać kontakty... Ale teraz za dużo tego wszystkiego. Podejrzewam, że chodziło mu tylko o pieniądze – powiedziałam cicho. – Inwestycje w nieruchomości. – Prychnęłam. – Wyszłabym na tym jak Zabłocki na mydle.

Szymon nie skomentował moich słów. Dalej przeglądał Internet w poszukiwaniu wybryków mojego byłego chłopaka.

– Tu też piszą, że nie płacił podwykonawcom albo płacił częściowo, coraz mniej osób chciało z nim współpracować. Projekty były słabe, z błędami, które generowały dodatkowe koszty na budowie. Na to nie chcieli się zgodzić inwestorzy, oczekiwali że to właśnie on pokryje te koszty w ramach rękojmi. A on zaraz się sądził. Na czternaście wytoczonych spraw przegrał siedem. Piszą też, że jego ubezpieczenie nie pokryło wszystkich roszczeń.

– A ja się dziwiłam, że on ostatnio nie ma pracy.

– A nie miał?

– Ostatnio ze zleceniami u niego było krucho. A nawet jak jakieś się znalazły, wszystkie brałam na swoją firmę.

– A dlaczego pojechaliście do Pabianic, a nie spaliście w twoim domu?

– Marek chciał odpocząć w spa. – Schyliłam głowę. – To był prezent urodzinowy dla niego. – Westchnęłam. – A teraz bawi się na mój koszt.

– Rozmawiałaś z nim?

– Chwilę. Bo w tym basenie to nawet mnie nie zauważył. Był tak zajęty rozwiązywaniem sznureczków w bikini tej dziewczyny.

– To ta sama?

– Ta sama. Patrycja.

– Skąd ona się tu znalazła?

– Pewnie przyjechała. Pod hotelem stał służbowy samochód Marka. A zapewniał, że ją już dawno z pracy wyrzucił.

– Gdybyś nadal z nim pracowała, trzymałabyś rękę na pulsie...

– No tak. Tak namawiał mnie, bym rozkręcała swoje biuro. Nawet dziwiłam się, dlaczego chce, bym niektóre projekty firmowała swoim nazwiskiem.

– Teraz już wiesz.

– Wiem. I im więcej wiem, tym bardziej jestem przerażona. Chociaż zdobyłam wielu klientów. I zaczęłam być zauważana na rynku...

– I co teraz? – zapytał Szymon.



– Chyba powróciłam do punktu wyjścia.

– Czyli? – Podniósł brwi.

Westchnęłam.

– Ale nie będziesz komentował?

– Postaram się.

– Chyba jestem gotowa na przeprowadzkę tutaj. – Zawiesiłam wzrok na jego twarzy.

Szymon milczał.

– No i co, nic nie mówisz? – zapytałam.

– Bo prosiłaś, bym nie komentował.

– Racja – potwierdziłam.

Siedzieliśmy chwilę w milczeniu.

Byłam pewna, że Szymon powie cokolwiek, przecież powinien się ucieszyć, że będę na miejscu, że powrócimy do naszych spotkań, wspólnych spacerów w lesie, rozmów do północy na każdy temat.

– No dobra. Zmieniłam zdanie. Chcę wiedzieć, co o tym myślisz.

– Naprawdę?

– Tak.

– Myślę, że musisz dorosnąć, Zofio. – Spojrzał na mnie zupełnie poważnie. – Jak na razie zachowujesz się jak zbuntowana nastolatka, którą chyba nigdy nie byłaś. Obrażasz się i zwiewasz byle gdzie, byle daleko od źródła twoich zmartwień. Twoje decyzje nie są do końca przemyślane, podejmujesz je ot tak. Spontanicznie. Dzisiaj chcesz jednego, jutro drugiego. – Szymon był coraz bardziej zdenerwowany. – Tak nie można! Nie możesz już zachowywać się jak rozbisurmaniony dzieciak!

– Rozbisuremaniony dzieciak? – powtórzyłam zdziwiona. – Chyba mnie z kimś pomyliłeś – powiedziałam nadąsana.

Luna wyczuła, że w pokoju atmosfera się zagęszcza. Podeszła do Szymona i położyła łeb na jego kolanach.

– Zosia, zastanów się, czego ty chcesz – powiedział, drapiąc psa za uchem. – Z jednej strony rzucasz się na głęboką wodę, załatwiasz w kilka dni sprawy nie do załatwienia, a gdy ktoś kiwnie na ciebie palcem, rzucasz wszystko, co sama wypracowałaś i za nim biegniesz.

– Nie biegłam za Markiem.

– Nie?

Siedziałam cicho. Może trochę. Może faktycznie za szybko mu uwierzyłam. Jedna cudowna kolacja, bukiet róż i przyjąłam jego zapewnienia, że Patrycja to tylko marna chwila w jego życiu. Jak się dzisiaj okazało, nie tak marna. Ale zaraz nazwać mnie rozbisuremanionym dzieckiem?

– Myślałam, że on mnie kocha – powiedziałam.

– A ty jego kochasz? Czy po prostu tak bardzo potrzebujesz ciepła i miłości, że polecisz za każdym, kto ci tego ciepła trochę da?

– No teraz to już przesadziłeś.

– Po prostu powiedziałem, co myślę.

– Super. Dziękuję. Teraz już wiem – stwierdziłam sarkastycznie. – Wstałam z sofy, dopiłam resztkę herbaty.

– Będę już szła.

– Zosia. Zastanów się nad sobą. – Wstał wraz ze mną.

– Nie potrzebuję niczyjej rady.

– Myślałem, że po to przyszaś.

– Nie.

– A od czego są przyjaciele? Nie od dawania rad?

– Przyjaciel by mi tak nie powiedział. – Pokręciłam głową. Założyłam kurtkę i wyszłam z jego mieszkania.

Przez chwilę byłam pewna, że za mną pobiegnie, zawoła, zrobi cokolwiek, bym wróciła. Nie zrobił. Może faktycznie mężczyźni są inni. Jasno przyjmują komunikat „chcę być sama”. Z jednej strony miałam go serdecznie dość, a z drugiej czułam, że w jego słowach było więcej prawdy, niż byłam w stanie zaakceptować. Ze złością, kopiąc po drodze każdy napotkany kamień i patyk, postanowiłam wrócić do domu na piechotę. W drodze przypominałam sobie, że na recepcji w hotelu została moja torba. Byłam jeszcze bardziej wściekła i miałam wszystkiego dość. Od domu dzieliło mnie kilka kilometrów, ale potrzebowałam tego spaceru.

\*

Na schodach mojego domu czekał Szymon.

– Chodź, dzieciaku. – Przytulił mnie. – Jesteś rozwiedziona, ale dziećmiakami się trzeba opiekować. – Otarł mi łzy. Zrobię ci herbatkę, a potem w spokoju popłaczesz.

Tak też i było. Tamtego wieczora siedziałam skulona i płakałam mu w mankiet. Długo byłam twarda. Kiedyś rzeka łez musiała wylać. Musiał pęknąć słoik nieszczęść, które gromadziły się w nim od pewnego czasu. Szymon nic nie mówił, nie pocieszał mnie. Przytulał i głaskał po włosach. Po prostu był. Bo przecież od tego są przyjaciele.

– Nie odbierzesz od niego? – zapytał Szymon, spoglądając na mój telefon. Czternaście nieodebranych połączeń.

– Po co? Po to, by mi powiedział, że ona jednak źle się czuje w zapachu moich perfum?

Szymon spojrzał na mnie z zaciekawionym wyrazem twarzy.

– Nieważne.

– Może odbierz, każdy człowiek ma prawo do rozmowy.

– Nawet taki?

– Nawet. Nie jesteś ciekawa, jak się będzie tłumaczył?

– Dobrze. Odbiorę. – Westchnęłam.

Telefon zadzwonił po raz piętnasty.

– Wreszcie. – Usłyszałam.

Nie odpowiedziałam nic.

– Halo, jesteś tam?

– Jestem.

– Zosia, to nie tak jak myślisz.

– Tak, to zapewne jest zupełnie inaczej – powiedziałam drwiąco.

– No właśnie.

Cisza. Nie znosiłam ciszy w słuchawce telefonu. Gdy z kimś rozmawiałam, to ja dbałam zwykle o to, by konwersacja przebiegała płynnie.

– Co chciałbyś mi powiedzieć? Że ona znalazła się tam przez przypadek? Niespodziewanie przejeżdżała tuż obok i pragnęła wejść ci do łóżka?

– Zosia... To nie tak.

– Marek. Powiedz mi, po co te wszystkie gierki? Dlaczego chciałeś, bym wróciła?

– To skomplikowane.

– Wiem.

– Zosiu. Ja wiem, że ty masz dosyć, że nie będzie już nic z tego... Z nas.

– Cieszy mnie, że to wreszcie wyartykułowałeś. To po co ten wyjazd?

– Chciałem zobaczyć dom.

– Dom?

– Zosiu. Ja naprawdę potrzebuję pieniędzy... – powiedział cicho.

Po tym jego wyznaniu przez chwilę nie mogłam oddychać.

– I to wszystko ukartowałeś? Namówiłbyś mnie na sprzedaż domu, hipotekę, cokolwiek i potem kopnąłbyś mnie w tyłek?

– Zosia. Nigdy bym tego nie zrobił...

– Nie? Teraz tym wyznaniem uderzyłeś mnie między oczy. Chyba ktoś nade mną czuwał, że nie nabrałam się na to wszystko. – Rozłączyłam się, nie kontynuując rozmowy.

Szymon wstał i nalał mi wina.

– Trzeba by szampana, by uczcić to, że zmądrzałam.

– Sorry, nie byłem przygotowany na takie okazje. Wino musi wystarczyć.

Wypiłam bez słowa cały kieliszek.

– Ty nie pijesz? – zapytałam.

– Może też się napiję.

– Nie pracujesz dzisiaj? Po winie przecież nie możesz wsiadać za kółko.

– Nie. Nie jeżdżę już Uberem – wyjaśnił.

– Jak to nie jeździsz? Co się stało?

– Wróciłem do kliniki – powiedział cicho.

– I nic nie mówisz? To świetnie!

– Przeprosiłem się sam ze sobą. Jej już nie mogę pomóc. Ale mogę spróbować pomóc innym.

– Tym bardziej powinniśmy pić szampana!

– Chciałem ci za to podziękować.

– Mnie?

– Tak.

– Ale dlaczego?

– Tamtego dnia, wiesz którego, zrozumiałem, że nie chcę być bezsilny. Kiedy nie mogłem sam ci pomóc, czułem się fatalnie. Wtedy też dotarło do mnie, że Magda chciałaby, bym ratował innych. Może tak miało być.

– To dobra decyzja.

– Wiem. Jestem o tym przekonany. Na razie bywam w klinice tylko kilka razy w tygodniu. Od września prawdopodobnie wrócę na uczelnię. Zobaczymy. Jak

do tej pory jest dobrze.

– Czyli zmiany.

– Może raczej wjazd na właściwy tor. Prawie trzy lata przerwy. Dobrze, że byłem ze wszystkim mniej więcej na bieżąco.

– Pamiętam, jak nocowałam u ciebie pierwszej nocy w Rudzie. Przed snem oglądałam twoje książki na półkach. Zastanawiałam się, skąd taka tematyka u kierowcy. – Uśmiechnęłam się. – Byłam przekonana, że wszystko jest twojego kolegi.

– Większość jest moja.

– Mam wrażenie, że od tamtej nocy upłynęło bardzo dużo czasu. Tyle się zmieniło.

– Czy ja wiem? To zupełnie normalne, że życie idzie do przodu. Ludzie się zmieniają, sytuacje również. Nalać ci jeszcze?

– Nalej. Sobie też. Wrócisz najwyżej taksówką. Albo możesz nie wracać.

Spojrzał na mnie pytająco.

– Chociaż... Chyba też muszę dorosnąć i zastanowić się na spokojnie, co chcę zrobić z życiem. Szkoda, by mój dom stał pusty. Ale nie mogę przecież powiedzieć, że się tu wprowadzę, bo znowu mnie nazwiesz rozwodzonym dzieciakiem.

– Rozbismurmanionym.

– To to samo.

– Po prostu nie chciałem, byś podejmowała znowu pochopne decyzje. Pomyśl, prześpij się z tym.

Pokiwałam głową. Miał całkowitą rację. Od pewnego czasu sama nie wiedziałam, do czego zmierzam. Z jednej strony chciałam, by remont skończył się bardzo szybko, by wreszcie wynająć dom, a z drugiej strony odwlekałam w czasie moment, gdy będę musiała zdecydować o przyszłości willi. I swojej. Ale, gdy teraz o tym myślę, to jestem pewna, że nie wiązałam przyszłości z Markiem. Zastanawiam się, dlaczego ludziłam się, że jesteśmy w stanie zbudować coś razem. A może bałam się, że będę już do końca życia sama?

Zamyśliłam się. Tak. Chyba tego bałam się najbardziej. Kilka razy próbowałam być niezależna, pewna siebie i swoich przekonań. I chyba nie umiałam. Czy tego można się nauczyć? Czy po prostu rodzimy się z pewnego rodzaju predyspozycjami i nie ma szans, by nasze życie się zmieniło?

Zawsze bałam się niezależności. Ulubionym słowem w moim słowniku było „chyba” albo „wydaje mi się”. Dlaczego z góry zakładałam, że to inni mają rację, a nie ja? Może wreszcie czas stanąć na własnych nogach i pokazać światu, że jednak istnieję? I że mimo iż jestem niewielka, to mam w tym świecie całkiem ważną rolę do odegrania.

\*

Tamtej nocy długo rozmawialiśmy. O wszystkim. No, prawie o wszystkim. O przyszłości, ale bardzo ogólnie. O naszej pracy, o pasjach. Żadne z nas nie brało wtedy pod uwagę, że jeszcze kiedykolwiek w życiu będzie umiało kochać. To była subtelna, delikatna rozmowa, może podświadomie omijaliśmy najważniejsze życiowe tematy. Zupełnie tak, jakby latały obok siebie dwa motyle, trzepoczące lekko uszkodzonymi skrzydłami.

Oboje baliśmy się, co przyniesie los. Nie mieliśmy pewności, że nasze wybory są słuszne. Jednak gdy obudziłam się, czując oddech Luny tuż przy twarzy, wiedziałam już, co mam robić. Wiedziałam, gdzie jest moje miejsce. Chyba po raz pierwszy w całym moim życiu nie byłam niczego tak pewna, jak tego, że mój dom jest w starej willi przy ulicy Popioły. Razem ze zdezelowaną ławeczką w ogrodzie, wciąż obdrapanym tynkiem i skrzypiącymi schodami na strych.

\*

Rano Szymon pojechał do domu. Stwierdził, że następnym razem weźmie ze sobą coś wygodniejszego do spania, bo nie ma nic gorszego niż to przedwojenne łóżko.

Potem miał dyżur w klinice.

– Jakbyś potrzebowała lekarza, to już masz – powiedział, zanim się rozstaliśmy.

– No, chyba żartujesz! – Udałam oburzoną.

– Pamiętaj. Dam ci zniżkę! – zażartował. – Jakies pięć procent.

– Wariat! – Uśmiechnęłam się.

– No dobra. Siedem. Niech ci będzie. Ale będziesz musiała napisać na Facebooku, jaka to zadowolona jesteś z usług doktora Szymona Jarosławskiego.

– To już mogę teraz ci napisać. Zupełnie za darmo. – Pocałowałam go w policzek. – Uciekam. Podejmować ważne życiowe decyzje.

\*

Czasem zdarza się tak, że w podejmowaniu decyzji sprzyja nam los. A może sami przyciągamy do siebie pewne zdarzenia, by usprawiedliwić przed sobą ważne życiowe wybory.

Usiadłam z kawą na schodach przed domem. Na drzewach zaczęły pojawiać się liście i zanosilo się, że wiosna w Rudzie Pabianickiej będzie nad wyraz urocza.

– Dzień dobry! – krzyknęłam.

Drogą jak zwykle szła kobieta. Zawsze zapominam zapytać o nią pana Andrzeja.

– Dzień dobry. Podjęła pani dobrą decyzję. – powiedziała.

– Decyzję?

– O tym, by jednak tu zostać.  
– Rozmawiała pani z kimś? Skąd pani to wie?  
– Wiem. I proszę palić czarne świece.  
– Czarne świece?  
– Ochronisz siebie i jego przed złem, zazdrością, zawiścią. Czarne świece to lustro złych emocji. Odbijają złe zaklęcie w kierunku osoby, która je rzuciła. To konieczne przy rozpoczynaniu nowego etapu w życiu, odetniesz się od złych wpływów i ludzi. Wymieciesz całą złą energię...

Słuchałam lekko przestraszona.

– Można je również palić, by odkryć jakąś tajemnicę, czy dotrzeć do prawdy. A tajemnic jest tu wiele. Poszukaj.

– Czarne świece?

– Strych – odpowiedziała tajemniczo i jak zawsze zniknęła, jakby rozplynęła się we mgle.

Zaczęłam się zastanawiać, czy jestem normalna. Bo ktoś z pewnością był tutaj nienormalny. Albo ja, albo ona.

Odkryć tajemnicę? Ale czego? Przecież pan Andrzej powiedział mi już, do kogo należał dom. Było więcej tajemnic? Może faktycznie powinnam iść na ten strych? Robotnicy tam wchodzili, gdyby znaleźli coś niepokojącego, na pewno bym już o tym wiedziała. A miało być już tak spokojnie.

\*

Nie poszłam wtedy na strych, zrobiłam to dopiero kilka dni później. Tamtego dnia jednak przyciągnęłam swoimi myślami dobrą energię. Zadzwoił do mnie ktoś z zapytaniem, czy podjęłabym się koordynować pewien projekt. Osiedle domków. Bardzo duży obszar, z perspektywą dalszej rozbudowy.

– Tylko jest jeden problem – powiedział rozmówca.

– Jaki?

– Pani jest z Gdańska, tak? – zapytał i, nie czekając na odpowiedź, kontynuował. – Bo to jest przy trasie Łódź–Warszawa.

Roześmiałam się na głos.

– Aż tak źle? – Zmartwił się.

– Nie, wręcz przeciwnie – powiedziałam. – Tak się składa, że chyba Łódź przygarnie mnie na nieco dłużej.

Umówiliśmy się na spotkanie. Tydzień później wiedziałam już, że mam pracę tutaj na miejscu. Stawka gwarantowała mi życie na wystarczającym poziomie. Wiedziałam, że mając dochód z wynajmu mieszkania pani Stefanii w Gdańsku i z dorywczych projektów, na które wciąż otrzymywałam zlecenia, dam radę utrzymać siebie, dom i nawet odłożyć nieco na później. Może wreszcie zła passa się skończyła? Byłam tego pewna. Do czasu, gdy nie zadzwonili moi rodzice

z informacją, że Marek u nich był i prosił, by wpłynęli na moje idiotyczne decyzje.

Starali się to zrobić. Marek zawsze cieszył się ich dużym poparciem. Nic nowego. Kto nosił drogie garnitury i zadzierał nosa, znajdował uznanie u moich rodziców. Marek spełniał oba te warunki.

Nie miałam zamiaru wracać do Gdańska. Przynajmniej nie teraz. Nikt nie był w stanie mnie do tego przekonać.

– Zobaczysz. Jeszcze pożałujesz. – Do mnie Marek również zadzwonił. – Będziesz bardzo nieszczęśliwa w tym cholernym domu! Już ja się o to postaram!

\*

Jego słowa brzmiały mi w uszach bardzo długo. Nie mogłam się niczym zająć. Założyłam legginsy i buty do biegania. Chciałam zrzucić z siebie tę negatywną energię. Kilka lat wcześniej biegałam regularnie. Teraz postanowiłam do tego wrócić. Pobiegłam dość wolno w górę ulicy. Potem skręciłam w las. Oglądałam opuszczone wille, ślady fabrykanckiej świetności. Jak kiedyś musiało być tu pięknie! Biegłam dość szybko. Jednak coś przykuło mój wzrok. Zatrzymałam się. W samym środku lasu stał brzoźowy krzyż. Na nim ktoś położył świeże kwiaty. Stała świeczka. Tutaj? W środku lasu?

Podeszłam bliżej. Na krzyżu nie było żadnej tabliczki. Po chwili zauważyłam wyryte w drzewie inicjały A.D. 1934.

Zrobiło mi się zimno. Tłumaczyłam sobie, że marzec jest chłodny, a ja do biegania założyłam dość lekki strój. Jednak wiedziałam, że dreszcze, które przeszły moje ciało, nie były związane tylko z zimnem.

Sięgnęłam do kieszeni. Miałam zapalniczkę. Chyba zabrałam ją ostatnio panu Andrzejowi, gdy upierał się, że będzie palił papierosy.

Zapaliłam świeczkę.

– Kimkolwiek jesteś, spoczywaj w pokoju – powiedziałam.

Za drzewami coś zaszeleściło. Wydawało mi się, że ktoś wychodzi zza skraju lasu. Nie. To musiało być tylko złudzenie. Poczulałam się trochę niepewnie. Skinęłam jeszcze raz w stronę grobu i pobiegłam do domu. Zdecydowanie szybciej niż zwykle.

\*

Wpadłam do domu i przypomniałam sobie o czarnych świecach. Bez zastanowienia pobiegłam na strych. Pomieszczenie było dość ciemne. Przez małe okienko wpadała odrobina promieni słonecznych, która oświetlała wielkie stare biurko. Na nim znajdowało się pełno szpargałów. Gazety związane czerwoną wstążką, zamknięte pudełko. Otworzyłam je. Czarne świece.

Nie, to nie jest możliwe.

Czułam się, jakbym traciła rozum. Wzięłam te świece, paczkę papierów



i zesłałam na dół. Usiadłam w fotelu, wpatrując się w moje znaleziska. Miałam wrażenie, że powoli wariuję.

Sięgnęłam po telefon.

– Szymon, kiedy ty kończysz dyżur? – zapytałam. – Potrzebuję kogoś, kto mi powie, czy ja tracę rozum.

– Nie tracisz. – Usłyszałam śmiech w telefonie.

– Dzieją się dziwne rzeczy. I potrzebuję z kimś pogadać.

– Do usług. Ostatnią pacjentkę mam o szesnastej. Mogę do ciebie potem podjechać. Masz coś do jedzenia, czy będziemy znowu umierać z głodu?

– Jakbyśmy kiedyś umierali. – Obruszyłam się.

– Żartuję. Ale rozumiem twoją niechęć do gotowania. Coś przywiozę.

Westchnęłam. Aż wstyd. Jeszcze nigdy nie zaprosiłam go na obiad. Ale mógłby tego nie przeżyć. Uśmiechnęłam się. Dochodziła piętnasta. Dwie godziny, zanim przyjedzie. Ja mogłam tego nie przeżyć.

Poszłam do łazienki i ściągnęłam z siebie mokre po biegu ubrania. Dałam sobie niezły wycisk. Dobrze mi to zrobiło. A może ta kobieta chce ze mnie zrobić wariatkę, włamała się do mojego domu, weszła na strych i podrzuciła te świece? Muszę ją o to zapytać, gdy się pojawi. Założyłam dzinsy i koszulkę. Najchętniej zostałabym w szlafroku, ale mimo mojej zażyłości z Szymonem, nie wypadało.

Wzięłam do ręki świece. Włożyłam ją do świecznika, postawiłam na stole. Zapaliłam. Przez chwilę wydawało mi się, że zaraz zgaśnie.

\*

– Po co te świece? – zapytał Szymon. – Oczywiście znowu nie zamykasz drzwi.

– To się puka, a nie wchodzi. – Roześmiałam się.

– Pukałem. I nic. To nacisnąłem klamkę i okazało się, że drzwi jak zwykle otwarte. To po co ta świeczka?

– Po co? – powtórzyłam jego pytanie. – A nie będziesz się śmiał?

– Jak będzie śmieszne, to będę – powiedział. – Co sobie będę bronił!

– Bo to taka magia jest – powiedziałam. – To na znak zamknięcia pewnego etapu i rozpoczęcia nowego.

Szymon spojrzał na mnie wnikliwie.

– Tak, wiem, to wariactwo. – Pokiwałam głową.

– Wiesz co? – Zastanowił się. – Czy ja wiem? Jeżeli palenie świeczek powoduje, że się lepiej czujesz, to dlaczego nie?

Odetchnęłam z ulgą.

– To co? Kończysz stare życie i zaczynasz nowe?

Pokiwałam głową.

– Jutro nie mam dyżuru. W weekend również nie. Jedziemy do Gdańska dziś

czy jutro?

– Ale ja nie chcę do Gdańska.

– Nie chcesz? – zapytał. – A rzeczy wszystkie masz? Przecież Rudego trzeba przywieźć do domu.

Uśmiechnęłam się. Zupełnie nie wiem dlaczego, ale oczy mi się zaszkliły. Szymon to zauważył. Uśmiechnął się i mnie przytulił. Czułam się bezpiecznie.

Do Gdańska pojechaliśmy jeszcze tego samego dnia wieczorem. Najpierw zajechaliśmy pod dom rodziców. Musiałam odebrać klucze od domu.

– Poczekam tutaj z Luną – powiedział Szymon.

– Chyba żartujesz. Idziesz ze mną.

– A Luna?

– Też idzie.

Zadzwoiłam do drzwi. Natychmiast otworzyła mama.

– Dziecko, a co ty tak bez zapowiedzi! – zaczęła. – Dzień dobry panu. – Wyciągnęła dłoń.

– Dzień dobry – Szymon się przywitał.

Miałam wrażenie, że moja dość surowa i oschła w obyciu mama topi się pod wpływem jego spojrzenia i uśmiechu. Gdy dodałam, że Szymon jest lekarzem w Łodzi, to wiedziałam, że została kupiona. Luna również została wygłaskana.

– Bernardzie. Nasza córka przyjechała! – zawołała mama. – Z przyjacielem.

– Przyjacielem? – tata huknął z kuchni. – Jeżeli masz na myśli tego oszusta i krętacza Więclawskiego, to on na pewno nie jest ani jej, ani naszym przyjacielem!

– Bernardzie! – Mama zbeształa ojca. – Chodź tutaj się przywitać.

– Dzień dobry. – Uśmiechnął się Szymon. – Szymon Jarosławski. –

Przedstawił się.

– Bernard Krasnopolski. – Tata uścisnął dłoń Szymona.

– Pan jest lekarzem – podkreśliła mama.

– Ja też jestem, a o mnie nigdy z taką dumą się nie wyrażałaś – stwierdził

tata. – Może już zbyt siwy jestem i za duży mam brzuch. – Uśmiechnął się. – Widzisz, chłopcze, jak to jest. Póki masz brzuch mały, to cię chwalą. I masz same zalety. A jak już brzuch większy i siwizna na skroniach, to ino marudzenie.

– Bernardzie!

– Dobrze, że to nie Marek, bo by mi ciśnienie skoczyło. Ale teraz to nawet może skakać, trzech lekarzy w domu – powiedział. – A jakiej specjalności, jeżeli mogę zapytać?

– Szymon jest ginekologiem – powiedziałam.

– Ginekologiem? – Tata się skrzywił. – To mi się, chłopcze, na pewno nie przydasz. Idę robić herbatę.

– Oni czasem są normalni, naprawdę – szepnęłam.

– Moim zdaniem bardzo – potwierdził. – Teraz też.

Roześmiałam się.

\*

Usiedliśmy przy stole. Tata podał herbatę, a mama pokroiła ciasto.

– Przyjechaliśmy, bo wracam do Rudy.

Mama westchnęła.

– Już to raz słyszeliśmy – powiedział tata.

– Ja wiem, że podejmuję decyzje pochopnie, ale teraz czuję, że powinnam – tłumaczyłam. – Dlatego Szymon przyjechał ze mną. Spakuję co się da w jego samochód, zabiorę swój, Rudego. I wakacje u mnie!

Tata podrapał się w głowę.

– A co z pracą?

– Firmę mogę mieć wszędzie. Dostałam teraz duże zlecenie między Warszawą a Łodzią. Jakby los mi wreszcie zaczął sprzyjać.

– No dobrze. Zrobisz, jak uważasz. A jak będziesz chciała wrócić, to wrócisz. Wiesz przecież. Zawsze jest tutaj dla ciebie miejsce.

Mama wyszła do kuchni. Po chwili usłyszałam jej głos.

– Zosiu! Chodź tutaj na chwilkę!

Gdy tylko weszłam, od razu zaczęła pytać.

– Zosiu, a ten Szymon to kto?

– Ten Szymon to Szymon. Po prostu.

– Nie to, żebym chciała być wścibska...

– Ale jesteś. – Roześmiałam się.

– No jestem – przyznała mama. – Ale co?

– Co „co”?

– Będzie coś z tego?

– Mamo!

– Dobrze, dobrze, nie pytam już. – Wzruszyła ramionami. – Ale dobrze mu

z oczu patrzy.

– Wiem, mamó. Bo to dobry człowiek. Dobry człowiek, który dostał od życia niezłego kopniaka.

– Rozwodnik?

– Wdowiec.

– Boże. Nie pytam już o nic. – Mama przytuliła mnie.

Nie pamiętam, kiedy robiła to ostatni raz.

– Bądź szczęśliwa, córeczko. I nie rób nic głupiego.

\*

– W Gdańsku ostatni raz byłem chyba na koloniach – powiedział Szymon, gdy przyszedliśmy do mnie do domu.

Staliśmy na balkonie i podziwialiśmy widoki. Miałam to szczęście, że z balkonu mojego mieszkania było widać morze. Przy dobrej pogodzie nawet Półwysep Helski.

– Mieszkaliśmy w jakiejś szkole obok takiego wysokiego bloku – kontynuował Szymon. – Pamiętam, że ta szkoła miała basen i bardzo się z tego wszyscy cieszyliśmy, tylko gdy dotarliśmy na miejsce, okazało się, że basen był w remoncie.

– Szkoła z basenem? – zapytałam. – Może to ta, do której ja chodziłam?

– Nie wiem. Pamiętam, że przed wejściem do szkoły była taka wielka kotwica z jakiegoś ciężkiego metalu. Moi rodzice gdzieś mają zdjęcie jak siedzę na samej górze.

– Byłeś w mojej szkole na koloniach! – zawołałam zaskoczona. – Chyba tylko tam jest basen i kotwica.

– Popatrz. Świat jest mały. Może kiedyś minęliśmy się po drodze?

– Zawsze, gdy bawiłam się w piaskownicy albo na placu zabaw, mijali nas koloniści idący nad morze.

– Jestem ciekawy, ile razy w życiu ludzie się spotykają, zanim ich losy w jakiś sposób się zwiążą.

– Pewnie wiele razy. Słuchaj, ale jak ty tak dawno nie byłeś w Gdańsku, to musimy chociaż iść na Długą, Długi Targ, nad Motławę.

– A jest na to czas?

– Jest. Mamy całkiem dużo czasu – powiedziałam. – A musisz jutro wracać?

– Nie. Muszę być dopiero w poniedziałek w pracy.

– A możemy ich zostawić razem? – Wskazałam na śpiącą Lunę i Rudego, który w ogóle nie zwracał uwagi na psa.

– Jak Rudy jej krzywdy nie zrobi, to możemy.

– Myślałam raczej o Lunie. – Roześmiałam się.

– Luna? To najbardziej dobrotliwy pies na świecie, który na dźwięk swojego

imienia pomachała przez sen ogonem.

\*

Wsiedliśmy w mój samochód i pojechaliśmy do centrum. Zaparkowałam obok teatru.

– Na Długą musimy wejść przez Złotą Bramę – powiedziałam. – Inaczej się nie liczy.

Spacerowaliśmy dość długo. Na tyle długo, że nie załapaliśmy się do żadnej restauracji. Było już zbyt późno.

– Pozostaje nam kebab.

– Może być i kebab – zgodził się Szymon.

Miałam wtedy wrażenie, że jestem turystką. Że przyjechałam na weekend do Gdańska, trochę spaceruję, a później jem kebab z małego, tureckiego baru czynnego całą dobę.

– A jutro jaki plan wycieczki? – zapytał Szymon.

– A masz niedosyt?

– Mam ogromny niedosyt. – Uśmiechnął się.

Przybliżył się do mnie i dotknął kącika moich ust. Na chwilę wstrzymałam oddech.

– Byłaś brudna od keczupu – powiedział.

\*

Potem w nocy jeszcze długo rozmawialiśmy. Opowiadałam mu o tym, jak poznałam panią Stefanię, później o tym, jak się zaprzyjaźniłyśmy. Wyciągnęłam album ze zdjęciami. Pilnowałam, by pani Stefania miała zdjęcia ze wszystkich ważnych momentów w moim życiu.

Potrzebny był mi taki wieczór.

– Idziemy spać – powiedziałam. – Pościelę ci w drugim pokoju.

Nasze łóżka dzieliła ściana. Długo nie mogłam zasnąć. Słyszałam, że Szymon również. Lunie i Rudemu poszło znacznie szybciej. Gdy wróciliśmy ze spaceru, spały w najlepsze wtulone w siebie, niczym yin i yang. Yin niewielki i rudy, a yang całkiem duża i zupełnie biała.

Poczułam, że też chciałabym się do kogoś tak przytulić. Do kogoś, kto leżał tuż za zimną ścianą. Jednak zwierzęta sobie to wszystko lepiej urządziły.

\*

Sobota minęła nam pod znakiem pakowania moich rzeczy w niezliczoną ilość kartonów.

– Nienawidzę się pakować – powiedziałam. – Nienawidzę.

– Pomyśl sobie, że te rzeczy w nowym miejscu będą ci przypominały to, co

najpiękniejsze z twojego poprzedniego życia.

– Tak właśnie myślę. – Uśmiechnęłam się.

Pakowaliśmy dalej wytrwale książki. Pewne rzeczy należały do Marka, odkładałam je w osobny karton. Nagle usłyszałam chrobot klucza w zamku od drzwi wejściowych. Po chwili w drzwiach stanął zaskoczony Marek.

– Miałaś przyjechać dopiero w przyszłym tygodniu – powiedział.

– Zmieniłam plany. Ale cieszę się, że cię widzę.

– Naprawdę? – Zdziwił się.

Dopiero po chwili zobaczył Szymona.

– Cześć – przywitał się sucho. Nawet nie podał mu ręki.

– Cześć – odpowiedział Szymon.

Dlaczego znowu miałam wrażenie, że ich spotkanie przypomina walkę kogutów?

– Naprawdę cieszę się, że się widzimy – powtórzyłam. – Możesz zabrać swoje rzeczy. – Wskazałam na karton. – I oddać mi klucze. – Wyciągnęłam rękę.

– Ale, ale... jak będę chciał po coś tutaj przyjść?

– Weź to teraz – powiedziałam. – Mieszkanie będzie wynajęte. Poza tym nie widzę powodów, dla których miałbyś mieć do niego klucze. – Na zewnątrz byłam stanowcza, ale w środku cała się trzęsłam.

Marek bez słowa wziął karton i oddał mi klucze. Nie mówiąc ani słowa na pożegnanie, wyszedł z mieszkania.

Odetchnęłam z ulgą. Już mogłam przestać ukrywać swoje prawdziwe emocje.

– Byłaś dzielna – stwierdził Szymon. – Bardzo dzielna – powtórzył. – A ja naprawdę nie lubię tego typu.

Popatrzyłam na niego i się roześmiałam.

– Ja też go nie lubię – zgodziłam się z Szymonem. – Ale potrzebuję wina. Natychmiast i dużo.

– Do usług – powiedział Szymon i zaczął szukać w kartonach butelek, które już zdążyliśmy zapakować. – Nie mogłaś opisać kartonu z winem? Byłoby szybciej!

– Wino jest w kartonie z napisem „książki – kryminał i sensacja”.

– No tak. Logiczne. Po winie to tylko sensacja i kryminał. – Roześmiał się.

– Za mały był ten karton na książki i zmieniłam.

– Nie tłumacz się – powiedział, nalewając wina do szklanek. – Twoje zdrowie.

\*

Kilka godzin później w naszych żyłach płynęło wino. Wypiliśmy dwie butelki. Bałagan był taki jak wcześniej, ale już zupełnie przestało nam to

przeszkadzać. Siedzieliśmy na podłodze wśród kartonów i czuliśmy się doskonale.

– A co jest w kartonie z napisem „romanse”? – zapytał Szymon.

– „Romanse”? – powtórzyłam. – Nie pamiętam. – Sięgnęłam w stronę kartonu i przyciągnęłam go do siebie. – Pusty.

– Nie ma romansów?

– Nie – zaprzeczyłam.

– A gdzie są?

– Oto pytanie filozoficzne! – powiedziałam. – Gdzie są romanse? Wszystkie zaginęły. Wyobrażasz to sobie? Co by się stało, gdyby wszystkie romanse zaginęły?

– Wyginęły.

– O właśnie – potwierdziłam. – Jak dinozaury.

– Tak. Romantikozaury. Wyginęły jakieś siedemdziesiąt milionów lat temu.

– Smutne to by było – powiedział.

– Bardzo.

– Nie sprzątam dzisiaj, dobra? – powiedziałam.

– Nie. Na pewno nie.

Spojrzałam na moje łóżko całe zavalone papierami, książkami i innymi drobiazgami, które chwilowo nie miały swojego miejsca.

– To chodź do drugiego pokoju – powiedział.

– Idę umyć zęby.

– Ja też.

Poszliśmy razem do łazienki. Ledwo trzymałam się na nogach. Świat wirował. Dawno nie piłam tyle wina. Szymon wyszedł z łazienki. Ja przebrałam się w piżamę.

Gdy weszłam do jego pokoju, leżał już w łóżku. Nie namyślałam się długo. Położyłam się tuż obok niego. Nie było mi wygodnie.

– Mogę się do ciebie przytulić? – zapytałam.

– No jasne – powiedział.

Objął mnie, a ja wtulona w jego ciepłe ciało zasnęłam chyba od razu. Bo więcej nic nie pamiętam.

\*

Poranki bywają trudne. Szczególnie, gdy się wypije dwie butelki wina na dwie głowy i potem idzie do łóżka z kimś, o kim do tej pory myślałaś wyłącznie jak o przyjacielu.

Albo chciałaś tak tylko o nim myśleć. Obudziłam się i wiedziałam, że tego dnia nie będzie łatwo.

Na początku miałam kłopot z ustaleniem, gdzie się znajduję, ale potem przypomniałam sobie, że zasnęłam wtulona w Szymona. Pięknie.



Wstałam z łóżka i poszłam do łazienki. Umyłam zęby. Z kuchni dochodził jakiś ładny zapach.

– Dzień dobry. – Usłyszałam.

– Dzień dobry – powiedziałam, spuszczać głowę.

Czułam się trochę niezręcznie.

Szymon podszedł do mnie i wziął moją twarz w swoje dłonie.

– Miejmy to za sobą – powiedział. – Spaliśmy razem. Mam nadzieję, że się wyspałaś. I muszę ci powiedzieć, że byłaś cudownie ciepła.

– Ale ja wszystko pamiętam.

– Ja też wszystko pamiętam. – Uśmiechnął się. – Położyłaś się obok mnie, przytuliłaś się jak mały kociak i od razu zasnęłaś. A szkoda.

– A szkoda? – Zainteresowałam się.

Szymon spojrzał na mnie. Jego oczy się uśmiechały.

– A szkoda – powtórzył.

– A co moglibyśmy na przykład robić, gdybym nie zasnęła? – Wyraźnie go prowokowałam.

– Co? – powtórzył. – Moglibyśmy przedyskutować kilka ważkich problemów świata i ludzkości.

– Na przykład?

– Na przykład ten, że powinnaś natychmiast zapiąć dwa górne guziki od pizamy albo najlepiej się ubrać, a ja powinienem wrócić do tostów, bo nie będziemy mieli co jeść i z tej żalości będziemy musieli wrócić do łóżka.

Uśmiechnęłam się i podeszłam do niego.

Stałam naprzeciwko i mocno się przytuliłam.

– Dziękuję – powiedziałam.

– Ale za co? – Zdziwił się.

– Po prostu za to, że jesteś. Tak po prostu.

Szymon odwzajemnił mój uścisk. Po czym odsunął się nieco ode mnie.

– Zapnij te dwa guziki – powiedział. – Proszę.

Uśmiechnęłam się. Wcale nie miałam zamiaru tego robić.

\*

Szymon z Luną wyjechali w niedzielę po południu. Ja planowałam wyjazd w poniedziałkowe południe. Zabrali ze sobą większą część kartonów. Mnie zostały już tylko drobiazgi. Dziwnie wyglądało to mieszkanie, ogołocone z wszelkich pamiątek i bibelotów. Jakby nie miało duszy. Miałam jednak świadomość, że razem z przedmiotami zabieram też ducha tego domu. Dużo łatwiej będzie mi się zaaklimatyzować w Rudzie. Już na dobre. Czy było mi żal opuszczać Gdańsk? Tak, było. Byłam związana z moim rodzinnym miastem, ale czułam całą sobą, że nadszedł czas na zmiany. Po raz pierwszy w życiu miałam świadomość, że jestem

dorośla i że to ja o sobie decyduję. Czułam też, że tak naprawdę mogę wszystko. Nikt nie jest w stanie zepsuć mi marzeń. Chciałam być po prostu szczęśliwa. Nowe życie wydawało mi się pustą polną drogą. Drogą, którą mogłam biec lub iść powoli, wachając każdy napotkany kwiat i zachwycając się widokami. Mogłam skręcić w prawo, ale również w lewo. Mogłam też na chwilę się zatrzymać, by złapać oddech. To wszystko zależało tylko ode mnie. Teraz potrzebowałam oddechu. Zabierając wspomnienia pani Stefanii, bardzo chciałam poznać jej historię. Historię, której nie zdążyła mi opowiedzieć.

## CZĘŚĆ IV

### ANNA

*Nie możesz zmienić przeszłości, ale przeszłość zawsze powraca, żeby zmienić  
ciebie. Zarówno twoją teraźniejszość, jak i przyszłość.*

Jonathan Carroll

*Tajemnicza willa w Rudzie Pabjanickiej. Jak się bawią królowie manufaktury.*

*Na szosie pabjanickiej między 10 a 12 wieczorem. Eleganccy dżentelmeni i zawoalowane damy. Na „Czarnej Drodze” willa jakich wiele. Niewinny flirt czy coś innego. Nagie tancerki i intymne filmy. Królowie się bawią! W rannej mgle.*

\*

*Ruda Pabianicka, lata trzydzieste*

Henryk Dworak kaszłał coraz mocniej. Już dwa tygodnie mieszkał na Rudzie, znanej z dobrego klimatu, ale jego zdrowie się nie poprawiło. Klarę pochował trzy tygodnie temu, pewnie powoli przychodził i czas na niego. Miał dopiero czterdzieści dwa lata, powinien żyć pełnią życia, a tymczasem wszystko wskazuje na to, że lepiej będzie, jak zacznie się do ziemi przyzwyczajać.

Wsparł się o solidne krzesło i próbował złapać oddech. Nie było to łatwe. Bał się, że już wkrótce jego oddech zupełnie ustanie.

Sięgnął po gazetę sprzed tygodnia albo i dwóch. Znowu żadnych dobrych wiadomości. Był zmęczony. Zmęczony życiem. Osunął się na krzesło. Drżącą ręką podniósł do ust szklanekę z zimną herbatą. Może bardziej rozgrzewająco podziałałby jakiś mocny trunek. Jednak alkoholu od dawna unikał.

Dużo zrobił dobrego w swoim życiu. Nie żałował niczego. Może już czas umierać? Nie miał jednak poczucia, że nadszedł właśnie ten moment, by odejść z tego świata. Ale czy kiedykolwiek jest na to właściwy moment?

Niektórym się wydawało, że ma wszystko. Pieniądze, majątek, ładną żonę. Klara była naprawdę piękna. Można by powiedzieć: eteryczna.

W przeciwieństwie do „wszystkich” Henryk Dworak miał wrażenie, że nie ma nic. Za bardzo uciekał w interesy, zamiast żyć. A to życie takie delikatne się okazało.

Tak trudno złapać oddech. Coraz trudniej.

Pozalał wszystkie swoje sprawy. Całkiem niedawno wybudował ogromną fabrykę, dom mieszkalny dla robotników. Miał kilka sklepów, nie tylko w Łodzi.

Potrafił pomnażać pieniądze. Jego majątek wyceniono na pięć milionów złotych. Niewyobrażalne pieniądze.

Gdy Klara zaczęła bardziej chorować, a on uznał, że powinien poświęcić jej więcej czasu, przekształcił swoją firmę w spółkę. Majątek został podzielony na pięć tysięcy akcji. Zachował sobie pakiet większościowy, ale wielką część majątku rozdał pomiędzy krewnych. W zasadzie krewnych żony, bo on rodziny nie miał. Nie doczekał się dzieci z Klarą. Jego żona była wątłego zdrowia, to i okazji nie było.

Był bardzo zmęczony wszystkim. W ubiegłym roku w związku z kryzysem musiał obniżyć liczbę pracowników, zmniejszyć ich pensje. Na terenie zakładu wybuchały strajki. Nie chciał w tym uczestniczyć. Zachował sobie kilkanaście procent udziałów, resztę powierzył siostrzeńcowi żony. Wychowywał go od dziecka. Wiedział, że firma w jego rękach będzie kwitła.

Tak się stało. Klemens właśnie podjął decyzję o rozbudowie fabryki, budowie nowej tkalni i przędzalni, zakupił krosna, wrzeciona i inne urządzenia. Henryk nie miałby odwagi inwestować w tak trudnych czasach, jednak wspierał Klemensa na tyle, na ile był w stanie. Teraz to nawet go wspierać nie miał siły, bo sam potrzebował opieki.

Kaszlnął. Spojrzał na zegarek. Czekał na Karola Rzepeckiego już trzeci dzień. Chyba nic nie będzie z tego układu, o który tak bardzo prosiła go żona Karola, Janina. Lubił kobietę. Czasem przyniosła jajka, czasem przetwory. Ona też dała sadzonki drzewek owocowych, by wokół willi było ładnie. Potem ludzie zaczęli gadać, że zbyt często przychodzi i przestała. Podobno nawet od męża jej się dostało. Za rzekome romanse z bogatym fabrykantem.

– Panie Henryku, bo ja z wdzięczności chciałam – powiedziała któregoś dnia, gdy przyniosła koszyk pyszności. – Nigdy nie zapomnę, co pan zrobił dla mojego syna.

– Pani Janino, każdemu bym pomógł.

– Ja wiem. Wiem, że pan pomaga, wiem. Ale wdzięczna jestem. Za dyskrecję i za wszystko.

Pewnie gdyby mógł cofnąć czas, drugi raz by mu nie pomógł. Gdyby znał

przyszłość. Ale nigdy nie jest tak, że przyszłość jest czarno-biała. Zawsze ma odcienie szarości. Czasem bardzo zły człowiek może zrobić w życiu jedną rzecz, która w przyszłości przyniesie coś dobrego. Może właśnie dlatego pewnej zimowej nocy, Henryk, jadąc do swojej willi, tuż obok ulicy Piłsudskiego zauważył leżącego w rowie młodzieńca. Zatrzymał się. Chłopak był zupełnie nieprzytomny. Na jego twarzy zastygła krew, ubranie miał brudne i poszarpane. Najwyraźniej ktoś go wcześniej pobił.

Młody Kuba od Rzepeckich. Henryk wiedział, że lubił się zabawić. Zawsze wpadał w nieodpowiednie towarzystwo, Henryk często ratował go z opresji. Tym razem również. Zaciągnął go po śniegu do domu, rozebrał, oczyścił zadrapania na twarzy, położył do swojego łóżka i pielęgnował całą noc. Dopiero rano, gdy Kuba obudził się i wytrzeźwiał, powiadomił Janinę.

Kuba balował pół nocy gdzieś koło Stawów Stefańskiego. Przynajmniej tak twierdził. Prawdopodobnie nie został wpuszczony do środka, bo tam imprezy u Stefańskich nie były dla takich. Ale kto wie? Nad wyraz czarujący brunet, z ciemnymi oczami, południowy typ urody mógł przebierać w kobietach jak w ulęgalkach. Także tych z wyższych sfer.

\*

Kuba Rzepecki miał dziewiętnaście lat i był znany ze swojego awanturniczego charakteru. Może nie był złym człowiekiem, ale od dziecka krnąbrnym i upartym. I nade wszystko cechowała go słabość do płci pięknej.

Wyrósł na wysokiego i postawnego mężczyznę. Jego południowa uroda przyciągała wzrok nawet tych najbardziej zamożnych pań. Kuba często wikłał się w romanse. Był typem człowieka, który ma wszystko, co sobie postanowi. Nie dążył do tego po trupach, ale wykorzystywał swój urok osobisty. Do tej pory zawsze mu to wychodziło.

Do tej pory.

A dokładnie do lata ubiegłego roku, kiedy to w kościele Świętego Józefa pierwszy raz zobaczył Annę. Stała samotnie w bocznej nawie i śpiewała *Ave Maria* głosem tak anielskim, że Kuba chciał go słuchać i słuchać. Dekolt Anny podnosił się i opadał w rytm oddechu. Kuba chciał na ten dekolt patrzeć całe życie. Najchętniej zerwałby z niej tę białą bluzkę, zdjął czerwony kapelusz i kochałby się z nią, nie zważając na nic. Wiedział jednak, że na takie zachowania może sobie pozwolić tylko w „Wesołym Domku” madame Wróblewskiej lub na potajemnych schadzkach z Mullerową. Kobiety takie jak Anna tam nie chodziły. Właśnie wtedy, gdy Anna przymknęła oczy, by odetchnąć przed drugą zwrotką, Kuba Rzepecki postanowił, że bez względu na okoliczności Anna będzie jego. Zacisnął pięści, bo przeczuwał, że bez ostrej walki się nie obędzie. Rozejrzał się wokół. Co najmniej kilku młodzieńców zerkało na dziewczynę ukradkiem.

Nie będzie łatwo. Nawet jego ojciec wpatrywał się w nią zauroczony, co nie uszło uwadze matki.

– Karolu – szepnęła matka, szturchając lekko męża. – Skup się, proszę, na modlitwie.

Kuba uznał, że samo patrzenie i słuchanie tego zjawiska, jakim była Anna, jest jak modlitwa. Dziękował Bogu za to piękno, na które od tego dnia miał zamiar patrzeć już co dzień.

\*

Anna Rościszewska miała siedemnaście lat. Przeniosła się z Łodzi do Rudy Pabianickiej całkiem niedawno, zaraz po śmierci rodziców. Zamieszkała ze swoją ciotką, która prowadziła pracownię krawiecką na Marysinie. W Łodzi robiła kurs kroju i szycia u pani Grynblatowej i ciotka uznała, że pomoc zdecydowanie jej się przyda. Oczywiście zdawała sobie sprawę, że przyjęcie młodej dziewczyny pod swój dach może mieć różnorakie skutki, ale liczyła na rozsądek siostrzenicy. Niestety nie przewidziała tego, że gdy młodzieńcy zauważą tę piękną, młodą kobietę, zupełnie stracą głowy. Rozsądek Anny nie będzie miał tu zbyt dużego znaczenia.

Anna zauważała te wszystkie spojrzenia obcych mężczyzn, ale była obojętna na zaloty. Skupiała się na pracy. Uważała, że jeszcze ma dużo czasu na to, by założyć rodzinę albo wdać się w miłosne związki. Oprócz pracy jako pomoc krawcowej chodziła również pomagać w przyjęciach organizowanych u Horaka, największego rudzkiego fabrykanta, lub potańcówkach na Stawach Stefańskiego. Tam jeszcze czasem pozwalała sobie na zabawę, oczywiście za zgodą pracodawcy. Tańce zwykle trwały do rana, jednakże Anna starała się wychodzić wcześniej. W szczególności po tym, jak pewnego wieczoru Kuba Rzepecki przykleił się do niej i nie odstępował jej na krok. Był jak cień. Wiele słyszała o jego bogatej, niekoniecznie chlubnej przeszłości i nie chciała mieć z tym śniadym, ciemnookim mężczyzną nic wspólnego. Tym razem udało jej się uciec.

Wymknęła się niepostrzeżenie.

– Panno Anno! Czy pani już wychodzi? – Usłyszała z daleka. – Panno Anno! Odprowadzę panią!

Bała się z nim wracać. Ciotka twierdziła, że Kuba Rzepecki jest znany z tego, że jak coś sobie postanowi, to do tego dąży, nie zważając na konsekwencje. Anna zdawała sobie sprawę z tego, że Kuba zainteresował się nią w takim stopniu, że nic nie powstrzyma go od zdobycia jej.

– Panno Anno! – Usłyszała tuż za plecami.

Zatrzymała się.

– Panno Anno, już pani wychodzi? – zapytał ponownie chłopak.

– Tak, obiecałam ciotce, że jutro z rana pomogę jej przy szyciu. Wesele

niebawem u sąsiadów. Ciotka suknię szyje.

– Może panią odprowadzę? Nie boi się pani sama wracać?

Anna nie powiedziała, że najbardziej bałaby się wracać z nim.

– Ja, ja...

Nagle na tarasie pojawiła się kobieta.

– Jakubie, walca grają. – Spojrzała na Annę z pogardą. – Obiecał mi pan walca przecież.

Jakub skinął głową w stronę kobiety.

– Panno Anno, przepraszam. – Zwrócił się do Anny. – Gdyby była pani uprzejma zaczekać moment, odprowadzę panią do domu.

– Dziękuję panu bardzo. Muszę iść. Do widzenia.

Jakub skinął głową w stronę Anny. Podał ramię kobiecie i weszli do środka.

Anna odetchnęła z ulgą.

Odwróciła się, sprawdziła, czy na pewno nikt za nią nie idzie, i szybko pobiegła do domu.



– Czasem żałuję, że nie jesteś inżynierem – powiedziałam do Szymona.

Przyszedł do mnie następnego dnia po tym, jak wróciłam z Gdańska. Skończył właśnie dyżur, wziął Lunę i przyjechał prosto do mnie. Miałam wrażenie, że zaraz zaśnie, ale trzymał się nad wyraz dzielnie. Pił kawę zakupioną na stacji benzynowej, drugą wyjął z samochodu i mi podał.

– Dziękuję! Ale mogłam tutaj kawę zrobić! Nawet ekspres przywiozłam!

– Ekspres przywiozłem ja – powiedział. – Jest w kartonie z napisem „koce”.

– Oj tam. Kawa też rozgrzewa!

– Obawiam się, że bez kawy bym tutaj nie dojechał. Powiem ci, że praca kierowcy chyba była łatwiejsza.

– Wracasz za kierownicę?

– Wracam. Dosłownie za kierownicę. Jacek chce, bym go zastępował.

– To chyba dobrze?

– Jeszcze nie wiem. Myślałem, że proces adaptacji będzie przebiegał znacznie wolniej, ale chyba Jacek marzy o urlopie. Jestem mu to winny.

– Racja – zgodziłam się. – A co masz tam w tej ślicznej, pachnącej nieziemsko, papierowej torebeczce? – Zajrzałam mu przez ramię.

– Samo zło.

– Pokażesz mi, jak wygląda „samo zło”? – Zażartowałam.

– Ale tak przy ludziach? – zapytał, śmiejąc się.

– Chodź zatem do środka. – Wzięłam go za rękę i zaprowadziłam do domu.

– A co to? – zapytał na widok starej maszyny Singera.

– Maszyna – powiedziałam z dumą. – Przyniosłam ze strychu.

– Sama? – Przestraszył się.  
– No nie – przyznałam. – Pan Włodek był.  
– Sprawna? – Szymon zaczął oglądać i poruszać napędem maszyny.  
– Chyba niezupełnie. Właśnie dlatego marzyło mi się, byś był inżynierem.  
– A to niby dlaczego?  
– Bo byś mi ją naprawił. A tak to obawiam się, że pan Włodek się tu zadomowi, a ja najnormalniej w świecie dostanę po łbie od jego żony. – Wzruszyłam ramionami.

– No tak – powiedział. – A chciałabyś, bym ja się zadomowił?  
– Ty już się zadomowiłeś – powiedziałam szybko. – To teraz pokaż mi całe zło tego świata.

Złem tego świata były dwie bułeczki ze zbożami i dwa słodkie rogaliki z makiem. Dodatkowo Szymon dostał od pani Krysi masło własnej roboty i powidła śliwkowe.

– Kocham białe bułeczki. – Westchnęłam, objadając się. – I słodkie rogaliki również.

– A co z dietą biegacza? – zapytał Szymon z pełną buzią.  
– Chyba nie będę już sportowcem. – Pokręciłam głową. – Teraz będę kobietą z przedmieścia. – Ugryzłam kęs przepysznego rogalika z powidłami – Ewentualnie kobietą z przedmieścia czasem biegającą po lesie. Chociaż obawiam się, że jak będziesz mi częściej pokazywał zło tego świata, to będę w stanie tylko siedzieć w fotelu. Będę szczęśliwą, otyłą kobietą z przedmieścia, zajadającą słodkie bułeczki i siedzącą w fotelu.

Szymon się roześmiał.  
– A właśnie, gdzie masz fotel?  
– Rozebrany.  
– Jak to rozebrany? Czy ty masz ADHD?  
– Wiosna idzie!  
– Co zrobiłaś z fotelem?  
– Robię renowację – powiedziałam. – Na razie go trochę pocięłam. Ale mam zamiar zdjąć tapicerkę, pomalować go, założyć nową gąbkę.

– Tobie niepotrzebny inżynier. Ty sama wszystko załatwiasz – powiedział.  
– Maszyny nie umiem naprawić.  
– A jest popsuta? – zapytał Szymon.  
– Nie wiem. Nawet nie sprawdzałam.  
– Zobaczymy – powiedział. – Moja babcia taką miała. Czasem wystarczy naoliwić i działa.

Spojrzałam na niego prosząco.  
– Oczy kota ze *Shreka*. Rozumiem. Zaraz sprawdzę.

\*

Faktycznie. Maszyna była zupełnie sprawna. Szymon naoliwił mechanizm, pomógł mi założyć nitkę. Umiałam szyć na maszynie, jednak ta nieco różniła się od tej, której używałam kiedyś.

Gdy pozszywałam już ze sobą kilka kawałków materiału na nowy pokrowiec fotela, zorientowałam się, że Szymona nie ma. Odwróciłam głowę. Spał w najlepsze na sofie.

Rozpakowałam karton z napisem „sensacja”. Pamiętam, że były tam koce. Przykryłam go i wróciłam do szycia.

Fotel, który sobie wymyśliłam, miał mieć białą ramę. Pokrowiec chciałam uszyć sama. Potrzebowałam dużo kolorowych tkanin, by dodały energii temu domowi. Uznałam, że *crazy patchwork* będzie najlepszy.

Szymon spał, a ja szyłam na starej maszynie i zastanawiałam się, kim była osoba, która pracowała na niej kilkadziesiąt lat temu. Czy była szczęśliwa? I jak potoczyły się jej losy?

Raz za razem poruszałam pedałem maszyny.

Miałam wrażenie, że ten stukot przeniósł mnie w zupełnie inne czasy. Muszę zapytać pana Andrzeja, kto używał tej maszyny przede mną. Szyjąc na niej, czułam dobrą energię, ale też wielki smutek.

*Ruda Pabianicka, lata trzydzieste*

Willa przy ulicy Żeromskiego, zwanej niegdyś Czarną Drogą, niszczała. Samotny mężczyzna, do tego chory, nie miał siły, by zadbać o swoje obejście.

W domu panował bałagan. Wszędzie kurz i brud. Na podwórku również ogromny nieład. Uroku temu domostwu dodawały jedynie kwiaty na drzewach czereśni, które rosły w sadzie za domem. Henryk spędził ten dzień w łóżku. Nie miał apetytu, zatem nic nie jadł. W zasadzie było tak od tygodnia. Marzył, by zamknąć oczy i już ich nie otwierać. Nie chciał odchodzić, ale nie miał też sił na życie.

Po chwili zobaczył nad sobą twarz Janiny. Nawet nie słyszał, jak weszła. Miał zawsze otwarte drzwi, bo chciał, by sąsiedzi szybko dowiedzieli się, że śmierć wzięła go już w swoje ramiona.

– Panie Henryku. Jajka panu przyniosłam. I rosół. Mąż wyjechał na dwa dni, to mogłam przyjść.

Henryk chciał podziękować, jednak kaszel uniemożliwił mu wypowiedzenie jakichkolwiek słów.

– Spokojnie, panie Henryku, spokojnie – powiedziała Janina. – Niech pan nic nie mówi.

Henryk wskazał palcem na stół. Leżały tam dokumenty. Zaczął kaszleć i resztkami sił powiedział:

– To dokumenty. Dam wam wszystko w zamian za opiekę. Do śmierci.

– Nie rozumiem.

– Proszę przeczytać.

Janina wzięła dokumenty. Spojrzała na nie niepewnie.

– Karol to musi zobaczyć – powiedziała.

– Byle przed moją śmiercią. – Henryk zaśmiał się, po czym zaczął bardzo gwałtownie kaszleć.

Janina położyła swoją dłoń na jego dłoni.

– Panie Henryku, pan już nic nie mówi. Porozmawiam z mężem. Damy znać najszybciej, jak to będzie możliwe.

\*

Karol Rzepecki nie był zadowolony. Jego żona chodzi do obcego mężczyzny, kiedy mogłaby w domu siedzieć, a na dodatek jakimiś papierami mu przed nosem macha. I mówi, że ma podpisywać. Od kiedy kobieta może mu mówić, co ma robić?

– Cały majątek nam chce dać – powiedziała Janina.

– Ale kiedy? Kiedy? – zapytał.

– No po jego śmierci.

– A jak wyzdrowieje?

Janina pokręciła głową.

– Nie zanosz się. Kaszle przeokrutnie.

– Żebyś ty czego do domu nie przyniosła. – Karol pokręcił głową. – Z pieniędzmi krucho, Kuba się gdzieś włóczy nocami, to jeszcze choroba nam

potrzebna. – Karol zmarszczył brwi i zaczął czytać dokumenty. – Majątek będzie nasz, o ile Dworak nie będzie miał potomka – powiedział.

– Nie będzie miał – powiedziała Janina. – On ledwo chodzi, nie może o siebie zadbać.

Karol patrzył z powątpiewaniem.

– Zastanowię się – powiedział, gdy już zgodnie leżeli pod pierzyną.

– On pomocy potrzebuje.

– Janka, wielu takich potrzebuje pomocy. Całemu światu nie pomożesz. – Odwrócił się na drugi bok. Nie mógł jednak zasnąć. Wiercił się. W końcu obudził żonę.

– Janka, a jak on jeszcze długo będzie żył? I sobie tylko kłopot na głowę weźmiemy? Jesteśmy młodzi, życie przed nami, a schorowanego człowieka będziemy musieli doglądać? Wystarczy, że z Kubą są same kłopoty, a jeszcze możemy mieć więcej dzieci. Nie jesteśmy tacy starzy.

Janina nic nie powiedziała. Zamknęła oczy. Jednak tej nocy długo nie mogła zasnąć.

\*

Kuba stał pod drzwiami i wszystko słyszał. Przecież Dworak już długo nie pożyje. To było pewne. Sam słyszał, jak tchu mu brakowało. Z chłopakami kiedyś tam się zakradł i trochę alkoholu sobie zabrał. Przecież Dworak nie będzie teraz pił.

Ojciec źle robi, że nie podpisuje tych dokumentów. Gdyby to jemu taki układ zaproponowano!

Zacisnął pięści.

Gdyby tylko... Od razu by się zgodził.

Opieka. Ale wielka mi opieka. Stary już długo nie pożyje, to i robota byłaby żadna. Przez chwilę pomyślał, że w razie czego można by mu pomóc odejść z tego świata, ale szybko tej myśli zaniechał. Dworak był dobrym człowiekiem i nawet jemu się nie naraził. A Kubie narazić się było bardzo łatwo. Gdyby go wtedy w tym rowie nie znalazł, nie wiadomo, co by z nim było. Chyba jednak jutro pójdzie do Dworaka i porozmawia z nim o przyszłości.

\*

Następnego dnia Kuba nie poszedł jednak do chorego fabrykanta. Usłyszał od kolegów, że na Stawach Stefańskiego znowu urządzają potańcówkę. I że ktoś słyszał, że będzie tam Anna. Nie mógł się temu oprzeć. Anna została całkiem sama, bo jej ciotka niedawno zmarła. Nie miała dziewczyna szczęścia, z pewnością potrzebowała opiekuna.

On, Kuba Rzepecki, bardzo by się do tego nadawał.

Poszedł tam dość późno, towarzystwo było już wielce rozbawione.

Wszędzie szukał Anny, ale nie mógł jej znaleźć. Zatańczył dwa razy z Mullerową, poprzytulał się do Mayerowej niemalże na oczach jej męża, który wpatrzony w kieliszek nic nie widział. Później poszedł dalej szukać dziewczyny. Doszedł do jej domu. Było ciemno. Walił w drzwi. Nikt nie otwierał. Nie było jej czy się ukrywała? Przed nim się ukrywała?

Ze złości jego ciemne oczy pociemniały jeszcze bardziej. Łomotał tak głośno, że zaczęto go uciszać z sąsiedniego domu. Na koniec z całej siły kopnął we framugę, zostawiając w niej całkiem spore wgniecenie i wrócił do domu. Po drodze minął willę Dworaka. Zastanawiał się, czy nie zobaczyć, czy stary jeszcze żyje. Może trzeba się spieszyć z podpisywaniem dokumentów?

Jutro. Dzisiaj był za bardzo rozczarowany tym, że nie zobaczył jasnych włosów Anny. A jeszcze bardziej tym, że najwyraźniej ona nie pochwałała jego zalotów. Miał nadzieję, że to się zmieni.

Próbował już wielokrotnie, wszystkimi możliwymi sposobami. Podobno miłość nie wybiera. Ale już on ma swoje sposoby, by Anna go zechciała.

\*

Anna stała przerażona w kuchni. W ręku trzymała nóż. Ktoś mocno łomotał do drzwi. Zdawała sobie sprawę, że od śmierci ciotki jest narażona na odwiedziny różnych mężczyzn. Niekoniecznie tych, których chciała widzieć.

– Panno Anno, proszę otworzyć drzwi! – Usłyszała. – To ja, Kuba.

Tym bardziej nie chciała otwierać. Nie ufała mu za grosz. Obawiała się, że jeszcze wiele złych rzeczy spotka ją z jego strony. I wcale się nie myliła.

\*

Kuba wiele razy próbował zostać sam na sam z Anną. Raz skradł jej pocałunek. Dziewczyna odepchnęła go i uciekła. Chłopak nie mógł tego przeżyć. Do tej pory żadna mu nie odmówiła. Tamtej nocy wypił stanowczo za dużo. Gdy zobaczył, że Anna wraca do domu, skrył się tuż za drzewami. Dziewczyna w porę go zauważyła i zaczęła uciekać w górę ulicy Żeromskiego. Było ciemno. Jednak jego oczy przyzwyczyły się już do zmroku. Kilka metrów przed sobą wciąż widział białą sukienkę Anny. Jeszcze chwila i będzie mógł wziąć ją w ramiona!

Za dużo alkoholu. Kręciło mu się w głowie.

– Anno! – wybełkotał.

Zrobiło mu się niedobrze. Schylił się pod drzewem. Gdy podniósł głowę, dziewczyny już nie było. Zaklął głośno. Nie pozostało mu nic innego, jak wracać do domu. Jeszcze chwilę poczeka na nią pod jej oknem. Przecież kiedyś musi wrócić. A wtedy on jej pokaże, jak się kończy uciekanie przed Kubą Rzepeckim.

\*

Anna biegła ile sił w nogach. Eleganckie buty i biała sukienka, którą dziś włożyła, nie ułatwiały ucieczki. Bała się. Tak bardzo się bała! Za nią, zataczając się i bełkocząc, biegł Kuba od Rzepeckich. Do tej pory czuła na ustach jego pocałunek, a w zasadzie odór alkoholu. Pocałunek, który po prostu sobie wziął, przyciskając ją do drzewa. Biegła, co rusz wycierając usta.

Nie mogła pozwolić na to, by zdarzyło się cokolwiek więcej. Nie mogła!

Biegła w górę ulicy Żeromskiego. Kuba już prawie ją doganiał. Nie wiedziała, gdzie ma się schować. Drzewa w lesie nie wydawały jej się wystarczającym schronieniem.

Gdy Jakub zatrzymał się pod drzewem, Anna zobaczyła dom Henryka Dworaka. Nie знаła go. Gdy przeprowadziła się do ciotki, on był już schorowany. Słyszała tylko od wszystkich, że to dobry człowiek, bardzo bogaty fabrykant z Łodzi.

Żeby tylko ten dobry człowiek miał otwarte drzwi!

Wbiegła po schodkach na ganek i złapała za klamkę. Drzwi ustąpiły z łatwością.

– Dzięki Bogu – szepnęła. Weszła szybko do środka, zaryglowała drzwi i wyczerpana usiadła na podłodze w ciemnym holu. Na początku miała wrażenie, że nikogo tu nie ma. Dom wyglądał na zapuszczony, jakby nikt nie wietrzył i nie sprzątał tu od lat. Jednak po chwili usłyszała kaszel. Bała się odezwać. Bała się, że gdy ten kaszlący człowiek odkryje jej obecność, będzie chciał, by jak najszybciej odeszła. Nie mogła teraz odejść, nie teraz, gdy na zewnątrz czeka jej prześladowca.

– Anno! Gdzie jesteś? – Usłyszała bełkotliwe nawoływania.

Zamknęła oczy niczym małe dziecko, które myśli, że jeżeli ono nic nie widzi, to inni również go nie dostrzegają.

– Anno! – Słyszała. – Gdzie ona jest, do cholery?

Starła się nie oddychać. Wiedziała, że tu jej nie znajdzie, ale bała się, że jakimkolwiek hałasem, nawet najcichszym, zwróci na siebie uwagę. Usłyszała skrzypnięcie podłogi. Ktoś w drugim pokoju wstawał. Po chwili ujrzała starszego, zarośniętego mężczyznę, który zbliżał się do niej wsparty o lasce. Spojrzała na niego błagalnym wzrokiem i położyła palec na ustach.

Chwilę na nią patrzył, po czym skinął głową. Wyrzął przez okno. W oddali zobaczył oddalającego się Rzepeckiego. Poczekał chwilę. Anna widziała, że ledwo stoi na nogach. Podniosła się. Za oknem już nikogo nie widziała.

– Przepraszam pana bardzo – powiedziała. – Przepraszam, że wtargnęłam do pana domu. – Złapała za klamkę. – Ja już pójdę. Może już go nie spotkam – mówiła. – Nazywam się Anna Rościszewska i zwykle nie wchodzę bez pytania do domów obcych ludzi.

Henryk próbował coś powiedzieć, ale kaszel mu to uniemożliwił.

Anna wzięła go pod rękę. Nie było to komfortowe, bo mężczyzna już długo

się nie mył. Nie zmieniał też koszuli, w której spał.

Zaprowadziła go do sypialni. Wszędzie wały się brudne naczynia. Na stole, na podłodze. Muchy krążyły wokół popsutych owoców, które najwyraźniej ktoś przyniósł jakiś czas temu. Anna patrzyła na to wszystko przerażona.

– Panie Henryku. Tak być nie może! – Anna niemal krzyknęła.

Mężczyzna osunął się na łóżko.

Anna przykryła go kołdrą, obiecując sobie, że jak tylko będzie mogła, to zmieni pościel, potem przykryła go jeszcze ciepłym pledem i otworzyła szeroko okno.

– Trzeba tę chorobę wygonić – powiedziała. – Wiatr ją wywieje!

Z grubsza posprzątała w pokoju. Wszystkie naczynia wyniosła do kuchni. Zamiotła podłogę. Wciąż panował bałagan, ale już mniejszy. Muchy krążyły zdenerwowane, że ktoś zabrał im pożywienie.

– Czy ktoś panu pomaga? Przecież pan nie może być sam!

– Czasem – wykrztusił Henryk. – Czasem Janina Rzepecka. Ale w tej rodzinie tylko ona, chciałem, chciałem... – Nie dokończył.

Dziewczyna pokręciła głową.

– Ja panu pomogę – powiedziała.

Henryk już tego nie słyszał. Zasnął.

\*

Anna sprzątała pół nocy. Napaliła w piecu, nagrzała wody, umyła całą stertę naczyń, wyszorowała wszystko, co tego wymagało, i pościeliła łóżko w drugim pokoju. Nie miała już na nic siły. Było już dawno po północy, gdy kładła się spać. Zasnęła, zastanawiając się, co zrobić, by pan Henryk przestał kaszleć chociaż na chwilę. Na razie nie wiedziała, jak sobie z tym poradzić. Jednak z tyloma rzeczami radziła sobie w swoim życiu, że i na kaszel Henryka Dworaka musiała znaleźć rozwiązanie. Ale musi się trochę wyspać. Nie będzie przecież nocą wracała do domu. Co ludzie powiedzą? Ale... Przecież nikt nie wie, że ona tu jest. A zresztą nieważne co ludzie powiedzą, ważne, by być w zgodzie z samą sobą. Położyła się na świeżo pościelonym łóżku i od razu zasnęła.

\*

Obudziła się bardzo wcześnie. Na początku nie pamiętała, gdzie się znajduje. Po chwili usłyszała kaszel.

Henryk Dworak. Była w jego willi. Przypomniała sobie.

Wstała, obmyła twarz wodą. Poprzedniego dnia zrobiła porządek w jedzeniu. Trochę tego było. Janina Rzepecka najwyraźniej dbała o to, by Henryk miał w domu jedzenie. Nie było tylko komu tego jedzenia podać. Jaja, mąka. Mleko już zsiadło, ale ze zsiadłego mogą być dobre placki. Sucha kiełbasa też była.



Pomoczyła czerstwy chleb w jajku, upiekła go na piecu. Posypała cukrem i zaniósła Henrykowi. Już nie spał. Patrzył na dziewczynę zdziwionymi oczami.

– Byłem pewien, że mi się to śniło – powiedział.

Rozejrzał się niepewnie po czystym wnętrzu.

– Dziękuję.

Anna uśmiechnęła się.

– To nie wszystko. Zaraz... Zaraz pomogę panu się umyć. Nagrzeję wody. Przeniesie się pan do drugiego pokoju, a ten posprzątam dokładniej. Jak jest bałagan, to i choroba dłużej się trzyma.

– Moja choroba jest już na zawsze – powiedział. – Trzeba by cudu, by zniknęła.

– Cuda się zdarzają. – Anna się uśmiechnęła. – Proszę, śniadanie. Zrobiłam z tego, co jest. Zaraz pójdę na zakupy, rosół nastawię, chleb do wyrośnięcia. Naje się pan i umyje. A potem zdarzy się cud i pan ozdrowieje.

Nie mogłam przestać myśleć o historii, którą poprzedniego wieczoru opowiedział mi pan Andrzej. Jak zawsze przerwał w najciekawszym momencie.

– Kim była Anna? – zapytałam z wypiekami na policzkach.

– Następnym razem.

– Panie Andrzeju, tak nie można!

– Można, można! Wy się lepiej sobą zajmijcie, bo prześpicie najlepsze lata.

Potem można tego żałować.

Szymon uśmiechnął się.

– Chodź, pójdziemy się sobą zająć – powiedział i złapał mnie za rękę.

Nie odtrąciłam jego dotyku. Całą drogę do domu trzymaliśmy się za rękę, Luna wesoło biegała wokół nas, co chwilę zaszywając się w lesie.

– Jak myślisz, kim była Anna? – zapytałam Szymona.

– Nie wiem. Ale skoro pan Andrzej o niej opowiada, na pewno była kimś ważnym.

– To wydaje się bardzo głupie, ale ja ją czuję. Czuję, że ta historia jest ważna również dla mnie.

– To historia twojego domu. W tych murach wszystko się działo. Ona szła na twojej maszynie, chodziła po tej samej podłodze, tych samych schodach, deptałyście te same ścieżki.

– Dziwne to wszystko, prawda? Ten dom widział więcej niż my i wszystko pamięta. Radość, miłość, ból.

Gdy szliśmy w stronę domu, oczyma wyobraźni widziałam tę młodą

dziewczynę uciekającą przed prześladowcą. Poczułam jej strach. Mocniej ścisnęłam dłoń Szymona.

– Zimno ci? – zapytał, obejmując mnie ramieniem.

– Nie. Po prostu pomyślałam o niej. I poczułam, jak musiała się bać.

Staął naprzeciwko mnie, pogładził lekko po policzku.

– Ty nie musisz się już bać – powiedział. – Znalazłaś swoje miejsce na ziemi.

Uśmiechnęłam się do niego.

– Dobrze, że jesteś – powiedziałam.

Odwzajemnił uśmiech i mocno mnie przytulił. Pachniał cygarem pana Andrzeja i swoją wodą kolońską. Chciałam tak stać całą wieczność. Przytulał mnie mocno i gładził po włosach. Zamknęłam oczy.

Po chwili jednak delikatnie go odsunęłam.

– Idziemy – wyszeptałam.

Bez słowa dotarliśmy do domu. Co wtedy czułam? Czułam magię. Tylko nie do końca wiedziałam, czy ta magia ma coś wspólnego z nami, czy z historią tego domu sprzed lat.

\*

Tamtego wieczoru wydawało mi się, że Szymon chciałby zostać u mnie dłużej. A ja zachowywałam się jak dziewczyna z dawnych lat. I chciałam, i bałam się. Cały czas czułam jego zapach i jego ciało tuż przy swoim, gdy mnie przytulał.

Czy to z powodu Szymona tak szybko podjęłam decyzję o powrocie?

– Będę szedł – powiedział około północy. – Dobranoc.

– Dobrej nocy – powiedziałam.

Zawsze wydawało mi się, że gdy mówię komuś „dobrej nocy”, naprawdę mu tego życzę. „Dobranoc” było takie zwyczajne.

Odprowadziłam Szymona do drzwi. Tuż przed wyjściem przystanął, jakby się zawahał. Byłam pewna, że chciał coś powiedzieć.

– Tak? – zapytałam.

– Zamknij za sobą drzwi – wyszeptał. – Nie zapomnij.

– Zamknę.

– Będę czekał i sprawdzę.

– Idź już, bo będziesz niewyspany.

– Idę.

Uśmiechnął się i wyszedł. Zamknęłam za nim drzwi.

Po chwili usłyszałam, jak naciska klamkę.

– Tylko sprawdzałem – powiedział. – Śpij spokojnie.

\*

Nie spałam spokojnie. Śniła mi się Anna chodząca po moim domu. Obudziłam się nad ranem i nie mogłam zasnąć. Przez chwilę zastanawiałam się, czy pan Andrzej jeszcze śpi. Może mogłabym do niego pójść i usłyszeć dalszy ciąg historii.

Przed ósmą założyłam ubranie do biegania i wyszłam z domu. Zostawiłam za sobą Rudego, patrzącego z wyrzutem, że ośmielam się go budzić przed dziesiątą.

Pobiegłam do lasu. Chciałam się porządnie zmęczyć. Pamiętałam, że kiedyś podczas biegania widziałam brzozowy krzyż w lesie. Miałam niejasne wrażenie, że ma coś wspólnego z tą historią. Postanowiłam go odnaleźć. Chyba krążyłam w kółko. Aplikacja w mojej komórce rysowała dziwne wzory na mapie. Nie mogłam go znaleźć. Może był zupełnie gdzieś indziej?

Zaczęłam się zastanawiać, czy ten brzozowy krzyż w środku lasu w ogóle istniał.

Trochę przestraszyłam się swoich dziwnych myśli.

Zrobiłam kilka intensywnych podbiegów pod górę i moje myśli wreszcie się uspokoiły.

\*

Gdy wróciłam do domu, postanowiłam przygotować sobie gabinet do pracy. Jeszcze nie miałam okazji tutaj pracować. Wiedziałam jednak, że wakacje nie mogą trwać wiecznie. Impulsem ku temu był telefon od mamy, że wynajęła mieszkanie pani Stefanii studentkom medycyny od siebie z uczelni.

Z jednej strony się ucieszyłam, a z drugiej poczułam, że naprawdę nie mam już do czego wracać. Pewien rozdział w moim życiu został zamknięty i czas zacząć coś nowego.

Przypomniałam sobie o czarnych świeczkach. Ta, którą paliłam wcześniej, jeszcze nie wypaliła się do końca.

Zapaliłam świeczkę, wysprzątałam mój przyszły gabinet i usiadłam do komputera w poszukiwaniu jak najtańszego wyposażenia. Pewnie kiedyś były tu piękne meble, niestety prawie nic nie ocalało. Pan Włodek mówił, że gdybym dobrze popatrzyła, to pewnie znalazłabym te meble u sąsiadów. U tych, którzy mieszkali w Rudzie od dawna, ale przecież nawet nie wiedziałabym, czego szukać.

\*

Gabinet postanowiłam urządzić w pokoju na tyłach domu. To było duże pomieszczenie, z bezpośrednim wyjściem do ogrodu. Zawsze marzyłam o takim gabinecie. Nie przemawiały do mnie powierzchnie *open space*, z których tak był zadowolony Marek w „Wieclawsky Project”.

Miałam wrażenie, że to było zupełnie inne życie. Tu i tam. Teraz i wtedy.

Mimo tego, co wydarzyło się po drodze, czułam, że jestem we właściwym miejscu.

Usiadłam w fotelu i zaczęłam czytać książkę, którą znalazłam na strychu. Tę o miłości. Przekładałam stronę za stroną i byłam ciekawa, kto wcześniej wzruszał się, czytając tę historię. Znowu pomyślałam o Annie.

\*

Po południu zadzwonił Szymon.

– A dzisiaj ty zapraszasz na obiad czy ja? – zapytał wprost.

– A jemy wspólnie obiad? – Zdziwiłam się.

– A nie?

– Z przyjemnością – powiedziałam.

– No to super. Będę za pół godziny.

– Czeka! – zawołałam. – A kupisz coś? Jakąś chińszczyznę?

– Jednak nie doczekam się obiadu. – Szymon się roześmiał.

– Bo wiesz, odkąd pan Andrzej kury nazywa, to ja się zastanawiam nad wegetarianizmem.

– To się dopiero nagotujesz! Dobra, przywiozę coś.

– Dziękuję.

– Daj mi pół godziny.

\*

Po obiedzie oczywiście zmusiłam Szymona, byśmy poszli do pana Andrzeja. Tym razem wybraliśmy się tam we czwórkę. Pierwsza biegła Luna, potem szliśmy my, a pochód zamykał Rudy. Towarzyszył nam połowę drogi, po czym zniknął. Wiedziałam, że będzie czekał na mnie wieczorem w domu. Zawsze wchodził przez lekko uchylone okno na pierwszym piętrze. To była nasza niepisana umowa. Ze wszystkich mężczyzn, z którymi byłam w jakiś sposób związana, najlepiej do tej pory dogadywałam się z Rudym. Jednak gdy tak szłam obok Szymona, miałam wrażenie, że Rudy nie będzie długo jedynym mężczyzną w moim życiu.

*Jutro wyjdę po raz pierwszy na spacer, a za kilka dni wróci do normy moje życie. To nie doktorzy – to ty mnie uleczyłaś. Myślisz, że to ładny frazes tylko? Nie. Chciałem żyć, by ciebie kochać, chciałem żyć, bo ciebie Kocham. Nie ma lekarstwa w całej farmakopei uniwersalnej, które by było tyle warte co jedna radość. Żywotność organizmu zwycięża zło; miłość – u szczytu swej żywotności – zwycięża śmierć.*

*Wiesz, kiedy się starzejemy? Gdy tracimy zdolność intensywnej miłości. A wiesz, dlaczego umieramy? Bo się męczymy życiem i miłością.*

*Zofia Casanowa, Więcej niż miłość, Kraków 1908*

\*

*Odrobinę szczęścia w miłości,  
Odrobinę serca czyjegoś.  
Jedną małą chwilę radości  
Przy boku kochanego  
Stanąć z nim na ślubnym kobiercu,  
Nawet łzami zalać się,  
Potem stanąć sercem przy sercu  
I usłyszeć... Kocham cię.*

\*

*Ruda Pabianicka, lata trzydzieste*

Henryk Dworak po raz kolejny powtarzał sobie w myślach słowa Anny: „A potem zdarzy się cud i pan ozdrowieje”.

Zamknął oczy. Miał wrażenie, że cud już się wydarzył. Dokładnie w tej samej chwili, w tym samym momencie, w którym Anna nacisnęła klamkę u jego drzwi i weszła do środka. Źli ludzie czasem mimochodem robią dobre rzeczy. Kuba Rzepecki zupełnie nieświadomie przyczynił się do tego cudu.

Henryk zaczął jeść pierwszy ciepły posiłek od dawna. Nie był w stanie zjeść wszystkiego, co Anna mu przygotowała.

– Jeszcze trochę i apetyt wróci – powiedziała. – Moja babcia mówiła, że na chorobę najlepsze rosoły. I inhalacje kazała robić. Nazbieram dzisiaj ziół różnorodnych...

Henryk słuchał jak urzeczony. Miał wrażenie, że odkąd Anna wywietrzyła jego pokój, może nawet odetchnąć głębiej niż przedtem. Dotknął swojej zarosniętej twarzy. Brzytwa miałaby używanie. Po raz pierwszy od dawna chciał się ogolić.

– Zaraz przyniosę brzytwę! – Anna czytała w jego myślach.

\*

Po kilku godzinach Henryk leżał już w łóżku w drugim pokoju. Anna kończyła sprzątać w jego poprzedniej sypialni, na piecu bulgotał rosół, piekło się mięso, które skądś przyniosła. Cały dom pachniał ciastem. Podziwiał dziewczynę.

Przyszła do jego domu, by się schronić. I gdy tylko zauważyła, że jest mu potrzebna pomoc, natychmiast jej udzieliła.

Cud.

Będzie wdzięczny Rzepeckiemu do końca swoich dni.

Anna krzątała się po kuchni i śpiewała.

*O czym marzy dziewczyna,  
Gdy dorastać zaczyna,  
Kiedy z pączka zamienia się w kwiat.  
Kiedy śpi, gdy się ocknie,  
Za czym tęskni najmocniej  
Czego chce, aby dał jej świat...*

*Odrobinę szczęścia w miłości,  
Odrobinę serca czyjegoś.  
Jedną małą chwilę radości  
Przy boku kochanego.  
Stanąc z nim na ślubnym kobiercu,  
Nawet łzami zalać się.  
Potem stanąć sercem przy sercu*

*I usłyszeć... Kocham cię.*

Henryk się uśmiechnął. Anna była właśnie takim pączkiem zmieniającym się w kwiat. Po raz pierwszy od dawna ten schorowany mężczyzna stwierdził, że chciałby żyć na tyle długo, by czerpać z tego kwiatu jak najwięcej radości. Miał nadzieję, że cud w postaci pielęgnującej go Anny wystarczy, by jego marzenia się spełniły.

\*

Miesiąc później Karol Rzepecki wciąż nie mógł podjąć decyzji w sprawie opieki nad Henrykiem.

– Nie życzę sobie, by moja żona usługiwała jakiemuś mężczyźnie.

– Karolu, trzeba pomagać. – Janina była stanowcza.

– Ale dlaczego ty musisz to robić? Pomagaj w domu. Syna mamy, kury, sad. Jest co robić.

– Nasz syn jest już dorosłym człowiekiem, Karolu.

– A zachowuje się czasem jak dzieciak – stwierdził. – Za dużo masz wolnego czasu. Za dużo – dodał. – Zajęcia ci jakiegoś muszą poszukać.

Zniecierpliwiona Janina pokręciła głową. Obawiała się, że, niestety, wkrótce będzie miała więcej zajęć. Nie mówiła o tym jeszcze mężowi, ale coraz bardziej sobie to uświadamiała. Mąż miał rację. W takiej sytuacji nie mogła pomagać choremu mężczyźnie. Słyszała plotki, że dziewczyna od krawcowej, Anna, zamieszkała z nim w willi, ale nie chciała wierzyć w ludzkie gadanie. Która młoda dziewczyna chciałaby usługiwać choremu mężczyźnie? No chyba, że liczyła na jego majątek? Ale sprzedać się tak po prostu? Janinie się to w głowie nie mieściło. No cóż. Teraz powinna się martwić swoją rodziną, a nie cudzymi kłopotami. Tym bardziej, że Kuby od kilku dni nie było w domu. Bała się, że nic mu już nie pomoże.

\*

Kuba Rzepecki od dwóch tygodni pił. Gdy tylko dowiedział się, że Anna, ucieleśnienie niewinności, skromności i cnoty, zamieszkała z bogatym Henrykiem, zaczął topić swój smutek w alkoholu. Nieważne jakim. Gdy jest się przystojnym i czarującym mężczyzną, przebywającym często w towarzystwie rozwiązłych pań, nie jest trudno zdobyć trunek mocno uderzający do głowy. Zdobywał go zatem codziennie. Stawy Stefańskiego były jego drugim domem. Niestety któregoś dnia nawet Mullerowa go odtrąciła. Nie podobał jej się ten zapuszczony młodzieniec, który pijackim bełkotem prawił jej komplementy.

Kuba stoczył się na samo dno. A przynajmniej tak mu się wydawało. Nie zdawał sobie sprawy, że istnieje jeszcze drugie dno, dużo głębsze.



Niebawem również tam miał trafić.

\*

Henryk Dworak czuł się coraz lepiej. Gdy stanął przed Anną ogolony, w czystym ubraniu, zdziwiona dziewczyna zobaczyła przed sobą mężczyznę w sile wieku. Nieco zniszczonego przez chorobę, bardzo wychudzonego, ale wciąż w sile wieku.

Gdy zobaczyła go w odbiciu lustra, które właśnie myła, podskoczyła ze strachu.

– Nie poznałabym pana – powiedziała zarumieniona.

Henryk się uśmiechnął. Odkąd ta młoda dziewczyna zjawiła się w jego domu, poczuł się zdecydowanie lepiej. Troszczyła się o niego, jak nikt nigdy dotąd.

– Przyniosłaś mi siłę, Anno.

– To cud, panie Henryku. Mówiłam, że cuda się zdarzają.

Zdarzają. Henryk był przekonany, że to prawda.

Dopiero teraz czuł się na tyle dobrze, by wspominać poprzedni miesiąc. Miesiąc, w którym chyba na nowo narodził się do życia. Bo to było zupełnie inne życie. Ktoś troszczył się o niego, dbał. Do tej pory to on musiał martwić się o Klarę, zajmować sprawami fabryki. Zawsze sam podejmował wszelakie decyzje i musiał stać na baczność, gdy zaszła taka potrzeba. Tego miesiąca mógł wreszcie odpocząć. Miał wreszcie porządek w izbie, a muchy, które mu tak dokuczały, zniknęły.

Na początku Anna czytała mu jakąś powieść. O miłości. Pewnie znalazła starą książkę, jeszcze jego matki. Nieważne o czym, ważne, że codziennie siadywała na krześle obok jego łóżka i mógł słyszeć, jak czasem ze wzruszenia łamie się jej głos, gdyż miłość na kartach książki była piękna, ale i dramatyczna. Potem, gdy Anna myślała, że śpi i słyszał stukot maszyny do szycia dobiegający z drugiego pokoju, wziął jeszcze raz tę powieść do ręki. „To nie doktorzy – to ty mnie uleczyłaś” – przeczytał i się uśmiechnął. Dobrze mu było. Chyba było mu dobrze po raz pierwszy w życiu. Poczł wolę walki z chorobą. Czy to była miłość? Pewnie tak. Czy kochał już wcześniej? Nie. Klarę wybrała mu rodzina. On nie protestował. Takie były czasy i taki był los. Annę wybrał sobie sam. A raczej pewnego dnia ona znalazła go brudnego, zapuszczonego i niemalże umierającego. Nie zawahała się mu pomóc. Wstał z łóżka i założył na siebie ubranie. Poszedł do drugiego pokoju. Obserwował, jak ze skupieniem szyła. Nawilżała ustami nitkę, po czym precyzyjnie nawlekała ją na igłę.

Maszyna zawsze była w jego domu. Nie musiała przynosić swojej. A tak naprawdę przeniosła się z całą pracownią krawiecką do niego. Na razie klientki przyjmowała jeszcze tam, gdzie wcześniej. Ale może już czas na zmiany?

– Panno Anno – powiedział nagle. – Pięknie pani wygląda.

Dziewczyna zarumieniła się.

– Długo mnie pan obserwuje? – Poprawiła schludnie zapleciony warkocz.

– Wystarczająco, bym mógł się zachwycić.

– Bardzo panu dziękuję. Nie jestem przyzwyczajona do komplementów.

– A powinna pani. Będę je często powtarzał. Rozjaśniła pani moje życie jak słońce. I mam tylko nadzieję, że jeśli dzięki pani już prawie wyzdrowiałem, nie zniknie pani z mojego życia tak nagle, jak się pani pojawiła.

Anna zawstydziała się jeszcze bardziej.

– Dokąd miałabym pójść? Do pustego domu, gdzie nikt na mnie nie czeka?

– Jest pani młoda, wkrótce ktoś zechce się panią opiekować do końca swojego życia.

Anna nic nie odpowiedziała, tylko zaczęła szybko szyć. Kołysała rytmicznie stopami, wprawiając maszynę w ruch.

Henryk się uśmiechnął. Może nie wszystko jeszcze stracone.

\*

Anna, budząc się pewnego dnia, zdała sobie sprawę, że Henryk nie jest jej obojętny. Wiedziała, że decydując się na zamieszkanie u obcego mężczyzny, wiele ryzykuje. Ryzykuje reputację. Być może klientki nie będą chciały szyć u niej sukien. Nie spodziewała się tylko, że przeprowadzka do Henryka grozi również złamanym sercem.

Zakochała się w mężczyźnie dwadzieścia lat starszym, dużo zamożniejszym od niej. Mężczyźnie, który każdego dnia był coraz zdrowszy. Jego policzki nie były już tak zapadnięte jak wtedy, gdy go poznała, coraz częściej się uśmiechał. Czy to możliwe, by zrobiła to, czego lekarze nie dali rady zrobić wcześniej? Przecież Henryk był umierający.

Czy to znaczy, że jeżeli on całkiem wyzdrowieje, będzie musiała wracać do pustego domu? Że będzie narażona na zaczepki pijanych młodzieńców, wracających z potańcówek? Tutaj, u Henryka, czuła się bezpiecznie. Zadomowiła się w tym niewielkim pokoiku na piętrze, którego okno wychodziło wprost na sad czereśniowy. Na razie kwitły kwiaty, ale wkrótce drzewa dadzą owoce. Kto je zmieni w przepyszne kompoty i zaccaruje w pachnące wanilią ciasta jeśli nie ona?

Pierwszy raz pomyślała, że cuda się zdarzają, gdy Henryk powiedział jej, że pięknie wygląda. Owszem, starała się zawsze schludnie wyglądać, ale nie spodziewała się, że on to zauważy.

Jednak zauważył.

Serce podskoczyło jej radośnie i świat zawirował w oczach. Akurat szła suknię ślubną dla córki Mullerowej. To było dzieło sztuki. Czy ona chciałaby kiedyś taką założyć? Nieważne, jaka będzie suknia, byleby miłość kwitła jak te czereśnie za oknem. A potem dawała owoce.

Zarumieniła się na samą tę myśl. Nie czas myśleć o takich sprawach. Skończyła doszywać obszerną falbanę do spódnicy, zaparzyła herbatę i poszła do pokoju Henryka. Nie leżał już, a siedział w fotelu. Czytał książkę, którą znalazła w biurku.

– Panno Anno, mogę pani coś przeczytać? – zapytał.

– Oczywiście.

– Usiądzie pani tutaj, obok mnie. – Wskazał fotel.

Przeczytał jej fragment, który czytał już wiele razy w samotności. Fragment, nad którym zastanawiał się wielokrotnie. Ten, który otworzył mu oczy na miłość.

– Panno Anno, ja też myślę, że to pani mnie uleczyła. – Wziął jej dłonie w swoje ręce i patrzył w jej oczy. – Ja wiem, że to niemożliwe, by ktoś, kto szuka sobie już miejsca w ziemi, nagle ozdrowiał. Nadal w to nie wierzę. Ale czy... – zerwał się nagle z fotela, podszedł do otwartego okna, z którego na pokój padało wiosenne słońce. Lekko się wychylił i urwał czereśniową gałązkę.

– Anno. – Uklęknął u jej nóg. – Czy byłaby pani tak łaskawa i zechciała zostać moją żoną? Być może niewiele czasu zostało mi na tym świecie, ale myślę, że z pani pomocą ten czas będzie o wiele dłuższy i o niebo piękniejszy. Anno, to tak jak w tej książce, którą czytałaś mi co wieczór. – Dał jej gałąź obsypaną kwiatami. – Anno, zostaniesz moją żoną?

Dziewczyni zaszkliły się oczy.

– Tak – powiedziała tak cicho, że ledwo ją usłyszał. – Tak – powtórzyła.

Patrzyła na niego błyszczącymi oczami. Jeszcze tak niedawno był dla niej zupełnie obcym człowiekiem, prawie nie wiedziała o jego istnieniu. Miesiąc wcześniej przestraszona schroniła się w jego domu, a teraz on proponuje jej schronienie na całe życie.

Henryk wtulił się w dłonie Anny i chwilę klęczał przytulony do jej kolan. Nie spodziewał, że życie jeszcze mu się tak ułoży. Był pewien, że przyjeżdżając do Rudy, stracił wszystko. A tymczasem zyskał nowe życie. W porównaniu z tym stracił tak naprawdę niewiele.

Historia lubiła się powtarzać. Ja również przyjeżdżając do Rudy, myślałam, że straciłam wiele. Jednak coraz częściej zastanawiałam się, czy nie zyskałam dużo więcej. Zaczynałam już być tego pewna.

Codziennie spotkania z panem Andrzejem stały się rytuałem. Lubiałam siedzieć w jego małym domku, na starym tapczanie. Stefan często przybiegał i domagał się pieśczot. Kiedyś do domu weszła nawet kura. Zastanawiałam się, czy to Malwina, czy inna. Nigdy nie pamiętałam ich imion.

Tamtego dnia też miałam zamiar iść do pana Andrzeja. Wyjątkowo jednak byłam przygotowana na obiad z Szymonem. Od rana próbowałam się do niego dodzwonić. Nie odbierał.

Włączyłam radio i usiadłam do komputera.

– Dzień dobry państwu. – Usłyszałam głos spikera. – Dzisiaj wspominamy lata trzydzieste i niezapomnianą piosenkę Toli Mankiewiczówny *Odrobinę szczęścia w miłości*. Tym razem proponujemy ją w wykonaniu nieco bardziej współczesnym. Przed państwem Irena Santor.

Uśmiechnęłam się. Przeszłość mnie prześladowała. Musiałam się dowiedzieć, do czego zmierza ta historia i jaki jest jej finał.

Próbowałam pracować, jednak spokoju nie dawało mi to, że nie mogę skontaktować się z Szymonem. Często zdarzało się, że nie odbierał, ale zawsze potem oddzwaniał. Próbowałam jeszcze kilka razy. Bezskutecznie.

Po południu zadzwoniłam do kliniki. Nie chciałam wyjść na rozhisteryzowaną kobietę, ale naprawdę się martwiłam.

– Dzień dobry, mówi Zofia Krasnopolska, czy mogłaby mnie pani połączyć z doktorem Jarosławskim?

– Pana doktora nie ma.

– Dziękuję. Już wyszedł? – Próbowałam się czegoś dowiedzieć.

– Nie. Nie było go dzisiaj w ogóle. Był na urlopie.

– A jutro będzie?

– Tak. Jutro powinien być.

– Dziękuję bardzo.

Rozłączyłam się. Byłam jeszcze bardziej zaniepokojona. Nie przypominałam sobie, by Szymon wspominał coś o tym, że ma wziąć urlop. Nie miał chyba planów wyjazdowych.

Postanowiłam zadzwonić do Jacka. Miałam numer jego komórki. Szymon dał mi go, gdy byłam w szpitalu. W razie czego.

– Dzień dobry. Mówi Zosia. Znajoma Szymona...

– Cześć, Zosiu. Wszystko w porządku?

– No właśnie nie wiem. Nie mogę dodzwonić się do Szymona. Dzwoniłam do kliniki, tam powiedziano mi, że ma urlop i nie wiem... Nie planował chyba żadnych wyjazdów?

Jacek zawahał się.

– Zosiu. Planował.

Nie wiedziałam, jak zareagować. Jacek chciał jeszcze coś powiedzieć, ale już się pożegnałam i rozłączyłam.

Planował urlop od dawna. Nie odbiera telefonu. Nie można się z nim skontaktować. Bardzo mi się to wszystko nie podobało. Postanowiłam wysłać jeszcze dwa ważne maile i po prostu do niego pojechać.

\*

Do domofonu dzwoniłam kilka razy. Nikt nie otwierał. Samochód Szymona stał na swoim miejscu parkingowym. Ktoś akurat wchodził przez bramę, więc weszłam za nim.

Zapukałam do drzwi i od razu nacisnęłam klamkę. Drzwi ustąpiły bez problemu.

– Szymon? – zawołałam. – Teraz to ty nie zamykasz drzwi! – Luna przywitała mnie, merdając ogonem, ale Szymona nie było.

Zobaczyłam go dopiero, gdy weszłam do pokoju. Siedział przy stole. W rękę trzymał szklanekę. Obok stała prawie opróżniona butelka whisky.

– Szymon? – Zdziwiłam się.

– Cześć, Zosiu – powiedział z trudem. – Jak miło cię widzieć.

– Szymon, co ty robisz?

– Co? Piję.

– Ja rozumiem. Ale coś się stało?  
– Oj, stało, stało. Ale już się z tym pogodziłem – wybełkotał.  
– Szymon, ja nic nie rozumiem. – Byłam coraz bardziej zaniepokojona.  
– Ja tesz niss nie rozumiem. – Uśmiechnął się. – Szasem tak bywa, sze niss nie rozumiemy. I co? I nic. Czas mija. A my dalej nis. Niss nie rozumiemy.  
– Szymon. Jesteś pijany.  
– Tak – przyznał.  
– Połóż się.  
– Jeszcze nie skończyłem. – Wskazał na butelkę. – Co roku kończę. Znaszy się teraz tszeciii rasss. – Wyciągnął w górę rękę z butelką, po czym postawił ją na stole z głośnym hukiem.  
Butelka przewróciła się i wszystko się wylało.  
– A widzisz. Teraz nie skońsze. Nie ma tradycji. Nie ma.  
Nie wiedziałam, co mam robić. Od tej strony go nie znałam. Ale czy ja w ogóle go znałam? I znowu to samo? Facet, który wydaje się normalny, pod płaszczykiem tej swojej normalności jest alkoholikiem?  
Byłam przerażona.  
– Szymon, co się stało? – Wytarłam rozlany alkohol.  
Usiadłam obok niego i wzięłam jego dłonie w swoje.  
– Umarła mi szooona, wiesz? – powiedział. – Dziś mijają równo tszy lata. Piję, by nie myśleć. Ale i tak myślę. Ale jutro nie będę pamiętał, że myślałem.  
– Szymon...  
Nie wiedziałam, co powiedzieć. Nigdy się nie wie, co powiedzieć w takiej sytuacji.  
– Tszy lata. – Kiwnął głową. – Powinienem się pszyssswyszaić.  
– Do tego się nigdy nie przyzwyczaisz – powiedziałam. – Chodź. Połóżysz się. Może zaśniesz.  
Nie protestował. Zaprowadziłam go do sypialni. To nie było proste zadanie. Po drodze objął się o wszystkie ściany. Rozpięłam mu spodnie, pomogłam je zdjąć. Skarpetki też. Koszulkę sam ściągnął.  
– Umarła moja Magda – powiedział.  
– Chcesz zostać dziś sam?  
– Nie chcę zostać sam. – Pokręcił głową. – Nie chcę być sam. Zosiu, ja dopiero to zrozumiałem. Ja tak cholernie nie chcę być sam.

\*

To była ciężka noc dla nas obojga. Szymon trzymał kurczowo moją dłoń, jakby bał się, że odejdę. Na początku byłam pewna, że myśli, że jestem Magdą, jego żoną. Jednak gdy próbowałam wyswobodzić dłoń z jego uścisku, budził się.

– Zosiu, nie odchodź – mówił. – Ja nie chcę zostać sam. Ja nie mogę zostać

sam.

– Przyjdę. Tylko wyjdę z Luną. Poczekaj.

Wysłałam na krótki spacer z psem. Luna nie była zadowolona, że na tak krótko, ale chyba rozumiała, że skoro nie wychodzi z panem, to musi to być sytuacja awaryjna.

Gdy wróciłam, Szymon spał. Jednak gdy tylko podeszłam bliżej, znowu powiedział, że nie chce być sam. Złapał mnie za rękę. Nie miałam wyjścia. Zdjęłam buty i położyłam się obok niego. Tak jak przysłałam, w sukience.

Nie chciał puścić mojej dłoni. Nie wiem, jak długo to trwało, bo zasnęliśmy tuż obok siebie, trzymając się za ręce.

\*

Gdy obudziłam się następnego dnia, obok mnie nie było już Szymona. Z łazienki słychać było szum wody lejącej się z prysznicą. Nie chciało mi się jeszcze wstawać. Nie wyspałam się zbyt dobrze. Łóżko było wprawdzie dość szerokie, ale byłam przyzwyczajona do spania w samotności. Ostatnio coraz częściej z Rudym, ale on jest dużo mniejszy od Szymona.

Chyba na chwilę jeszcze przysnęłam, bo obudził mnie odgłos zamykanej szuflady.

– Przepraszam, obudziłem cię – powiedział Szymon.

– Coś za szybko wstałeś. – Przeciągnęłam się. – Jak się czujesz?

– Zupełnie nie wiem dlaczego, ale średnio. Wszystko hałasuje. Nawet muchy tupią.

Roześmiałam się.

– Spaliśmy w jednym łóżku – przypomniał. – Czy ja... Czy my...?

– Nie. – Pokręciłam głową. – Zachowywałeś się zupełnie przyzwoicie.

– A szkoda. Chociaż gdybym się zachowywał nieprzyzwoicie i nic nie pamiętał, to dopiero byłaby szkoda.

– A nic nie pamiętasz? – zapytałam.

Szymon pokręcił głową.

– Niewiele.

– Czyli można ci wmawiać wiele rzeczy. – Ucieszyłam się. – To całkiem fajne.

Szymon założył koszulkę, bo do tej pory był w samych spodniach. Usiadł na łóżku, w którym jeszcze siedziałam przykryta kołdrą.

– Przepraszam za wczoraj – powiedział. – To wszystko miało zupełnie inaczej wyglądać.

– Wiem. – Pokiwałam głową. – Gdybym wiedziała, co to za dzień, nie przysłałabym. Ale martwiłam się o ciebie. Dzwoniłam do kliniki, powiedzieli mi, że masz urlop.

– Tak. Wiedziałem, że nie będę w stanie pracować. – Westchnął.

Wziął swoją dłoń w swoją i zaczął bawić się moimi palcami.

– Wczoraj była rocznica jej śmierci – powiedział. – Równo trzy lata. Trzy lata, przez które nie było ani jednego dnia, w którym bym o niej nie myślał. – Zamyślił się. – Śniła mi się. To były najpiękniejsze sny. Chciałem, by trwały wiecznie. Nie trwały. Niestety każdego dnia budziłem się. Naprawdę co rano miałem nadzieję, że się już nie obudzę.

Szymon nie patrzył na mnie, gdy mówił. Miałam wrażenie, że wpatruje się w jeden punkt na zupełnie białej ścianie. Pogłaskałam jego dłoń. On mówił dalej.

– Kiedyś na wakacjach byliśmy w Norwegii. Wspięliśmy się wysoko na taką dużą skalną półkę. Preikestolen. Kiedyś nawet z niej skakali spadochroniarze. Pamiętam, że Magda koniecznie chciała mieć zdjęcie, jak siedzi na samym skraju. Tuż nad przepaścią. Nie mogłem na to patrzeć. Zawsze robiła to, co chciała. Usiadła i spuściła nogi. Siedziała na tej skale jak na krześle. Nie mogłem zrobić zdjęcia, tak mi się ręce trzęsły. Próbowałem. Zdjęcie oczywiście nie wyszło. Było rozmazane. Wiele razy robiła mi wyrzuty z tego powodu. Nie mogłem utrzymać aparatu. Oczywiście wyobraźni widziałem wtedy, jak spada. W jednej chwili jest uśmiechnięta, macha do mnie wesoło, coś mówi, śmieje się, a potem przez krótką sekundę widzę niewyobrazalny strach w jej oczach i to, jak leci w dół, a ja nic nie mogę zrobić. Mogę jedynie rzucić się za nią.

Szymon westchnął, przecesał włosy ręką. Przez chwilę nic nie mówił.

– To śniło mi się bardzo często. Tych snów nienawidziłem. Nienawidziłem też siebie. Za to, że pozwoliłem jej tam usiąść, za to, że nie potrafiłem jej złapać i w końcu za to, że nie skoczyłem tam za nią. Wyobrażasz sobie?

Pokiwałam głową.

– Przez te trzy lata budziłem się, żalując, że żyję. Aż do wczoraj. Wczoraj obudziłem się dość wcześnie. Było zupełnie inaczej. Jakbym po raz pierwszy od trzech lat wreszcie się wyspał. Po raz pierwszy poszedłem na cmentarz nie z wyrzutem, że Magda mi to zrobiła, tylko jakbym chciał pogadać ze starą, dobrą przyjaciółką. Nie było we mnie żalu. Nie było we mnie złości. Siedziałem na cmentarzu, mam tam taką ławeczkę, rozmyślałem o wielu sprawach. Myśli przebiegały przez moją głowę tak, jakbym jej o wszystkim opowiadał. Mówiłem też o tobie. I czułem ogromny spokój.

Spojrzał na mnie. Uśmiechnęłam się, ale nie wiedziałam, co powiedzieć.

– Próbowałem spotykać się z jakimiś dziewczynami. Nawet całując je, w smaku ich ust szukałem ust mojej żony. Nigdy im o tym nie powiedziałem. Było ich całkiem sporo. Gdy się jest kierowcą, zawsze wozi się towarzystwo powracające z imprez. Piękne dziewczyny, doskonale umalowane, ubrane. Miałem ochotę zedrzeć z nich tę maskę makijażu. Za każdym razem też spodziewałem się, że gdzieś tam pod spodem znajdę Magdę. Zachowywałem się jak psychopata.



Nawet czasem mam wrażenie, że łudziłem się, że ona po prostu wejdzie do mojego samochodu. Zapominałem, że jej już nie ma, że ona spadła z tej skały i ja nie mogłem jej uratować.

Szymon nagle urwał i wstał z łóżka.

– Przynieść ci coś do picia? – zapytał. – Może zrobię kawę?

– Poproszę. – Uśmiechnęłam się.

Miałam wrażenie, że kawa jest tylko pretekstem, by przetrwać opowiadaną przez siebie historię. Wrócił z kawą w wielkim kubku.

– Wczoraj poczułem się wolny. Siedziałem nad tym grobem i miałem wrażenie, że sobie z Magdą żartuję, rozmawiam. Że oczywiście pozostała nutka tęsknoty, jak za kimś, kto nas porzucił. Ale emocje nie są już takie silne. Poczuję się wolny. Jakbym puścił wreszcie jej rękę i pozwolił odejść. Czułem, jak spokojnie odchodzi. Gdy wróciłem do domu, byłem taki szczęśliwy. Niemalże podekscytowany. Sięgnąłem po szklanekę whisky. Jedną, drugą, kolejną.

– A potem już wiem, co się stało – powiedziałam.

– Nie, nie wiesz. Dzisiaj rano obudziłem się, jak pewnie się domyślasz, z bólem głowy. Tak mi było dobrze, że od razu gdy otworzyłem oczy, zobaczyłem ciebie. Nie chciałem się ruszać, by cię nie obudzić. Ale wpatrywałem się, jak spałaś. I to było dla mnie takie nowe, takie, nie chcę byś to źle zrozumiała, takie domowe i bezpieczne.

– Wiem, o co ci chodzi – powiedziałam cicho.

Czułam się z nim dokładnie tak samo. Mogłam być sobą, nie mieć makijażu i nosić włosy niedbale związane w kitkę. Mogłam śmiać się do utraty tchu, mogłam powiedzieć mu o wszystkim. Był ze mną w najgorszych chwilach mojego życia. To zawsze zbliża ludzi.

– Dziękuję ci, że jesteś – powiedział Szymon i położył rękę na moim policzku.

Przytrzymałam chwilę jego dłoń. Zamknęłam oczy.

– Dobrze, że jesteś – powtórzył. – I mam nadzieję, że już będziesz. Że już będziesz zawsze.

Przysunął się do mnie.

W tym momencie zadzwonił telefon. Oboje odskoczyliśmy od siebie. Dzwonił Jacek z zapytaniem, jak Szymon się czuje. Miałam wrażenie, że taki sam telefon miał miejsce i dwa lata temu, i w zeszłym roku. Fajnie jest mieć prawdziwych przyjaciół. Ja chyba miałam tylko panią Stefanię. Gdy odeszła, straciłam moją bratnią duszę. Miałam wrażenie, że teraz Szymon doskonale pełnił tę funkcję.

\*

Długo rozmawiał z Jackiem. Wstałam z łóżka, poszłam umyć zęby. Moja

niebieska szczoteczka, którą dostałam, gdy spałam u niego pierwszej nocy po przyjeździe do Rudy, stała w kubku na półce. Czulałam się jak u siebie w domu.

\*

Magia tamtej chwili nie powróciła. Trochę tego żałowałam. Wciąż czulałam jego ciepłą dłoń na policzku. Chciałam, by ten moment przed telefonem Jacka trwał wiecznie.

Uśmiechnęłam się. Przeczuwałam, że to nie koniec, tylko początek czegoś, na co bardzo długo czekałam. Wtedy nie potrafiłam jeszcze tego nazwać, teraz już umiem.

\*

Tuż po śniadaniu wróciłam do domu. Obiecałam sobie, że codziennie będę krok po kroku doprowadzać każdy pokój mojego domu do stanu używalności.

– Po co ci tyle pokoi? – zapytała mama, gdy zadzwoniłam do niej w drodze powrotnej. – I kiedy wreszcie będziemy mogli zobaczyć twój dom?

– Zapraszałam was tyle razy!

– No tak, a my wciąż mamy dyżury. Jak nie jedno, to drugie. Przesadzamy chyba z tą robotą.

– Zdecydowanie. Mamuś, posprzątam, zrobię wam piękny pokój gościnny i przyjedziecie. Planuj urlop na lato.

– A z tym... z tym Szymonem się dalej spotykasz?

– Tak, widzujemy się.

– Ale widzujecie czy „widujecie”?

– Mamo!

– No dobra, o nic nie pytam – powiedziała mama.

– Jak lokatorki? Grzeczne?

– Bardzo grzeczne. Zupełnie jak ty w ich wieku.

– To istotnie nuda. – Roześmiałam się.

Gdy wróciłam do domu, zabrałam się do wyrzucania śmieci. Kilka dni wcześniej zamówiłam kontener, by wszystko na spokojnie wyrzucać. Oczywiście mogłam zamówić ekipę sprzątającą, ale miałam wrażenie, że wszystko muszę obejrzeć sama. Byłam pewna, że dom kryje przede mną jeszcze jakieś tajemnice.

*Ruda Pabianicka, lata trzydzieste*

Ślub był cichy. Anna i Henryk nie potrzebowali szeptów ciekawskich ludzi za swymi plecami. Ludzie pewnie by gadali. A to, że ciało Klary jeszcze nie ostygło, a on już się za nową zabiera, a to, że Anna na majątek Henryka dybie. Bo kobiety takie jak ona tak mają.

Pewnego bardzo późnego wieczoru po prostu poszli do kościoła Świętego Józefa i przysięgli sobie wierność na zawsze. Ślubu udzielał im ksiądz Lewandowicz. Henryk znał go od początku jego bytności w parafii. Pomagał mu zakładać sad owocowy obok drewnianej plebanii przy ulicy Kościelnej. Nie sądził, że długo się te drzewa uchowają. Tereny były tam bardzo podmokłe. Henryk nie wróżył sadowi dalekiej przyszłości, ale z księdzem podczas wspólnej pracy bardzo się zaprzyjaźnił.

Nowa świątynia się właśnie budowała, ale im wystarczyła ta mniejsza. Mogli przysięgać Bogu w każdym miejscu, nie potrzebowali cudownego wnętrza i wielkiej katedry. W podziękowaniu za uroczystość Henryk ufundował przepiękną chrzcielnicę. Miał nadzieję, że kiedyś skorzystają z niej jego dzieci i wnuki.

Anna szła do ślubu w białej, skromnej sukience. Uszyła ją sobie w kilka popołudni z materiału zakupionego gdzieś w Łodzi przez Henryka. Podobno pochodził z zagranicy. Jednak jakże inna była ta sukienka od tej, którą szyła dla panny Muller. Nie było tylu falban, tylu ozdób. Ale wzrok Henryka powiedział jej, że w tej sukience jest najpiękniejsza.

– Ogłaszam was mężem i żoną. – Słowa rozniosły się po całym kościele.

Anna była najszczęśliwsza na świecie. Wracała przytulona do męża.

Henryk jako jeden z nielicznych w Rudzie Pabianickiej miał samochód. Nie spodziewał się, że kiedykolwiek jeszcze będzie nim jeździł, ale czuł się już zupełnie dobrze. Ślub był okazją, by uruchomić auto, z którego już dawno nie korzystał. Gdy dotarli do domu, zjedli przygotowaną przez Annę kolację. Chwilę posiedzieli w fotelu, rozmawiając o czekającej ich wspólnej przyszłości, a potem poszli do wspólnego łóżka, by spędzić pierwszą małżeńską noc.

\*

Anna długo nie mogła zasnąć. Nie była przyzwyczajona do mężczyzny śpiącego obok. Zawsze spała sama. Starła się nie poruszać, by nie obudzić Henryka. Nie oddychała zbyt głośno, bo może wtedy nie będzie mógł spać? Podwójne łóżko wydawało jej się zbyt wąskie. Cały czas czuła ciepło śpiącego męża, jego oddech. Nieśmiało na niego spoglądała. Zarys jego twarzy, profil, jego ciemne włosy na klatce piersiowej. Podobał jej się. Już zupełnie nie przypominał tego brudnego, schorowanego, zarosniętego mężczyzny, którego poznała tak niedawno. Zdawała sobie sprawę, że może to wszystko za szybko, ale wiedziała też, że inaczej jest, gdy spędza się z kimś całe dni i noce, a inaczej, gdy się umawia na godzinny spacer po Lesie Rudzkim. Inaczej, gdy znasz człowieka, który się dla ciebie wystroi i stara się zachowywać jak najlepiej, kiedy spędza czas z tobą, a zupełnie inaczej, gdy poznasz człowieka w najgorszych chwilach w jego życiu.

Na co czekać?

Na nic.

Henryk przewrócił się na drugi bok i objął Annę.

Uśmiechnęła się do siebie. Jednak los był dla niej łaskawy. Była zaskoczona, jak to, że zdecydowała się schronić w tym domu przy ulicy Żeromskiego, wpłynęło na jej dalsze życie. Gdyby Kuba Rzepecki ją wtedy dogonił, byłaby pewnie zupełnie gdzie indziej. Codziennie rano i wieczorem dziękowała Bogu, że czuwał nad nią i skierował jej kroki do willi Dworaka.

Henryk się przebudził. Spostrzegł, że Anna na niego patrzy.

– Nie możesz spać? – zapytał.

– Nie mogę – przyznała. – Zastanawiam się nad kolejami losu. Że czasem gdy człowiek znajduje się w najgorszym momencie swojego życia, to dzieje się to dlatego, by pojawiła się również nadzieja na lepsze. Zobacz, gdy ja uciekałam przed Kubą Rzepeckim, myślałam, że nic gorszego nie może mi się przydarzyć. Byłam pewna, że gdy mnie dogoni, świat się dla mnie skończy. Kiedy przeszłam przez twój próg, tak naprawdę moje życie zaczęło się od nowa.

– Masz rację – potwierdził. – Ja myślałem, że umieram. Gdybym nie był tak bardzo chory, nigdy byś się mną nie zaopiekowała. Nigdy nie mielibyśmy okazji się poznać. Czy to normalne, że dziękuję Bogu za swoją chorobę?

– Dziękuj Bogu, że pozwolił ci być zdrowym. – Anna spojrzała czule na Henryka.

– Za to też dziękuję. I proszę Go, by pomógł mi, jak najdłużej się tobą cieszyć. Mamy przed sobą całe życie. – Pocałował ją w zgięcie szyi.

– Oby jak najdłuższe. – Anna zadrżała.

– Tak.

\*

Los, a raczej nie do końca dobrzy ludzie, mieli jednak inne plany.

Gdy Kuba Rzepecki dowiedział się o ślubie Anny i Henryka, wpadł w szal. Wdał się w bijatykę na potańcówce na Stawach Stefańskiego, odepchnął wdzięczącą się do niego Mullerową, czym wzbudził gniew jej męża. Mąż użył pięści, po czym wyciągnął rewolwer. Zaraz pojawiło się kilkoro sekundantów.

Kubę własną piersią zasłoniła Eliza, młoda dziewczyna, która od niedawna podawała do stołu u Stefańskich.

– Zostawcie go! Czy nie widzicie, że on już ma dość?! – zawołała, odpychając napastnika.

Eliza obserwowała Kubę odkąd tylko przybyła do Stefańskich. Zakochała się w nim pierwszą, czystą, nastoletnią miłością. Wierzyła, jak niejedna kobieta, że złego mężczyznę da się przemienić w idealnego towarzysza życia. Trzeba tylko dać mu miłość i wsparcie. Od początku świata kobiety kochały awanturników. I były szczęśliwe, gdy oni zwracali na nie uwagę. Tak też było z Elizą.

Zaprowadziła Kubę do swojego pokoju, który zajmowała na Marysinie, tuż nad piekarnią swojego wuja. Było to miejsce, gdzie nikt nie pytał o to, jakich gości przyjmujesz. Kamienica, w której nikt się nikim nie interesował, bo zjawiali się tam różni ludzie. Mężczyźni przyjmowali kobiety, a kobiety mężczyzn. I nikt nic nie widział, albo udawał, że nie widzi.

Jakub, wsparty na dziewczynie, ledwo dotarł do jej mieszkania. Osunął się na łóżko. Rozebrała go i obmyła krew z jego twarzy. Przykryła go ciepłą pierzyną.

Jedna izba. Jedno łóżko. Mały kredens i stół, na którym stała blaszana miska z obdrapaną emalią, służąca do mycia.

Spoglądał na nią spod półprzymkniętych powiek. Dziewczyna była pulchna. Nie pasowała do obecnej mody, zgodnie z którą kobieta powinna wyglądać jak chłopczyca. Spojrzała na Kubę. Zamknął oczy i udał, że śpi.

Eliza nalała wody do miski. Zdjęła sukienkę, później bieliznę. Miała smukłą talię, krągłe biodra i obfite piersi.

Kuba, mimo tego, że na twarzy miał liczne zadrapania, a jego ciało było

posiniaczone, poczuł się w pełni mężczyzną. Anna go nie chciała, ale przecież są inne na świecie. Na przykład ta, która naga nachyla się nad miską i obmywa swoje ciało.

Kuba jęknął.

Dziewczyna szybko okryła się ręcznikiem.

– Nie musisz się okrywać – powiedział.

– Ale przecież tak nie można. Myślałam, że pan śpi – powiedziała zawstydzona.

– Obserwowałem cię z rozkoszą – zamruczał. – Samo spojrzenie na twoje boskie ciało spowodowało, że poczułem, jak moje rany się zasklepiają.

Eliza splonęła rumieńcem.

– Podejź do mnie i podaj mi wody – powiedział tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Dziewczyna owinięta w przykrótki ręcznik szybko podeszła do kredensu i naląła wody ze stojącego tam dzbanka. Gdy stanęła obok Kuby, ten jednym ruchem ściągnął z niej okrycie i przyciągnął ją do siebie.

– Kuisz – powiedział, przyciągając jej dekolt do swoich ust. – Kuisz.

Eliza próbowała się bronić, ale Kuba nie dawał za wygraną.

– Nie miotaj się tak. Przecież tego chciałaś. – Przycisnął ją jeszcze mocniej.

– Myślałam, że mnie kochasz! – krzyknęła nagle dziewczyna.

Kochać? Kuba Rzepecki wiedział, czym jest miłość. Nie było nią pożądanie, które poczuł na widok ciężkich piersi tej młodej dziewczyny, na widok wypiętych w jego stronę pośladków, po których gładziła się dłonią, by je umyć. Kochał ją? W życiu. Po prostu miał na nią ochotę.

– Oczywiście. – Spojrzał na nią, rozsuwając jej uda. – Kocham cię – powiedział.

Dziewczyna była przeszczęśliwa. Kuba wiedział, że tej nocy pozwoli mu na wszystko. Niektóre kobiety były tak łase na komplementy, że w zamian za nie oddawały siebie. Tak też było z Elizą. Po kilku godzinach wspólnych namiętych igraszek, Kuba stwierdził, że Eliza pomoże mu ukoić smutek i zaleczyć rany po Annie, która spędza teraz chwile z nudnym, starym i chorym Henrykiem.

Już miał plan, jak zburzyć tę idyllę. Ale musiał się do tego przygotować. Wiedział jednak, że zemsta będzie słodka. Co najmniej tak słodka, jak ta mała, która leżała tuż obok niego i którą miał zamiar za chwilę obudzić. Przecież rano również mogła mu poprawić humor. A robiła to świetnie. Gdyby wiedział o tym wcześniej, już dawno zerwałby ten kwiat.

\*

Janina Rzepecka obiecała sobie, że dziecko, które od niedawna nosiła w swoim łonie, wychowa na dobrego człowieka. W to, że jej pierworodny syn

kiedykolwiek stanie się dobrym człowiekiem, wątpiła. Karol również nie miał anielskiego charakteru, ale nie był do końca złym człowiekiem. Dało się z nim iść przez życie. A Kuba...

Nie chciała o tym myśleć.

Bardzo długo nie wierzyła w to, co mówili ludzie. Że Kuba jest awanturnikiem, że pije, nie szanuje kobiet i że niejedna przez niego płacze. Mówili też o romansie z Mullerową. Jak to romans? Przecież Mullerowa miała tyle lat co ona! Romans z kobietą w wieku matki? Niemożliwe.

Jednak gdy Henryk tamtej nocy znalazł go w rowie, uwierzyła we wszystko. Uwierzyła, a potem co wieczór i każdego poranka bardzo przepraszała Boga, że nie umiała wychować syna na dobrego człowieka.

Teraz będzie inaczej. Zacisnęła pięści. Albo dziecka w ogóle może nie być.

\*

Karol bardzo się ucieszył na wieść o nowym potomku. Również zdawał sobie sprawę, że na stare lata nie za bardzo może liczyć na swojego syna. Taki los. Nie udało im się wychować dziecka.

Westchnął.

On też nie zawsze postępował zgodnie z moralnymi zasadami. Czasem chadzał do Wesołego Domku madame Wróblewskiej, czasem podszczypywał to tę, to inną panienkę. Ale o żonę dbał. Niczego jej nie brakowało. I chciał, by tak zostało.

Bał się, że Kuba roztrwoni cały majątek. Pragnął, by znalazł sobie jakąś kobietę, która trzymałaby go w ryzach, ale wiedział, że on wzdycha do Anny. Nic dziwnego. Wszyscy do niej wzdychali. Panna okazała się bardziej cwana, niż ktokolwiek myślał. Okręciła sobie chorego bogacza wokół palca. To się nazywa tupet!

A wszystko miało być jego. Trzymał właśnie przed sobą przekazane przez Henryka dokumenty, w których jasno było napisane, że właścicielem wszystkiego, co fabrykant posiada, będzie on, Karol Rzepecki. Oczywiście z drobnym zastrzeżeniem, że jeżeli Henryk będzie miał potomka, to cała umowa nie ma mocy.

Ech, Henryk miał się coraz lepiej. Majątek przeszedł im koło nosa. Biednemu zawsze wiatr w oczy wieje.

Bardzo dobrze mi się żyło w Rudzie. A może powinnam powiedzieć „na Rudzie”. Czasami czułam, że jestem obca. Mówiłam nieco inaczej, ale w zasadzie rozumiałam już niektóre niezrozumiałe na początku słowa.

Rudy Pabianicki był doskonałym towarzyszem w moim dużym domu. Nie odstępował mnie na krok. Miałam się do kogo odezwać.

Pracowałam dość intensywnie. Inwestycja na trasie Warszawa–Łódź miała wkrótce ruszyć, projekty wymagały ostatnich poprawek i czekało mnie dużo papierkowej roboty. Aby się odprężyć, szydełkowałam koc ze starego wzoru znalezionej na strychu. Do kogo należał ten wzór? Chyba do Anny. Z opowiadań pana Andrzeja wiem, że też lubiła szydełkować.

Dni były coraz cieplejsze. Gdy tylko znalazłam wolną chwilę, najbardziej lubiłam siedzieć na zewnątrz, łapać promienie słońca. Wystawiałam wtedy na dwór odnowiony fotel, który swoimi kolorami odcinał się od zieleni ogrodu i brałam koszyk, w który wkładałam robótkę. Kiedyś podczas tej czynności przyuważył mnie Szymon.

\*

Gdy tamtego dnia siedziałam przed domem i próbowałam przekonać Rudego, że są jeszcze inne zabawki niż kłębek włóczki, pod dom zajechał Szymon. Pierwsza wyskoczyła Luna i rzuciła się na mnie z radosnym uwielbieniem. Mniej radosne uwielbienie wykazywała w stosunku do Rudego, z którym już nawiązała stosunki wprawdzie bardzo przyjacielskie, ale gdy długo się nie widzieli, trzeba



było je odnawiać. Rudy czasem nie miał ochoty na spotkania z Luną, więc mimo iż bywała tutaj prawie codziennie, on niekiedy najnormalniej w świecie nie miał ochoty jej widzieć i zaszywał się w którymś z licznych pokoi w domu albo po prostu leżał na środku mojego łóżka.

Szymon wszedł do domu z płaskim pakunkiem, owiniętym ozdobnym papierem.

– Ale ja nie mam dziś urodzin – powiedziałam.

– To nie na te urodziny. To na poprzednie. – Uśmiechnął się. Właśnie, kiedy masz urodziny?

– W sierpniu. W samym środku lata.

– A ja w grudniu. W samym środku zimy.

– Nie będę czekać do sierpnia!

– Jasne, że nie! – przyznał. – To prezent na poprzednie urodziny. Przecież to jasne. Nie dawałem ci wtedy prezentu.

– No nie. Ale na te dwa lata temu też mi nie dawałeś. – Roześmiałam się.

– Spokojnie. Mamy czas, nadrobię. – Wręczył mi pakunek. – Otwórz.

Rozewałam niecierpliwie papier. Moim oczom ukazała się ramka ze zdjęciem. Na zdjęciu był mój dom, a przed domem siedziałam ja w kolorowym fotelu, robiłam na szydełku. O moje nogi ocierał się kot. Kolory były intensywne, soczyste. Z tej fotografii biła dobra energia.

– Piękne! Dziękuję!

– Taki byłem zadowolony z tego zdjęcia, że musiałem ci je dać – powiedział.

– Powieszę sobie w gabinecie. – Ucieszyłam się.

– Przyniosłem wiertarkę i wkrety. Od razu możemy zobaczyć, gdzie będzie najlepiej wyglądało.

\*

Zdjęcie zawisło w moim gabinecie, tuż nad biurkiem. Bardzo lubiłam na nie patrzeć. Gdy widziałam mój dom, siebie siedzącą przed nim i kota, miałam wrażenie, że znajduję się w zupełnie innym świecie. Scena ze zdjęcia przypominała sceny z tajemniczego, zaczarowanego ogrodu.

Poprosiłam Szymona o dodatkową odbitkę. Wysłałam ją rodzicom. Wreszcie mieli okazję zobaczyć piękno mojego miejsca na ziemi.

\*

Kilka dni później poszłam do pana Włodka. W jednym z wysprzątaných pokoi okno się nie domykało, a w kolejnym brakowało deski w podłodze. Miałam wrażenie, że nie skończy się na wymianie tej jednej deski, a całej podłogi. Na razie chciałam tego uniknąć. Dalszy ciąg remontu planowałam na lato, gdy wyjadę do rodziców.

– Przyjdę do ciebie, kochana, choćby zaraz – powiedział pan Włodek. – Tylko muszę żonie powiedzieć. Chodź ze mną, ona tak lubi, jak mamy gości.

Weszłam posłusznie za panem Włodkiem do jego mieszkania na tyłach sklepu. Sklep zajmował parter, mieszkanie było na pierwszym i drugim piętrze. Nie chciałam im przeszkadzać, ale pani Krysia nalegała, bym wypła kawę. Nie planowałam tego dnia już żadnych pilnych zajęć, więc się zgodziłam, tym bardziej, że żona pana Włodka była znana z przepysznych wypieków.

– Dziś skromnie, kochana – powiedziała, sadzając mnie do stołu. – Jedyne pieśniak i kilka kruchych ciasteczek. – Westchnęła. – Nie byłam gotowa na gości.

– Pani Krysiu, naprawdę ciasta w zupełności wystarczy. – Próbowałam ją przekonać.

Ona jednak wiedziała lepiej.

Wyszła z pokoju po mleko do kawy, a ja zaczęłam się rozglądać. Było to dość przestronne wnętrze urządzone w ciepłych, beżowych kolorach. Na podłodze leżał dywan, taki sam jak u moich rodziców, pod oknem fotele i stoliczek, na jednej ścianie dość stara meblościanka, a na przeciwległej kilka obrazów.

Wstałam i podeszłam, by je lepiej zobaczyć.

Na samej górze wisiało kilka portretów. Jakiś mężczyzna, jakaś kobieta. Wyglądały, jakby rysowało je dziecko. Potem widoczek z Rudy Pabianickiej. Chyba kościół, martwa natura z jakimś ptakiem z piórami. Nigdy nie lubiłam martwych natur, a z ptakami w szczególności. Jednak na widok ostatniego obrazu zamarłam. Był to niewielki obrazek przedstawiający mój dom. Nie byłoby w tym nic dziwnego. Mój dom był bardzo malowniczy i wiedziałam od Szymona, że bardzo często służył twórcom za inspirację. Jednak oprócz domu było jeszcze coś.

Przed domem siedziała kobieta, patrząca wprost na mnie. Obok niej w koszyku leżała robótka, a o jej nogi ocierał się kot. Jediną różnicą w porównaniu do zdjęcia było to, że za domem był sad. Pełno kwitnących na różowo czereśniowych drzew.

\*

– Pani Krysiu, skąd ma pani ten obraz? – wyszeptałam, gdy przyszła do pokoju.

– O właśnie. – Pani Krysia wyglądała, jakby sobie coś przypomniwała. – To twój dom.

– Tak. To mój dom – powtórzyłam.

– Tuż po wojnie były trudne czasy – powiedziała. – Ludzie opuszczali domy, inni zabierali majątek. Podejrzewam, że któreś z naszych rodziców po prostu sobie wzięło ten obraz. – Zamyśliła się na moment. – Tak, z pewnością był to ojciec Włodka. Nie sądzę, że ktoś z mojej rodziny zabierałby cokolwiek. – Spojrzała na mnie wyniośle.

Po chwili wstała od stołu i zdjęła obraz ze ściany. Podeszła do mnie.

– Zosiu, wydaje mi się, że ten obraz powinien należeć do ciebie – powiedziała. – Zbyt długo wisiał na niewłaściwej ścianie. A my sobie powiesimy kolejne dzieła naszych wnuków. Nasze oczy to i tak bardziej ucieszy.

– Ale... – Próbowałam ją powstrzymać.

– Żadnych „ale” – odparła stanowczo. – Już dawno rozmawiałam z Włodkiem na ten temat, tylko teraz tyle zajęć, że człowiek zapomina o takich rzeczach.

\*

Wracałam do domu bogatsza o obraz. Obraz olejny, namalowany przez kogoś tyle lat temu, ale przedstawiający dokładnie taki sam kadr jak ten ze zdjęcia zrobionego przez Szymona. Wydawało mi się to niemożliwe.

Otworzyłam szkatułkę ze skarbami, które wcześniej znalazłam na strychu. Było tam szydełko, wzór na robótkę i kawałek niebieskiej nici. Bardzo podobną kupiłam sobie w Łodzi. Ten wzór znałam już na pamięć. Morski koc był już prawie gotowy. Przyda się na chłodniejsze wieczory.

Czekałam na Szymona. Bardzo chciałam pokazać mu obraz. Miał przyjechać zaraz po dyżurze i planowaliśmy znowu odwiedzić pana Andrzeja. Byliśmy głodni jego opowieści.

Gdy tylko Szymon przyjechał, pokazałam mu podarunek od pani Krysi. Na początku myślał, że dałam komuś namalować obraz z jego zdjęcia. Jednak nie zgadzały mu się pewne szczegóły.

– Co to jest? – zapytał.

– Obraz. Dostałam od pani Krysi i pana Włodka. Wisiał u nich w pokoju. Podobno należy do ich rodziny od czasów powojennych.

– Niemożliwe – powiedział Szymon. – Niemożliwe.

\*

Wtedy byłam pewna, że limit rzeczy niemożliwych na ten dzień został wyczerpany. Jednak myliłam się.

Do pana Andrzeja dotarliśmy wieczorem. Jak zawsze czekał na nas. Tylko teraz ja robiłam dla wszystkich herbatę, a on siedział i pozwalał się obsługiwać.

– Zosieńko. Dziecko kochane. Mam jeszcze prośbę – powiedział. – W korytarzu na półce z butami leży taki podarty koc. Taki stary bardzo. Weź ten koc i połóż do budy Stefanowi. Miał tam jakiś, ale już zupełnie się rozsypywał, więc wyrzuciłem, ale ten powinien być dobry.

Wzięłam do ręki szydełkowy koc koloru morskiego. Był bardzo stary, w wielu miejscach podarty. Wystarczyło jednak krótko popatrzeć na wzór.

Koc był dokładnie taki sam, jak ten, który robiłam według wzoru ze starej

skrzynki. Znajdowały się w niej również kawałki włóczki użyte do zrobienia tego koca.

Zrobiło mi się słabo. Te trzy rzeczy na pewno mają coś wspólnego. Moje zdjęcie, obraz i koc robiony według wzoru. Czy kobieta z obrazu pracowała właśnie nad nim?

Zbyt dużo zagadek na ten dzień. Zbyt dużo.

Wzór szydełkowy. Wycinek z gazety, 1934 r.

*Poszczególne ząbki robimy pokolei. Kończąc jeden ząbek, zaczynamy następny. Podstawą każdego ząbka jest 35 oczek łańcuszka. Na tym łańcuszku robimy drabinkę. Pierwszy słupek w 8-me od końca oczko i powtarzamy: 2 oczka i słupek w trzeciej z kolei oczko łańcuszka. Po zrobieniu dziesiątego słupka, zrobić kółko, których na każdym ząbku mamy 3. Obrabiając to kółko, zakręcamy z powrotem do następnego rzędu siatki (...)*

\*

*Ruda Pabianicka, lata trzydzieste*

Anna siedziała na ganku i robiła na szydełku. Od kilku tygodni nie czuła się zbyt dobrze. Nawet chciała iść do doktora, ale Henryk uświadomił jej, dlaczego tak się dzieje. Uśmiechała się, wspominając swoją niewiedzę. Bo i skąd miała wiedzieć? Skąd miała wiedzieć, że zapachy, które zawsze kochała, nagle zaczną ją drażnić i jednego dnia nie będzie miała ochoty na nic z grubej książki Ćwierczakiewiczowej, a następnego dnia zadeklaruje, że zjadłaby wszystko?

Teraz już wiedziała. Nawet uszyła kilka sukienek dla maleństwa. Dziecko miało przyjść na świat zimą, więc oprócz kaftaników będzie też potrzebny ciepły kocyk. A nawet kilka. Henryk załatwiał coś w magistracie na Marysinie i przywiózł jej ze sklepu wełnę koloru morza.

– Zajmiesz czymś ręce, myśli. Nie będziesz się smucić, gdy mnie nie będzie. Czuł się dużo lepiej i czasem jeździł do Łodzi doradzać swojemu

siostrzeńcowi. Lata były trudne i łatwo było o potknięcie, gdy kierowało się tyloma ludźmi. Z miasta, oprócz przepięknych tkanin, Henryk przywoził wiele skarbów, z których Anna czarowała kaftaniki dla maleństwa. Niektóre z przędz były sprowadzane z granicy.

Wełna w kolorze morza była miękka i puszysta. Anna nie mogła się doczekać, kiedy otuli swoje dziecko własnoręcznie zrobionym kocem. Gładziła się po wciąż płaskim brzuchu i co wieczór zamykała oczy, marząc o dniu, kiedy zostanie mamą.

Henryk puchł z dumy. Nie spodziewał się, że będzie jeszcze ojcem.

– Przyniosłem ci prezent – powiedział, wręczając Annie dość spory pakunek.

– Co to jest?

– Otwórz.

Anna niecierpliwie rozerwała papier.

– Obraz? – Zdziwiła się. Zaczęła bliżej przyglądać się podarunkowi.

Obraz przedstawiał jej dom wśród kwitnących czereśni. Przed domem siedziała kobieta i robiła na szydełku.

– To... To ja?

– Kiedyś malowałem. Potem wydawało mi się, że nie potrafię. Przez tyle lat nie miałem pędzla w dłoni. Dopiero gdy zobaczyłem ciebie siedzącą przed domem, coś we mnie drgnęło.

– Dziękuję. – Nie mogła uwierzyć.

– Anno. Ten prezent jest dowodem mojej miłości do ciebie.

– Nie oczekuję od ciebie dowodów miłości. Wystarczy, że jesteś.

– To podziękowanie, że pojawiłaś się nagle w moim życiu. I niech tak zostanie.

\*

Obraz zawisł w salonie nad stołem. Anna bardzo lubiła zmiany w domu. Lubiała czuć, że wygląd ich wspólnego kawałka świata jest dziełem jej rąk. Szyła firany, obrusy, zasłony. Różnorakie dekoracje i kapy oraz poduchy na tapczan. Cieszyła się, że to miejsce jest jej coraz bliższe, coraz bardziej przytulne.

Winorośl wreszcie zaczęła dawać owoce, wyglądało na to, że róże wkrótce zakwitną. Dziewczyna wiała swoje gniazdko i oczekiwała na przyjście na świat dziecka Henryka.

Wiedziała, że on o tym marzy. Jego marzenia były jej marzeniami. Powoli zaokrąglą się na twarzy, na brzuchu. Już nie dało się ukryć ciąży nawet pod szerokimi sukienkami. Zresztą nie chciała jej ukrywać.

W tym samym czasie dwie inne kobiety oczekiwały potomków. Jedną z nich była Janina Rzepecka, a drugą... Eliza. Dziewczyna, która kiedyś podawała do stołu u Stefańskich.

\*

Jakub Rzepecki chyba już wcześniej przeczuwał, co się wydarzy. Od kilku dni był nie w sosie. Główną przyczyną tego stanu rzeczy było to, że pewnego dnia na Marysinie zobaczył Annę wychodzącą z pojazdu Henryka. Mąż podtrzymywał ją czule. Dziewczyna wydawała się Kubie grubsza niż zazwyczaj. Anna zawsze była smukła i niemożliwym było, by tak szybko nabrała ciała. Po chwili dotarło do niego, co się stało. Anna spodziewała się dziecka. Dziecka Henryka.

Bardzo się zdenerwował. Z całej siły kopnął rosnące nieopodal drzewo. Nic to nie zmieniło, poza tym, że zaczęła boleć go stopa. Zaklął siarczyście.

Jeżeli na świecie pojawi się dziecko Dworaka, to jego ojciec nigdy nie dostanie majątku. A do tej pory wciąż miał na to szansę. Podrobienie podpisu fabrykanta nie stanowiło problemu. Niejednokrotnie robił takie rzeczy. Poczul, że jego położenie może się diametralnie zmienić. Oczy zapłonęły mu żądzą mordy.

Anna z Henrykiem weszli właśnie do piekarni Cereckich. Też wcześniej zamierzał tam pójść, ale przecież nie będzie patrzył na ich szczęście. Szczęście? Pewnie Anna pokochała pieniądze. On tyle nie miał, więc nie mógł jej zaimponować. Wkrótce się to zmieni. Zacisnął pięści. Zrobi wszystko, by zdobyć pieniądze. I wtedy zemści się na Henryku, że zabrał mu ukochaną.

Odwrócił się i poszedł w zupełnie inną stronę. Po drodze minął kamienicę, w której mieszkała Eliza. Musiał rozładować emocje.

Gdyby wiedział, że wieści, które dziewczyna ma zamiar mu przekazać, wprowadzą go w jeszcze bardziej paskudny nastrój, nigdy nie zapukałby do jej drzwi.

\*

– To nie jest moje dziecko! – krzyknął Kuba, gdy Eliza przekazała mu wiadomość, że zostanie ojcem. – To nie jest moje dziecko! – powtórzył.

Natychmiast zaczął żałować, że pewnego bardzo pijackiego i awanturniczego wieczoru doszedł do wniosku, iż sam na sam w miękkiej pościeli z korpulentną Elizą da mu więcej radości niż moczenie ust w alkoholu. Dlatego też coraz częściej ją odwiedzał, nie zważając na konsekwencje.

– Nikogo innego nie było. – Dziewczyna płakała. – Nikogo nie było przed tobą.

– To nie jest możliwe! Zrób coś z tym! – Szarpał ją za ramiona. – Ile potrzebujesz?

Dziewczyna nic nie odpowiedziała. Słyszała od koleżanek, że są kobiety, które pozbywają się niechcianych dzieci. Wiedziała jednak, że groziły za to kary. Nawet kilka lat więzienia. Poza tym ona pragnęła tego dziecka!

– Jakubie! – zawołała Eliza. – Ale ja chcę tego dziecka! Przecież mówiłeś, że

mnie kochasz!

– Zdobę te pieniądze – powiedział ostro i wyszedł, trzasnąwszy drzwiami.  
– Nie wiem jak, ale je zdobę. I będzie po kłopotcie.

\*

Był wściekły. Nie zważał na płacz dziewczyny. Zastanawiał się, ile to może kosztować. Sto? Dwieście? Wiedział, że trzeba to zrobić po kryjomu. Miał kolegów. Często załatwiali swoje problemy po cichu. Wiedział o tym, ale nikomu nie mówił, bo mogłoby się to źle skończyć również dla niego.

Postanowił iść do Dworaka. Nie było go w domu, ale pieniądze na pewno miał gdzieś schowane. Jeżeli nie pieniądze to kosztowności, które z pewnością ktoś kupi.

Szybkim krokiem szedł w górę ulicy Żeromskiego. Jednak po drodze natknął się na kolegów oddających się wesołej zabawie z wysokoprocentowym trunkiem.

– Kuba! A co ty już nie nasz jesteś? Z nami już nie chcesz pić? Chodź, nie pożałujesz.

Nie mógł odmówić. Wypił połowę butelki sam. Potem jeszcze wraz z kolegami coś popijał. Im więcej alkoholu miał we krwi, tym bardziej chciał, by Henryk Dworak pożałował tego, że kiedykolwiek tknął jego Annę. Chciał zniszczyć ich wszystkich. Nie mógł wybaczyć ukochanej, że będzie miała dziecko z innym.

Przypomniała mu się Eliza. Zrobiło mu się jeszcze gorzej. Pociągnął kolejnego łyka. Już wiedział, co zrobi. Załatwi kilka spraw równocześnie. Zdobędzie pieniądze dla Elizy i pozbędzie się ludzi, którzy sprawili, że jego świat był piekłem.



Historia opowiadana przez pana Andrzeja stawała się coraz bardziej dramatyczna. Mimo naszych próśb nie chciał opowiadać dalej.

– Wszystko w swoim czasie. – Upierał się. – A ty karmisz tego Szymona w ogóle? – zapytał. – Coś, chłopaku, ostatnio schudłeś.

– Nie karmi. – Szymon się roześmiał. – Pracujemy nad tym.

– Zosiu, mam dla ciebie prezent. – Pan Andrzej się uśmiechnął.

– Dzisiaj wszyscy mi robią prezenty. – Zdziwiłam się. – Urodziny mam dopiero w sierpniu.

– Do sierpnia to się może wydarzyć wszystko, kochana.

– Mówi pan jak pani Stefania.

– Tak, bo i myśleliśmy jednakowo.

Pan Andrzej wstał i podreptał do kuchni. Przyniósł stamtąd starą książkę.

– To dla ciebie. Myślę, że kiedyś mogła należeć do Anny.

Popatrzyłam na okładkę. *365 obiadów*.

– Ćwierczakiewiczowa! – Ucieszyłam się.

– Nie wierzę, że będziesz gotować. – Szymon pokręcił głową i sięgnął po książkę.

– To się jeszcze okaże! – wykrzyknęłam dumnie, wrywając mu z dłoni prezent od pana Andrzeja.

\*

Szymon zdziwił się nazajutrz. Gdy przyszedł, w garnku czekał na niego

barszcz ukraiński. Na drugie zaplanowałam kotlety.

– Ktoś był u ciebie? – zapytał, rozglądając się wokół. – Mamusia?

– To ty myślisz, że ja już obiadu nie potrafię ugotować?

– No żartuję. Potrafisz. – Uśmiechnął się, po czym zjadł pierwszą łyżkę zupy. – Pyszny! Przez żołądek do serca?

Nic nie odpowiedziałam. Ale z pewnością chciałam do tego serca trafić. Mogłam nawet gotować, mimo że tego nie lubiłam.

\*

Po obiedzie poszliśmy na spacer. Koniecznie chciałam pokazać Szymonowi grób, który znalazłam w lesie. Specjalnie zatrzymałam się i zaznaczyłam ten punkt na mapie w moim telefonie. Chciałam do niego wrócić. Miałam niejasne wrażenie, że ten grób ma coś wspólnego z historią opowiadaną przez pana Andrzeja.

Chodziliśmy po lesie trzy godziny. Grobu nie było.

– Naprawdę wydaje mi się, że to tutaj – powiedziałam. – Ten grób był pomiędzy dwoma drzewami.

– Drzew tutaj sporo – stwierdził sceptycznie Szymon.

– Nie wierzysz mi?

– Wierzę. Dlaczego miałbym nie wierzyć?

– Nie wiem. Wydawało mi się.

Luna biegała pośród drzew i obwąchiwała wszystko.

Byłam bardzo rozczarowana tym, że nie znalazłam tego grobu. Pamiętam, przecież widziałam wyraźnie. Mały, porośnięty trawą grób, krzyż, zwiędłe kwiaty i znicz.

Szłam ze spuszczoną głową.

– No nie bądź już taka smutna. – Szymon próbował mnie pocieszyć. – Może źle zaznaczyłaś.

Pokręciłam głową.

– Czy jakbym zaczęła wariować, zauważyłbyś to jako lekarz?

– Ja od zupełnie innych spraw jestem! – Roześmiał się. – Chociaż z tymi sprawami też jest związane niezłe szaleństwo.

– Mówię poważnie.

– Wszystko jest w porządku. Żyjesz swoim domem, historią opowiadaną przez pana Andrzeja i nie możesz przestać o tym myśleć.

– I co jakiś czas widuję kobietę w czerwieni.

– A ja widuję w zieleni, różu i brązach. I to oddolnie gołe. Czy to świadczy o tym, że jestem wariatem?

Westchnęłam.

– Chyba po prostu dziś muszę się wcześniej położyć. – Wzruszyłam ramionami. – Damy chwilę przerwy panu Andrzejowi.

- Źle się czujesz?
- Nie. Wszystko w porządku. Ostatnio dni mijały mi dość intensywnie i chyba muszę zwolnić.
- Szymon dotknął mojego czoła.
- Chyba nie masz gorączki.
- Nie mam. – Pokręciłam głową.
- Może faktycznie się połóż. – Objął mnie ramieniem. – Zrobię ci herbatkę, przykryję kocem, rozpalę w kominku.
- Chyba dziś będę spała w tym pokoju z kominkiem.
- Jasne. Nasprzątałaś się, to należy ci się odpoczynek.
- \*

Kilka chwil później leżałam już w łóżku przykryta ciepłą kołdrą. Szymon rozpalał w kominku. Było mi dobrze. Siedziałam w ciepłym łóżku, tuż obok mnie leżał Rudy i terkotał jak traktorek, a przed łóżkiem spała Luna. Przystojny mężczyzna rozpalał w kominku, a wcześniej podał mi herbatę z cytryną. Życ, nie umierać.

Chciałam, by tak było już zawsze.

– Przyniosę jeszcze drewna. Jak się obudzisz w nocy i będziesz chciała dołożyć, nie będziesz musiała wychodzić na dwór. – Wstał i wyszedł z domu. Po chwili usłyszałam odgłos rąbania drewna i jakieś głosy. Pewnie kogoś spotkał.

Wrócił po kilku minutach z niewyraźną miną.

– Miałaś rację. – Usiadł na krześle. – Spotkałem tę twoją kobietę w czerwieni.

Z wrażenia usiadłam.

– Ulga. Czyli ona naprawdę istnieje!

Szymon wzruszył ramionami.

– No właśnie nie wiem. Może i istnieje, ale do końca chyba nie jest normalna.

– A co mówiła?

– Mówiła, że musimy pamiętać, że to nie koniec tej historii.

– Jakiej?

– Nie mówiła.

– I co jeszcze?

– Że właśnie o to chodzi, by znaleźć grób.

– Teraz ja powinnam zapytać, czy ty się dobrze czujesz – powiedziałam zaniepokojona.

– No właśnie – potwierdził. – A potem jeszcze powiedziała, że mamy bardzo uważać na ogień. Bo w przeszłości w tym domu ogień był przekleństwem.

– Szymon, ja teraz się boję.

– Powiem ci szczerze, że mi też jakoś dziwnie. Ona często cię nachodzi?  
– Nie wiem, czy nachodzi to dobre określenie. Mijam ją czasem.  
– Może tu gdzieś mieszka?  
– Nie wiem.  
– Wydawało mi się też, że była w ciąży. – Zamyślił się. – Ale widziałem ją z daleka, więc nie jestem pewien. Chociaż może powinienem się zainteresować?  
– Ja sama tutaj nie śpię! – powiedziałam. – Zostajesz ze mną.  
– Proponujesz mi wspólną noc?  
– Namiętną. – Uśmiechnęłam się do niego.  
– Bardzo?  
– Bardzo – odpowiedziałam bez wahania. Najgorsze w tym wszystkim było to, że on żartował, a ja niekoniecznie. Miałam ochotę być z nim cały czas. Gdy widziałam, jak się pochyla, by dołożyć polan do ognia, marzyłam, by mieć taki widok codziennie.  
Szymon myślał, że żartuję. A może oboje niejasno ocenialiśmy sytuację?  
– Tylko wiesz, to niesprawiedliwe, ty u mnie masz swoją szczoteczkę do zębów, a ja u ciebie nie.  
– Już masz. – Uśmiechnęłam się. – Dzisiaj kupiłam.  
– Naprawdę? – zapytał zdziwiony.  
– Naprawdę. Wiedziałam, że będziesz marudził, jak nie będzie. – Puściłam do niego oczko.  
– Pościelę sobie w drugim pokoju.  
Zaczęłam wstawać z łóżka.  
– Ty spokojnie leż. Coś mi się wydaje, że u ciebie rozkręci się to w jakąś infekcję. Trzeba na początku zawalczyć.  
– To walczymy.

\*

Słabo spałam tamtej nocy. Co chwilę budziłam się, bo miałam wrażenie, że płonące polana wypadają z kominka. Za dnia nie słyhać, jak płonący ogień hałasuje. Nocą budziła mnie każda iskra. W końcu wstałam. Pogrzebaczem rozgarnęłam żar. Potem wlałam jeszcze do kominka szklankę wody. Dopiero gdy zgasł, zasnąłam. Gdy obudziłam się, zobaczyłam z jednej strony kota, a z drugiej psa. Na stole stała herbata w termosie, talerzyk z kanapkami przykrytymi przezroczystą folią i karteczka.

*Smacznego. Zostawiam Ci śniadanie i Lunę. Poszedłem do kliniki, będę po południu. Obiad przyniosę. Miłego dnia. W razie potrzeby pisz SMS-a, oddzwonię.  
Sz.*

*PS Wziąłem ze sobą zapasowe klucze, więc drzwi są zamknięte.*

Stanowczo miałam zbyt dobrze. Zjadłam śniadanie i zasnęłam. Śnił mi się pożar. Cały pokój płonął, a ja nie mogłam się z niego wydostać.

\*

Do pana Andrzeja poszliśmy dopiero kilka dni później. Faktycznie rozchorowałam się. Szymon stwierdził, że jak poleżę kilka dni, to mi przejdzie. Zatem cierpliwie leżałam i pozwalałam się trochę rozpieszczać.

W kominku nie rozpalałam. Tamten sen powrócił jeszcze dwukrotnie. Widziałam kobietę w czerwonym płaszczu, która obserwuje mnie, gdy jestem w samym środku ognia. A potem poczułam ogromny smutek i pustkę.

Wycinek z gazety:

*W godzinach wieczornych dnia onegdajszego wybuchł groźny pożar w znanej wśród łodzian miejscowości letniskowej Ruda Pabianicka. Ogień powstał w zabudowaniach fabrykanta Henryka Dworaka i wskutek sprzyjającego wiatru zaczął się szybko przerzucać. Dom został przez pożar częściowo zniszczony. Na ratunek przybyły strażnicy. Po kilkugodzinnej akcji udało się ogień ugasić. Do dalszego szerzenia się ognia strażnicy nie dopuścili. Przyczyny wybuchu pożaru nie ustalono.*

\*

*Ruda Pabianicka, lata trzydzieste*

W domu Henryka i Anny Dworaków wszystkie światła już zgasły. Anna położyła się do łóżka z uśmiechem. Nie spodziewała się, że los będzie dla niej tak łaskawy.

Miała biedne dzieciństwo. Była najmłodszą córką swoich rodziców. Dziesiątą z kolei. Marzyli o synu. Ojciec jednak starał się wychować ją na silnego człowieka. Tak jakby wychowywał mężczyznę. Mówił, że idą ciężkie czasy, że nie będzie miejsca dla słabeuszy. Miał rację. Żałowała, że przed śmiercią nie zdołał zobaczyć, jak uśmiechnęło się do niej szczęście. Że nie musi żyć z dnia na dzień, że może każdego dnia cieszyć się tym, co ma, zasypiać z uśmiechem i o poranku budzić pocałunkiem ukochanego mężczyznę.

Nie mogła zasnąć. Dziecko tego wieczoru było nad wyraz ruchliwe. Anna nie mogła sobie znaleźć miejsca. Henryk już chrapał. Dziewczyna wstała. Dołożyła

polano do kominka, sama okryła się chustą i poszła do kuchni. Usiadła w fotelu z robótką. Postanowiła dokończyć tej nocy kocyk. Lubiła pracować nocami. Wzór z gazety знаła już na pamięć.

Kochała tę ciszę, która czasem aż przeszkadzała. Mogła słyszeć, jak druty uderzają o siebie lub jak wełna zsuwa się z szydełka.

Nogi wsparła na fotelu i zasnęła nie wiadomo kiedy.

Obudziła się po kilku godzinach w zupełnie innym świecie. Świecie, którego nie chciała znać. I gdyby wiedziała, co się zdarzy, wolałaby się nigdy nie obudzić.

\*

Tuż po północy Kuba Rzepecki zaglądał do okien willi Dworaka. Ledwo trzymał się na nogach. Bimber pędzony przez jego kolegów mocno uderzał do głowy. Przynajmniej udało mu się na chwilę zapomnieć o wszystkim. O tym, że życie nie było dla niego łaskawe, że dokąd tylko się zwróci, napotyka rozrzucone na drodze kamienie, których nie może unieść.

Tak to jest. Niektórzy rodzą się szczęśliwi, inni mają wiecznie pod górkę.

Ojciec idiota, który zastanawiał się nad podpisaniem dokumentów, matka wiecznie wtrącająca się w nie swoje sprawy, Eliza, dziewczka, która twierdzi, że urodzi jego dziecko. Wszystko przeciwko niemu.

Przecież gdyby oni opiekowali się starym Dworakiem, już dawno by umarł. Nie wydobrzałby tak szybko jak pod wpływem cudownych dłoni jego Anny.

Zacisnął pięści.

Wszedł po cichu do środka willi. Drzwi lekko skrzypnęły, ale najwyraźniej nikt się nie obudził. Usłyszał hałas. W ciemności ujrzał wpatrujące się w niego kocie oczy. Nigdy nie lubił kotów. Nie mógł przewidzieć, co mają zamiar zrobić. Żle im z oczu patrzyło.

Nie zważając na zwierzę, szedł dalej. Pamiętał ten dom, często bywał z matką u Dworaka. Po prawej stronie zobaczył uchylone drzwi do sypialni. Wszedł cicho do środka. Dworak spał zadowolony z życia.

– Już niedługo. – Pomyślał Rzepecki. – Już niedługo.

Zauważył stojącą na stole lampę naftową. Otworzył pojemnik na naftę i rozlał płyn wokół łóżka. Trochę na dywan, nieco na haftowaną białą pościel. Pościel, pod którą Henryk miał jego Annę. Całą. Cała była jego! Każdej nocy, każdego dnia. Kiedy tylko chciał, mógł z nią robić takie rzeczy, o których Kuba nawet nie marzył. Mógł dotykać jej ciała i gładzić ją po jasnych włosach.

Spojrzał z nienawiścią na Henryka.

Zaraz jednak się uśmiechnął.

Życie bywa dobre, ale czasem krótkie.

Wyjął rozpalone polano z kominka i położył je na podłodze. Dywan natychmiast stanął w ogniu. Kuba ledwo zdążył uciec.

Nie patrząc na nic, kopnął kota, który zaszedł mu drogę, i wybiegł z domu.

Dłuższą chwilę stał po drugiej stronie drogi, patrząc na rozprzestrzeniający się ogień. Wreszcie był zadowolony. Może i nie wziął pieniędzy na pozbycie się dziecka, ale na to przyjdzie jeszcze pora. Wszystko wskazuje na to, że za chwilę uwolni świat od człowieka, którego szczerze nienawidził.

Ogień to nieokiełznany żywioł. Po chwili cała część domu, w którym znajdowała się sypialnia, stała w ogniu. Zaczęło wschodzić słońce. Kuba spojrział jeszcze raz na dom Dworaka. Nagle w oknie po drugiej stronie domu, w kuchni, zobaczył jakąś twarz.

Anna?

Nie pomyślał o Annie! Jak to się stało, że nie widząc jej w łóżku z Henrykiem, nie zastanowił się, gdzie może być?

Była w tym domu?

Szybko podniósł z ziemi gałąź. Podbiegł do okna i wybił szybę.

Anna stała przerażona, nie rozumiejąc, co się dzieje.

– Anno! Musisz uciekać! – zawołał.

– Dlaczego uciekać? – Dziewczyna nie wiedziała, co się dzieje w drugiej części domu. Po chwili zauważyła dym. Czowała zapach spalenizny. – Pożar! – krzyknęła. – Henryku!

– Anno, uciekaj! – zawołał Kuba. – Jemu już i tak nic nie pomoże!

Anna, nie zważając na nawoływania Rzepeckiego, pobiegła w stronę kuchennych drzwi. Dywan na korytarzu już płonął.

– Nie idź tam! Zginiesz!

– Henryku! – Anna nie reagowała na nawoływania Kuby. Wzięła wiadro z wodą i próbowała ugasić ogień.

Kuba wskoczył przez kuchenne okno. Złapał Annę, która próbowała mu się wyrwać. Przycisnął ją do ściany, wziął jej twarz w swoje dłonie.

– Jemu i tak już nie pomożesz – powiedział.

Kuba cuchnął alkoholem.

– Jemu i tak już nie pomożesz – powtórzył, trzymając ją z całych sił.

Anna splunęła mu w twarz. Rzepeckiemu pociemniały oczy. Wziął dziewczynę na ręce i siłą wystawił przez okno, po czym sam wyskoczył. Anna uciekła w stronę płonącej części budynku.

Po chwili usłyszał jej rozzwierający wrzask.

Dogonił ją i przytrzymał, by sama nie rzuciła się w ogień.

Patrzył na płonący dom swojego rywala i wiedział, że wkrótce już będzie po wszystkim. Anna siedziała na ziemi nieruchomo. Kuba na chwilę wypuścił ją z rąk, pobiegł w stronę palącego się budynku. Zamknął oczy i włożył na chwilę lewą dłoń do ognia. Poczł piekący ból. Zaklął siarczyście.

– Pożar! Pożar! – zaczął krzyczeć. – Pożar! Pożar!



Z okolicznych domów zaczęli wychodzić ludzie z wiadrami wody. Ktoś zawiadomił straż. Przyjechała po dłuższej chwili.

Annie nie pozwolono wejść do środka.

Spojrzała na Kubę beznamiętnym wzrokiem.

– To wszystko moja wina – powiedziała. – Chciałam, by było ciepło, za dużo drewna podłożyłam. – Pokręciła głową. – Zabiłam mojego męża. Zabiłam Henryka. – Anna osunęła się zemdlna prosto w ramiona mordercy.

- Panie Andrzeju! Przerwać w takim momencie!
- Mam talent, Zosiu, prawda?
- To nie talent, to złośliwość. – Siedziałam naburmuszona. – Ona naprawdę myślała, że go zabiła?
- Naprawdę.
- Jak ona mogła z tym żyć? W ciąży, bez dachu nad głową. Gdzie ona pójdzie?
- Zosiu, zobacz, Krystyna już poszła spać, nie mówiąc już o Stefanie. – Zrobił zmartwioną minę. – A Szymon musi na dyżur przecież.
- Pan Andrzej ma rację – powiedział Szymon. – Ja muszę na dyżur. – Jego oczy śmiały się podobnie jak oczy pana Andrzeja.
- Węszę tu jakiś męski spisek – powiedziałam.
- Żaden spisek. – Pan Andrzej się uśmiechnął. – Po prostu liczę na to, że coś upieczesz. Szarlotkę lubię.
- Panie Andrzeju – jęknęłam. – Ja nie lubię piec.
- Ale ja lubię szarlotkę!
- Szymon! – wezwałam go na pomoc.
- Ja też bardzo lubię szarlotkę – przyznał Szymon. – Z ciast tylko drożdżowego nie lubię. – Zamyślił się. – Ale babkę piaskową już tak.
- I murzynka – dodał pan Andrzej.
- Stefan nagle zaszczeakał.
- On też murzynka lubi – powiedział Szymon w imieniu Stefana.
- Zmowa męska. Nawet pies przeciwko mnie. Chodź, Luna – powiedziałam

do psa. Spojrzała na mnie z wyrzutem.

– Ona też woli babkę – powiedział szeptem Szymon.

Zamachnęłam się na niego ręką, jakbym chciała go uderzyć.

– Kobieta mnie bije! – krzyknął.

Pan Andrzej rechotał w najlepsze.

– Chyba nic nie wskóram. Do jutra, panie Andrzeju. Żeby się pan nie zdziwił.

\*

Wróciłam do domu autentycznie zła. Zła na to, że pan Andrzej dawkował mi tę historię po kawałku. Czułam się, jakbym czekała na każdy odcinek najlepszego serialu w historii telewizji. I po obejrzeniu czuła ogromny niedosyt.

– Ty masz dzisiaj dyżur? Mówiłeś, że nie masz.

– Nie mam, ale na kilka godzin muszę lecieć do kliniki. Mam dwie pacjentki.

– Przyjdiesz potem?

– A chciałabyś? – zapytał.

– Jasne. – Uśmiechnęłam się.

– Mimo tego, że poparłem pana Andrzeja?

– Mimo tego.

– Przyjdę – zapewnił mnie. – Zostawię Lunę, dobra?

– Jasne.

Luna czuła się już u mnie jak domownik. Nawet z Rudym zaczęli się lubić. Może jeszcze nie kochać, ale wszystko było na dobrej drodze. Fajny dom udało mi się stworzyć. Mimo wszystko. Pani Stefania jeszcze mówiła, że dobrze, gdy w domu pachnie ciastem. Westchnęłam. Nigdy nie byłam dobrą kucharką. Już wolałam sprzątać.

– Zamknij za mną drzwi! – krzyknął Szymon.

– Jasne! – powiedziałam i natychmiast o tym zapomniałam.

Pamiętałam natomiast o drwiących spojrzeniach pana Andrzeja i Szymona, gdy mówili, że mam upiec ciasto. Oboje wiedzieli, że ciasto to ja doskonale umiem, ale kupować. Bardzo chciałam im pokazać, co tak naprawdę potrafię. Wprawdzie jedynym ciastem, jakie w życiu upiekłam, było takie z owocami na oleju, ale uznałam, że na początek nie mogę przesadzać z fantazją, bo jeszcze ich przyzwyczaję do rozpieszczania.

Poszłam do kuchni, przygotowałam wszystkie składniki. To ciasto naprawdę było najprostsze na świecie. Wystarczyło wszystko wrzucić do jednej miski, wylać na blachę, dodać owoce i już gotowe.

Gdy ciasto było już w piekarniku, posprzątałam kuchnię i usiadłam do komputera. Chciałam sprawdzić maile. Czekałam na jedną odpowiedź w sprawie projektu osiedla. Wysłałam kilka dni temu ofertę i wciąż czekałam. Odpisywałam

właśnie na wiadomość, gdy usłyszałam odgłos parkującego samochodu.

Luna podniosła głowę i zaszczekała. Rudy popatrzył na nią z politowaniem i schował się pod biurko.

Spojrzałam na zegarek. Szymona nie było godzinę. Szybko uwinął się z pacjentkami. Z tego wszystkiego przypomniałam sobie, że nie zamknęłam drzwi. Westchnęłam. Szymon będzie marudził.

– Cicho, Luna. – Poglaskałam psa, który zachowywał się wyjątkowo nerwowo. – Szymon idzie. Spokojnie. – Uspokajałam ją.

Próbowałam się skoncentrować. Chciałam jak najszybciej odpisać na tego maila. Dostałam tę robotę i byłam z tego powodu bardzo zadowolona. Gdy nacisnęłam „wyślij”, usłyszałam, jak ktoś staje w drzwiach.

– Dostałam tę robotę, o której ci mówiłam! – Odwróciłam się przodem do drzwi i zamarłam. Na progu mojego domu stał Marek.

– Jak ty tu wszedłeś? – zapytałam.

Luna warknęła. Bardzo rzadko to robiła.

– Normalnie – powiedział, jak gdyby nigdy nic. – Drzwi były otwarte.

Cholera. Szymon mówił, bym zamknęła.

– A nie uważasz, że powinieneś zapukać? Umówić się wcześniej? – Byłam coraz bardziej zdenerwowana.

– Przestań. Nie znamy się od dziś.

– Właśnie – powiedziałam. – Może gdybym znała cię od dziś, zaprosiłabym cię na herbatę, ale wiem, czego można się po tobie spodziewać, więc nie chcę.

– Możesz wziąć tego psa? – Wskazał na Lunę. – On na mnie warczy.

– Ja też na ciebie warczę – powiedziałam.

– Zosia, nie przesadzaj. Mieszkasz w jakiejś ruderze, gdzie zaraz z tarasu wszystkie deski odpadną, prowadzasz się z jakimś dumnym kierowcą, na psy zesłaś.

– Dokładnie – potwierdziłam. – Na psy. – Przytuliłam Lunę. – I koty też.

– Czy możemy porozmawiać?

– O czym chcesz ze mną rozmawiać? – zapytałam. – Ja już z tobą rozmawiałam.

– Zosia.

– Po co ty tu w ogóle przyjechałeś?

– Patrycja mnie zostawiła.

– Przyjechałeś się pożalić? Mam cię pocieszyć? Powiedzieć, że współczuję?

– Zosiu.

– Naprawdę nie wiem, czego ode mnie oczekujesz.

– Zosiu, czy zważając na nasze stosunki, na naszą przyjaźń i miłość, mogłabyś mi pożyczyć trochę pieniędzy? Normalnie podpiszemy umowę, wszystko będzie legalnie.

– Marek, zanim się do końca zbłąznisz, przestań. Proszę cię, wyjdź i nie rób w moim życiu większego bałaganu, niż zdążyłeś zrobić do tej pory.

– Ja ci zawsze pomagałem, gdy tego potrzebowałaś. Woziliem cię przecież tutaj. I pomagałem tachać jakieś stare graty.

– Marek! Nie przesadzasz?

Usłyszałam odgłos otwieranych drzwi. Miałam nadzieję, że to Szymon.

– Hej! Masz gościa? – zawołał od progu.

– Mam, ale właśnie wychodzi – powiedziałam.

Szymon wszedł do pokoju. Luna radośnie go witała, a Rudy ocierał się o jego nogi.

– Co on tu robi? – zapytał.

– Właśnie wychodzi – powiedziałam stanowczo.

– Tak też mi się wydaje. – Szymon spojrzał na Marka.

– Mam wrażenie, że nie jestem tu mile widziany – powiedział Marek.

– To nie tylko wrażenie – wycedził przez zęby Szymon.

– Czyli nie ma szans? – próbował Marek.

– Marek, idź już. – Westchnęłam. – I nie wracaj. To, co było między nami, naprawdę się zakończyło. I nigdy nie byłam szczęśliwsza niż teraz. Tutaj. W tym domu ze zdezelowanymi deskami na ganku i z tym kierowcą. – Wskazałam na Szymona. – Nigdy.

\*

Szymon odprowadził Marka do drzwi.

Usiadłam na sofie. Miałam wrażenie, że zostałam wypruta z wszystkich sił, emocji i uczuć. Usłyszałam, jak Szymon zamyka drzwi na klucz. W tym momencie obiecałam sobie, że zawsze będę to robić. Nie potrzebuję niechcianych gości.

– Nie zamknęłam drzwi za tobą – powiedziałam, gdy wszedł do pokoju. – Myślałam, że to ty. A to był on.

Szymon usiadł obok mnie. Złapał mnie za rękę.

– Spokojnie. Już sobie poszedł.

– Zobacz, jakie to dziwne. Wyrzucasz kogoś drzwiami, ten wchodzi oknem. Wyrzucasz oknem, wchodzi drzwiami. Bez honoru, bez ambicji.

– Rатуje swój tyłek. Znowu chciał pożyczyć pieniądze?

– Tak. Pewnie od wszystkich, od których mógł, już dawno pożyczył. Trochę żal mi go.

– Żal? – Szymon się zdziwił. – Jak chcesz mieć miękkie serce, musisz mieć twardą dupę. A ty masz i to, i to miękkie.

– No wiesz! – Udałam oburzenie. – Pupę mam coraz twardszą. Pracuję nad tym.

– To dobrze. – Roześmiał się. – Bo serce nadal masz miękkie.

Pogłaskał mnie po policzku.

– Coś się gdzieś pali? Co tutaj tak śmierdzi? – zapytał nagle.

Zobaczyłam, że w przedpokoju unosi się dym.

– Boże! Ciasto! – zawołałam.

Pobiegliśmy do kuchni. Było tam już całkiem sporo dymu. Szymon otworzył okna, by się wywietrzyło. Ja spojrzałam do piekarnika. Zobaczyłam zwęglone resztki czegoś, co kiedyś miało być ciastem z owocami. Najłatwiejszym ze wszystkich.

Nie zważając na gryzący w oczy dym, wyciągnęłam blachę z piekarnika. Postawiłam ją na westfalce.

Wyszliśmy z kuchni, zamykając drzwi za sobą.

– Znowu ci ciasto nie wyszło – powiedział Szymon. W jego oczach widziałam wesołe ogniki. Mnie nie było do śmiechu.

Wyszłam na ganek, usiadłam na schodach i zaczęłam płakać. To spalone ciasto spowodowało, że przelały się łzy, które wciąż nosiłam w sobie. Za dużo tego było.

Szymon usiadł obok mnie. Objął mnie ramieniem, a ja płakałam, wtulona w niego. Miałam wrażenie, że oplakuję wszystkie tragedie i niepowodzenia w moim życiu. Płakałam z tęsknoty za dzieckiem, które straciłam, za Stefanią, płakałam dlatego, że moja naiwność życiowa była tak wielka, że zaufałam Markowi. Łzy kapały, gdy myślałam o Henryku, który spłonął w tym domu, o ciężarnej Annie, która została zupełnie sama.

Szymon tulił mnie i kołysał jak małe dziecko.

Miałam dziwne wrażenie, że ten płacz pomógł mi oczyścić się z toksycznych myśli, wspomnień. Gdy zasypiałam tamtego dnia, czułam, że pewien etap mojego życia definitywnie się skończył. Mogłam zacząć żyć na nowo. Pewni ludzie odchodzą z twojego życia, ważne jest, by wyciągnąć z tego odejścia jakąś lekcję. Ja wyciągnęłam.

Rano obudził mnie śpiew ptaków. Wstałam z łóżka i weszłam do kuchni. Posprzątałam, blachę z nieudanym czarnym wypiekiem wyrzuciłam do śmieci. Przyniosłam swojego laptopa do kuchni i wyszukałam jeszcze raz przepis na ciasto.

„Błyskawiczne ciasto z owocami na oleju”.

Jeszcze raz przeczytałam, że jest ono najłatwiejsze na świecie. Westchnęłam i ponownie wrzuciłam wszystkie składniki do miski. Po chwili ciasto siedziało w piekarniku. Ustawiłam budzik w telefonie i poszłam do łazienki.

Po godzinie ciasto stało już na moim stole, oprószone cukrem pudrem. Cały dom pachniał wanilią. Uśmiechnęłam się. Jeżeli upiekłam takie ciasto, to znak, że wszystko jest możliwe, a w życiu zdarzają się szczęśliwe zakończenia.

Nekrolog – wycinek z gazety: *Wszystkim, którzy okazali współczucie i wzięli tak liczny udział w odprowadzaniu na miejsce wiecznego spoczynku drogich nam zwłok*

*B.P.*

*Henryka Dworaka*

*serdeczne „Bóg zapłać” składają*

*Żona i Rodzina Rzepeckich*

\*

*Ruda Pabianicka, lata trzydzieste*

Kuba zabrał Annę do matki. Od momentu, gdy powiedziała mu o tym, że dołożyła polano do ognia, nie odezwała się ani słowem.

– Pożar u Dworaków! – zawołał od progu.

– O Jezus Maria! – Janina stanęła w drzwiach ubrana tylko w nocną koszulę.

– Jak do tego doszło?

– Nie wiem. – Kuba nie patrzył matce w oczy. – Ogień w kominku się palił. To musiała być chwila. Akurat wracałem i zauważyłem ogień. A potem Annę w oknie. I ją stamtąd wyciągnąłem.

– Synuś, rękę masz poparzoną. – Janina westchnęła i zwróciła się do Anny. – Dziecko, usiądź tutaj, ja Jakubowi dłoń opatrzę, a potem się tobą zajmę. Bardzo boli, Kubuś?

– Mamo. – Westchnął Kuba – To nic, w porównaniu z tym, co się tam stało.

Pan Dworak nie żyje. Anna została zupełnie sama.

Janina zamarła.

– Z opiekujemy się nią – powiedziała. – Nie może zostać sama w taki czas.

\*

Janina Rzepecka była dumna z syna. Po raz pierwszy w życiu była z niego dumna. Nie spodziewała się, że kiedykolwiek to nastąpi. Nie знаła wcześniej tego uczucia, ale od razu je pokochała.

Opatrzyła jego poparzoną dłoń. Ależ musiał cierpieć!

– Będzie cię jeszcze bolało – powiedziała, gładząc go po policzku. – Nawet kilka dni.

Kuba nic nie odpowiedział. Jego matka nigdy wcześniej nie była taka czuła w stosunku do niego.

– Jesteś bohaterem, synku. – Przytuliła go do siebie. – Wielkim bohaterem.

Kuba odwzajemnił uścisk. Kątem oka zobaczył tylko Annę i jej wielkie oczy wpatrujące się w nicość.

\*

Janina miała wrażenie, że Anna nie żyje. Owszem, oddychała, spała, czasem nawet jadła, ale bardzo niewiele. Nie było jednak z nią żadnego kontaktu.

– Jedz, kochanie. Musisz jeść. Dla dziecka. – Janina sama wsuwała łyżkę do jej ust. – Ono tego potrzebuje. Dla niego musisz być silna.

Anna nie chciała być silna. Anna chciała umrzeć. Chciała zniknąć z tego świata, by jak najszybciej spotkać się z Henrykiem i wreszcie poczuć się znowu bezpiecznie. Żyła w swoim własnym świecie. Nic nie mówiła i sprawiała wrażenie, jakby nie słyszała niczego, co się do niej mówi.

Na pogrzeb poszła. Nie uroniła ani jednej łzy.

– Ale mi to miłość – prychnęła Mullerowa. – Nawet nie płacze po mężu. – Wzruszyła ramionami.

– Widać, że ta miłość to dla majątku była – potwierdziła jej córka. Ta sama, której Anna tak niedawno szła piękną suknię ślubną z falbanami.

Anna stała blisko. Nic nie odpowiedziała. Gdy opuszczono trumnę do wykopanego dołu, podeszła do samej krawędzi. Wyglądała, jakby zamierzała tam wskoczyć. W porę dostrzegł to Kuba. Złapał ją, nim zdołała zrobić krok.

Podniósł garść piasku z ziemi i włożył jej w dłoń. Anna bez słowa wrzuciła ziemię w rozkopany dół. Odwróciła się od grobu i bez słowa odeszła.

– Nawet nie zmówi modlitwy – powiedział jakiś człowiek w tłumie.

– Wieczne odpoczywanie racz mu dać, Panie... – zaczął ktoś inny.

Anna szła drogą. W stronę domu na Żeromskiego. Sprawiała wrażenie, jakby była nieobecna na tym świecie. Głowę miała pochyloną. Straciła całą sprężystość



kroków. Rozpięty, niedopinający się już na coraz większym brzuchu płaszcz, zsuwał jej się z ramion. Nie zwracała na to uwagi. Szła powoli, nie zauważając jesiennych kałuż.

Kuba przeżegnał się, skłonił w stronę grobu i pobiegł szybko za dziewczyną.

– Anno! – zawołał. – Anno!

Dziewczyna nie odwróciła się.

– Anno! – Dogonił ją. Objął ją w pasie.

Stała.

– Wracamy. Wracamy do domu – powiedział.

– Tak. – Uśmiechnęła się. – Wracam do domu.

– Aniu. Tam nie ma twojego domu.

Spojrzała na niego zdziwiona. Nie odpowiedziała jednak nic. Kuba wziął ją za rękę i zaprowadził w zupełnie inną stronę.

\*

– Jak ona się czuje? – zapytała Janina, gdy wróciła z pogrzebu.

– Bez zmian – powiedział Kuba.

– Obwinia się o cały ten pożar. – Janina westchnęła.

– Tak – potwierdził Kuba.

– Niepotrzebnie. – Pokręciła głową.

– Niepotrzebnie – powtórzył Kuba.

Intuicja matki tym razem nie zawiodła.

– Synu, czy wiesz, kto to zrobił?

Jakub milczał. Zaciśnął pięści na poręczach fotela.

– Kuba, to był wypadek? – zapytała. Tak bardzo marzyła, by potwierdził, że pożar u Dworaków to wypadek, że był tam zupełnie przypadkowo, że bohaterko ocalił Annę od śmierci w płomieniach.

Jej syn dalej milczał.

Janina złapała go za ramiona i potrząsnęła.

– Mów. – Spojrzała na niego surowo.

Kuba poczuł się jak dzieciak zbesztany przez matkę, przyłapany na gorącym uczynku.

– Co miałem zrobić?

– Jak to, co miałeś zrobić? – Janina nic nie rozumiała.

– On ją miał. Ten przekłety Dworak ją miał. Wszystko miał. Całe życie u swoich stóp. Nie mogłem tego znieść. Nie mogłem! Tamtego wieczoru piłem z chłopakami. Potem zobaczyłem, że u nich taki spokój w domu. To miał być mój dom, to miała być moja kobieta. Nie mogłem tak tego zostawić. Podpaliłem część domu, w której była sypialnia. Patrzyłem na tańczące płomienie i moje serce się radowało. Do czasu, gdy zobaczyłem ją w oknie.

– To ty zabiłeś Dworaka? – drżącym głosem zapytała Janina.

– Spłonął – powiedział bez żadnych emocji Kuba. – Ja tylko podпалиłem dom.

Gdy wypowiedział te słowa, zobaczył wpatrujące się w niego granatowe z nienawiści oczy. Anna stała w drzwiach.

– Wynoś się z mojego domu – powiedziała Janina. – Mam tylko nadzieję, że Bóg mi wybaczy, że wychowałam mordercę. Bo Anna nam tego nie wybaczy nigdy.

Kuba wstał z fotela, nie wierząc w to, co mówi matka.

– Wynoś się – powtórzyła. – Wynoś się. Nie chcę cię znać.

Młody Rzepecki wściekły wybiegł do drugiego pokoju. Po drodze minął Annę wciąż wpatrującą się w niego z nienawiścią. Chyba zabierze ten wzrok ze sobą do grobu. Na razie musiał jednak zabrać dokumenty.

Robiąc ogromny bałagan, wyciągnął dokumenty podpisane przez Dworaka. Podrobił podpis ojca, potem Henryka.

– Będzie moje to, co mi się należy – mruknął.

Zapakował do walizki swoje rzeczy, zabrał ze sobą alkohol, który znalazł w kredensie, trochę jedzenia i wyszedł z domu. Pod domem wsiadł w samochód Dworaka. Nie miał prawa jazdy, ale umiał jeździć. Od śmierci fabrykanta używał samochodu do woli. Nikt się nie dziwił, każdy wiedział, że Anna mieszka w jego domu. A raczej w domu rodziców. Myśleli, że mu na to pozwoliła.

\*

Po kilkunastu minutach Kuba był już w willi na Żeromskiego.

Dom był w opłakanym stanie. Smutne zgliszczka, wybita szyba. Krajobraz pamiętający wydarzenia sprzed kilku dni.

Wszedł do środka. Na ścianie nie było obrazów, ktoś zabrał bujany fotel. Kilka dni, a już zaczęli rozkradać majątek. Jego majątek. Uśmiechnął się. Miał przecież papiery. Usiadł w skórzanym fotelu, wyciągnął z szufladki biurka cygaro. Położył nogi na stole. Jeszcze nie zaczął nowego, bogatego życia, a już mu się podobało. Wziął do ust cygaro i je zapalił. Czy na tym polega cudowne życie? Zapewne tak. Wreszcie los się do niego uśmiechnął. Wziął dokumenty w dłonie i przeczytał je jeszcze raz.

Dzieciak. Na drodze stoi mu dzieciak. Zupełnie mały dzieciak.

Właściwie na razie mu nie przeszkadza. Ale jak zacznie? Cóż. Wtedy będzie o tym myślał. Wyjął butelkę z walizki. Już chciał się napić z niej bezpośrednio, kiedy zauważył stojące w kredensie kryształowe szklaneczki. Uśmiechnął się. Minęły czasy, kiedy pił w krzakach, na drodze, prosto z butelki. Teraz będzie pił z eleganckiej szklanki, pykając cygaro i rozmyślając o świetlanej przyszłości.

Było mi dobrze. Chciałam, by ta chwila trwała. Czasem wspominałam burzliwe losy mieszkańców tego domu. Wielokrotnie wyobrażałam sobie Annę uciekającą przed Kubą Rzepeckim. Udało jej się schronić tutaj. Henryk też nie zamykał drzwi na klucz. Jak ja. Anna była w najgorszym momencie swojego życia, gdy trafiła tutaj. Jej życie chyba nie było szczęśliwe. A moje? Ja czułam, że szczęście wisi w powietrzu.

Życie chyba tak wygląda, że czasem musi być bardzo, bardzo źle, właśnie po to, by zaczęło być dobrze. Pokręcone te ludzkie losy.

– Czasem mam wrażenie, że historia opowiadana przez pana Andrzeja to taka logiczna układanka. – A to podobno jeszcze nie koniec.

– Nie koniec – potwierdził Szymon. – Opowiem ci jeszcze jedną historię. Układankę tym razem w ogóle bez wzoru. Gdy nie wiesz, że istnieje, nie ma szans na rozwikłanie jej.

\*

Pojechaliśmy wtedy na spacer. Szymon chciał pospacerować po parku Rejtana. Postawił sobie za zadanie pokazać mi Łódź z każdej strony. Chodziliśmy po muzeach, galeriach, przecieraliśmy nowe szlaki wśród pięknych, łódzkich miejsc.

W tym parku byłam pierwszy raz. Weszliśmy przez wielką, neogotycką bramę.

– Łódź jest pełna niezwykłych historii – powiedział Szymon. – Ta

opowiadana przez pana Andrzeja nie jest jedyna. Tutaj było kilka narodowości. I wszyscy jakoś zgodnie funkcjonowali. Sporo ludzi tutaj miało korzenie niemieckie. Musisz kiedyś pogadać z Jackiem. Opowiedziałby ci o swojej prababci. Opowiada podobnie jak pan Andrzej, tylko wina mu trzeba nalać. – Roześmiał się. – Bez wina małomówny jakiś.

– Może kiedyś się z nim umówimy? – zapytałam.

– Jasne. Możemy się z nim spotkać. Z przyjemnością to opowie. Chociaż mam wrażenie, że za każdym razem dodaje nowe szczegóły. – Szymon zmarszczył brwi. – Czasem sam się zastanawiam, ile w tym prawdy, a ile fikcji. Zawsze, gdy było mi źle po śmierci Magdy, chodziliśmy na cmentarze. Nie zawsze na grób Magdy. Chodziliśmy po różnych łódzkich cmentarzach i oglądaliśmy nagrobki. Zastanawialiśmy się, dlaczego ktoś umarł i czy zostawił po sobie jakiś ślad.

– Trochę upiorne hobby. – Skrzywiłam się.

– Czy ja wiem? – zapytał Szymon. – Chodząc po tych cmentarzach, uzmysławiałem sobie, że nie tylko ja kogoś straciłem, ale każdy grób, który widziałem, oznaczał dla kogoś stratę. Moja rozpacz nie była wyjątkowa. Taki smutek jest wpisany w twoje życie. Czy chcesz, czy nie chcesz, nadejdzie taki dzień, że umrze ktoś bliski. I będzie ci bardzo źle. No chyba, że to ty odejdziesz pierwsza. Wtedy ktoś inny będzie rozpaczał.

Nic nie powiedziałam. Złapałam Szymona za rękę i na chwilę przystanęliśmy. Czułam, że myśli o żonie. Pewnie nie było dnia, żeby o niej nie myślał.

– Jego pradziadkowie mieszkali w latach dwudziestych ubiegłego wieku w Koluszkach. Poznali się i pokochali. Nie byłoby w tym zupełnie nic dziwnego, gdyby nie to, że jedno z nich pochodziło z bardzo zamożnego, niemieckiego rodu, a drugie z biednej, polskiej rodziny, ale z tradycjami. Podobno brat pradiadka Jacka zginął w Katyniu. Prababcia postawiła na swoim i poszła za głosem serca. Pobrali się i zamieszkali razem. Żyli skromnie. Niestety ta historia nie ma happy endu... Może kiedyś ją poznasz. Ale wiesz dlaczego opowiadam ci ją właśnie tutaj?

– Nie. – Pokręciłam głową.

– Gdzieś tutaj została pochowana.

– Jak to tutaj? – Spojrzałam zdezorientowana na plac zabaw, obok którego przechodziłam.

– Tutaj – potwierdził Szymon. – Do lat pięćdziesiątych dwudziestego wieku był to cmentarz. Potem niszczał, a w latach osiemdziesiątych został zlikwidowany urzędowo. Pozostał po nim tylko park, piękna neogotycka brama i pozostałości nagrobków rozsiane wśród spowijającego cały park pięknego bluszczu.

– Nigdy bym nie pomyślała, że chodzę po cmentarzu.

– Widzisz. Mówiłem, że aby rozwikłać tę logiczną układankę, trzeba jeszcze

coś o niej wiedzieć. – Uśmiechnął się. – Gdy poznałem Jacka, jeszcze na studiach, zawsze pierwszego listopada chodziliśmy do tego parku, by zapalić prababci świeczkę. To była taka nasza męska wyprawa. Od trzech lat spotykamy się u Magdy. Pewnie Jacek przychodzi tu sam. Magdę też odwiedza. Nie spotkałem go nigdy, ale zawsze na jej grobie zostawia kilka kolorowych m&m's-ów. Zawsze żartował z niej, że gdyby do jej policzków przyczepić kilka kolorowych m&m's-ów, to nikt by nie zauważył. Taka była piegowata.

*Ruda Pabianicka, lata trzydzieste*

Od pożaru minęło już kilka dni. Anna nadal milczała. Czasem siadywała w fotelu, głaskała swój okrągły brzuch i uśmiechała się do siebie. To były jedyne chwile, w których można było zauważyć jakiegokolwiek emocje na jej twarzy.

Janina czuła się coraz gorzej. Nie znosiła tej ciąży tak łatwo jak wtedy, gdy była młoda. Ciężko jej było pamiętać, że ma syna. Starła się o nim zapomnieć. Postanowiła wyrzucić go z pamięci tamtego dnia, kiedy powiedział jej o pożarze. Jej mąż, Karol, też wiedział. Nie wyrzekł się jednak swojego dziecka. Coraz częściej przesiadywał u niego, w willi Dworaka. Pewnie Kuba chciałby, by każdy mówił „willa Rzepeckiego”. Niestety. Dla okolicznych mieszkańców jedynym prawowitym właścicielem tego domu był dobry fabrykant Henryk Dworak. Wspominali go zawsze z szacunkiem.

Karol pomagał Kubie odbudowywać dom. Gdy już prawie wrócił do stanu świetności, wprowadziła się tam Eliza.

Dlaczego się na to zgodził? Potrzebował kobiety w domu. Nie miał mu kto wyprać, ugotować, posprzątać. A i wygodniej było mieć kogoś do nocnych igraszek na miejscu. W tych rzeczach Eliza była niezastąpiona. Cięża bardzo jej służyła. Piersi miała jeszcze większe i jeszcze bardziej twarde, usta bardziej namiętne. Była roześmiana, młoda i zakochana w Kubie do granic szaleństwa. Nie to co Anna, ponura, milcząca, z granatowymi, płonącymi z nienawiści oczami.

\*

Karol nie mógł sobie znaleźć miejsca w domu. Wiedział, co zrobił Kuba. Starał się o tym zapomnieć. Gdy siedział w fotelu w nowym gabinecie syna, pił trunek z eleganckiej szklaneczki lub jadł obiad podany przez Elizę, niczego nie pamiętał. Zmieniało się to w momencie, gdy przekraczał próg swojego domu i widział pełne wyrzutów spojrzenie Anny. Patrzyła na niego, jakby wiedziała więcej. Jakby potrafiła przewidzieć, co się wydarzy w przyszłości. I jakby była pewna, że ta przyszłość nie będzie dla niego szczęśliwa. Dlatego też coraz rzadziej przebywał w domu.

– Kiedy ją wyrzucisz? – pytał.

– Wyrzucić? – Janina była oburzona. – Nie uważasz, że po tym, co zrobił nasz syn, chociaż nazywanie go „synem” ledwo przechodzi mi przez gardło, powinniśmy się nią opiekować?

– Opiekować? To wariatka! – krzyczał.

– Nikt nie staje się wariatem bez przyczyny. I powiedz Jakubowi, że ten dom jeszcze należy do niej.

– Nie. – Karol się zaśmiał. – Przecież mamy podpisane papiery. Jeszcze za życia Dworaka.

– Zapomniałeś o pewnej istotnej rzeczy. Tam był warunek.

– Warunek?

– Tak. Jeżeli Dworakowi urodzi się dziecko, umowa jest nieważna – powiedziała Janina.

– Z tym sobie poradzimy – powiedział Karol.

– Jak to poradzimy? – zapytała Janina. Nie podobał jej się ton wypowiedzi męża.

– Nie pytaj, a nie będziesz musiała się przed Bogiem tłumaczyć – powiedział Karol i wyszedł.

Janina zadrżała. Czy powinna chronić Annę i jej nienarodzone jeszcze dziecko?

\*

Karol rzadko bywał w domu. Raz na kilka, kilkanaście dni. Nastąpiła zima i zbliżał się czas rozwiązania. Janina nie wiedziała dokładnie, kiedy ten czas nastąpi. Ona już rodziła, powinno być łatwiej, ale Anna? Za pierwszym razem nigdy nie jest tak lekko. Nawet nie mogła z nią porozmawiać. Mogła do niej mówić, tak też i robiła, ale czy do dziewczyny cokolwiek docierało?

– Musisz jeść, drogie dziecko. Musisz mieć siłę. Może być różnie. Czasem idzie szybko, a czasem ze trzy dni będzie. To niełatwe chwile.

Anna nadal wpatrywała się w okno.

– Ale potem zapominasz. Trzymasz w objęciach swoje dziecko, takie małe i zupełnie bezbronne, i zastanawiasz się, kim ono zostanie. Myślisz, że będzie

kiedyś kochać, cierpisz na samą myśl, że będzie mu źle. Ale zakładasz, że wychowasz je na dobrego człowieka. – Westchnęła. – Czasem nie wychodzi.

Anna nie reagowała. Janina dalej mówiła.

– Nie wychodzi nam to wychowywanie, a ty zastanawiasz się, co złego zrobiłaś, że tak się stało. Gdzie popełniłaś błąd. Boli cię to, bo przecież to twoje ciało, twoja krew. – Pokręciła głową. – Przepraszam cię, Anno. Przepraszam za wszystko. Mam nadzieję, że nam kiedyś to wybaczysz.

Anna wstała bez słowa i wyszła z pokoju.

\*

Tej nocy Anna zaczęła rodzić. Janina wezwała Zajfertową, akuszerkę. Nie spodziewała się, że nastąpi to tak szybko. Sama była na ostatnich nogach i czekała na zwiastuny porodu. Myślała, że będzie pierwsza.

Na twarzy Anny widać było cierpienie. Jednak nie krzyknęła ani razu. Nie powiedziała ani jednego słowa. Janina siedziała przy niej i ocierała pot z jej czoła.

– To jeszcze nie czas. – Akuszerka westchnęła. – Za szybko się pcha na ten świat. – Pokręciła głową. – Może być różnie.

Janina usłyszała kroki na korytarzu. Karol.

– Nie wchodź tam. Anna rodzi.

– Słyszałem – powiedział. – Może być różnie. Mam nadzieję tylko, że los będzie łaskawy i pozbawi nas tego kłopotu, byśmy sami nie musieli tego robić.

Janina nie wierzyła w to, co usłyszała.

– Co ty powiedziałeś? – zapytała.

– To, co słyszałaś. Mam nadzieję, że los nam pomoże.

Janina, nie zastanawiając się, uderzyła męża w twarz. Ten odszedł bez słowa, łapiąc się za policzek. Po chwili poczuła wilgoć pomiędzy udami.

– Nie teraz. – Westchnęła. – Nie teraz.

Anna jeszcze nie urodziła, a u niej już odeszły wody. Wszystko jednocześnie.

\*

Akcja porodowa u Janiny się jeszcze nie zaczęła. Trochę się denerwowała. Poprzednio było inaczej. Siedziała cierpliwie obok Anny, trzymała ją za rękę, w razie potrzeby głaskała po policzku i ocierała pot z czoła.

Zauważyła na sobie zaniepokojony wzrok akuszerki.

– Nic?

– Nie.

– Wejdzie pani pięć razy na strych – powiedziała.

– Po co na strych?

– Może ruszy.



Janina wykonała polecenie. Niestety nic nie pomogło. Chwilę się zdrzemnęła. Nad ranem zmęczona akuszerka poprosiła Janinę, by ta przez chwilę czuwała nad Anną.

– Odsapnę chwilę. – Spojrzała na Janinę. – Nic?

Kobieta pokręciła głową.

– Nic.

– Czekaj nas ciężki dzień – powiedziała akuszerka i położyła się w ubraniu na łóżko, z którego przed chwilą wstała Janina.

Po kilku godzinach najwyraźniej akcja porodowa Anny rozkręciła się. Janina obudziła akuszerkę.

– Już czas.

Był czas najwyższy. Anna po kilkunastu minutach urodziła zdrową dziewczynkę. Akuszerka położyła małą na piersi. Anna pozostała niewzruszona tak, jak była do tej pory.

– Masz dziecko – powiedziała Janina. – Masz zdrowe dziecko! – krzyknęła. – Doceń to!

Mała płakała. Próbowwała znaleźć pierś Anny. Akuszerka sama pomogła dziecku.

– Nie ma pokarmu. Poczekamy trochę. Potem będziemy się martwić.

Janina pokręciła głową.

– Anna! Jesteś matką! – krzyknęła. – Matki tak nie robią! Matki czują!

Złapała się nagle za brzuch. Jęknęła.

– Zaczęło się – szepnęła.

– Dzięki Bogu! – Akuszerka wzniosła oczy ku niebu.

Po dłuższej chwili, pełnej wielkiego wysiłku, wiedziały obie, że nie mają za co dziękować Bogu.

Córeczka Janiny nie oddychała.

\*

Janinie chwilę zajęło, zanim zrozumiała, co się stało.

– To nie tak miało być – wyszeptwała. – Bóg mnie pokarał. Jedno dziecko mi zabrał za grzechy drugiego. – Zaczęła rozdzierająco płakać.

Córka Anny jej wtórowała. Już trzecią godzinę nic nie jadła.

Akuszerka wzięła córkę Janiny i zawięła ją w pieluszkę.

Spojrzała na nabrzmiałe piersi kobiety. Zabrała zanoszące się płaczem maleństwo leżące obok Anny i nie pytając o nic, przystawiła je do piersi Janiny. Mała natychmiast zaczęła ssać. Janina powoli się uspokajała. Przytuliła dziecko.

Anna bez słowa patrzyła na Janinę. Jednak w jej oczach po raz pierwszy można było zobaczyć łagodność.

Kobiety usłyszały trzask zamykanych drzwi i podniesione głosy mężczyzn.

Janina z przerażeniem okryła dziecko.

– Gdzie ono jest? – Pijany Kuba wdarł się do pokoju. – Gdzie ono jest? – Janina tuliła dziecko Anny do piersi.

– Los zdecydował – powiedziała nagle. – Zabrał to maleństwo do siebie. – Wskazała na martwą córkę zawiniętą w pieluszkę. – Niech spoczywa w pokoju.

Zobaczyła na twarzy Anny wyraz niewymownej ulgi.

– Nic tu po nas – powiedział Kuba do ojca. – Witaj na tym podłym świecie, siostrzyczko. – Zwrócił się w kierunku ssącego pierś dziecka. – Walcz o swoje, bo nic nie dostaniesz. A jak będziesz walczyć, to i los będzie ci sprzyjał.

Janina usłyszała śmiech i trzaśnięcie drzwiami.

Spojrzała na Annę.

– Stefania – powiedziała nagle dziewczyna. – Nazwij ją Stefania Anna. Po mojej mamie.

- Panie Andrzeju, Stefania jest córką Anny! – krzyknęłam.
- Tak.
- To dlaczego ten Rzepecki tutaj mieszkał? Przecież nie należał mu się dom!
- A to już następnym razem.
- Jak to następnym? – Denerwowałam się.
- Chodź, nerwusie. – Szymon się uśmiechnął. – Pan Andrzej musi się trochę wyspać. Pewnie dla niego też to są emocje. Prawda, panie Andrzeju?
- No są. Dawno tego nie wspominałem.
- Po nitce do kłębka – powiedział Szymon. – Jak się pan czuje?
- Całkiem dobrze. Lepiej. Nie kręci mi się tak w głowie. A się kręciło.
- Proszę odpoczywać, panie Andrzeju.
- A co ja robię. Ja tylko odpoczywam. To ze Stefanem się przejdę do lasu, to kury nakarmię. Nie mam nic do roboty i czekam na te wieczory z niecierpliwością.
- My również! Ja nadal nie rozumiem, dlaczego Stefania tutaj nie mieszkała. Tak mnie pan denerwuje, że nie będę mogła spać.
- Pan Andrzej się roześmiał.
- Naprawdę nie wiem, co zrobię, jak ta historia się skończy. Chyba przyjdzie pora umierać. Obiecujcie, że się Stefanem i dziewczynami zajmiecie. – Wskazał na kury.
- Panie Andrzeju, proszę mnie nie denerwować – powiedział Szymon. – Mamy wszystko pod kontrolą. Jakby coś było nie tak, proszę zadzwonić.
- O właśnie. Zapomniałem się was o coś zapytać. – Pan Andrzej zmarszczył czoło. Kupiłem sobie telefon. Komórkowy. Bo czasem mogę gdzieś wyjść,

a oddechu braknie. Moglibyście wpisać mi swoje numery? Bo ja po okulary bym musiał iść.

– Jasne. – Uśmiechnęłam się.

Wklepałam swój numer i oddałam telefon Szymonowi. Ten wpisał panu Andrzejowi kilka potrzebnych numerów.

– Dobra decyzja, panie Andrzeju – powiedział Szymon. – Tylko niech pan ją ładuje zawsze na wieczór.

\*

Wróciliśmy do domu. Coraz bardziej lubiłam te nasze powroty od pana Andrzeja. Były z tym związane pewne rytuały. Połowę drogi odprowadzał nas Stefan. Szedł wytrwale do momentu, kiedy zobaczył Rudego. Gdy tylko Rudy się pojawiał, Stefan odwracał się i z prędkością światła wracał do pana Andrzeja. Mój kot był postrachem okolicznych zwierząt. Nie tylko kotów, ale i psów. Do samego domu wracaliśmy już we czwórkę. Szymon, Luna, Rudy i ja.

Zawsze było mi przykro, gdy Szymon odjeżdżał. Miałam ochotę go zatrzymać. Bardzo lubiłam te nasze wspólne wieczory. Czasem nawet zostawał, gdy pracowałam. Siedział w fotelu z książką czy gazetą, a ja projektowałam. Na brak zleceń nie mogłam narzekać.

– Szkoda, że idziesz – powiedziałam tamtego dnia. – Napilibyśmy się wina.

– I jak ja wrócę do domu? – zapytał.

– Nie wrócisz – szepnęłam.

Szymon spojrzał na mnie badawczo.

– Jutro od szóstej mam dyżur – powiedział. – Bardzo bym chciał nie wracać.

Ale dziś nie mogę.

– Jasne. – Uśmiechnęłam się.

Poczułam się jednak tak, jakbym dostała kosza.

Proponowałam mężczyźnie wieczór z winem, a potem zachęcałam, by został, a on powiedział, że nie może.

Zrobiłam z siebie idiotkę. Pewnie nie pierwszy i nie ostatni raz w życiu.

– To dobranoc.

– Dobranoc – powiedział Szymon.

Zawahał się jeszcze przez chwilę.

– Naprawdę jutro muszę być w formie. Mam dwie operacje od rana.

– Jasne. – Uśmiechnęłam się. – Ja też się wreszcie wyśpię.

Poczułam się jak kot, który właśnie wydostał się z kałuży, ale otrząsnął się z błota i chciał pokazać wszystkim, że jest pięknym kociakiem. Tylko wcale mu to nie wychodziło.

*Ruda Pabianicka, lata trzydzieste*

Anna wpatrywała się beznamiętnym wzrokiem w swoją córkę.

– Zaopiekuj się nią. Dbaj o nią jak o swoją. Obie będziecie za to wynagrodzone.

– Aniu. Tak zrobię – powiedziała cicho Janina.

– Proszę, nikomu o tym nie mów, ale zadbaj, by ona się o tym dowiedziała, nim ty umrzesz – mówiła cicho. – Przysięgnij.

– Przysięgdam.

Anna uśmiechnęła się. Jej twarz złagodniała. Przez chwilę nawet zaczęła przypominać tę dziewczynę z czasów, gdy Henryk prosił ją o rękę, ofiarowując kwiaty czereśni zerwane prosto z drzewa. Czasy, które wydawały się tak odległe. Czasy, które miały już nigdy nie wrócić.

\*

Janina nadała swojemu dziecku imię Marianna. Dziewczynka została pochowana na cmentarzu parafialnym, zwanym Freitagem. Pogrzeb był skromny. Przecież Janina nie mogła powiedzieć mężowi, by pożegnał córkę. Pożegnały ją we trzy. Anna, Janina i mała Stefania.

Stefania była nad wyraz pogodnym dzieckiem. Jakby chciała zrobić wszystko, by Janina ją pokochała.

Stało się to już od pierwszego dnia, od pierwszej minuty, gdy tylko ją przytuliła. Być może, gdyby nie to dziecko, również stałaby się milcząca,

nieobecna jak Anna. Ta mała dziewczynka sprawiła, że Janina czuła się potrzebna komuś na tym świecie.

\*

Pewnego wyjątkowo mroźnego dnia, gdy Janina się obudziła, zauważyła Annę stojącą nad kołyską Stefanii. W pierwszym momencie się przestraszyła. Nawet przez chwilę pomyślała, że Anna chce zrobić krzywdę córce, jednak dziewczyna uśmiechała się, nuciła i lekko kołysała dziecko.

Janina stanęła obok. Zauważyła, że w łóżeczku leży zdjęcie ślubne Henryka i Anny, perły i złoty naszyjnik.

Anna spojrzała na Janinę. Ta pokiwała głową.

– Dam jej – powiedziała. – Albo sama jej dasz, gdy dorośnie.

Anna uśmiechnęła się. Janina pomyślała, że wraca do zdrowia. Ile można milczeć? Przecież obie były bezpieczne, Kuba już w ogóle nie przychodził, Karol też się do niego wyprowadził. Jakże wspaniale było mieszkać beztrudnie w wielkiej pięknej willi. Janina wiedziała, że Eliza z nimi mieszka. Wiedziała też, że spodziewa się dziecka. W aptece na Rudzkiej powiedziano jej, że rozwiązanie nastąpi już niedługo.

Ledwo co została ponownie matką, a już za chwilę miała być babcią.

Westchnęła. Pewnie nie będzie miała kontaktu z wnukiem. Miała tylko nadzieję, że Eliza wychowa go na porządnego człowieka. Że nie da zepsuć dziecka Kubie. Zawsze wydawała się porządną dziewczyną. Źle, że się zakochała w jej synu. Chociaż może ona sobie z nim poradzi? Janina wiedziała, że Kuba nie kochał Elizy. Że była tylko jego zabawką. Ale może z czasem miłość przyjdzie?

Chyba nie. Jediną miłością jej syna była Anna. Pograżona obecnie w swoim własnym świecie, w rozpacz, smutku i wspomnieniach. Pan Bóg zaplanował dla niej ciężkie życie.

\*

Janina nawet nie zauważyła, kiedy Anna wyszła z domu i spokojnym krokiem poszła w stronę Stawów Stefańskiego. Tego dnia nie było tam żadnej potańcówki. Wszyscy szykowali się na sobotę. Pusto było jak nigdy. Stawy pokrywała gruba warstwa lodu. Gdzieś widać było przeręble, przez które wędkarze łapali ryby.

Gdyby nie to, że Eliza zaczęła rodzić i Kuba udał się po akuszerkę, pewnie nikt nie zauważyłby, że Anna wchodzi na lód.

– Anno! – zawołał Kuba, który dziwnym zrzędzeniem losu przejeżdżał tuż obok. – Anno! Co ty robisz? – Wyszedł z samochodu i stanął kilka metrów od niej, na brzegu.

Słońce już dawno zaszło. Jego oczy przyzwyczyły się do ciemności i widział sylwetkę dziewczyny dość wyraźnie na tle białej tafli na stawie.

– Anno!

Dziewczyna zauważyła go. Spojrzała w jego stronę.

– Anno, co ty chcesz zrobić? – zawołał.

– Odchodzę – powiedziała spokojnie. – Za wszystkie noce przeplakane, za mękę Henryka w płomieniach ani ty, ani potomni twój szczęśliwego życia mieć nie będziecie, dopóki dusza moja będzie się błąkać po tym świecie... – wyrecytowała jednym tchem.

– Anno!

Dziewczyna zrobiła krok do przodu i wpadła pod taflę wody.

\*

W tym samym czasie Eliza rodziła. Czekala na pomoc, która nie chciała nadejść. Kuba pojechał po akuszerkę Zajfertową, mieli zaraz tu być. Dlaczego ich jeszcze nie ma. Przecież sama sobie nie poradzi!

Jęknęła.

Karol chodził po pokoju w tę i we w tę.

Nie umiał pomóc dziewczynie. Nie znał się na tym, nie chciał tam wchodzić. Najlepiej uciekłyby, by nie słyszeć jej krzyków.

Janina. Przecież pomoże.

Przecież to jej wnuk.

Ubrał się szybko i wybiegł z domu. Po piętnastu minutach był już u żony. Tym razem nie otwierał drzwi, zapukał. Otworzyła mu żona z córką na rękę.

– Szybko. Eliza rodzi. Nie ma kto pomóc.

Janina, nie zastanawiając się, założyła buty, okryła się płaszczem, zawinęła Stefanię w bardzo ciepły koc i wybiegła z nią i mężem z domu.

\*

Gdy weszła do willi Dworaka, Eliza już rodziła. Janina wręczyła mężowi dziecko, niczym cenny pakunek, i weszła do Elizy.

Po chwili już było po wszystkim.

– Masz syna. – Uśmiechnęła się Janina do wymęczonej dziewczyny.

Eliza przytuliła niemowlę.

– Dziękuję – szepnęła. – Bez pani bym sobie nie poradziła.

– To mój wnuk. – Poglaskała Elizę po głowie. – Dbaj o niego. I go kochaj, a będzie dobrym człowiekiem. Obiecasz mi to?

– Obiecuję – powiedziała dziewczyna. – Będzie dobrym człowiekiem. Ja to wiem.

– Teraz śpij. Byłaś bardzo dzielna.

\*

Kiedy w willi Dworaka rozległ się pierwszy krzyk noworodka, Kuba Rzepecki wyciągał ciało Anny z przerębla. Położył ją na lodzie, rozpiął jej płaszcz, próbując dostrzec jakiegokolwiek oznaki życia. Niestety. Dziewczyna nie oddychała.

– Anno. Nie rób mi tego, Anno. Kocham cię, nie odchodź – szeptał.

Jednak ona już go nie słyszała. Na jej twarzy widać było spokój i delikatny uśmiech.

– Co ty mi zrobiłaś? Co ty mi zrobiłaś? – powtarzał.

Po chwili głośno krzyknął.

Nie wiedział, co ma robić. Nie weźmie jej na plecy, nikogo teraz nie zawiadomi. Eliza rodzi, przecież właśnie jechał po akuszerkę!

Po raz pierwszy w życiu naprawdę nie wiedział, jak postąpić. Annie jednak nie był w stanie pomóc. Musiał jechać po pomoc dla tych, którzy jeszcze mieli szansę.

Zaniósł ciało Anny na brzeg. Schował je w krzakach, przykrył śniegiem. Do rana się zastanowił, co robić. Na razie musiał jechać po tę cholerną akuszerkę!

Było mu bardzo zimno, mokre ubranie natychmiast zamarzało. Najchętniej wróciłby do domu i napił się czegoś rozgrzewającego. Jednak swoje kroki skierował w stronę domu Zajfertowej, która obiecała pomóc Elizie przy porodzie.

\*

Może gdyby Kuba wiedział, że jego syn przyszedł już na świat, od razu zastanowiłby się nad tym, co zrobić ze zmarłą Anną. Jednak nie mógł o tym wiedzieć. Gdy dojechał do domu, Eliza czekała już na niego z małym chłopcem przytulonym do jej piersi.

– Andrzej – powiedziała. – Będzie Andrzej. Tak jak mój ojciec.

Kuba po raz pierwszy w życiu poczuł wzruszenie. Dotknął lekko syna. Małych paluszków, które natychmiast zacisnęły się w piąstkę. Jak go ochronić przed złem tego świata? Jak go ochronić przed ludźmi takimi jak jego własny ojciec?

Nie wiedział. Ale przyrzekł sobie, że zrobi wszystko, by go ustrzec przed wszystkim, co jest złe. Tak długo jak będzie mógł.

W uszach miał to, co powiedziała Anna. Bał się, że słowa klątwy szeroko będą zataczały swój krąg. Chciał przestać o tym myśleć. Było minęło. Była Eliza i Andrzej. Postanowił szybko wziąć ślub. Zacząć wszystko od nowa. Wykreślić przeszłość ze swojego życia. Henryka Dworaka, Annę, jej ciało leżące na brzegu stawu, i matkę, która o wszystkim wiedziała.

– Elizo, wyjdź za mnie. Kocham cię – powiedział.

Tak bardzo chciał, by to było ostatnie kłamstwo w jego życiu.



\*

Następnego dnia o poranku Kuba Rzepecki wziął samochód i pojechał nad Stawy Stefańskiego. Wsiadł z niego tuż nad brzegiem. Godzinę krążył po krzakach, szukając ciała Anny. Nie znalazł. Znalazł tylko krwawe ślady zostawione przez wygłodniałe zwierzęta. Przypomnił sobie jej słowa. „Za wszystkie noce przepłakane, za mękę Henryka w płomieniach ani ty, ani potomni twoi szczęśliwego życia mieć nie będziecie, dopóki dusza moja będzie się błąkać po tym świecie”.

Nie mógł jej nawet pochować. Czy to znaczy, że ona nigdy nie zazna spokoju? Chyba tak, bo jak dusza miała odpocząć, jeśli ciało nie spoczywało w grobie?

Najbardziej miał ochotę wrócić do starych przyzwyczajęń i sięgnąć po flaszkę.

Wiedział jednak, że nie powinien tego robić. Za dużo się stało tego jednego dnia. Jego miłość odeszła, by pojawiła się nowa. Andrzej. Tego samego dnia, niemal w tym samym czasie.

Wrócił do domu. Jednak coś nie dawało mu spokoju. Wyciął brzozę z pobliskiego lasu i zbił z niej prosty krzyż. Postawił go pod drzewem, w największej leśnej gęstwinie.

– Spoczywaj w pokoju, moja miła – powiedział.

Nie sądził jednak, że Anna nie zazna tego spokoju przez długi, długi czas. Dopiero za kilkadziesiąt lat miało się to zmienić.

\*

Zosia słuchała opowieści pana Andrzeja. Już kolejny raz. Kochała te spotkania, podczas których mogła przenieść się kilkadziesiąt lat wstecz. Starszy pan podrapał się w głowę i westchnął.

– To teraz, Zosiu, wiesz już wszystko. Albo prawie wszystko.

– Jak pan się o tym wszystkim dowiedział?

– To kolejna długa historia. Dowiedziałem się zbyt późno, zbyt późno, by móc zachłysnąć się szczęściem. Myślałem, że jeszcze mi się to uda. Jednak Stefania umarła. Nie dane nam było być razem. A ja? Ja nawet nie mogę umrzeć w spokoju.

– Anna była pochowana?

– Nie. Jej ciała nigdy nie znaleziono. – Pokręcił głową.

– To straszne, nie mieć swojego miejsca po śmierci – powiedziała Zosia. – Panie Andrzeju... Czy to możliwe, bym ja widziała ten krzyż?

Pan Andrzej gwałtownie odwrócił się do niej. Nie powiedział nic. Jednak kiwnął głową.

– Możliwe. Wszystko jest możliwe.

– Nie próbował pan nigdy zrobić jej pogrzebu? Przecież musi być jakieś wyjście.

– Pogrzebu? – powtórzył pan Andrzej. – Gdy nie ma ciała, nie ma kogo chować.

– Na pewno da się to załatwić – szepnęła Zosia. – Już ja się o to postaram. – W tym momencie mignął jej za furtką czerwony płaszcz. Teraz była już pewna, że tajemnicza kobieta to Anna.

Spojrzała na zamyślonego Andrzeja.

– A co się stało potem? – zapytała.

– Potem? To już opowieść na następny wieczór.

– Pani Stefania odzyskała dom?

– Odzyskała. W nieco inny sposób niż myślisz, ale odzyskała. Na dzisiaj koniec. Kury muszę nakarmić, Stefana też. Zmęczony jestem.

– Smutna ta historia – powiedziałam, gdy wracaliśmy z Szymonem do mojego domu.

Do zachodu słońca zostało dobrych kilka godzin. Słońce było jeszcze nad drzewami rudzkiego lasu.

– Smutna – potwierdził Szymon. – Bardzo zagmatwana. Podobno w tym lesie wiele takich grobów, wiele śladów nieszczęśliwej miłości.

– Czasem zastanawiam się, co by było gdyby. Czy gdyby te wszystkie wydarzenia nie miały miejsca, to bylibyśmy tu i teraz? Czy pani Stefania byłaby szczęśliwsza? Pewnie nigdy bym jej nie poznała. – Zamyśliłam się.

Wszyscy chodzimy w labiryncie poplątanych życiowych dróg. W zależności od tego, w którą ścieżkę skręcimy, nasza droga zakończy się w tym lub w innym miejscu. Niezależnie od tego, czy wybór drogi życiowej będzie naszą decyzją, czy podejmiemy ją pod wpływem wiatru napędzanego przez los.

Wiatr przeznaczenia bywa czasem zbyt silny, by się mu przeciwstawić.

– Ja ostatnio przestałem się zastanawiać, co by było gdyby – powiedział Szymon. – Staram się żyć najlepiej, jak umiem. Trzy lata żyłem przeszłością, wspomnieniami. Teraz myślę, że zasługuję jeszcze na szczęście.

Każdy z nas zasługuje.

– Po śmierci Magdy z zazdrością patrzyłem na ludzi śmiejących się na ulicy. Obserwowałem tych, którzy gadają przez telefony komórkowe i się uśmiechają. Zastanawiałem się, co do siebie szepczą zakochane pary. I pomyślałem sobie, żeby szybko korzystali z życia, bo jest tak kruche.

– Nie spodziewamy się tego, co może za chwilę nastąpić.

- To trochę katastroficzne. Nie o to chodzi.
- A o co?
- Chodzi o to, by pięknie przeżyć każdy dzień. By zasypiać z myślą, że zrobiło się wszystko. By tak żyć, że wieczorem, gdy kładziesz się spać, niczego nie żałować.
- Nie żałować tego, że się coś zrobiło?
- Tak – przytaknął Szymon. – Ale też tego, że się czegoś nie zrobiło.
- Robisz tak?
- Staram się – powiedział. – Ale nie zawsze mi wychodzi.
- Bo to trudne – powiedziałam. – Czasami zrobisz coś, myślisz, że to właściwe, a potem okazuje się że nie... i wtedy żałujesz.
- Ryzyko życiowe. – Szymon uśmiechnął się do mnie.

Nie wiem, czy on pomyślał o tym samym co ja. Ja myślałam o tym, żeby przytulić się do niego tam, na tej drodze, i już tak trwać do końca świata. Czy to miłość? Coraz bardziej byłam tego pewna. Czasem miłość przychodzi szybko, spada na nas zniecka, czasem jednak skrada się bardzo powoli, na dodatek w przebraniu przyjaciela.

U nas właśnie tak było. Ta miłość ukrywała się od samego początku pod wieloma warstwami przyjaźni. Nie przytuliłam się jednak do niego. Zastanawiałam się, czy będę tego żałować wieczorem, gdy pójde spać. Pewnie tak.

- A może pójdziemy poszukać tego grobu? – zapytałam.
- Jeszcze raz?
- Tak. Może wtedy nie zajrzeliśmy w każdy kąt?
- Na pewno nie. Las jest duży. Nie sądzę, że go znajdziemy.
- A jak to się ma do tego, co powiedziałaś wcześniej? – Uśmiechnęłam się. – Do tego, że wieczorem będziemy żałować tego, czego nie zrobiliśmy w ciągu dnia?

Szymon spojrzał na mnie zaskoczony.

– Nie miałem na myśli szukania grobu sprzed ponad siedemdziesięciu lat. – Uśmiechnął się. – Ale jeżeli to dla ciebie takie ważne, to chodźmy.

Luna biegła wokół nas, co chwilę przynosiła patyki, które musieliśmy jej rzucać. Biegła szybko, by je znaleźć, ale pod wpływem leśnych zapachów zapominała o naszej zabawie i zanurzała nos w runie.

Poszliśmy najpierw skrajem lasu, wzdłuż drogi, następnie nieco w głąb. Pewnie siedemdziesiąt lat wcześniej te wszystkie drzewa były niewysokie, niektórych pewnie wcale nie było.

Nie sądziłam, że znajdziemy to miejsce, które kiedyś widziałam. A może mi się wtedy wydawało? Przedzieraliśmy się przez gęstwiny. Nagle naszym oczom ukazała się niewielka polanka, ukryta przed wzrokiem spacerowiczów za gęstymi drzewami. Na środku usypany był niewielki pagórek, już całkowicie porośnięty trawą i mchem. Jakby grób. Spojrzeliśmy po sobie niepewnie.

– Myślisz, że to tutaj? – zapytałam.

– Nie wiem. Przy grobie leżały spróchniałe kawałki drzewa. Oczyma wyobraźni widziałam krzyż, który stał tutaj tyle lat temu.

– Może mieliśmy szczęście i ją znaleźliśmy – powiedziałam.

– Może. – Szymon się zamyślił. – To przykre, że człowiek nawet po śmierci nie ma swojego miejsca. Niby wszędzie można pójść pogadać z tymi, którzy odeszli. Ale jednak fajnie wiedzieć, gdzie przynieść kwiaty w dniu urodzin czy rocznicę śmierci. Tak symbolicznie.

– Powinniśmy jej zrobić pogrzeb. To na pewno da się zrobić.

– Może da się. Nie znam się na pogrzebach za bardzo. Mimo iż jeden mam za sobą.

– Przepraszam cię, że nasze spotkania i tematy, którymi się zajmujemy, wciąż w jakiś sposób dotyczą śmierci.

– Myślę, że to po to, bym ją sobie oswoił. Nie spodziewałem się, że kiedyś tak powiem, ale może to dobrze. Powinienem przejść do porządku dziennego nad śmiercią Magdy. Wydaje mi się, że to właśnie dzięki tobie wracam do żywych. – Zamyślił się. – Gdy cię poznałem, myślałem, że świat się dla mnie skończył. Jeździłem jako kierowca, bo nie mogłem nocami spać. Nie umiałem być sam. W domu w zasadzie byłem tylko gościem. Nie chciałem pracować w klinice, bo przecież jak miałem leczyć obcych ludzi, skoro nawet nie potrafiłem pomóc swojej żonie. Byłem innym człowiekiem. Gdy wiozłem cię do szpitala, miałem świadomość, że mogę spróbować ci pomóc. Że dalej mogę pomagać kobietom, że los powinien dać mi drugą szansę. Potem zrozumiałem, że to nie los zabrał mi szansę bycia lekarzem, ale sam siebie tej szansy pozbawiłem.

Słuchałam, nie przerywając. Staliśmy oboje nad grobem. Miałam wrażenie, że Szymon mówi to, co bardzo długo leżało w najciemniejszych zakamarkach jego duszy.

– Gdy wyjechałaś wtedy z Markiem, pogodziłem się z tym. Po prostu pomyślałem, że tak ma być. Wiem, że ludzie w naszym życiu pojawiają się po coś. Przychodzą, czasem zostają z nami na dłużej, a czasem odchodzą. Ważne, byśmy zrozumieli, po co los postawił ich na naszej drodze. Wtedy myślałem, że pojawiłaś się po to, bym wrócił do kliniki.

– A teraz?

– Teraz? Teraz myślę, że nie tylko po to. – Najwyraźniej chciał powiedzieć coś więcej, ale Luna przerwała mu głośnym szczekaniem. Miałam wrażenie, że ktoś przechodzi za drzewami. Kobieta?

Szymon też ją zauważył. Nie wiem dlaczego, ale zrobiło mi się zimno. Luna nadal szczekała i warczała, wpatrując się w drzewa.

– Chodź, Luna. Wracamy – powiedział Szymon.

Kiwnęłam głową i poszliśmy w stronę lasu. Po kilkunastu metrach Szymon

przystanął.

– Wiesz co? Wrócę tam i zrobię zdjęcie. Dla pana Andrzeja.

– Poczekam.

Stałam i patrzyłam, jak Szymon idzie w kierunku, z którego właśnie przyszliśmy.

Luna pobiegła za nim. Nie było go przez chwilę. Gdy wrócił, miał zdezorientowaną minę.

– Zosia, to było na pewno tam?

– Tak. – Zdziwiłam się.

– Tam nic nie ma – powiedział. – Chodź, sama zobaczysz. – Wziął mnie za rękę i poprowadził w tamtą stronę.

Po chwili staliśmy na polance. Niby tej samej co wcześniej. Drzewa wokół były te same. Na środku polany leżał spróchniały pień, jednak zamiast tego, co wcześniej wydawało nam się grobem, leżał zwalony konar drzewa.

– Czy myśmy coś pili? – zapytał Szymon.

– Nie. – Pokręciłam głową. – Chyba nam się wydawało.

– Chyba.

Luna pobiegła w stronę konaru i zaczęła go obwąchiwać.

– A może to było gdzieś indziej? Ten las jest przecież wszędzie taki sam.

– Pewnie tak – powiedział Szymon.

– Tak, z pewnością tak – potwierdziłam.

Spojrzelśmy na siebie. Żadne z nas nie powiedziało tego głośno. Ale najwyraźniej oboje zastanawialiśmy się, o co tutaj chodzi. Ani ja, ani Szymon nie potrafiliśmy znaleźć właściwej odpowiedzi.

\*

Do domu wróciliśmy w milczeniu.

Dziwny to był wieczór. Pełen czarów i magii, w którą zupełnie nie wierzyłam.

– Wierzysz w czary? – zapytałam.

– Nie – powiedział Szymon.

– Zdecydowanie?

– Tak. Chociaż po tym, co dzisiaj zobaczyłem... – Pokręcił głową. – Wczoraj nie mogłem napić się wina, może dzisiaj?

– Chyba nam się należy. – Westchnęłam.

\*

Poszłam do kuchni po kieliszki. Te same, które przyniosłam ze strychu jakiś czas temu. Umyłam je jeszcze raz i wytarłam. Nie usłyszałam, że do kuchni wszedł Szymon. Odwróciłam się i zobaczyłam go tuż za sobą. Stał blisko. Zbyt blisko.

Otworzyłam usta, by coś powiedzieć, ale położył na nich palec.

– Nie dokończyłem ci tego, co chciałem powiedzieć. Tam w lesie.

Kiwnęłam głową.

– Każdego dnia dziękuję, że pojawiłaś się w moim życiu. Zosiu, obudziłaś mnie. Obudziłaś mnie ze snu, z którego sam nie byłem w stanie się obudzić. Dzięki tobie mogę iść dalej. Nie jestem zamknięty w tunelu bez wyjścia. Ty otworzyłaś moje drzwi.

Pogłaskał mnie po policzku. Przybliżył twarz do mojej.

Moje usta bezwiednie się rozchyliły. Po chwili poczułam jego pocałunek. Coś, na co czekałam od dawna i wcale nie zdawałam sobie z tego sprawy. Siedziałam na starym kuchennym stole, który pewnie był świadkiem wielu pocałunków Anny i Henryka, stole, który, gdyby umiał mówić, opowiedziałby nam niejedną historię.

– Zosiu. Ja myślałem, że nie umiem już. Że nie potrafię odczuwać, nie potrafię kochać. Ale chyba potrafię.

– Mówiłeś, że ważne jest to, by nie żałować rzeczy, których się nie zrobiło, prawda?

– Prawda – powiedział.

Przytuliłam się do niego mocno. Nasze usta znowu się spotkały. Nieważny był świat. Przez chwilę zapomnieliśmy o wszystkim. Nie było nikogo, tylko Szymon i ja. Nawet Luna i Rudy dyskretnie usunęli się z pola widzenia.

– To zapytam jeszcze raz – powiedziałam cicho. – Może napijemy się wina i zostaniesz? – Przymrużyłam oczy, wpatrując się w niego.

– Czy to jest propozycja? – zapytał.

– Zaproszenie – powiedziałam. – Na kieliszek wina – dodałam po chwili.

– Albo dwa – zaproponował.

– Albo dwa – zgodziłam się.

– A trzy? – Szymon droczył się ze mną.

– Na wszystko się zgadzam.

– Na wszystko? – Gładził mnie po włosach, po policzku.

– Na wszystko – potwierdziłam.

Nalał wina do kieliszków. Podał mi jeden, a drugi wzniosł do góry.

– Za nas – powiedział. – Aby to co złe, zostało za nami.

Pokiwałam głową. Bez słowa wypiliśmy wino. Potem ściągnął mnie ze stołu i złapał za rękę. Poprowadził przez drzwi na korytarz. Na chwilę się zawahał. Jakby zastanawiał się, czy skrócić do gabinetu. Spojrzał na mnie pytająco. Pokiwałam głową. Wskazał na gabinet.

– Nie – szepnęłam.

Uśmiechnął się.

Poszliśmy do sypialni.

– Wczoraj naprawdę nie mogłem zostać – powiedział cicho. – Tak bardzo chciałem, ale nie mogłem.

Tym razem ja położyłam palec na jego ustach, by nic nie mówił.

Słowa były niepotrzebne, ta noc należała do nas. Ta noc i kilka, kilkanaście, kilkadziesiąt, a nawet więcej nocy. Tego byliśmy pewni.

Gdy zasypialiśmy zmęczeni nad ranem, usłyszałam drapanie w drzwi. Wyswobodziłam się z objęć Szymona i otworzyłam. Za drzwiami stali Luna i Rudy, ciekawie zaglądając do środka. Po chwili weszli i ułożyli się na dywaniku przed łóżkiem. Z powrotem się położyłam, przytuliłam do Szymona i przykryłam kołdrą. Nasze ciała były tak blisko siebie. Leżeliśmy przytuleni, na podłodze Luna i Rudy. Poczułam, że jestem we właściwym miejscu. Byłam szczęśliwa. Wiedziałam też, że znalazłam się tutaj po coś. Po co? Nie wiedziałam. Ale miałam wrażenie, że to ma związek z przeszłością tego domu. Chciałam, by duchy przeszłości również zaznały spokoju. Ale do tego potrzebowałam dalszego ciągu historii.

\*

Czasem poranek po pierwszej wspólnej nocy bywa trudny. Lecz kiedy jesteś budzona pocałunkiem, kiedy ktoś tego ranka przytula cię do utraty tchu, nawet nie możesz się zawstydić, nawet nie możesz sobie przypomnieć, co się stało poprzedniej nocy. Niemalże nie otwierając oczu, zatracasz się ponownie w chwilach namiętności.

- Nigdy nie byłam tak budzona – powiedziałam po kilku chwilach.
- Mogę budzić cię tak zawsze.
- To było pytanie czy propozycja?
- Chcę budzić cię tak zawsze. To moje marzenie. – Uśmiechnął się.
- Marzenia są po to, by je spełniać – powiedziałam. – Zrobię śniadanie.
- Ty zrobisz śniadanie? – Zdziwił się.
- Tak.
- Ale pamiętasz, że limit pożarów przypadających na ten dom się już wyczerpał?
- Pamiętam.
- A ja mogę leżeć? – zapytał.
- Jasne.
- To zrób śniadanie. Chociażby po to, że teraz musisz wstać, przejść do kuchni, a nie masz nic na sobie.
- Szymon!
- Chętnie cię zobaczę. Ale nie rękę wtedy za siebie.
- Wiesz co? – Roześmiałam się. – To ty zrób jednak śniadanie.
- Wiedziałem, że nie może być tak pięknie. Zrobię.



– Razem zrobimy – powiedziałam.

Zdawałam sobie sprawę, że na mnie patrzy. Nie zważając na to, wstałam z łóżka, stanęłam do niego tyłem, przeciągnęłam się i założyłam sukienkę na gołe ciało.

– Kocham cię, Zosiu – powiedział nagle. – Nie spodziewałem się, że jeszcze komukolwiek to powiem.

\*

W południe mieliśmy niespodziewanego gościa.

– Pogoda taka piękna, że pomyślałem, że na spacer trzeba wyjść – powiedział pan Andrzej. – Stefana musiałem wyprowadzić, bo sam to się nigdzie nie rusza. Dwa staruchy z nas. Kulawe i leniwe. – Roześmiał się.

– Nie jest tak źle, panie Andrzej. – Uśmiechnęłam się.

– Miłością tu u was pachnie – powiedział, gdy usiadł na kanapie. – Miłością i młodością! – Rozmarzył się. – Tak samo pachniało, gdy byłem młody i tutaj spacerowałem. Tak samo pachniało w lesie i pocałunki tak pięknie pachniały.

– Jakieś romantyczne wspomnienia, panie Andrzej?

– Niejedno by się znalazło.

– Opowie mi pan? – Podałam mu herbatę.

– Opowiem, ale w swoim czasie. – Poglaskał Lunę. – Stefan, nie bądź zazdrosny. Dziewczyny czasem trzeba pogłaskać. Potem milej się żyje na tym świecie.

Szymon się uśmiechnął i porozumiewawczo spojrzał na mnie.

– Mam rację, prawda? – zapytał pan Andrzej. – Jeszcze trochę ją pogłaszczesz i nawet gotować się nauczy. U mnie w domu kilka książek kucharskich jest, nauczysz się przeliczać kwarty na gramy i wszystko będzie łatwiejsze.

– Nie można mieć samych zalet, panie Andrzej.

– Ano nie można. Nie gotuj, kochana, ważne, by wam było dobrze. Ten dom zasługuje na to, by wreszcie zamieszkało w nim szczęście.

*Ruda Pabianicka, lata trzydzieste - lata czterdzieste*

Wydawać się mogło, że o Annie zapomnieli wszyscy. Nie było grobu, gdzie można byłoby się pomodlić. Jedynie ten brzoźowy krzyż, ale o nim wiedział tylko Kuba Rzepecki. Na początku chadzał tam często. Potem coraz rzadziej. Zresztą zaraz potem wybuchła wojna.

Nie było dnia, by Kuba nie myślał o Annie. Czasem mu się śniła. Wolał te sny, gdy obejmowała go i całowała czule, gdy obiecywała, że wszystko będzie dobrze. Wtedy rozkoszował się światem, w którym nie istniał Henryk, nie wybuchł pożar i nie było przerębli na Stawach Stefańskiego. Jednak bywały noce, gdy budził się zlany potem, krzycząc niezrozumiałe dla nikogo słowa. Śnił mu się wtedy pożar. I Anna, której nie zdołał uratować, ale która przedtem wypowiedziała doskonale znane mu słowa. Słowa klątwy.

Te, że nikt z jego rodziny nie zazna szczęścia, dopóki Anna nie zazna spokoju.

Najpierw próbował szukać zapomnienia w alkoholu, jednak wówczas widział to, czego nie chciał zobaczyć w najgorszych snach. Wolał być trzeźwy. Przynajmniej nie stawała mu przed oczami w swojej czerwonej sukience. Czy Anna miała w ogóle kiedyś czerwoną sukienkę? Tego nie wiedział.

\*

Kuba był całkiem dobrym ojcem. Zadziwiła go ta doskonałość, która tak naprawdę powstała z niczego. Z pożądania do zwykłej, prostej kobiety, która

podawała do stołu u Stefańskich.

Ślub wzięli kilka tygodni po narodzinach Andrzeja. Tego samego dnia syn został ochrzczony nad chrzcielnicą, którą Dworak ufundował na pamiątkę swojego ślubu z Anną. Jednak Kuba Rzepecki o tym nie wiedział.

Jakub na swój sposób pokochał Elizę. Od zawsze największą świętością było dla niego to, co do niego należało. Eliza była jego żoną, nosiła jego nazwisko.

Jego syn, matka jego syna. Czuł się w obowiązku dbać o nich, jak najlepiej potrafił. Zatem dbał.

\*

We wrześniu 1939 roku Ruda została bez walki zajęta przez wojska niemieckie. To już nie była Ruda Pabianicka. Nazwę zmieniono na Litzmannstadt-Erzhausen. A rok później włączono ją w granice Łodzi, czyli Litzmannstadt. Łódź została przyłączona do III Rzeszy jako część Kraju Warty.

Jakub Rzepecki również w czasie wojny doskonale potrafił zadbać o swoją rodzinę. Podpisał volkslistę. Mógł, gdyż jego dziadek, jak wielu tutejszych, był Niemcem.

W Łodzi i najbliższej okolicy volkslistę podpisało prawie sto pięćdziesiąt tysięcy osób, a w całej rejencji łódzkiej około dwieście pięćdziesiąt tysięcy.

Rzepecki oczywiście nie czuł się Niemcem. Kierowała nim po prostu chęć zysku i potrzeba zapewnienia bezpieczeństwa sobie i rodzinie w tych ciężkich, wojennych czasach.

Podpisanie volkslisty przez Kubę przyjęto oczywiście wśród sąsiadów jako ewidentną zdradę. Liczni łódzcy volksdeutsche byli postrzegani jako bardzo źli ludzie, brutalnie odnoszący się do ludności polskiej, odpowiedzialni za liczne napady, pobicia, zabójstwa. Nie wiadomo, może tak było w istocie.

Jego ojciec nie mógł mu tego wybaczyć. Matka również. Nie miał z nią wprawdzie kontaktu, ale o wszystkim wiedziała. Tutaj zawsze wszyscy o wszystkim wiedzieli. Karol ubłagał żonę, by przyjęła go z powrotem. Cóż miała robić? Janina była dobrą kobietą. Stwierdziła, że w tym wojennym czasie będzie im łatwiej z Karolem. Na nowo uczyli się być rodziną. Karol cały czas był pewny, że Stefania to jego rodzona córka. Jednak nie umiał jej kochać tak jak Kuby. To on zawsze był dla niego najwspanialszym synem. Mimo wszystko.

\*

Pod koniec 1944 roku Rzepecki spakował rodzinę, z żalem porzucił willę i wyjechał do Niemiec, jak wielu mu podobnych. Zdażył w ostatnim momencie. W styczniu czterdziestego piątego do Łodzi wkroczyła Armia Czerwona. Ale

Rzepecki wraz z rodziną był już w Mannheimie. Zaaklimatyzował się tam bardzo szybko. Zmienił nazwisko na Repeck i w zasadzie zapomniał, że kiedykolwiek był Polakiem.

– Panie Andrzeju, pan jest synem Kuby... – powiedziałam cicho. – Andrzej Repeck. Rzepecki.

– Tak – potwierdził cicho staruszek.

– To jak to się stało, że pan tutaj przyjechał? I jak pani Stefania dowiedziała się, że ten dom należy do niej?

– Kolejna długa historia.

– Za późno na opowieści?

– Za późno.

– Może jutro da się pan zaprosić na kolację? Albo na obiad?

– No, muszę się zastanowić. Jak się skończą opowieści, nie będziesz tak o mnie dbała. – Roześmiał się.

– Będę. Obiecuję.

– Zobaczymy. – Pan Andrzej wstał, wsparł się na masywnej lasce i odszedł w górę Popiołów. Czyli dawnej ulicy Żeromskiego, zwanej Czarną Drogą.

Szedł tą samą drogą, którą przemierzał tyle razy jego ojciec i którą chodziła Anna. Wysokie drzewa rosnące w Lesie Rudzkim pamiętały te wszystkie historie. Szkoda tylko, że nie umiały mówić.

\*

Czasami czyta się w książkach, czy ogląda w komediach romantycznych, że pan poznał panią, spotkali się, przyszedł do niej i już tak został na całe życie.

U nas było dokładnie to samo. Tamtej nocy zadziała się magia. Zarówno ja, jak i Szymon wiedzieliśmy, że chcemy być razem. Nie używaliśmy górnołotnych

słów „na zawsze”. Nigdy nie wiadomo, ile to „zawsze” będzie trwało.

Jednak następnego dnia po pierwszej wspólnej nocy zamieszkaliśmy razem.

Wieczorem, po kolacji Szymon nagle powiedział:

– Idę po kilka rzeczy do mnie. Będę najpóźniej za dwie godziny.

– A co ty tak nagle się zerwałeś?

– Bo to nagła decyzja.

Spojrzałam na niego zdziwiona.

– No dobra. Lunę zostawiasz? – zapytałam.

– Tak. Niech zostanie. Zaraz wracam. – Pocałował mnie. – Nie chce mi się od ciebie odchodzić. Nawet na chwilę. Nieważne, że siedzisz teraz w dresie i masz tłustą plamę na bluzce, nieważne – mruzczał. – Bluzkę zawsze można zdjąć.

Roześmiałam się.

– Chyba chciałbyś, bym non stop chodziła w tłustych plamach, co?

– Nieustająco – potwierdził. – Lecę. Zamknij drzwi za mną.

– Zamknę.

– Na pewno?

– Na pewno.

Wyszedł z domu. Oczywiście o tym zapomniałam. Po chwili Szymon pojawił się w kuchni.

– Miałaś zamknąć – przypomniał. – Nie chcę, by odwiedzali cię nieproszeni goście. – Wziął mnie za rękę i odprowadził do drzwi. – Ja wyjdę, ty zamkniesz i ja sprawdzę, okej?

– Okej. – Westchnęłam.

Gdy wyszedł, przekręciłam klucz. Jeszcze zobaczyłam, jak sprawdza, próbując je otworzyć.

– Będę za jakieś dwie godziny. – Usłyszałam zza drzwi.

Uśmiechnęłam się. Czy to możliwe, że gdy człowiek się zakocha, dwie godziny w samotności to wieczność?

Chyba tak. Nie mogłam się doczekać, kiedy wróci.

\*

Wrócił faktycznie po około dwóch godzinach.

– Możesz mi pomóc? – zapytał.

– Z czym?

– Kilka drobiazgów przyniosłem – odpowiedział.

– Jasne.

Założyłam buty i wyszłam na zewnątrz. Gdy zobaczyłam te kilka drobiazgów, wybuchnęłam śmiechem.

– Co to jest?

– Drobiazgi!

Cały samochód był wypełniony kartonami i wielkimi torbami.

– Pomyślałem, że masz za mało osób przypadających na metr kwadratowy. I zdecydowałem, że zapytam, czy nie zechciałabyś mi wynająć kawałka podłogi albo jednego pokoju, albo dla mnie kawałka łóżka w sypialni, a na te graty kawałka podłogi. Albo chociaż strych.

– Wariat! – zawołałam.

– Zosiu, ja naprawdę nie chcę być bez ciebie ani chwili dłużej. To jest bez sensu być osobno. Po co?

– Masz rację.

– Wiedziałem, że nie będziesz miała nic przeciwko. Już nawet do Jacka zadzwoniłem, że zwalnię mieszkanie. Resztę pomoże mi przywieźć w sobotę.

Pokręciłam głową.

– Szalony.

– Nie chcesz? – zapytał.

– Chcę. Bardzo chcę.

Bardzo chciałam, by był zawsze. Zupełnie nie zdziwiła mnie jego decyzja. Po prostu zaczęliśmy nosić kartony. W mojej szafie zawisły jego koszule i garnitur, szuflady wypełniły się jego bielizną. Za szybko?

A na co czekać? Po co zwlekać z chwytaniem szczęścia, jeżeli ma się je w zasięgu ręki?

\*

Szymon do końca przeprowadził się w weekend. Jacek patrzył na nas z pewnym powątpiewaniem. Tak, jestem pewna, że twierdził, że to wszystko dzieje się zbyt szybko.

– Twoje ostatnie decyzje mnie zadziwiają. – Usłyszałam, jak cicho mówił do Szymona. – Jesteś pewien?

– Jestem. Po raz drugi w życiu jestem tak bardzo pewien.

– Stary, ty się dobrze zastanów.

– Spoko. Zastanowiłem się.

– Czyli mieszkanie mam wynajmować?

– Choćby zaraz. Ja tu zostaję.

Uśmiechnęłam się. Fajnie mieć takiego przyjaciela.

Szymon zobaczył mnie nagle.

– Wszystko słyszałam – przyznałam się.

– No nie. – Westchnął.

– Zrozumiem również, jak powiesz, że jeżeli go skrzywdzę, będę miała z tobą do czynienia. – Roześmiałam się.

– Właśnie to chciałem powiedzieć – potwierdził Jacek. – Na serio, bądźcie szczęśliwi. I dziękuję, Zosiu. Bo dzięki tobie wrócił dawny Szymon. Niemożliwe

stało się faktem.

\*

Gdy już posprzątaaliśmy cały bałagan związany z przeprowadzką, zaprosiliśmy pana Andrzeja. Historia jeszcze się nie zakończyła. Brakowało kilku elementów do tej życiowej układanki, do zamknięcia historii tego domu, w którym tak bardzo pragnęliśmy być szczęśliwi.

\*

– Na czym to ja skończyłem? – Pan Andrzej zamieszał herbatę w filiżance. – Ta filiżanka tu była, prawda? Wydaje mi się, że ją pamiętam.

– Tak, znalazłam ją w kredensie na strychu – powiedziałam. – Tam jest pełno skarbów.

– Mama zawsze piła w niej herbatę. – Obrócił filiżankę w dłoni. – Kto by pomyślał, że życie ludzkie jest bardziej kruche od porcelany. – Pokręcił głową. – Kto by pomyślał. To na czym skończyłem? – zapytał po raz drugi.

– Na tym, że wyjechaliście do Niemiec.

– Ano wyjechaliśmy. Miałem dziesięć lat i wszystko było dla mnie nowe. Ale każdy z nas musiał się przyzwyczaić do nowej rzeczywistości. Ojciec nawet przestał mówić po polsku. Po polsku rozmawiałem tylko z mamą. To ona chciała przyjechać do Polski. Chociaż na wakacje. Tylko dzięki temu poznałem Stefanię.



Andrzej

*Nie pamiętam, który to był rok. Skończyłem szkołę i pracowałem. Tak jak mój ojciec naprawiałem samochody. Przyjechałem z rodzicami na wakacje do Polski. Nie mieliśmy dokąd wracać. Pierwszą noc spędziliśmy w Grand Hotelu, a potem zamieszkaliśmy w pokojach gościnnych mieszczących się na górnych piętrach karczmy, na rozstaju dróg do Gatki i Ksawerowa. Zburzono ją potem, gdy budowano tory tramwajowe. Moja mama nie mogła się tam odnaleźć. Była u siebie, a mieszkała na pokojach u obcych ludzi. Ojciec codziennie mijał „swoją” willę, w której zrobiono mieszkania kwaterunkowe. Wtedy jeszcze nie było szans na jej odzyskanie. Pił codziennie. Chyba z żalu.*

*Pamiętam, że nie był sobą. Dużo wychodził z domu, nie wiedziałem gdzie. Kiedyś poszedłem za nim i miałem wrażenie, że błąka się bez celu w lesie. Teraz wiem, że pewnie szukał tego brzoźowego krzyża, który kiedyś tam postawił. Wciąż męczyły go słowa Anny i zastanawiał się, jak zapewnić jej wieczny odpoczynek.*

*Miał wyrzuty sumienia. Chciał pogodzić się ze swoją matką, jednak ona była nieugięta. Myślał, że jeśli wszystko jej opowie, ona mu wybaczy.*

*Nie wybaczyła. Miała mocny charakter i była pamiętliwa. A może chciała chronić Stefanię? Nie wiem. Pewnie gdyby ojciec i dziadek się dowiedzieli, że babka tak długo skrywała tajemnicę, nasze losy znowu by się poplątały. Zatem ojciec wyznał jej prawdę, a ona milczała. Jednak bardzo chciała mnie poznać. Kiedyś przez przypadek spotkaliśmy się na Marysinie. Ja byłem z mamą, a ona siedziała w kawiarni z najpiękniejszą kobietą na świecie – Stefanią. Nigdy nie*

wierzyłem w miłość od pierwszego wejrzenia, ale z nami tak właśnie było. To było jak grom z jasnego nieba.

Wiedziałem, że muszę ją koniecznie zobaczyć jeszcze raz, a najlepiej oglądać przez całe życie. Dzień po dniu, noc po nocy.

To były najpiękniejsze chwile w moim życiu. Chadzaliśmy nad stawy, biegaliśmy za ręce po lesie. Nie znaliśmy przeszłości, nie myśleliśmy o naszej przyszłości. Żyliśmy chwilą.

Zbliżał się czas naszego wyjazdu i postanowiłem przedstawić Stefanię ojcu. Byłem pewien, że zaakceptuje naszą miłość. Dlaczego nie miałby tego zrobić?

Przyprowadziłem ją do nas na kolację. Nie było miło.

Gdy Stefania wyszła, jeszcze tego samego wieczoru ojciec kazał mi się spakować. Wcześniej rano wyjechaliśmy, bez słowa pożegnania. Przynajmniej tak myślał ojciec. Ja dałem chłopcu sprzedającemu gazety jakieś pieniądze z prośbą, by zaniósł Stefanii list. Tam było tylko kilka słów. Napisałem, że ją kocham i zupełnie nie wiem, dlaczego musiałem tak szybko wyjechać. Prawda była tragiczna.

Ojciec powiedział mi ją kilka dni po tym, jak wróciliśmy do Niemiec. Ja płakałem, matka płakała. Nie rozumiałem tych wszystkich rodzinnych waśni. Chciałem normalnie żyć. Nie każdy po wojnie miał takie szczęście, że miał ojca, matkę, babkę i dziadka. Ja miałem, ale nawet nie mogłem się z nimi kontaktować.

Jak wiem z listu od Stefanii, moja babka powiedziała jej, że jesteśmy spokrewnieni. Cóż nam pozostało? Pisać do siebie listy. W pierwszym obiecaliśmy sobie, że już nigdy się nie zobaczymy. Nasze serca by tego nie wytrzymały. Stefania pojechała na studia do Gdańska, potem zaczęła pracę w szkole. Byliśmy na bieżąco ze swoimi problemami, radościami. Tematów miłosnych nie poruszaliśmy. Ja próbowałem się z kimś spotykać, nie wychodziło. Najważniejszym świętem dla mnie był list od Stefanii. I chyba moja miłość do niej psuła wszystkie związki, które próbowałem budować. Może i dobrze, byłoby to bardzo nieuczciwe. Nie wiem, czy ona kogoś miała. Nigdy mi o tym nie pisała. Tak bardzo chciałem ją zobaczyć! Jednak obiecałem sobie, że dotrzymam danej jej obietnicy.

\*

*Ruda Pabianicka, 1960*

Janina Rzepecka źle się czuła. Od kilku dni dokuczał jej kłujący ból w mostku. Nie pomagały nawet tabletki, które zapisał jej pan doktor. Położyła się do łóżka. Miała złe przeczucia. Czy to już czas się pożegnać ze światem? Stefania w Gdańsku, daleko, to z kim ma się żegnać? Z mężem.

Janina westchnęła. Chociaż nawet wzdychać jej było trudno. Czy powinna wyjawić swojemu mężowi sekret, który tak głęboko skrywała przez tyle lat? Nie mogła tego zrobić. Co wtedy ze Stefanią? Ona przecież powinna wiedzieć.

Obiecała to Annie! Powinna znać prawdę, by mogła decydować o swoim przyszłym życiu.

Janina zamknęła oczy. Zawołała męża.

– Karolu!

Miała wrażenie, że popełniła błąd. Zmarnowała piękną miłość i szansę na cudowne życie Stefanii i Andrzeja, swojego wnuka. Nie jest jednak jeszcze zbyt późno. Jeszcze się wszystko może zmienić.

– Karolu! – zawołała po raz drugi.

Mąż po chwili przyszedł z drugiego pokoju.

– Nie pomogły ci te pigułki? – zapytał.

Pokręciła głową.

– Karolu. Mam do ciebie prośbę – powiedziała. – Jakby cokolwiek się stało, w mojej szufladzie z bielizną na samym dole jest koperta. Bardzo proszę, daj ją Stefanii.

– Janka, spokojnie. Wojnę przeżyłaś, to przecież takie coś cię nie położy.

Janina jednak czuła się coraz gorzej. Nad ranem Karol poszedł do sąsiadki, by wezwała pogotowie. Młoda była, mogła szybko pobiec do budki telefonicznej i zawołać karetkę. Nikt tutaj niestety nie miał telefonu.

Rok wcześniej przeprowadzili się z Rudy do nowego bloku na Kozinach. Było tam wygodniej. I sąsiedzi wokół, było do kogo pójść po pomoc.

Gdy karetka przyjechała, Janina już witała się z Anną w zupełnie innym świecie.

\*

Karol nie mógł się pogodzić ze śmiercią Janiny. Różnie bywało w ich życiu. Raz lepiej, raz gorzej, ale byli ze sobą bardzo długo, a ostatnie lata przeżyli spokojnie i całkiem pogodnie. Nie potrzebował niczego innego. W porównaniu do burzliwych lat przeszłości teraz miał wszystko, czego potrzebował. Gdy zabrano jego żonę, nie wiedział, co ma ze sobą zrobić. Usiadł w bujanym fotelu i przypomniał sobie o kopercie, którą miał dostarczyć Stefanii. Wstał, podszedł do komody i otworzył szufladę z bielizną Janiny. Wszystko jak zawsze było równo poskładane. Dlatego też tak ciężko było jej trwać w tym całym życiowym bałaganie, który zafundował jej syn. To wszystko zdarzyło się tak dawno, a pewnie musiała się z tym codziennie od nowa mierzyć. Nigdy nie pogodziła się ze zbrodnią, którą popełnił Kuba.

Pod bielizną zobaczył mały woreczek po mleku. W nim znajdowała się biała zaklejona koperta. Kilka chwil trzymał ją w dłoniach. Powinien otworzyć? Oczywiście, że nie powinien. Ale może lepiej będzie dla niego, gdy otworzy? Otworzy tak, by Stefania tego nie widziała, nad parą. Potem znowu zaklei. Nikt się nie dowie.

Poszedł do kuchni i nastawił wodę w czajniku. Gdy tylko zaczęła się gotować, uniósł kopertę nad parę. Po chwili można już było ją otworzyć. Wrócił do pokoju i zaczął czytać.

Nie wierzył własnym oczom.

Jego żona oszukiwała go przez tyle lat. Poczł się zdradzony. Córka, którą wychowywał, wcale nie była jego córką.

Postanowił nie dawać Stefani tej koperty, zanim nie porozmawia z synem. Przecież on pierwszy powinien znać prawdę! Niedaleko pada jabłko od jabłoni. Kuba, szaleńczo zakochany w Annie, a jego syn w jej córce. Schował kopertę w leżącą na stole książkę *Ogród wiejski: warzywnictwo, sadownictwo i przetwórstwo w streszczeniu*. Nagle poczuł ostry ból głowy. Po chwili zrobiło mu się niedobrze. Wstał z fotela, zachwiał się. Przytrzymując się ściany, doszedł do sąsiadów. Zadzwoił do drzwi. Gdy sąsiadka mu otworzyła, stracił przytomność.

\*

Stefania przyjechała natychmiast, gdy dostała telegram o śmierci matki. O wypadku ojca jeszcze nie wiedziała. Stała pod drzwiami i próbowała się dostać do domu rodziców. Nikt nie otwierał. Wyciągnęła ze swojej przepastnej torby klucze. Weszła do środka. Ojca nigdzie nie było. Po chwili usłyszała ciche pukanie do drzwi.

– Dzień dobry – powiedziała cicho sąsiadka.

– Dzień dobry, pani Krysiu. Właśnie miałam do pani iść. Nie wie pani, gdzie jest mój tata?

– Tata w szpitalu.

Stefania zaniemówiła przez chwilę.

– Jak to w szpitalu? Co się stało? – Wzięła z wieszaka kurtkę i zaczęła ją zakładać. – Jadę do niego.

– Do Barlickiego go zawieźli. Na Kopcińskiego – powiedziała sąsiadka. – Podobno udar.

– Ale żyje?

– Żyje – potwierdziła. – Ale... Ale sama pani zobaczy.

\*

Ciężko było nazwać mężczyznę leżącego w łóżku w szpitalu Barlickiego żyjącym. Podłączony do kroplówki, monitora i tlenu sprawiał wrażenie, jakby jedną nogą był już ze swoją żoną.

– Tato – szepnęła Stefania. – Nie zareagował. – Tato...

\*

Karol Rzepecki spędził w szpitalu tydzień. Nie uczestniczył w ostatnim

pożegnaniu swojej żony, natomiast był tam Kuba, którego Stefania nie miała ochoty bliżej poznawać. Cały czas przypominał jej się tamten wieczór, gdy Andrzej przedstawił ją ojcu. I przypominało jej się to uczucie rozpacz, gdy dowiedziała się, że z tej miłości nic nie będzie. Musieli jednak zamienić kilka słów.

– Zabieram ojca do Niemiec – powiedział Kuba. – Tam mu bardziej pomogą. Stefania nie protestowała. Miał rację.

– Potrzebujesz czegoś? – zapytał nagle. – Pieniądzy?

– Nie – powiedziała szybko. – Pracuję. Mam pieniądze. Na wszystko, czego potrzebuję.

– Gdybyś czegoś potrzebowała...

– Tak, wiem – przerwała mu. Zupełnie nie rozumiała, dlaczego ten obcy człowiek, który podobno był jej bratem, miałby jej pomagać. Aż czasem dziwiła się, jakim cudem mogą być spokrewnieni.

– No dobra. Pewnie ojciec chciałby coś wziąć ze sobą. – Kuba rozejrzał się po pokoju. – Masz jakiś pomysł? Wszystkiego nie dam rady zabrać.

– Ubrania – powiedziała dziewczyna. – I książki. – Uśmiechnęła się smutno.

– Zawsze był z nimi związany. Pomogę ci pakować.

Wyjęła z szafy wielki karton. Podeszła do szafki z książkami. Zapakowała Żeromskiego, Jasienicę, Dąbrowską, jeden tomik Gałczyńskiego i kilka innych powieści. Zostało jej jeszcze trochę miejsca, zatem z boku, nie zaglądając do środka, wsunęła *Ogród wiejski: warzywnictwo, sadownictwo i przetwórstwo w streszczeniu* Jankowskiego z 1923 roku.

\*

– Zabrał do Niemiec tę książkę? – zapytałam, gdy pan Andrzej skończył opowiadać.

– Zabrał – potwierdził pan Andrzej. – I nie otworzył przez trzydzieści lat. – Uśmiechnął się smutno. – Nawet nie wyjęliśmy jej z kartonu. Stała w piwnicy zawalona innymi rzeczami.

– Przez trzydzieści lat? – powtórzyłam. – Przez trzydzieści lat myśleliście, że jesteście spokrewnieni?!

– Tak. Dziadek Karol umarł niedługo po przyjeździe do Mannheimu. Nie pomogli najlepsi lekarze. Chociaż muszę przyznać, że ojciec się starał. Chciał chyba odpokutować swoje winy. – Pan Andrzej westchnął. – Ojciec i matka odeszli na początku lat dziewięćdziesiątych. Zostałem sam. Ja w Niemczech, a Stefania w Gdańsku. Nie znałem jeszcze całej historii, ale postanowiłem odzyskać willę. Uważałem, że należy mi się jako prawowitemu spadkobiercy. To był czas, kiedy zaczęło to być możliwe. W tej willi były mieszkania kwaterunkowe, strych zamknęli, bo groził zawaleniem. Gdy zacząłem o nią walczyć, dowiedziałem się, że już w latach siedemdziesiątych mój ojciec próbował ją odzyskać. Napisał pismo do

urzędu i podobno nawet obiecywali, że coś z tym zrobią. Skończyło się na obietnicach. Ustaliłem jednak, że państwo zabrało naszą willę bezprawnie. Umieszczono tam lokatorów, pobierano czynsz, nawet wykonywano drobne remonty. Pewnie gdyby ojciec się uparł, mógłby dostać jako spadkobierca małe, wydzielone mieszkanie. Nie o to mu chodziło. Dopiero mi udało się odzyskać cały majątek.

– A jak on trafił do pani Stefanii?

– To kolejne dziesięć lat. Może trochę krócej. – Pan Andrzej uśmiechnął się smutno. – Przeprowadziłem się tutaj. Okrutna to była rudera. Jednak pierwszego dnia usiadłem na ganku i stwierdziłem, że czegoś tutaj brakuje. Ojciec wspominał, że kiedyś kwitły tu czereśnie. Postanowiłem je posadzić. Kompletnie nie wiedziałem, jak się do tego zabrać. Kartony, które mój ojciec zabrał do Mannheimu, wróciły ze mną. Jak już mówiłem, nikt ich nie oglądał, stały w piwnicy. Otworzyłem jeden z nich. Wypakowałem mnóstwo fantastycznych książek. Między innymi podręcznik o sadownictwie. Z 1923 roku. Ucieszony, zacząłem go przeglądać. Na stronie o czereśniach miał zakładkę. Biała koperta, z ładnie wykaligrafowanym napisem „dla Stefanii”. Wiem, nie powinienem tego otwierać. Ale zauważyłem, że już ktoś to przede mną robił. Przeczytałem.

## CZĘŚĆ V

### CZEREŚNIE, OWOC KSZTAŁTU SERCOWATEGO

*Czereśnie.*

*Przeciwną rasę stanowią wiśnie pochodzące od czerech, dziko rosnących w naszym kraju (...). Owoc mają słodki, kształtu sercowatego (...).*

*Edmund Jankowski, Ogród wiejski: warzywnictwo, sadownictwo i przetwórstwo w streszczeniu, Księgarnia Rolnicza, Warszawa 1923*

*Ruda Pabianicka, 14 maja 1960*

*Kochana Stefano, moja najdroższa i jedyna córeczko!*

*Jeżeli czytasz ten list, to już pewnie nie ma mnie na tym świecie. Pewnie umarłam, nie zdolawszy się z Tobą pożegnać. Pewnie płaczesz i jest Ci przykro. Taka kolej rzeczy. Wszyscy kiedyś odejdziemy.*

*Przez całe życie byliśmy dla siebie najważniejsze. Miałyśmy do siebie wielkie zaufanie. Jednak ukrywałam przed Tobą pewien sekret. Sekret, którego nie zdradziłam nikomu. Dla Twojego dobra.*

*Nie wiem, jak zacząć. Może zacznę od prośby, byś nadal mnie kochała jak matkę. Niezależnie od tego, co przeczytasz w tym liście. Piszę go teraz, bo los bywa przewrotny. Jednego dnia człowiek śmieje się, innego płacze. Jednego dnia jest, a później go nie ma. Nie znamy dnia ani godziny. O tym wszystkim decyduje Bóg. To On zabiera nas z tego świata wtedy, kiedy Mu tam u góry jesteśmy potrzebni.*

*Stefanio, nie jesteś moją biologiczną córką. Ojcem Twoim nie jest również Karol. Z Andrzejem nie jesteś spokrewniona.*

*Nie wiedziałam, że poznacie się i pokochacie. Serce mnie bolało, gdy ojciec Andrzeja, a mój syn, Was rozdzielił. Nie mogłam wtedy nic powiedzieć. Bardzo Cię przepraszam za to, że zniszczyłam Ci życie. Życie, które mogłaś spędzić przy boku ukochanego mężczyzny. Mogłaś mieć dzieci, dom, wszystko, co Ci się należało.*

*Niestety obiecałam Annie, Twojej matce, że wszystko zatrzymam dla siebie. Tak długo jak będzie to możliwe. Nie chcę jednak zabrać mojej tajemnicy do grobu. Powinnaś znać swoją przeszłość.*

W dalszej części listu Janina opisywała ze szczegółami burzliwe życie, zarówno Anny, jak i swojego syna. Na zakończenie napisała:



*Kocham Cię, córeczko. Wybacz mi. Bądź szczęśliwa. Chciałabym, by kiedyś jeszcze dom Dworaków tętnił życiem. By rozlegał się tam dziecięcy śmiech i by rude koty stały pod drzwiami w oczekiwaniu na resztki z obiadu.*

*To jest moje marzenie.*

*Janina*

\*

– Pojechał pan do niej? – zapytałam.

– Od razu – potwierdził. – Nie zastanawiałem się ani chwili dłużej. Tyle lat jej nie widziałem. Czasem wysyłała jakieś swoje zdjęcia. Pierwszy raz w życiu byłem w Gdańsku. Pojechałem pociągiem do Oliwy. Z dworca wziąłem taksówkę. Stałem pod tym wielkim budynkiem, zastanawiając się, co przyniesie mi los.

– Co dalej? Nie otworzyła?

– Otworzyła. Zapytała „kto tam?”. Odpowiedziałem po prostu, że ja. Od razu wiedziała, kim jestem. A przecież minęło tyle lat. Zaskoczona wpuściła mnie do domu. Była piękna jak wtedy. Przybyło jej tylko trochę zmarszczek i była nieco pulchniejsza. To nawet dodawało jej uroku.

– I co potem?

– Nie wiedziałem, co powiedzieć. Po prostu pokazałem jej list. – Pan Andrzej zamyślił się. – Płakaliśmy oboje. Miałem ochotę tam zostać i nigdy nie wracać.

– Ale wrócił pan.

– Wróciłem. Tylko dlatego, że chciałem trochę wyremontować willę. Tak, by Stefania mogła tam wreszcie zamieszkać. Byśmy razem tam zamieszkali. Postanowiłem jej tę willę podarować. Tak, by symbol tego wszystkiego, co się kiedyś stało, wrócił znowu do jej rodziny. Myślałem, że to spowoduje, że spotka mnie w życiu już tylko szczęście. Jednak Annie chyba nie do końca o to chodziło. – Westchnął. – Ona jeszcze nie zaznała spokoju.

– Ona wciąż nie ma grobu. – Zamyśliłam się.

– Nie ma. Ale jak ją pochować, jeśli nie ma ciała?

– Nie wiem. – Wzruszyłam ramionami. – Panie Andrzeju, a był pan u księdza? – zapytałam po chwili zastanowienia.

– Nie. Tyle życiowych zadrapań za mną, że odsunąłem się od Boga. Gdyby istniał, nie pozwoliłby na to wszystko.

– Gdyby nie pozwolił na to wszystko, teraz pewnie nie siedzielibyśmy tutaj.

– No tak. – Pan Andrzej pokiwał głową. – Mnie pewnie wcale by nie było.

– Panie Andrzeju. Ja pójdę do księdza – powiedziałam. – Nie potrafię tego wytłumaczyć, ale chyba jej chodzi o to, by miała swoje miejsce tu na ziemi.

Pan Andrzej nie był przekonany. Wzruszył ramionami.

– Rób, co chcesz, dziecko. Sytuacji już nie pogorszysz.  
– Pójdę do parafii jutro – powiedziałam.  
– Będę się zbierał. – Pan Andrzej wstał. – Znasz już całą historię. Miała się tutaj przeprowadzić. Nie zdążyła. Jestem zły na siebie, że bardziej jej nie naciskałem. Ale po tylu latach rozłąki samo to, że mogliśmy się widywać co jakiś czas, było dla mnie niesamowitym prezentem od losu.

W jego oczach pojawiły się łzy. Położyłam mu dłoń na ramieniu. Pokręcił głową. Mężczyźni przecież nie płaczą. Odwrócił się i odszedł bez pożegnania.

\*

Następnego dnia poszłam do księdza. Gdy wychodziłam, znowu zobaczyłam w drzewach coś czerwonego. Płaszcz, sukienka? Powoli przyzwyczajałam się do obecności Anny, chociaż prawa nauki zaprzeczały temu, że w ogóle mogę ją spotkać. Jednak wierzyłam, że intuicja podpowiada mi, co mam robić.

Oczywiście zastanawiałam się, jak zacząć rozmowę z księdzem. Że chcę pochować kogoś, kto umarł dawno temu i nawet nie wiem, gdzie jest jego ciało.

Bez sensu. Ale co w tym życiu miało sens? Chyba tylko miłość.

\*

Weszłam do kancelarii parafialnej. Za biurkiem siedział ksiądz zaczytany w jakiejś grubej książce. Na pewno nie była to książka religijna. Sądząc po mrocznej okładce raczej jakiś bestsellerowy kryminał albo powieść grozy.

– Ślub? – zapytał zupełnie nieadekwatnie do pistoletu na okładce. – To czemu sama?

– Raczej pogrzeb – powiedziałam.

– A to przepraszam. – Ksiądz zmrużył oczy. – Ale wiedziałbym, gdyby w parafii ktoś umarł.

– W latach trzydziestych umarł.

– Pochowany?

Pokręciłam głową.

– Nie. I chyba w związku z tym... – zająknęłam się. – W związku z tym nie może zapaść spokój.

– Jest pani wierząca?

– Chyba tak.

– Chyba?

– Wierzę, że ktoś to wszystko zaplanował w jakimś celu. Chociaż czasem zastanawiam się, jak mógł być tak okrutny.

– Wolna wola. Ludzie zawsze mają wybór.

– A to nie jest tak, że jak się rodzimy, to scenariusz naszego życia jest już gdzieś zapisany?

- Scenariusz na etapie produkcji zawsze ulega modyfikacjom.
- Ma ksiądz rację. Ale... Wracając do tematu. Czy można kogoś pochować, gdy nie ma ciała?
- I tak, i nie. Można na cmentarzu zrobić symboliczny grób.
- Może to spowoduje, że Anna będzie spoczywać w spokoju...
- Anna?
- Tak – opowiedziałam księdzu historię w wielkim skrócie. Zamyślił się.
- Odprawię mszę za Annę. Ona pozwoli uwolnić duszę od cierpienia oraz przyczyni się do zbawienia, to znaczy do osiągnięcia chwały świętych w niebie. Sama dziwiłam się, że wierzę, iż msza w intencji Anny i pochówek mogą załatwić sprawę. Ale tak bardzo chciałam, by ta kobieta była szczęśliwa po śmierci.
- W lesie widziałam kiedyś krzyż. Może to jej symboliczny grób?
- Jeżeli grób jest w lesie, to zawsze jest jakiś zarządca lasu, który może go usunąć. Las nie powinien być miejscem pochówku. Jak nie ma ciała, to robi się grób symboliczny, zwykle na cmentarzu.
- Na cmentarzu? Ale bez ciała?
- Bez. Można wykupić kryptę w kolumbarium i tam pochować urnę.
- Pustą?
- Może być pusta, ale można też schować tam pamiątki po zmarłej. A także ziemię, z którą była związana.
- Ale ja nie mam żadnych dokumentów. Nawet nie mam dowodu, że taka osoba w ogóle istniała...
- Nie potrzeba. To grób symboliczny. Ja mogę być przy tym, poświęcić płytę nagrobną. A potem odprawić mszę w intencji jej duszy.

\*

Po wizycie u księdza od razu pojechałam do pana Andrzeja. Siedział na ganku i czytał gazetę. Spojrzał na mnie z nadzieją.

– Panie Andrzeju. Wszystko da się załatwić! Rozmawiałam z księdzem. Znalazł sposób na spokój jej duszy!

\*

Nie zliczę, ile razy pomyślałam o tym, że zwariowałam. Odkąd zamieszkałam w Rudzie, coraz częściej mi się to zdarzało. Najpierw nieznamą przechadzającą się niedaleko mojego domu, potem znikający grób, a teraz robię pogrzeb osobie, o której istnieniu jeszcze do niedawna nie wiedziałam. Nie miałam również pewności, że to wszystko prawda.

Szymon patrzył na mnie podejrzliwie, ale nic nie mówił.

– Na pewno nie zaszkodzi – powiedziałam.

- No nie – przyznał mi rację.
- A panu Andrzejowi nawet i może pomóc, prawda?
- Prawda – potwierdził.
- No... – Westchnęłam.

Szymon się roześmiał.

– Widzę, że jesteś w pełni przekonana do tego, co robisz. – Pokręcił głową.

– No nie. Nie jestem.

– Chodź lepiej na spacer. Luna z przyjemnością odwiedzi miejsca, o których opowiadał pan Andrzej.

Poszliśmy na długi spacer. Wzięłam ze sobą woreczki śniadaniowe. Chciałam zabrać ziemię z nadbrzeża Stawu Stefańskiego i z lasu nieopodal domu. Nie wiedziałam, co jeszcze włożę do urny. Pewne pamiątki powinno się zachować.

Tamtej nocy długo siedziałam, wpatrując się w kominek. Czy to z niego Kuba Rzepecki zaproszył ogień?

Jakie te ludzkie losy bywają poplątane.

\*

Kilka dni później spotkaliśmy się wszyscy na cmentarzu. Przygotowanie tego pogrzebu nie wymagało specjalnych starań. Ani z naszej strony, ani ze strony księdza.

Pan Andrzej założył garnitur i odświeżone buty. Nawet się ogolił. Nieduży był to kondukt żałobny. Tylko pan Andrzej, ksiądz i ja. Nawet Szymona nie było, bo właśnie miał dyżur. Nie mógł go odwołać. Patrzyłam na tego starego człowieka, który mimo tego, że oddalił się od Boga już dawno temu, bardzo wierzył w to, że modlitwa i poświęcenie pamiątek po Annie pomogą znaleźć jej ukojenie.

Chciałabym kiedyś tak bardzo w coś wierzyć.

Gdy patrzyłam na jego półprzymknięte oczy, wiedziałam, że nie trafiłam do Rudy przez przypadek. Los wyznaczył mi konkretne zadanie, któremu udało mi się sprostać.

\*

Do urny włożyliśmy niewiele skarbów. Pan Andrzej uważał, że Anna z pewnością wolałaby, by pamiątki po niej pozostały na ziemi i cieszyły nowych mieszkańców willi.

Włożyliśmy płócienną serwetkę obszytą koronką z wyszytymi inicjałami „A.D.” oraz jedwabne rękawiczki znalezione na strychu. Zapewne należały do Anny. Bo do kogo innego? Z woreczków wysypaliśmy ziemię. Tę zebraną z brzegu stawu i tę z lasu. Z miejsca, gdzie naszym zdaniem Kuba Rzepecki pochował swoją miłość.

To były bardzo uroczyste chwile. Czułam ogromną wdzięczność do księdza,

że spełnił marzenie starszego człowieka. Jeszcze nie widziałam tak pogodnego pana Andrzeja. Uśmiechał się, a promienie słoneczne wesoło odbijały się w jego szarych oczach.

\*

„Uwolnij od wszelkich grzechów duszę, której szczątki tutaj składamy. Przyjmij ją do nieba, aby mogła ze świętymi bez końca radować się w Tobie”.

Słowa księdza jeszcze długo brzmiały w mojej głowie. Naprawdę miałam nadzieję, że o to chodziło Annie. Że znajdzie spokój gdzieś daleko, gdziekolwiek jest, a tym samym pan Andrzej będzie szczęśliwy.

\*

Tego samego dnia poszliśmy do nas na obiad. Szymon już kończył pracę, czekaliśmy na niego. Miałam wrażenie, że panu Andrzejowi ktoś odjął z dziesięć lat życia.

– Panie Andrzeju, a co było potem? Dlaczego nie byliście razem, jak już wszystko było wiadomo? – zapytałam.

– Dlaczego? Widać takie było nasze przeznaczenie. – Westchnął. – Odnalazłem ją po latach. Mieszkała w Gdańsku w tym wielkim pofalowanym bloku.

– W falowcu.

– Tak. Kilka długich lat zajęło mi przekonywanie jej, że powinniśmy spróbować być razem, mimo tego, co się wydarzyło. Wyobrażasz sobie, Zosiu? Dziesięć długich lat.

Pokręciłam głową.

– Przekonywałem ją, że przecież kiedyś łączyła nas wielka miłość. Wierzyłem, że takie uczucie nie umiera. Ona się ze mną zgadzała, ale naprawdę nie wiem, co powodowało, że nie chciała. Może nie wierzyła, że to może się udać? A może przyzwyczaiła się do tego, co ma? Pisaliśmy do siebie listy. Długie, krótkie. Co tydzień chodziłem na pocztę i wysyłałem do niej list. Kilka dni później przychodziła odpowiedź. Czasem się widywaliśmy. Ale bardzo rzadko. Potem założyli mi telefon. Ale telefon to nie to samo.

– Zauważyłam, że często pisała listy. Miała taki piękny charakter pisma.

– Mam je wszystkie. – Uśmiechnął się. – Czasem je przeglądam i czytam jeszcze raz. Jak odejdę, wszystkie je dostaniesz.

– Mam nadzieję, że pan się nigdzie nie wybiera, panie Andrzeju! – Zdenerwowałam się.

– Ja się nie wybieram. – Pan Andrzej się roześmiał. – Ale nigdy nie wiadomo, kiedy mogą po mnie przyjść. Teraz już mogę odejść w spokoju. Już nic nie muszę.

Zabrzmiało smutno. Chyba muszę pogadać z Szymonem, by przebadał pana Andrzeja.

– Byliśmy samotni. Co nam szkodziło być razem? – zapytał. – Ja nie miałem dzieci, ona również nie. Chociaż ona miała ciebie, Zosiu. Byłaś dla niej najważniejsza. Ja, poza nią, nie miałem nikogo. – Wypił łyk herbaty.

Miałam wrażenie, że zaszkliły mu się oczy.

– Potem Stefania zmieniła zdanie. Pisała, że jednak na stare lata marzy o domu z ogródkiem. Nie wiedziałem, czym została spowodowana ta zmiana. Nie pytałem, chciałem spełnić jej marzenie. Zacząłem generalny remont. Prawie wszystko zostało wyremontowane, sama wiesz. Nie zdążyłem jednak. Chciałem jej udowodnić, że ją kocham. Też już jestem stary, chciałem odkupić winy ojca i wszystko na tym świecie wyprostować. Chciałem, by ta willa należała do niej. Do prawowitej dziedziczki, córki Henryka i Anny, których tak bardzo skrzywdził mój ojciec. Ale gdyby nie było tej krzywdy, nie byłoby mnie na świecie. Nie byłoby naszej pięknej miłości, która trwała tyle lat.

Pan Andrzej wstał i spojrzał przez okno. Może nawet to samo okno, przez które kiedyś patrzyli przodkowie jego ukochanej.

– Zosiu. Jednak wszystko ma dwie strony medalu. Gdybyśmy te kilkadziesiąt lat temu dowiedzieli się, że jednak nie jesteśmy spokrewnieni, pewnie nie byłoby cię tutaj. Nie byłoby Szymona w tym domu i tej waszej pięknej miłości. Zawsze uważałem, że gdy coś złego dzieje się w naszym życiu, to tylko po to, by za jakiś czas zdarzyło się coś dobrego. I patrząc na tę historię, wiem, że tak właśnie było w naszym przypadku.

\*

Patrzyłam na tego starego człowieka, który snuł swoją opowieść przez wiele wieczorów. Cieszyłam się, że przeszłość została poukładana. Gdy zamknęłam oczy, widziałam mój dom, willę Henryka Dworaka w latach swojej świetności. Widziałam Annę i Henryka, który prosząc ją o rękę, zerwał przez okno jedną ukwieconą gałązkę czereśni. Przez ostatnie miesiące dzięki opowieściom pana Andrzeja nauczyłam się, że nawet najbardziej niepozorna decyzja wpływa na nasze życie, a przeszłość zawsze wybrzmiewa w teraźniejszości.

\*

Latem, w jedno z sierpniowych popołudni odwiedziliśmy pana Andrzeja. Bardzo zaprzyjaźniliśmy się podczas tych naszych wspólnych wieczorów. Może i historia mojego domu była nam znana, jednak on zawsze miał coś do opowiedzenia. A to o przekrętach w magistracie, a to o skandalach związanych z pannami, które chadzały na potańcówki do Stefańskich. Opowiadał również historię o nawiedzonym lesie w Rudzie Pabianickiej i o domu, w którym straszy.

Historii było wiele. Bardzo lubiliśmy z Szymonem chodzić do niego na wieczorny spacer. Tradycyjnie Luna towarzyszyła nam całą drogę, a Rudy odprowadzał nas tylko kawałek. Tym razem też tak było.

Pan Andrzej czekał na nas przed domem. Jak zawsze siedział na ławeczce wśród czereśniowych drzew. Tym razem spał. Jego twarz była pogodna bardziej niż zwykle. Uśmiechał się, jakby śnił mu się najpiękniejszy sen.

– Może nie będziemy mu przeszkadzać. – Uśmiechnęłam się do Szymona. – On śpi.

Szymon jednak nie odwzajemnił mojego uśmiechu. Spojrzał na pana Andrzeja. Spokojnie do niego podszedł i złapał za nadgarstek.

Popatrzył na mnie ze smutkiem.

– On śpi, Zosiu. Zasnął już na zawsze.

\*

Pana Andrzeja pochowaliśmy na tym samym cmentarzu, gdzie kilka miesięcy wcześniej modliliśmy się za Annę. Było nam bardzo smutno, bo straciliśmy przyjaciela. Kogoś, kto przez ostatnie miesiące był dla nas bardzo ważny.

– Zosiu, a może my powinniśmy się cieszyć? – zapytał Szymon.

– Dlaczego? – Próbowałam przełknąć łzy.

– On po prostu zasnął. Usiadł na swojej ulubionej ławeczce i zasnął z uśmiechem na ustach. Ja myślę, że gdzieś tam po drugiej stronie ją zobaczył.

– Panią Stefanię?

– Tak. Panią Stefanię. Tak długo na nią czekał, a teraz już może być z nią cały czas. I nikt i nic im nie przeszkodzi.

## EPILOG

Siedziałam na ganku mojego domu. Był chłodny, wiosenny wieczór. Właśnie przestał padać deszcz. Owinęłam się ogromnym szydełkowym kocem w kolorze morza, za którym czasem nawet tęskniłam, i wachałam różę, która niedawno zakwitła w moim ogrodzie. Po chwili usłyszałam odgłos nadjeżdżającego samochodu. Wrócił Szymon.

– Znowu zakwitła? – zapytał.

Potwierdziłam.

– Jak co roku tego dnia. Dnia, w którym zaznała spokoju.

– Co roku myślę, że to przypadek. – Pokręcił głową.

– Wiesz, że to nie jest przypadek. – Uśmiechnęłam się.

– Wiem. W życiu nie ma przypadków. Wszystko zdarza się po coś.

Objął mnie mocno. Luna położyła łeb na moich kolanach. Gdzieś daleko ktoś zawołał, zapłakało dziecko, zaszczekał pies. Zwykle hałasy osiedla na przedmieściach. Coś mignęło za płotem. A może ktoś? Kobieta. Spojrzałam na nią i się uśmiechnęłam. Odwzajemniła uśmiech, skinęła ręką. Poczulałam, że wszystko będzie dobrze.

Byłam bardzo wdzięczna światu za to, co mam. Bo mam wszystko, o co kiedykolwiek prosiłam.

Drzewka owocowe posadzone przez nas trzy lata temu właśnie zakwitły.

Pamiętam rozmowę z panem Andrzejem, gdy opowiadał mi o tym, że wszędzie tutaj był sad owocowy.

– Chciałabym tu posadzić jedno drzewko czereśniowe. Wiem, że będzie tu



pasowało.

– Czeresnie zawsze muszą być dwie – powiedział. – Inaczej nie będą rodzić owoców.

I wtedy wszystko zrozumiałam. Człowiek nie powinien być sam na tym świecie.

Drzewo czereśni potrzebuje innego drzewa, aby rosnąć i dawać owoce.

Tak jak człowiek, gdy kocha – rozkwita.

KONIEC

Gdańsk, 26 lutego 2017

23.36

## PODZIĘKOWANIA

Tę książkę pisałam bardzo długo. A w zasadzie nie pisałam, tylko o niej myślałam.

Kilka lat temu ogrodnik moich rodziców, Jan Kreft, został poproszony przez mojego tatę o posadzenie w ogrodzie jednego drzewka czereśniowego. Gdy to usłyszał, powiedział: – Ale jak to? Czereśnie zawsze muszą być dwie!

Usłyszałam te słowa i wpatrywałam się w niego jak urzeczona. Przecież to taka oczywista prawda życiowa! W tym momencie zaczęła powstawać historia, która przez te kilka lat bardzo się pozmiała, ale motyw czereśni pozostał. Panie Janie, bardzo dziękuję za pomysł! Bez Pana tej książki by nie było!

Na początku akcja miała rozgrywać się w Gdańsku. Jednak muszę się Wam do czegoś przyznać (ze wstydem). Nigdy nie interesowałam się historią i na przeszkodzie stanęły mi skomplikowane losy mojego rodzinnego miasta. Bałam się, że nie połapię się w tym wszystkim. Obawiałam się, że wiele źródeł będzie dostępnych tylko po niemiecku i, mimo iż znam ten język, to sobie nie poradzę. Szukałam zatem innego miejsca. Zastanawiałam się nad Gdynią, Sopotem, miasteczkami na Kaszubach, Poznaniem. Dlaczego zatem Ruda Pabianicka?

Przy okazji promocji którejs z moich książek zostałam zaproszona do Empiku w Łodzi. Tam zawsze panuje niesamowita atmosfera. Zupełnie nie wiem, na czym to polega, ale w łódzkim Empiku czuję się zawsze jak wśród przyjaciół. Siedzimy, rozmawiamy i nie możemy się rozstać! Nawet miejsca na podłodze często są zajęte (Kinga, dziękuję Ci za tę cudną atmosferę!).

Opowiadałam wtedy czytelnikom o mojej książce. Zastanawiałam się, gdzie umieścić jej akcję. Czytelnicy, a właściwie czytelniczki, zareagowały natychmiast:

– Jak to gdzie? W Łodzi!

– W Łodzi? No nie wiem, potrzebny mi jakiś stary dom... – powiedziałam nieśmiało.

– Mamy stare domy! Na przykład w Rudzie Pabianickiej!

– Tylko to tak daleko, ciężko pojechać po dokumentację... Bo ja wszędzie z dziećmi...

– Zaopiekujemy się!

– I potrzebny mi las...

– Posadzimy! – To chyba Kasia Tylka zawołała. Kasia, jak tam, las rośnie? :)

No i ta Ruda Pabianicka zaczęła mi kiełkować w głowie. Najpierw „na sucho”. Dużo czytałam, przeglądałam forum Sympatyków Rudy Pabianickiej (dziękuję wszystkim, którzy mi pomogli), rozmawiałam z wieloma osobami, kupiłam jakieś dwadzieścia kilogramów książek o fabrykantach, Rudzie Pabianickiej i Łodzi, drugie tyle o Polsce w latach międzywojennych.

Później spędziłam kilka dni w Łodzi z mamą i dziećmi. Zakochałam się w tym mieście. Mieszkaliśmy w pięknych, pofabrycznych loftach blisko Księżego Młynu, codziennie zwiedzaliśmy inną część Łodzi. Muzea, ulice, piękne, industrialne wnętrza. Bardzo nam się podobało.

Ale wtedy jednak nie byłam do końca przekonana.

Potem jeszcze raz pojechałam w tamte rejony. Tym razem z mężem.

Ponownie odwiedziliśmy muzeum włókiennictwa, pojechaliśmy również do Rudy. Gdy zobaczyłam willę Zaurów, całym sercem poczułam, że to tutaj. Widziałam Annę stojącą na drodze, Lunę taplającą się w kałużach, Zosię, która czeka na ganku na Szymona, a nawet pana Andrzeja siedzącego na starej ławeczce wśród drzew. Poczulałam dreszcze na całym ciele. To było to. Potem poszliśmy na spacer po lesie i znowu zobaczyłam wszystkie wydarzenia, jakbym oglądała film.

To musiało być to miejsce. Ten dom, ten las. Stawy Stefańskiego, cmentarz, kościół.

Część akcji dzieje się w Gdańsku. Kocham moje miasto i podejrzewam, że jego ślad zawsze będzie w moich książkach. Teraz nawet czułam się, jakbym nieco je zdradzała.

Przeszłość w mojej powieści to lata trzydzieste. Przewertowałam chyba wszystkie dostępne łódzkie gazety z tamtych lat. Czytałam wróżby, co nas czeka w przyszłości, ogłoszenia i nekrologi. Wesoły Domek madame Wróblewskiej naprawdę istniał, o kursach szycia u Grynblatowej wiem też z reklamy w jednej z gazet. Akuszerka Pelagia Zajfertowa przyjmowała w Rudzie Pabianickiej, przy ulicy Legionów numer 5.

Ksiądz Lewandowicz faktycznie był w parafii Świętego Józefa i naprawdę

niedaleko drewnianej plebanii przy ulicy Kościelnej rósł sad, któremu ze względu na podmokłe tereny nie wróżono owoców.

Postać Henryka Dworaka była w pewnym stopniu wzorowana na rudzkim fabrykancie Adolfie Horaku. Były to głównie twarde fakty dotyczące majątku. Inne perypetie są zupełnie wymyślone.

Wiem, że w Stawie Stefańskiego zginęło wiele osób, a w Lesie Rudzkim są pozostałości grobów, to z murowanym, to z brzoźowym krzyżem.

Willę pofabrykancką trochę pozmieniałam na potrzeby fabuły. Taki przywilej pisarki!

Jednak starałam się, byście trochę posmakowali tego międzywojennego rudzkiego świata.

Jest tyle osób, którym chciałabym podziękować... Znowu boję się, że o kimś nie wspomnę. Wynika to tylko i wyłącznie z mojego roztrzepania, z którego jestem znana!

Monice Tresce – za wsparcie na każdym etapie pisania, za kawy i czekoladowe kalorie, które w cudny sposób zmieniały się wieczorami w literki. Za wszystkie uwagi i za cierpliwość, gdy kazałam jej czytać powieść w odcinkach! I za to, że Karol był faktycznie Karolem, a nie Andrzejem i za Zosię, która u mnie czasem bywała Anną. Monika, jesteś matką chrzestną tej książki i jeżeli kiedykolwiek zachowywałam się jak psychoautorka, wymagając od Ciebie, byś natychmiast przeczytała to, co napisałam, to przepraszam! Mam nadzieję, że kiedyś będę czytać Twoje książki! I to dzięki Tobie ta książka jest taka gruba, bo wjechałaś mi na ambicję. Dziękuję!

Ani Krzyczkowskiej dziękuję przede wszystkim za wspólne siedzenie nocami (nie wiem, Ania, kiedy Ty śpisz) i za to, że gdy około trzeciej w nocy zachciało mi się pogadać, ona zawsze była, służyła radą i wsparciem. Dziękuję również za konsultacje weterynaryjne i kontrolę poprawności imion!

Moniko i Aniu – to dzięki Wam ta książka każdego dnia rosła i rosła!

Bognie Kozłowskiej – kochana, Tobie za wszystko! Gdybym miała wymieniać, to powstałaby kolejna gruba książka. Zatem ZA WSZYSTKO.

Marzence Grochowskiej – za to, że jedna rozmowa z nią pomaga mi odzyskać spokój. I po kilku słowach zamienionych z nią – fruwam.

I jeszcze, Marzenko i Bogno, dziękuję za to, że zawsze, gdy tego potrzebuję, mogę się z Wami cieszyć, ale także mogę kupić trzy kwiaty anturium i mieć pewność, że założone za nasze uszy poprawią nam humor. Dziękuję też za nasze czary!

Pawłowi Płaczkowi za to, że stał nade mną z batem i pilnował, czy się wywiązuje z odpowiedniej liczby literek. Aleksandrowi Rogozińskiemu za to, że

pomógł mi rozwiązać sytuację bez wyjścia – jak Andrzej powinien znaleźć dokumenty (obawiam się, że im dłużej będę przestawać z autorem kryminałów, tym więcej ludzi będę musiała pochować w moich powieściach). Dziękuję za cierpliwość, gdy po kolei informowałam Cię, kto umiera, kiedy i na co. Daliśmy radę.

Pepe i Alku – fajnie, że jesteście. Jak już kiedyś mówiłam, bez Was Warszawa jest jakaś inna. I bardzo mi miło, że zawsze mogę być Waszym gościem (pamiętacie, co chciałam napisać, prawda?).

Katarzynie Radziejewskiej – za wsparcie i pilnowanie mnie, bym nie zrobiła zbyt dużo rzeczy, które mogłyby mi zaszkodzić. Cieszę się, że spotkałyśmy się na tym świecie!

Joli Walusiak-Skorupie, mojej ulubionej pani profesor – za pomoc w medycznych aspektach. Gdyby ktoś kiedyś podpatrzył nasze rozmowy na Facebooku, z pewnością miałybyśmy problemy! A że kilka osób w tej książce „pochowałam” zgodnie z zaleceniami Joli, to kłopoty nasze byłyby wielkie. Jola, dziękuję za pomoc i wskazówki!

Wszystkim Zosiom Krasnopolskim (moimi czytelniczkami są Zosia Krasnopolska i Zosia Krasnopolska-Downar) dziękuję za użyczenie nazwiska. Tak bardzo mi się podobało! Gdy tylko Zosia pojawiła się wśród czytelniczek, wiedziałam, że muszę zapytać o zgodę. Mam nadzieję, że polubiłyście Waszą Zosię.

Magdzie Fryt – za wsparcie, humor, motywację. Magda, gdyby nie Twoje dopytywania, to pisałabym dwa razy mniej :).

Anecie Stawiszyńskiej dziękuję za jej książkę o Rudzie Pabianickiej, za cudowny spacer po Popiołach, za to, że odpowiadała cierpliwie na każde, czasem najdziwniejsze, pytania dotyczące Rudy Pabianickiej w okresie międzywojennym. Bez Ciebie to wszystko byłoby plastikowe. A tak nawet Zajfertowa się znalazła!

Mojemu mężowi Tomkowi dziękuję za wszelkie wskazówki dotyczące spraw technicznych. Wyglądało to mniej więcej tak:

– *Słuchaj, powiedz mi, jak uszkodzić samochód, by moja bohaterka nie zauważyła, że trzeba go wstawić do warsztatu. Może gumę złapie?*

– *No może. Ale zauważy.*

– *No dobra, to niech zauważy. Zatrzyma się i ktoś jej będzie pomagał zmienić koło. A potem co? Ten ktoś pojedzie z nią do wulkanizatora?*

– *A po co on ma jechać?*

– *No jak to po co? Bo jest miły, czuły.*

– *Nie pojechałby.*

– *Ale dla fabuły musi. Przecież może mieszkać blisko i tak towarzysko ją odwiedzić.*

– *Towarzysko? Ale po co?*

– *Matkooo, bo ona mu się podoba!*  
– *A no chyba, że tak.*  
– *No dobra, to będzie guma – zadecydowałam.*  
– *Madziaku, nie idź na łatwiznę. Napisz, że rezystor prędkości obrotu wentylatora się przepalił.*

Jak już wiecie, pozostałam przy gumie! :)

Agnieszce i Piotrkowi Jarosławskim – za nazwisko, którego użyłam. Szymon jest jakimś Waszym dalekim krewnym!

Dorocie Schrammek – za czarne świece i magię. Wykorzystam to jeszcze kiedyś!

Ani Piotrowskiej dziękuję za wsparcie na każdym kroku i to, że mogę obdarzyć ją wielkim zaufaniem.

Ewie Madeyskiej – za wsparcie od początku do końca, motywację i zachęcanie do Scrivenera, który okazał się najlepszym narzędziem, z jakiego korzystałam do tej pory. To właśnie Ewa już na jesieni zaczęła mi przypominać, że *Czereśnie* są ważną dla mnie książką i że powinnam zacząć ją pisać jak najszybciej.

Księdzu Jędrzejowi Orłowskiemu – za informacje dotyczące pochówku Anny. To one pomogły mi spiąć całą książkę tak, by wszystko skończyło się dobrze. Bez księdza Jędrzeja pogubiłabym się w tym wszystkim.

Iwone Kowalskiej – za pomoc w odkryciu zawiłości odzyskiwania powojennego mienia.

Icie Radziałowskiej – za historie o kurach. Ta, że kura wychowała szczeniaka, jest prawdziwa!

Agacie Bizuk – za to, że wspierała mnie na każdym etapie pisania. Agata, czekam na Twoją kolejną powieść!

Markowi Korożanowi – za konsultacje książkowo-ginekologiczne. Dziękuję za maile z konkretami pisane o północy (tym razem podziękowałam, nie zapomniałam!). Magdzie Korożan też dziękuję, bo dzięki Wam jest jeszcze kilka ciekawych historii do opisanie. Oczywiście wszelka zbieżność sytuacji jest zupełnie przypadkowa!

Małgosi Mielcarek-Żuczek, Agnieszce Kościelak i Ani Niemczyk-Janiszewskiej dziękuję za zaangażowanie w poszukiwania starych książek o sadownictwie.

Małgosi (SercemSzyte) dziękuję również za cudne podkładki pod kubki, które umilały mi nocę z kawą... I za towarzystwo. Bo tak bardzo mi było miło, gdy pisałam w nocy i miałam świadomość, że gdzieś tam też ktoś jeszcze nie śpi.

Dorocie Jaroszewskiej – za to, że pokazałaś mi swoją miłość do Łodzi. To między innymi dzięki Tobie Łódź pojawiła się w *Czereśniach*. Dziękuję Ci również za historię o prababci Elzie. Nie cała historia została tu opowiedziana.

Dałam sobie furtkę na kontynuację. Kto wie, czy Twoja prababcia kiedyś nie stanie się główną bohaterką?

Małgorzacie Dębczyńskiej-Zachacz i Karolinie Kołodziej za fantastyczny spacer po Piotrkowskiej. Ależ wtedy było lodowato!

Wszystkim, którzy byli na spotkaniu w Empiku w Łodzi i namawiali mnie na osadzenie fabuły w Rudzie. Mam nadzieję, że Was nie zawiodłam. Elu Piotrowska, największa łódzka patriotko, dziękuję za wszystko.

Kasi Graj – za niesamowitą energię i pokazanie mi, jak to jest być „celebrytką” :). Dziękuję fanom z grupy „Magiczne miejsce” – to wszystko dla Was!

Dziękuję nieustająco mojemu wydawcy (Olga, Marysia, Mateusz, Adrian). Wreszcie napisałam grubszą książkę (zaraz mi powiecie, że to dlatego, że podziękowania zajmują połowę objętości, więc już kończę).

Podziękowania wszystkim czytelniczkom składam na ręce jednej z najwierniejszych. Takiej, która zawsze czeka – Danusi Płachetko. Dziękuję, że jesteś i wspierasz dobrą energią!

Dziękuję również wszystkim tym, którzy mi źle życzą (oj, są tacy!). Dzięki Wam jeszcze uważniej patrzę pod nogi, gdy kroczę ścieżkami życia.

I najważniejsze. Dziękuję mojej rodzinie, najbliższym, na których zawsze mogę polegać. Rodzicom, dziadkowi Markowi, mężowi, dzieciom i bratu. Bez Was to wszystko nie miałooby sensu.

## **Powieści Magdaleny Witkiewicz:**

*Pracownia dobrych myśli*

*Ballada o ciotce Matyldzie*

*Awaria małżeńska* (wspólnie z Nataszą Sochą)

*Po prostu bądź*

*Moralność pani Piontek*

*Pierwsza na liście*

*Szczęście pachnące wanilią*

*Panny roztropne*

*Pensjonat marzeń*

*Szkoła żon*

*Milaczek*

*Zamek z piasku*

*Opowieść niewiernej*

*Cześć, co słyszeć?*

## **Opowiadania Magdaleny Witkiewicz**



**znajdą Państwo również w zbiorach:**

*Siedem życzeń*

*Cicha 5*

*Księgarenka przy ulicy Wiśniowej*